

Evelyn
Anthony

KŁOPOTLIWY
SPADEK

THE LEGACY

Przełożyła
Beata Długajczyk



*Caradocowi Kingowi
i wszystkim w agencji A. P. Watt,
moim przyjaciołom i agentom przez ponad czterdzieści wspaniałych lat,
poświęcam*

1.

Humfrey Stone zdecydował, że nie będzie uczestniczył w pogrzebie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy poprzedzających śmierć Richarda Farringtona dobrze poznał swojego klienta, uznał jednak, że pójście do niewielkiego, romańskiego kościółka byłoby niewłaściwe. Osobiście wzdragał się na myśl o pochówku w ziemi, ale Farrington hołdował staroświeckim zasadom i odrzucił możliwość kremacji, pragnąc spocząć na cmentarzu na wzgórzu, obok swoich przodków. Humfrey pomyślał, że jeśli ktoś posiada tak wielu przodków, wówczas taki pogrzeb ma pewien sens.

Sam dom nie zdobył jego uznania, chociaż biblioteka, w której wypadło mu czekać, nie była aż tak przytłaczająca, jak pozostałe pomieszczenia. Unosił się w niej zapach skóry i papieru, a także leciutka woń stęchlizny, charakterystyczna dla starych książek. Skórzane fotele były głębokie i wygodne, a co ważniejsze, nie było tu żadnych Farringtonów spoglądających ze ścian, jedynie rzędy książek i ogromna siedemnastowieczna mapa posiadłości, wisząca nad masywnym kominkiem z otwartym paleniskiem. Kartografa najwyraźniej bawiła jego praca; na południowym wschodzie umieścił rybę wyskakującą nad powierzchnię jeziora, a na północy - ogromnego daniela wynurzającego się z lasów należących do majątku.

Po raz pierwszy Stone spotkał się z Richardem Farringtonem w swoim biurze. Farrington nie był typowym klientem. Kancelaria prawnicza Harvey & Stone zajmowała się głównie interesami potężnych przedsiębiorstw i korporacji, których majątki warte były miliony. Przyjęcie Farringtona potraktowano jako drobną przysługę wyświadczoną jednemu z multimilionerów, który okazał się jego osobistym przyjacielem. On to właśnie nakłonił stryja Humfreya, Rubena, do przyjęcia Farringtona. Ruben Stone był starszym partnerem, więc skoro on powiedział „bierzemy tę sprawę”, sprawę należało przyjąć. Z Rubenem nikt nie dyskutował. Humfrey myślał teraz o tamtym popołudniu sześć miesięcy temu, kiedy w jego gabinecie pojawił się wysoki, przystojny mężczyzna w średnim wieku, który uściśnął jego dłoń, usiadł i powiedział z przejmującą otwartością: „Wdzięczny jestem, że zgodził się pan przyjąć mnie tak szybko. Obawiam się, że czas pracuje na moją niekorzyść. Pozostało mi zaledwie kilka miesięcy życia”. Potem było zaproszenie na lunch. „Chciałbym, aby zobaczył pan RussMore - powiedział wtedy Farrington - wówczas zrozumie pan, dlaczego to robię”.

Krajobraz Lincolnshire, płaski i monotony, nie przemówił do wyobraźni Humfreya, który nigdy przedtem nie był w tej części Anglii. Okolica nie wzbudziła jego zachwyty. Wolał faliste wzgórza i malownicze wioski Susseksu, gdzie w powietrzu wyczuwało się

zapach morza. Dom, skryty w niewielkim zagłębieniu terenu, dosłownie wyskoczył przed nim, gdy pokonał ostatni zakręt podjazdu. Ściany z czerwonej cegły, liczne ryzality, wysmukła wieżyczka zwieńczona miedzianym hełmem, szyby błyszczące w promieniach słońca i wielkie okno centralne wznoszące się do wysokości pierwszego piętra, jarzące się barwnymi szybkami oprawionymi w ołów. RussMore. Słyszac tę nazwę, nie spodziewał się, że posiadłość okaże się aż tak duża i tak wspaniała. Farrington zaopatrzył go w broszurę zatytułowaną „Historia RussMore i rodziny Farringtonów”. Humfrey dowiedział się z niej, że dom został wybudowany w 1568 roku przez Rogera Farringtona, bogatego londyńskiego kupca, który poślubił dziedziczkę z Lincolnshire. Dla Humfrefya Stone’a wszystko to było zupełnie obce. Jego przeszłość, całe jedno pokolenie z jego rodziny, zniknęła w komorach gazowych Oświęcimia.

Odwrócił się, słyszac jakieś poruszenie. Na chwilę zapomniał, że nie jest tu sam. Jasnowłosa mężczyzna odkładał właśnie na półkę jedną z książek.

- Znalazłeś coś ciekawego, Rolf?

W jego głosie brzmiała dezaprobata. Stone nie uznawał grzebania w czyichś książkach czy dotykania czegokolwiek pod nieobecność właściciela. Blondyn wzruszył ramionami. Był młodszy i wyższy od Stone’a, miał jasnoniebieskie, lodowate oczy, charakterystyczne dla mieszkańców Północy.

- Nic szczególnego. Osobiście wolę rękopisy niż książki. Jak dużo czasu zabiera w tym kraju pochowanie zmarłego?

Rolf Wallberg, prawnik ze Sztokholmu, był jednym z protegowanych Rubena Stone’a. Teraz przyjechał na kilka miesięcy do Londynu, by zaznajomić się z angielskim systemem prawnym. Jak większość Skandynawów, znakomicie mówił po angielsku, a jego niemiecki i francuski też były doskonałe. Inteligentny, szybko się uczył, a za jego żartobliwym zachowaniem krył się naprawdę przenikliwy umysł. Anglii i Anglików nie lubił i wcale tego nie ukrywał. Humfrey Stone nie darzył go sympatią. Ale cóż: decyzje Rubena Stone’a były poza wszelką dyskusją. Popatrzył na zegarek.

- Pewnie już wrócili. Mam nadzieję, że nie skoczyli sobie do gardeł, zanim jeszcze dowiedzieli się, co naprawdę zawiera testament.

- Gdybym to ja był synem, walczyłbym - zauważył Rolf. - To wszystko wina tego idiotycznego angielskiego prawa o dziedziczeniu. W Szwecji wszystkie dzieci są równe. Coś takiego jak syndrom starszego syna po prostu nie istnieje.

Stone zmierzył go wzrokiem.

- Czytałeś dokumenty, ale nie widziałeś jeszcze żadnego z Farringtonów - powiedział.

- Ja widziałem. Czytałem też listy syna do ojca. Nie śpiesz się tak z wydawaniem wyroków, dopóki dzisiejsze popołudnie się nie skończy.

Szwed uśmiechnął się. Wiedział, że jego uwaga zirytowała Humfreya Stone'a. Facet zaangażował się emocjonalnie. Popępiał wielki błąd.

- Niczym w skandynawskiej tragedii. Nienawiść, żądza posiadania, namiętność do kobiety, ogromny majątek. Druga żona... w dodatku Szwedka. Sam Ibsen nie wymyśliłby lepszej intrygi.

Stone przerwał mu gwałtownie.

- Ktoś nadchodzi. Lepiej usiądź tam, Rolf.

- Doskonałe miejsce, skąd będę mógł, obserwować ów rodzinny dramat - powiedział Rolf lekko.

Wysoki szafkowy zegar zaczął wybijać godzinę trzecią. Humfrey Stone lubił zegary. Ten musiał być wart fortunę, jak zresztą wszystkie przedmioty w RussMore. Widział już rodziny, które staczały zacięte boje o byle komódkę, w tym domu zaś było się o co bić. Wojna - to chyba najlepsze określenie tego, co miało niebawem nastąpić.

Drzwi otworzyły się i do biblioteki zajrzała gospodyni.

- Pan Stone? Pani Farrington pyta, czy naprawdę życzy pan sobie obecności Lindy?

- Tylko podczas pierwszej części - odparł. - To nie potrwa długo. Czy rodzina wróciła już z cmentarza? O szóstej mam umówione spotkanie w Londynie.

- Właśnie się schodzą. Pani kazała przeprosić, że musiał pan tak długo czekać.

Drzwi zamknęły się. Ze swojego miejsca w głębi pokoju Rolf Wallberg odezwał się ostro:

- Czy obecność dziecka rzeczywiście jest niezbędna? Przecież ona ma zaledwie jedenaście lat.

- Jest wymieniona w testamencie - odparł Stone. - Jej ojciec pragnął, by usłyszała o pewnych rzeczach.

Zapadło milczenie. Stone przysunął krzesło do kominka i zajął miejsce. W tej samej chwili drzwi otwarły się szeroko i Rolf ujrzał Christine Farrington trzymającą za rękę córkę.

*

Dzień pogrzebu Richarda Farringtona był ciepły i pogodny; urocze letnie popołudnie. Lekki wietrzyk poruszał koronami dębów rosnących wzdłuż drogi wiodącej z domu do kościoła. Dokładnie o tej samej porze roku, niemal dokładnie tego samego dnia dwanaście lat temu Christina poznała Richarda w Hagaparken w Sztokholmie. Siedziała teraz w mrocznym wnętrzu romańskiego kościółka, czekając na wniesienie trumny, a w jej pamięci teraźniejsze

wydarzenia mieszały się z obrazami z przeszłości. Taki drobiazg, nagła decyzja, żeby nie jeść lunchu w zatłoczonym barze w pobliżu biura, tylko pójść do parku, a jak ważne były konsekwencje tego kroku! Kompletnie odmieniły jej życie, sprawiły, że po dwunastu latach spędzonych w małżeństwie znalazła się teraz w tym niewielkim, wiejskim kościółku jako wdowa po Richardzie Farringtonie.

Tamtego dnia w Hagaparken było mnóstwo ludzi, pary spacerowały po alejkach, trzymając się za ręce, niemal wszystkie ławki w pobliżu stawu były zajęte. Znalazła jakieś wolne miejsce i usiadła, przeciągając się w ciepłych promieniach słońca. Miała ze sobą torbę jabłek i teraz ugryzła jedno, smakując jędrny miąższ. Po stawie pływały łabędzie. Niektóre wyszły na brzeg niezgrabnym, rozkołysanym krokiem. Wyglądały jak pękate galeony, które utknęły na mieliźnie. Sycząc, wyciągały szyje w oczekiwaniu na smaczne kąski. Christina nie zwróciła uwagi na mężczyznę siedzącego obok niej, całkowicie zaprzątnięta myślami o innym mężczyźnie, który właśnie zostawił jej notatkę w biurze, że wyjeżdża do Finlandii i nie wie, kiedy wróci. Wrzuciła do wody kawałek jabłka, ale majestatyczny ptak zignorował ten gest.

- Są piękne, dopóki nie wyjdą na ląd, prawda?

Odwróciła się zdumiona; mężczyzna mówił po angielsku. No tak, przecież to Anglik. Blezer, krawat, kapelusz panama z rondem otoczonym niebiesko-czerwoną wstążką. Żaden Szwed nie włożyłby podobnego ubrania w upalny letni dzień. Ten typ ludzi nie był jej obcy; podobnych widywała podczas studiów w Londynie - dziwnych, zamkniętych w sobie, tajemniczych niczym przybysze z obcej planety. Sąsiad z ławki miał ciepłe brązowe oczy i uśmiechał się do niej.

- Łabędzie, gdy tylko znajdują się poza swoim naturalnym żywiołem, stają się po prostu brzydkie. Ale podobnie dzieje się z większością rzeczy. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że panią zagadnąłem? Nie chciałbym być natrętny.

- Nie, oczywiście, że nie. Kocham łabędzie, pod warunkiem że nie wychodzą z wody. Zresztą ja w ogóle lubię ptaki.

- Tam gdzie mieszkam jest mnóstwo ptaków - powiedział. - Łabędzie, kaczki, gęsi.

- To musi być bardzo przyjemne - odparła Christina. - Czy mieszka pan na farmie?

Pokręcił głową, zdjął kapelusz i położył sobie na kolanie. Miał gęste brązowe włosy ze śladami siwizny. Znowu się uśmiechnął.

- No, niezupełnie na farmie. Czy rzeczywiście nie ma pani nic przeciwko rozmowie ze mną? Uważam, że Szwedzi są bardzo otwarci i przyjacielscy. To moja pierwsza wizyta w Sztokholmie. Teraz wiem, dlaczego nazwano to miasto Wenecją Północy. Jest rzeczywiście

przepiękne.

- Dziękuję. - Christina doszła do wniosku, że nieznajomy wzbudza jej sympatię. -
Mówi pan same właściwe rzeczy. Jest pan tu służbowo czy na wakacjach?

- To nie jest ani podróż służbowa, ani prawdziwe wakacje. Sam nie wiem, jak mam to nazwać. Przyjechałem tu z wycieczką. Wie pani, jeden z tych rejsów wzdłuż wybrzeży Skandynawii. Zatrzymujemy się na dzień czy dwa w głównych miastach. Na dzisiaj był przewidziany lunch i zwiedzanie Królewskiego Muzeum Marynistycznego, więc postanowiłem zdezertować i zwiedzić miasto samotnie. Jestem już mocno znudzony towarzyszami podróży.

Christina popatrzyła na niego.

- Nie lubi pan ludzi?

Nie krył zaskoczenia jej bezpośredniością.

- Lubię tych, których lubię, ale nie ludzi dla nich samych. Znacznie większą przyjemność sprawia mi siedzenie tutaj, niż *smörgåsbord* w towarzystwie dwóch otyłych Amerykanek, które ani na moment nie przestają mówić. Dla odmiany zapragnąłem swojego własnego towarzystwa.

Christina wzruszyła ramionami.

- Skoro tak pan to odczuwa, dlaczego zdecydował się pan na tego rodzaju rejs?

- To samo pytanie zadaję sobie, odkąd wypłynęliśmy.

- Gdybym ja źle się bawiła podczas wycieczki, wróciłabym po prostu do domu - powiedziała zdecydowanie. - Wakacje powinny sprawiać radość. Ale w wypadku rezygnacji straciłby pan swoje pieniądze. Takie rejsy są bardzo kosztowne.

Włożyła ogryzek jabłka do torebki i wyrzuciła ją do kosza na śmieci. Później powiedział jej, że Londyn jest traktowany jak śmietnisko. Szwedzi byli bardzo dumni ze swoich miast i nikt nie odważyłby się zaśmiecać ulicy.

- A gdzie pani spędza wakacje? - zapytał.

- Najczęściej na nartach, ale ostatniego lata pojechałam z przyjaciółmi do Hiszpanii. Przez całą zimę nie mogłam się wprost doczekać wyjazdu. - Roześmiała się. - To był prawdziwy koszmar. Pochorowałam się od jedzenia, a mój chłopak zostawił mnie dla innej dziewczyny... Tak to czasami bywa. Następnym razem wybiorę się do Francji. Czy pan zna Francję?

- Paryż i trochę południe, Cannes i Niceę. Nigdzie dalej się nie zapuszczaliśmy.

My. Zauważyła to od razu.

- Czy pan jest żonaty?

Powinien był się oburzyć na obcesowe pytanie, ale Christinę otaczała aura takiej bezpośredniości i niewinności, że to skłoniło go do odpowiedzi.

- Byłem. Moja żona nie żyje.

- Och, jakże mi przykro. Czy od dawna?

Pokręcił głową.

- Od bardzo niedawna.

Christina była zakłopotana. Biedny człowiek, taki samotny. Poczwała, że się rumieni.

- Obawiam się, że zadałam panu zbyt wiele pytań. Muszę już wracać do pracy.

Jednocześnie podnieśli się z miejsc. Nieznajomy był bardzo wysoki; bez trudu mógł patrzeć na nią z góry, choć przecież miała pięć stóp i dziewięć cali wzrostu. Zauważyła, że jest szczupły i proporcjonalnie zbudowany. Bez wątplenia to bardzo atrakcyjny mężczyzna, choć znacznie od niej starszy.

- A co pani tam robi? - zapytał.

- Projektuję wzory do tkanin. Jest nas czworo i mamy własną firmę. Przez trzy lata studiowałam w Londynie, w Chelsea Art School. Interesy idą nam znakomicie. Bardzo lubię swoją pracę.

- Wygląda pani na szczęśliwą - powiedział.

- Ale nie jestem - odparła po prostu. - Właśnie porzucił mnie narzeczony. Rozmowa z panem pomogła mi zapomnieć o nim na chwilę.

- Musiał być głupcem. Czy mogę towarzyszyć pani do biura? Nie będzie pani miała nic przeciwko temu?

- Nie, ale musiałby pan jechać autobusem. To około dwudziestu minut stąd.

Wyciągnął rękę.

- Nazywam się Richard Farrington i lubię autobusy.

Uśmiechnęła się.

- Christina Nordohl.

Uścisnęli sobie dłonie. To było takie formalne, takie typowo angielskie. Gdy znaleźli się przed biurem, wskazała niewielką tabliczkę.

- Widzi pan? „Nordohl - Eleman. Pracownia wzornictwa”. To właśnie my.

- Jestem pod wrażeniem. Czy jest pani starszym wspólnikiem?

- Ja nie, mój brat. To on zainwestował pieniądze. Nie lubi, gdy się spóźniam, więc pożegnam się z panem. Mam nadzieję, że wakacje jakoś się ułożą.

- Wątpię w to - odparł. - Proszę posłuchać, odpływamy dopiero jutro. Spotkanie z panią sprawiło mi wielką przyjemność. Czy zjadłaby pani ze mną kolację dziś wieczorem?

Proszę, niech pani powie tak.

Jan odszedł, więc mogła swobodnie dysponować czasem.

- Z przyjemnością, dziękuję. Pracuję do szóstej.

- Czy odpowiadałby pani hotel Diplomat? Zdaje się, że słynie z dobrej kuchni.

- Nigdy tam nie byłam - to nie na moją kieszeń. Ale brzmi wspaniale.

- W takim razie przyjdę po panią o szóstej.

Uchylił kapelusza i oddalił się.

Tego wieczoru zjedli razem kolację. Richard nie dołączył już do wycieczki. Kiedy wrócił do Anglii, Christina pojechała z nim jako jego żona.

To był niezwykle romans. Znowu wspomnienia z przeszłości zaczęły nakładać się na teraźniejszość. Uroczysta muzyka kościelna wraz z jej smutnymi implikacjami zdawała się przycichać, przytłumiona dźwiękami popularnej szwedzkiej piosenki, która odżyła nagle w pamięci Christiny. Wspólne obiady, przerwy śniadaniowe, które przeciągały się zbyt długo, tak że musiała potem pędzić do biura na złamanie karku, wycieczki za miasto, długie spacery podczas weekendów, w czasie których niemal nie zamykały im się usta. Zazwyczaj Anglicy uważani byli za milczących i pełnych rezerwy, przynajmniej Anglicy w jego wieku i z jego warstwy społecznej. Richard z pewnością był inny. Podczas ich pierwszej wspólnej kolacji popatrzył na nią z powagą i powiedział:

- Jak pani wspominałem, jestem wdowcem i czuję się samotny. To bardzo miło z pani strony, że przyjęła pani moje zaproszenie. Postaram się nie zanudzić pani na śmierć.

A ona odparła po prostu:

- Nie sadzę, aby pan kiedykolwiek był nudny. Kiedy umarła pańska żona?

- Trzy miesiące temu. - Zamówił szampana. - O ile oczywiście pani lubi...

- Bardzo lubię. Dotychczas piłam go wyłącznie na ślubach... Czy długo chorowała?

- Nie była chora. Przynajmniej dla mnie uzależnienie od narkotyków nie jest chorobą. Nie musiała brać heroiny. Gdy sięgała po nią po raz pierwszy, był to jej własny wybór. Dla mnie narkomania nie jest tym samym, co na przykład choroba nowotworowa. Widzę, że się pani ze mną nie zgadza.

Christina potrząsnęła głową.

- Nie, nie zgadzam się, ale ja nigdy nie zetknęłam się osobiście z tym problemem. Przepraszam, nie mam prawa ferować wyroków.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Inni mi tego nie szczędzili. Wróciła do domu po pobycie w klinice... Bez przerwy słyszałem o jakiejś nowej, cudownej kuracji i szczerze wierzyłem, że któraś z nich w końcu

poskutkuje. Po powrocie zachowywała się zupełnie normalnie. Chwilami wydawało mi się, że jest taka jak dawniej.

Urwał i wychylił pół kieliszka szampana.

- Niech pan nie kończy - powiedziała szybko - skoro ten temat jest dla pana tak bolesny. Opowie mi pan o tym kiedy indziej.

- Nie - odparł Richard stanowczo. - Chcę opowiedzieć pani o tym teraz, tak będzie najuczciwiej. Kiedy wróciła do domu tamtego wieczoru, od razu wiedziałem, co się stało. Miała ten szczególny błysk w oczach. Zrzuciłem jej, że znowu brała. Oczywiście zaprzeczyła. Zawsze to robiła. Kłamstwo było dla niej równie naturalne jak oddychanie. Przez dwadzieścia lat żyłem bez wiary, bez żadnej nadziei, że będzie lepiej. Mieliśmy dwóch synów i tylko ze względu na nich tkwiłem w tym jarzmie. Tego wieczoru pokłóciliśmy się. Powiedziałem jej, że rozwodzę się z nią, a ona może się zaćpać na śmierć, jeśli ma ochotę. Mówiłem to serio, Christino. - Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. - Alan i James byli już prawie dorośli. Naprawdę znalazłem się u kresu wytrzymałości. Wstała wtedy nagle - ten obraz do dziś stoi mi przed oczami - i naląła sobie pół szklanki czystego dżinu. Wiedziała, że nic nie doprowadza mnie do większej gorączki niż to, gdy się jeszcze w dodatku upija. „Jeśli mnie opuścisz - powiedziała - zmuszę cię do sprzedania tego domu”.

Urwał. Christina nie wiedziała, co powiedzieć. Wolno sączyła szampana, który nagle wydał jej się kwaśny.

- Wyszedłem - mówił Richard dalej. - Wszystko dosłownie się we mnie gotowało, chciałem ją uderzyć. Poszedłem na górę. Następnego ranka znaleziono ją w basenie. Poszła się kąpać, straciła przytomność i utonęła.

Zapadła chwila ciszy. Ten moment utkwiał jej w pamięci, podobnie jak obraz pary mijającej ich stolik i uśmiechającej się, gdy ją rozpoznali. Nagle Richard powiedział:

- Zepsułem ten wieczór, prawda? Nie wiem, co mnie napadło, żeby obarczać cię moimi problemami. Jakże mi teraz przykro. Czy chcesz, abym cię odwiózł do domu?

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że przykryła jego rękę swoją dłonią. Kochała ojca i brata i nigdy nie miała zahamowań w okazywaniu swoich uczuć mężczyźnie. Richard, zdumiony tym gestem, opuścił wzrok na ich ręce i na krótki moment zamknął jej dłoń w mocnym uścisku.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś, Richardzie. - Ona także zwróciła się do niego po imieniu. - Nie chcę iść do domu. Jestem głodna i chcę zjeść kolację.

Później wyznał jej, że w tym momencie nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. „Uśmiechałaś się do mnie tym swoim wspaniałym uśmiechem. Promieniowałaś ciepłem.

Jestem pewien, że to właśnie wtedy się w tobie zakochałem”.

Nie wracali już to tego tematu, przynajmniej do chwili, kiedy w trzy tygodnie później poprosił ją o rękę. zaproponował na miejsce spotkania Hagaparken, by uczcić początek znajomości.

Christina zaprosiła Richarda do domu na weekend. Matka od razu go polubiła; brat był ostrożniejszy.

- Słuchaj, jeśli dzięki temu facetowi zapomniałaś o Janie, to wszystko w porządku, ale nie angażuj się zbyt. Poderwałaś go w parku, parę razy zaprosił cię na obiad, poszliście razem do łóżka. Świetnie, tylko nie oszukuj się, że to właśnie jest miłość.

Ale Christina wiedziała, że to jest miłość. Łączyło ich nie tylko pożądanie, ale i pełna delikatności czułość, przywiązanie i troska o partnera. Podobnych uczuć nie doświadczyła nigdy przedtem. Zanim poznała Richarda, miała trzech kochanków. Dwaj pierwsi, młodzi, aroganccy, myśleli wyłącznie o sobie. Trzecim był Jan: drażliwy, wymagający i absolutnie nieodpowiedzialny. Jan zupełnie nie liczył się z jej uczuciami, mimo iż nieustannie powtarzał, że jedyne, czego w życiu pragnie, to uczynić ją szczęśliwą. Opowiedziała o nim Richardowi ze zwykłą sobie otwartością.

- Zachował się jak łajdak, zwykła egoistyczna świnia. Gdy cię poznałam, byłam świeżo po zerwaniu z nim. Bogu dzięki, że tamtego dnia zachciało mi się jeść jabłka w parku.

Tym razem musieli wybrać inną ławkę, gdyż ta, na której siedzieli poprzednio, była zajęta przez parę japońskich turystów, pochylonych nad planem miasta.

- Wyglądasz na szczęśliwego - zauważyła Christina.

- Bo jestem szczęśliwy - odparł. - Zawsze czuję się szczęśliwy, ilekroć jestem z tobą.

A poza tym miałem bardzo udany poranek.

Richard sprawiał wrażenie nie tylko szczęśliwego, ale i podnieconego.

- Co robiłeś?

- Dwie rzeczy. Pozwolisz, że zacznę od tej mniej istotnej. Kolekcjonuję stare rękopisy i dziś w antykwariacie, do którego zaszedłem zupełnie przypadkowo, udało mi się natrafić na prawdziwy skarb. Najspokojniej w świecie leżał sobie wśród różnych staroci. Wprost nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

- Co to za rękopis? - zapytała Christina.

Richard uśmiechnął się szeroko.

- A rozumiałabyś, gdybym ci powiedział?

Musiła się roześmiać.

- Nie, oczywiście, że nie. Czy był bardzo drogi?

- Dlaczego tak cię niepokoi moja rozrzutność? Mówiłem ci już, że nie jestem biedny.

- Możliwe, ale ja nie jestem bogata i jeśli chcę wydawać pieniądze, muszę je najpierw zarobić. Co jeszcze robiłeś? I jaka jest ta druga rzecz, ta ważniejsza?

- Nasz piknik - odparł. - Chciałbym, aby był szczególnie uroczysty. W końcu znamy się już całe trzy tygodnie. A ponieważ wiem, jak bardzo lubisz jabłka, zaczniemy od nich. - Otworzył torbę od Ludgrena, jednego z najwytworniejszych sklepów spożywczych na starym mieście. - Jeśli dobrze poszukasz, może znajdziesz w niej jeszcze coś oprócz jabłek.

- Prezent? Uwielbiam prezenty. - Zaczęła przebierać między owocami niczym niecierpliwie dziecko. To był pierścionek, poznała po pudełeczku.

- Richardzie - popatrzyła na niego - co ty robisz? Znowu wydajesz pieniądze. - Otworzyła pudełeczko. - Kochanie, jaki śliczny. Gdzie udało ci się znaleźć coś takiego?

Pierścionek miał rubinowe oczko w kształcie jabłka, osadzonego na prostej, złotej obrączce. Christina zawahała się chwilę przed włożeniem go na palec.

- To chyba nie jest prezent pożegnalny, prawda?

Od czasu gdy Jan odszedł od niej, pozostawiając jedynie lakoniczną notatkę, upłynęły zaledwie trzy tygodnie.

- Nie - odparł Richard Farrington łagodnie. - Chyba że nie zechcesz wyjść za mnie. Na trzeci palec lewej ręki, taki jest zwyczaj angielski.

Popatrzyła wprost na niego i powoli włożyła pierścionek na palec.

- Odrobinę za duży - powiedziała. - Ale przecież z łatwością można go zmniejszyć.

Tego wieczoru nigdzie nie wyszli, by uczcić zaręczyny; zostali w domu. Richard często powtarzał, że lubi jej mieszkanie, z dużymi oknami, pełne światła, umeblowane nowoczesnie i z prostotą.

- Oprócz mnie samego będziesz jeszcze miała do czynienia z dwiema niedogodnościami - powiedział.

Christina przysunęła się bliżej, wtulając twarz w jego szyję. Chciała kochać się z nim teraz; czuła się lekko i radośnie, tak bardzo przepelniało ją szczęście.

- Jakaż to niedogodność może być większa od ciebie? - szepnęła ze śmiechem.

- Twój nowy dom. Kochanie, jeśli nie przestaniesz mnie prowokować, nigdy nie pokażę ci fotografii.

Natychmiast usiadła.

- Pokaż.

Podał jej odbitkę. Wlepiała w nią wzrok.

- O mój Boże! - jęknęła z niedowierzaniem. - Naprawdę mieszkasz w czymś takim?

- Owszem, mieszkam tam. Czy to dla ciebie wielki szok?

- Przecież ten dom jest prawie tak wielki jak Drottningholm - rezydencja królewska. Richardzie, czy ty naprawdę mieszkasz w takim domu, czy też żartujesz sobie ze mnie?

- Nie, to nie jest żart. Moja rodzina zajmuje ten dom od ponad czterystu lat. I co, zwrócisz mi pierścionek?

- Do licha! - Christina objęła go za szyję i ugryzła w ucho. - A jaka jest ta druga wielka niedogodność?

- Mój starszy syn Alan. - Odsunął się od niej łagodnie. - Alan bardzo kochał matkę. Będziesz z nim miała sporo kłopotów; jest bardzo trudny. Powinienem być wcześniej ci o nim powiedzieć, ale szczerze mówiąc, przez cały ten czas zupełnie o nim nie myślałem. Byłem zbyt szczęśliwy.

- Postaram się z nim zaprzyjaźnić - obiecała. - Zrobię wszystko, aby mnie polubił.

Teraz, w dwanaście lat później, Alan siedział za nią w kościele, a jego nienawiść do niej płonęła jak pochodnia.

Rozbrzmiały pierwsze akordy hymnu i wszyscy powstali, zwracając się w stronę trumny, wnoszonej właśnie do nawy. Dziewczynka, która ścisnęła rękę Christiny, była wysoka i szczupła, o ciemnej karnacji, różniącej ją od matki. Tylko jej jasnoniebieskie oczy były oczami Christiny. Łzy spływały po policzkach dziewczynki.

- To tatuś - szepnęła. - Nie zniosę tego.

Christina otoczyła ją ramieniem.

- Wszystko w porządku, kochanie. To już nie jest tatuś. Tatuś jest u Boga. Jest teraz szczęśliwy i spogląda na nas z nieba.

Sama nie była wierząca, ale córkę wychowała w wierze katolickiej. Belinda była jedną z Farringtonów, a ci pozostawali wierni swojemu Kościołowi przez ponad cztery stulecia. Dla Belindy wiara, że jej ojciec jest w niebie, stanowiła wielką pociechę. Christina także pragnęła w to uwierzyć. Ojciec i córka byli sobie tacy bliscy. Richard uwielbiał Belinę, od chwili narodzin nie widział świata poza nią, był jej najlepszym powiernikiem i przyjacielem. Ona także ubóstwiała ojca. Christina usiłowała przekonać córkę, żeby nie przychodziła na pogrzeb, żeby pożegnała się z ojcem w domu, gdy spokojnie spoczywał na łóżku, i by zapamiętała go właśnie takim. Belinda jednak upierała się, że przyjdzie do kościoła, gdyż pragnie być blisko ojca aż do ostatniej chwili. Christina mocniej otoczyła ją ramieniem. Teraz miały już tylko siebie nawzajem, a pamięć o miłości, jaką darzył je Richard, była im pociechą.

Jego syn Alan odmówił siedzenia z nimi w jednej ławce i wraz z żoną zajął ławkę

bezpośrednio za nimi, publicznie demonstrując swoją wrogość. Obok Alana siedział młodszy syn Richarda, James, który nigdy nie przejawiał nieprzyjaznych uczuć, ale też nie potrafił przeciwstawić się silniejszej osobowości starszego brata. Nie, od niego też nie można oczekiwać pomocy. James mieszkał w Stanach i przez wiele lat nie odwiedził RussMore więcej niż dziesięć, dwanaście razy. Podczas tych wizyt zawsze sprawiał wrażenie skrępowanego i zdawał się wyjeżdżać z prawdziwą ulgą. „Po prostu odwała ciężki obowiązek - mawiał wówczas Richard z goryczą. - Zastanawiam się, po co w ogóle zadaje sobie ten trud...”

Zabrzmiały końcowe akordy hymnu. Ksiądz odmówił modlitwę i trumnę wolno poniesiono wzdłuż nawy, po czym wyniesiono ją na zewnątrz, na cmentarz. Sam kościółek był świątynią anglikańską, ale od kilku lat odprawiano w nim nabożeństwa obu wyznań. Christina ruszyła wolno, mając u boku Belinę. Skinęła na pasierbów. Bracia poszli przodem, bez jednego słowa. Ze zdumieniem zobaczyła, że James płacze. Alan przystanął na króciutką chwilę, patrząc jej prosto w oczy. Odebrała to spojrzenie niczym splunięcie - tyle w nim było nienawiści i pogardy, połączonych z wyrazem triumfu.

Alan przesunął się obok niej i wyszedł z kościoła. Na cmentarzu stanęli w sporej odległości od siebie. Christina poczuła się nagle bardzo osamotniona. Nikt nie lubi ingerować w sprawy rodzinne, więc przyjdzie jej teraz samotnie stawić czoło przeciwnikom, mając u boku jedynie dziecko.

Usłyszała czyjś szept i podniosła wzrok. To była Fay, żona Alana.

- Jak mogłaś przyprowadzić Belinę na pogrzeb? To przecież okropne. Biedna mała.

- Lindy sama tego pragnęła. Kochała Richarda bardziej niż ktokolwiek z was - odparła Christina, odwracając się do tamtej tyłem.

Fay Farrington cofnęła się o krok i stanęła u boku męża. Przepelniała ją satysfakcja. Miała nadzieję, że ukąszenie było dotkliwe. O ile w ogóle coś było w stanie zranić tę bezduszną, chciwą sukę.

Z cmentarza nie było daleko do domu; krótki spacer aleją wysadzaną po obu stronach potężnymi, starymi dębami. Matka z córką wracały w pewnym oddaleniu od reszty rodziny. W domu czekał skromny poczęstunek dla uczestników pogrzebu, wśród których nie brakowało znajomych i przedstawicieli różnych organizacji. Richard był sędzią pokoju i przewodniczył rozmaitym stowarzyszeniom i komitetom dobroczynnym. Zaraz po odczytaniu testamentu rodzina będzie mogła dołączyć do pozostałych gości.

- Najpierw pójdziemy na górę, kochanie - powiedziała Christina.

- Umyjesz swoją splakaną buzię i obie przyczeszemy włosy. Potem zejdziemy do

biblioteki.

- Czy ja muszę w tym uczestniczyć? W bibliotece będzie Alan, a ja go nie cierpię.

- Tatuś specjalnie prosił, abys wzięła w tym udział - odparła Christina łagodnie. - Chciał, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kochał. To potrwa zaledwie kilka chwil, a Alan też nie zabawi tu długo.

Belinda podniosła wzrok na matkę.

- Ty też go nienawidzisz, prawda? Tatuś go nie znoślił.

- Nienawiść nie przynosi nic dobrego. Niebawem Alan zniknie z naszego życia i będziemy mogły o nim zapomnieć.

Christina przeczesała włosy. Nie wkładała kapelusza do kościoła; Richard nalegał, żeby nie nosiła żałoby. Twarz miała bladą i wymizerowaną, pod oczami głębokie cienie. Cały dzień po śmierci męża przepłakała i boleść głęboko wyryła się na jej twarzy. Teraz całą swoją troskę skupiła na córce. Gorąco pragnęła mieć już za sobą wszystkie formalności. Starła się, aby jej słowa zabrzmiały prosto i zwyczajnie. „Alan nie zabawi tu długo. Niebawem zniknie z naszego życia”. Jakże chciała sama w to uwierzyć.

*

Kiedy Christina i Belinda weszły do pokoju, Humfrey Stone podniósł się z miejsca. Rolf Wallberg uczynił to samo. Stone podszedł do Christiny i uścisnął jej dłoń.

- Dzień dobry, pani Farrington, halo, Lindy. Postaram się załatwić wszystkie formalności jak najprędzej, zresztą testament nie jest skomplikowany. To jest pan Wallberg, na którego obecność pani się zgodziła.

- Tak, pamiętam. Pan nie zna jeszcze moich pasierbów?

Alan Farrington i jego żona weszli za Christiną, za nimi postępował James. Alan zignorował wyciągniętą rękę Stone'a.

- A ten gość to kto? - zapytał. - Gdzie jest Paul Fairfax?

Christina spojrzała mu prosto w twarz.

- Twój ojciec zdecydował zwrócić się do innej firmy prawniczej. To jest pan Stone z kancelarii Harvey & Stone.

Alan nawet się nie odwrócił, by popatrzeć na Stone'a. Na jego twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości.

- Chcesz powiedzieć, że zrezygnował z Fairfaxow, którzy od lat prowadzili interesy naszej rodziny, i zamiast nich wybrał jakichś kanciarzy z Londynu? Co tu jest grane?

- Alan. - Żona pociągnęła go za rękaw. - Alan, zaczekaj. Chodź i usiądź.

Uwolnił się od niej niecierpliwym ruchem.

Humfrey postąpił krok do przodu, stając między nim a Christiną.

- Panie Farrington, najlepiej będzie, jeśli posłucha pan rady swojej małżonki. W przeciwnym wypadku będę zmuszony przełożyć odczytywanie ostatniej woli zmarłego na inny termin. Mam do tego prawo i jeśli będzie pan obrażał moją klientkę albo mnie samego, z pewnością to uczynię.

Punkt dla starego Humfreya, przyznał w duchu Rolf. Stone mógł być drobny i niewysoki i mieć nieskazitelne maniery dżentelmena, doskonale jednak potrafił sobie radzić z takimi okazami jak Farrington. Tym razem też wygrał, gdyż Alan ustąpił pokonany i usiadł. Jego żona i James zajęli miejsca po obu jego stronach.

- Pani Farrington - zapytał Humfrey - czy mam kontynuować?

Podczas gwałtownego wystąpienia Alana Christina instynktownie chwyciła córkę za rękę.

- Tak - powiedziała zdecydowanie. - Goście czekają. Proszę kontynuować, panie Stone.

- Pozwolę sobie pominąć wstępne formuły; są standardowe. Ostatnia wola Richarda Farringtona, spisana piętnastego lutego 1995 roku, unieważniająca wszelkie poprzednie testamenty i tak dalej. Teraz odczytam treść dokumentu. Odchrząknął i zaczął czytać: „Wszystkie moje fundusze, udziały, przedmioty osobiste i inne, nie wchodzące w skład majątku powierniczego, zapisuję mojej ukochanej żonie Christinie Ingrid, która w czasie trwania naszego małżeństwa obdarzyła mnie wielkim szczęściem, podczas zaś mojej ostatniej choroby pielęgnowała mnie z prawdziwą miłością i oddaniem. Nie potrafię nawet wyrazić, jak wiele jej zawdzięczam. Najwspanialszym prezentem, jaki mi ofiarowała, jest moja córka Belinda Mary. Po długich rozważaniach i nie ulegając sugestiom osób trzecich, zdecydowałem się odstąpić od wieloletniej tradycji rodzinnej i zmienić zasady dysponowania majątkiem Farringtonów, mianując moją córkę Belindę Mary głównym beneficjentem. Zarządzam, aby po mojej śmierci posiadłość RussMore przeszła bezpośrednio na jej własność, z jednoczesnym wypłaceniem mojej żonie Christinie Ingrid wyżej wymienionych legatów”.

Rolf Wallberg czuł, że lada moment nastąpi wybuch. Nie spuszczał oka z Alana Farringtona. Gdy Stone wymieniał legaty dla Christiny, Alan spoglądał na nią z jawnym szyderstwem. Teraz jego ciemna twarz poczerwieniała gwałtownie. Zerwał się na równe nogi.

- Ojciec nie miał prawa tego uczynić. Jestem najstarszym synem i nikt nie może odebrać mi RussMore. Znam warunki aktu powierniczego - nie miał prawa ich zmieniać. Nikt nie miał prawa tego zrobić.

Stone odparował zimno:

- Miał prawo i uczynił to. Zapisał RussMore swojej córce, mianując jednocześnie żonę jej opiekunem i głównym kuratorem majątku. Testament zawiera jeszcze inne klauzule, zechce więc pan poczekać, aż skończę jego odczytywanie, panie Farrington. Wtedy będzie pan mógł wyrazić swoje wątpliwości.

Przez chwilę Alan stał wyprostowany. Zanim usiadł, zwrócił się do Christiny:

- Nie uda ci się ta sztuczka.

- Będę kontynuował. - Humfrey odchrząknął ponownie. - „Moi synowie Alan i James byli głównymi beneficjentami testamentu swojej matki, dziedzicząc na jego mocy spory majątek. Dodatkowo zapisuję im wszystkie aktywa, które moja poprzednia żona Josephine zostawiła mnie, oraz te meble, srebra i obrazy, które wniosła do RussMore w trakcie trwania naszego małżeństwa. Od mojego starszego syna nigdy nie doznałem ani uczucia, ani wsparcia, co więcej, syn publicznie sprzeciwiał się mojemu powtórnemu małżeństwu, oskarżając mnie o zaniechanie jego matki, o przyczynienie się do jej nałogu i wreszcie do jej śmierci. W związku z powyższym nie czuję się w żadnym stopniu zobligowany do czynienia go swoim spadkobiercą. Finansowo jest znacznie lepiej sytuowany niż ja sam. Mój drugi syn James mieszka i pracuje w Stanach Zjednoczonych i nie wyraża chęci powrotu do Anglii. W związku z tym nakazuję sprzedaż posiadłości Langley Farm wraz z przyległościami liczącymi czterysta akrów i przekazanie mu zysków z tej transakcji na zasadach określonych ustawą powierniczą”. - Humfrey przerwał i zwrócił się do Jamesa, który z wyraźnym zakłopotaniem obserwował starszego brata: - Panie Farrington, pozwolę sobie wyjaśnić, że zgodnie z nową ustawą powierniczą, kuratorzy dokonają sprzedaży majątku i dokonają transferu pieniędzy do Stanów, jeśli takie jest pańskie życzenie. Ponadto testament zmarłego zawiera rozmaite legaty dla służby, pracowników majątku oraz zapisy na cele dobroczynne. Czy życzą sobie państwo, abym je odczytał? W żaden istotny sposób nie zmieniają one głównych postanowień testamentu i właściwie dla rodziny są mniej istotne. Pani Farrington?

- Po co w ogóle ją pytać? - przerwał Alan opryskliwie. - Przecież to ona dyktowała cały ten cholerny testament. - Odsunął krzesło. Twarz miał bladą, a czarne oczy odcinały się niczym węglem od żółtawej cery. - To ona nakłoniła mojego ojca do zmiany powiernictwa i wyzucia mnie z rodowego dziedzictwa. Ojciec był stary i umierający, więc bez trudu przekonała go, aby zapisał wszystko jej córce i jej samej. Ale ja nie poddam się tak łatwo. Będę walczył i, jeśli zajdzie potrzeba, zwrócę się nawet do Izby Lordów. Nie uda się jej wygryźć mnie z RussMore. - Gwałtownym ruchem odwrócił się do Humfrefa Stone'a. -

Kopia testamentu i nowa umowa powiernicza mają być przesłane do mojego adwokata Hamiltona Rossa. Z pewnością słyszał pan o nim. Fay, idziemy. - Odwrócił się i spojrzął przez ramię na młodszego brata. - Udało ci się, James. Cichutko, za moimi plecami, przez całe lata lizaleś dupę staremu. Z ciebie, Christina, też niezła spryciara. Nie wydziedziczaj Jamesa... tak... dziel i rządź... - W drzwiach zatrzymał się jeszcze. Nie był bardzo wysoki ani też masywnie zbudowany, ale dysponował dynamiczną siłą, która teraz zdominowała całe zgromadzenie. - Ten mały bękart nie dostanie RussMore - powiedział cicho do Christiny. - Nigdy nie wierzyłem, by była dzieckiem mojego ojca, i mam zamiar to udowodnić. - Wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Wallberg zamknął je za nim. Siedział z tyłu, wystarczająco blisko jednak, by usłyszeć ostatnie słowa Alana i zobaczyć zmienioną nagle twarz dziecka. Christina Farrington wyglądała tak, jakby zniecka otrzymała cios prosto w serce. Rolf odezwał się po szwedzku:

- Proszę pozwolić mi wyjść z dziewczynką na dwór. Niech się pani nie obawia, z pewnością nie zrozumiała.

Christina zwróciła się ku niemu. Przedtem niemal nie dostrzegła tego mężczyzny, siedzącego tuż za nią. Odpowiedziała mu po szwedzku, urywanym głosem.

- Dziękuję. Tak, proszę ją zabrać. Mój Boże, gdybym wiedziała, że on wystąpi z czymś takim!

Wallberg wyciągnął rękę do Belindy.

- Twoja mama powiedziała, że pokażesz mi ogród. Jestem Szwedem, podobnie jak ona, i nigdy przedtem nie byłem w prawdziwie angielskim domu. Czy pójdziesz ze mną?

- Mamusi? - Belinda spojrzała na matkę pytająco. Wyglądała na zmieszaną. Usłyszała słowa Alana, ale wydawały jej się nieprawdziwe. Nie jest córką swojego ojca?

- Lindy, zaopiekuj się panem Wallbergiem, a potem przyprowadź go na herbatę. Idź, kochanie.

Stone zbliżył się do Christiny, za nim postępował zażenowany James, jej pasierb.

- Nie wiem, co powiedzieć - wymamrotał Humfrey. - Nigdy nie widziałem, aby ktoś zachował się w ten sposób. To naprawdę godne ubolewania. Co on pani powiedział, wychodząc?

- Nic takiego - odparła Christina. - Nieważne. Poszedł sobie, więc już po wszystkim.

Teraz stanął przed nią James.

- Ja też nie wiem, co powiedzieć - zaczął. - Przede wszystkim muszę ci podziękować. Dla ojca nie byłem kimś bliskim. Wiem, że Langley Farm zawdzięczam tobie. To bardzo szcudry legat.

- Nie miałam z tym nic wspólnego - odparła Christina. - Naprawdę nic. Nie miałam pojęcia, że zapisał ci Langley. Wiedziałałam jedynie, że pragnął, by Lindy odziedziczyła RussMore. Nigdy nie widziałam tego testamentu, choć pewnie mi nie uwierzysz.

- Wierzę ci, skoro tak mówisz.

Wiedziała, że w obecności Alana nigdy by się nie zdobył na powiedzenie czegoś podobnego. „Neutralny, gdy wszystko układa się dobrze, słaby, kiedy dochodzi do konfliktu”. Tak określił go kiedyś Richard. „Nigdy nie miałem w nim żadnego oparcia. Ty również nie możesz na niego liczyć”.

Nagle poczuła się zmęczona. Jej oczy wypełniły się łzami. Stone powiedział łagodnie:

- Niech pani usiądzie, pani Farrington. Przyniosę pani filiżankę herbaty. To było dla pani okropne przeżycie, po prostu okropne. - Widać było, że prawnik jest naprawdę oburzony.

- Nie, dziękuję. Muszę pójść do gości i podziękować im za udział w pogrzebie. James, zaprowadź pana Stone'a do salonu, dobrze? Przyjdę tam za kilka minut.

Po ich wyjściu podeszła do okna, spoglądając przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jeśli się teraz podda, jeśli ulegnie słabości, nigdy nie znajdzie w sobie dość siły, aby pójść do salonu, stanąć twarzą w twarz z przyjaciółmi, podziękować im za udział w pogrzebie, wysłuchać kondolencji, ofert pomocy i tych wszystkich miłych słów o zmarłym. Otworzyła okno, jakby tym sposobem mogła usunąć atmosferę nienawiści, wypełniającą całe pomieszczenie. Cudownie zielony park, drzewa w pełnej krasie, odgłosy lata, brzęczenie pszczoł, zapach ogromnej magnolii rosnącej tuż przy ścianie domu. Piękno, spokój, poczucie stabilności wynikające z wielowiekowej historii. Teraz to wszystko stało się także częścią jej samej, zupełnie jakby się tu urodziła, a nie przybyła z odległego kraju. Zmieniła swój sposób bycia, zaakceptowała nowe wartości, przez tyle lat mówiła i myślała w języku, który nie był jej językiem ojczystym, tak że teraz, gdy nagle ktoś przemówił do niej po szwedzku, poczuła się zaskoczona. Kochała RussMore - dom, który już na zawsze miał stać się częścią jej wspomnień o Richardzie i o ich wspólnym życiu. Była też Belinda, nosząca nazwisko Farringtonów, największy skarb Richarda w ostatnich latach jego życia.

Usłyszała za sobą jakiś szmer. To był James.

- Przyszedłem zobaczyć, czy dobrze się czujesz - powiedział. - Ludzie pytają o ciebie.

„Neutralny, gdy wszystko układa się dobrze, słaby, kiedy dochodzi do konfliktu”. Na zawsze naznaczony tym określeniem. Teraz powiedział po prostu:

- Słyszałem, co powiedział Alan. Przykro mi, ale on to zrobi, Christo. Znam go dobrze. Użyję wszystkich środków. Chciałbym móc go jakoś powstrzymać, ale nie ma mowy, żeby mnie posłuchał. Uważa, że zostałem przekupiony, i nie wybaczy mi tego.

- A ty masz o to żal do niego, tak?

Wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Niełatwo jest uwolnić się od kompleksu młodszego brata. Zawsze podziwiałem Alana. Nigdy nie ustępował ojcu, czego ja absolutnie nie potrafiłem. Piekielnie się go bałem, ojca zresztą także. Nie mam wojowniczej natury i przypominam raczej biedną matkę. Widzisz, na tym polegał cały problem Alana. Kochał matkę i nie mógł pogodzić się z jej śmiercią. To go całkowicie odmieniło.

Christina powiedziała powoli:

- Żałuję, że nigdy przedtem nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie mieliśmy okazji.

- Ojcu by się to nie spodobało - odparł. - Nie żywił do mnie zbyt gorących uczuć, a o ciebie zawsze był bardzo zazdrosny. Gdy przyjeżdżałem was odwiedzać, zawsze mi się zdawało, że oddychał z ulgą, gdy moja wizyta dobiegała końca.

- To nie było tak - powiedziała. - Czuł się urażony, że przyjeżdżasz tak rzadko i nigdy nie chcesz zostać dłużej. To okropne nieporozumienie. James, niepokoję się o Lindy.

- Tym możesz się nie martwić - odparł. - Zapomni, o ile w ogóle zwróciła na to uwagę.

Idąc do salonu, Christina zatrzymała się na moment. Zza drzwi dobiegał ją gwar głosów.

- Chciałabym, abyś wyświadczył mi przysługę - powiedziała. - Czy mógłbyś nie wracać dzisiaj do Londynu i przenocować tutaj? O tylu sprawach chciałabym z tobą porozmawiać. Zrobisz to dla mnie?

„Nigdy nie miałem w nim żadnego oparcia. Ty również nie możesz na niego liczyć”.

James zawahał się.

- Jestem umówiony na obiad i nie bardzo wypada mi odwołać to spotkanie. Wpadnę w przyszłym tygodniu.

- Tak, oczywiście - powiedziała szybko. - Po prostu zadzwoń i przyjeżdżaj.

Richard Farrington nie pomylił się w ocenie syna.

Zebrała się w sobie i weszła do salonu.

*

Rolf Wallberg i Belinda doszli aż nad stawek. Kiedy szli przez ogród różany, dziewczynka była wyraźnie spięta. Mówiła niewiele, ograniczając się do odpowiadania monosylabami na jego pytania. Nad brzegiem stawu przystanęli. Po spokojnej tafli wody majestatycznie pływały łabędzie, pogardliwie odwracając się od intruzów, którzy zjawili się tu z pustymi rękami.

- Lubisz łąbędzie?

Belinda pokręciła głową.

- Nie. łąbędzie są bardzo żarłoczne. Tata nigdy nie pozwalał mi ich karmić. Mówił, że są niebezpieczne. Jednym machnięciem skrzydła potrafią złamać człowiekowi rękę. Nienawidzę gwałtownych stworzeń.

- Ja nienawidzę gwałtownych ludzi - odparł Rolf.

- Ja również. Mój brat Alan jest gwałtowny. Nie znosi mamy ani mnie. Nie wiem dlaczego.

Rolf powiedział spokojnie.

- Może jest zazdrosny, ponieważ twój tata kochał cię bardziej niż jego.

- Może. - Zastanawiała się przez chwilę. - Ale Alan nie jest ani trochę miły, więc dlaczego tata miałby go kochać?

Rolf uśmiechnął się. Nieubłagana logika dzieci zawsze go zdumiewała.

- Rzeczywiście nie miał powodu. Wracajmy już. Poszukamy twojej mamy.

- Dobrze - zgodziła się Belinda. Po kilku chwilach odezwała się nagle. - Czy Alan naprawdę zrobi mamie te okropne rzeczy i zabierze nam RussMore?

Rolf już wiedział, że zdobył jej zaufanie.

- Nie, jeśli pan Stone temu przeszkodzi. Ja pomagam panu Stone'owi. Tak więc nie musisz się niepokoić, Belindo. Jesteśmy po twojej stronie.

- To dobrze. - Ujęła go za rękę. - Bez pomocy mama nie wygrałaby z Alanem. Słyszałam, jak tata mówił tak któregoś dnia. Powiedział, że mama jest za dobra i za łagodna.

- Jestem pewien, że twoja mama jest taka - zgodził się Rolf. - Ale za to ani ja, ani pan Stone nie jesteśmy łagodni. Któreśdy teraz?

Belinda otworzyła boczne drzwi i wskazała długi korytarz z kamienną posadzką. Niemal połowę jego szerokości zajmowały kalosze i płaszcze przeciwdeszczowe. Kolekcji dopełniała niezliczona ilość kapeluszy o najróżniejszych kształtach. Kapelusze i płaszcze na wszystkie cztery nieprzewidywalne angielskie pory roku, pomyślał Rolf. Najczęściej na deszcz i słońce.

- Tędy - powiedziała Belinda.

Minąwszy kolejne drzwi, znaleźli się w następnym korytarzu, którego ściany obwieszane były starymi, pożółkłymi fotografiami mężczyzn na koniach, otoczonych sforami psów. Obecnie mężczyźni ci dawno już nie żyli, psy także należały do przeszłości.

Anglicy są doprawdy nadzwyczajni, zamyślił się Rolf. W zaciszu domowym każdy Anglik pielęgnuje kult przodków, ale wszelkie pamiątki po nich czy dowody ich wspaniałych

czynów upycha po tylnych przejściach i garderobach. Już dawno doszedł do wniosku, że nigdy nie uda mu się zrozumieć Anglików, bez względu na to, do jakiej sfery należą.

Drzwi do salonu były otwarte; niektórzy z gości właśnie wychodzili.

- Mama jest tam - wskazała Belinda i szybko odeszła.

Rolf zatrzymał się w drzwiach, przyglądając się scenie rozgrywającej się przed jego oczami. Christina rozmawiała z jakąś parą w starszym wieku. Mężczyzna w każdym calu reprezentował typ emerytowanego wojskowego, począwszy od niewielkiego wąsika i krótko ostrzyżonych siwych włosów, a skończywszy na nieskazitelnie wyczyszczonych butach. Jego żona także była typowa. Szorstka i kanciasta, ubrana bez gustu, w kapeluszu przypominającym garnek nasadzony dziwacznie na głowę.

Ruszył w ich kierunku. Christina uśmiechnęła się na jego widok. Twarz miała wymizerowaną i bladą. Jej widok nie budził w nim współczucia. Ludzie właściwie go nie obchodzili. Interesowały go ich problemy, ale nigdy nie angażował się w nic uczuciowo. Żał mu było jedynie dziewczynki; wobec dzieci zawsze miał miękkie i współczujące serce.

- Pan Wallberg - pułkownik Spannier i pani Spannier, kuzynostwo Richarda.

- Miło mi pana poznać - odezwali się Spannierowie unisono, obdarzając go jednocześnie miążdżącym uściskiem dłoni.

- Pan Wallberg jest prawnikiem ze Szwecji - wyjaśniła Christina. - Współpracuje z firmą prawniczą z Londynu.

- Naprawdę? - zainteresował się pułkownik. - Z pewnością doszedł pan do wniosku, że nasz system prawny jest zupełnie odmienny od europejskiego.

- Istotnie - przyznał Rolf. - Niemniej jednak jest szalenie interesujący.

Jane Spannier zwróciła się do Christiny.

- Moja droga, wspaniale poradziłaś sobie z tym wszystkim. Właściwie powinniśmy bardziej ci pomóc, ale nasz syn Harry wraca do domu z końcem miesiąca. Chwała Bogu zresztą. Jesteśmy po uszy zajęci urządzaniem dla niego domu. Harry zamierza dołączyć do przedsiębiorstwa Petera, produkującego artykuły rolnicze, i pomagać mu w prowadzeniu farmy.

- Ależ Jane, fakt, że byliście z nami w tym ciężkim dniu, stanowił dla mnie największą pomoc. Jestem taka zadowolona, że wasz chłopiec wraca. Wiem, jak bardzo wam go brakowało.

- Chłopiec! - sarknął Peter Spannier. - Harry ma trzydzieści pięć lat, ale Jane ciągle wydaje się, że to dzieciak w wieku szkolnym. W związku z jego przyjazdem zachowuje się zupełnie niczym kwoka moszcząca gniazdo. - Obdarzył żonę serdecznym uśmiechem.

Jane pochodziła z Farringtonów. Szczera, otwarta, rozsądna, chwilami pozbawiona wyobraźni, jak przyznawał w duchu jej mąż, za to uczciwa, oddana i lojalna. Od niemal czterdziestu lat Spannierowie stanowili szczęśliwą parę małżeńską.

- Coś ci zaproponuję - mówiła Jane. - Gdy tylko Harry wróci, przyjedziemy do ciebie. Bardzo bym chciała, żeby Harry poznał ciebie i Belinę i znów zobaczył RussMore. Czy to dobry pomysł?

- Wspaniały - odparła Christina. - Gdy już będziecie gotowi, po prostu zadzwoncie do mnie.

- Zrobimy to na pewno - obiecała Jane. - A teraz napijemy się jeszcze herbaty, zjemy po sandwiczu i będziemy musieli uciekać. Przed nami kawał drogi. - Odwróciła się do Wallberga. - Mieszkamy w Norfolk, na samym wybrzeżu - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że podoba się panu w Londynie. Chodź, Peter, do zobaczenia, Christo, kochanie. Uważaj na siebie i nie wahaj się zadzwonić, jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać. - Serdecznie pocałowała ją w policzek.

Gdy odeszli, Christina odezwała się:

- Oni są bardzo mili. Nie byli zbyt blisko spokrewnieni z Richardem, ale od chwili, gdy wyszłam za mąż, zawsze okazywali mi wiele serdeczności. Dziękuję za zaopiekowanie się Beliną. Mówiła mi, że bardzo pana polubiła.

- To urocza dziewczynka - odparł. - Ogromnie bezpośrednia. Obawia się, że jej przyrodni brat chce panią skrzywdzić i zabrać dom, ale wytłumaczyłem jej, że pan Stone i ja nigdy do tego nie dopuścimy.

Jakie on ma lodowate spojrzenie, przemknęło Christinie przez głowę. Przecież w jego oczach nie ma ani odrobiny zwykłego ludzkiego ciepła.

- Zdaje się, że Belinda poczuła do pana zaufanie. O, widzę, że stoi tam, je ciasto i rozmawia z jednym z kuzynów. Mnie nic nie wspominała o tych okropnościach, które Alan wygadywał na koniec. Doprawdy nie wiem, dlaczego nie spoliczkowałam go po tym jego wystąpieniu.

Na jej twarzy pojawił się rumieniec gniewu. A więc była w niej nie tylko delikatność i łagodność, ale także gniew, który w połączeniu z instynktem macierzyńskim mógł się przerodzić w prawdziwą furję.

- Dla tego samego powodu, dla którego ja go nie uderzyłem - odparł spokojnie. - Byłoby to posunięcie na jego poziomie, a do tego nie będziemy się zniżać.

- My?

- Tak. Humfrey jeszcze nie zdążył powiedzieć pani, że będę współpracował z nim w

tej sprawie. Proszę mi wierzyć, dołożę wszelkich starań w obronie pani interesów. Obiecałem to pani córce, a ja nigdy nie łamię słowa danego dziecku.

Z tym zapewnieniem skłonił się lekko i odszedł. Do Christiny podszedł teraz Humfrey Stone.

- Będę już szedł, pani Farrington. Czy ktoś zostanie z panią dzisiejszej nocy?

- Nie. Kilka osób proponowało mi, że przenocuje, ale nie chciałam. Lindy i ja pragniemy być tylko we dwie, zresztą mieszka tu gospodyni i jej mąż. Damy sobie radę. Jestem szalenie zmęczona.

- Nie dziwię się - pokiwał głową. - To było karygodne zachowanie, po prostu niewybaczalne. Skontaktuję się z panią jutro i umówimy się na spotkanie w Londynie. Tymczasem nie będziemy podejmowali żadnych kroków.

- Nie zamierza pan wysłać Alanowi tych dokumentów?

- Nie. Poczekam, aż o nie wystąpi. Mamy czas. Ludziom takim jak on wystarczy dać jeden palec, aby złapali całą rękę. Wygląda na to, że czeka nas walka, ale to my będziemy dyktowali tempo. Proszę mi zaufać.

- Ufam panu - odparła Christina. - Chciałabym jeszcze usłyszeć od pana coś o panu Wallbergu. Powiedział mi, że będzie z panem współpracował.

Humfrey zauważył lekko zmarszczone brwi Christiny i domyślił się, że Szwed nie przypadł jej do gustu.

- To pomysł Rubena - objaśnił. - Rolf Wallberg jest jednym z najlepszych prawników w Sztokholmie. Pracował też we Francji i w Niemczech. - Uśmiechnął się przelotnie. - Jestem zadowolony, że nie zagości u nas na stałe. Jak na mój gust, jest o wiele za bystry. Niebawem wszyscy musielibyśmy mieć się na baczności. Ale żarty na bok. On jest naprawdę znakomity, inaczej nie zostałby przydzielony do pani sprawy.

- Jestem pewna, że ma pan rację - zgodziła się Christina. - Jednym słowem, czekamy na pierwszy ruch mojego pasierba, o ile w ogóle się nań zdecyduje.

Humfrey zniżył głos.

- A pani myśli, że nie podejmie żadnych kroków?

- O nie, jestem pewna, że tego tak nie zostawi. Bez względu na opinię swoich prawników będzie zabiegał o unieważnienie testamentu. Alan jeszcze nigdy w życiu nie posłuchał niczyjej rady.

- Zgadzam się z pani zdaniem - przytaknął Humfrey. - Cóż, do widzenia, pani Farrington. Zabieram Rolfa ze sobą. Któryś z nas skontaktuje się z panią, gdy tylko będziemy mieli jakieś informacje. I proszę się nie obawiać. Alan może przysporzyć nam sporo

kłopotów, ale nie uda mu się wygrać. Testament jest nie do podważenia. Dobranoc.

Serdecznym gestem uściśnął jej dłoń. Christina lubiła Humfreya Stone'a. Uważała, że jest obdarzony sporą dozą współczucia. Miała nadzieję, że to on poprowadzi jej sprawę, a nie Rolf Wallberg.

*

- Jedziesz dziewięćdziesiątką - zaprotestowała Fay Farrington.

W wielkim szarym bentleyu nie odczuwało się prędkości. Samochód połykał kolejne mile tak gładko, jakby unosił się na poduszce powietrznej. Alan Farrington nie odpowiedział, ale zmniejszył szybkość. Fay była jedyną osobą, której uwagi akceptował. Nikt z jego współpracowników czy rodziny nie wiedział, na czym polega jej sekret. O tym wiedział wyłącznie Alan, wiedział już od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Nie była to sprawa urody: kasztanowych włosów, wielkich szarych oczu i wysmukłej sylwetki. Równie atrakcyjne dziewczyny można spotkać na każdym kroku. Dla Alana jednak Fay była wyjątkowa, Fay zawsze stała po jego stronie. Każdy jego czyn, każda myśl, każde słowo w jej ocenie uchodziło za słuszne. Dlatego tak ją pokochał, dzięki temu też zyskała nad nim władzę, jakiej nie miał nikt inny. Z Fay u boku nigdy nie był sam. Gdy walczył z ojcem, trwała wiernie przy nim. Przez wszystkie lata małżeństwa jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie. Mieli dwóch synów, którym Alan pozwalał na wszystko, a których Fay starała się wychowywać w poczuciu dyscypliny.

Teraz zerknęła na prędkościomierz i odetchnęła z ulgą. Alan miał już dziewięć punktów karnych za przekraczanie szybkości. Bentley zawsze stanowił wyzwanie dla policji drogowej, a agresywne zachowanie Alana dodatkowo przemawiało na jego niekorzyść.

- A to bękart - odezwał się nagle, wpatrując się w drogę przed nimi.

- Który z nich? Twój ojciec czy ta gnida James?

- Obaj - odparł, choć myślał właściwie o Jamesie. - Przez cały czas podlizywał się tamtym, udając jednocześnie, że jest po naszej stronie. Co za gnojek.

Fay nic nie odpowiedziała. Nigdy nie lubiła Jamesa. Czula, że szwagrem powoduje raczej strach niż lojalność, i pogardzała nim za to. Położyła rękę na kolanie męża.

- Nie denerwuj się z jego powodu, kochanie. James nie jest tego wart. Wróci i znowu będzie skomlał. Zawsze tak było.

Alan mógł mu wybaczyć, ponieważ był spragniony uczuć rodzinnych. W dzieciństwie nie zaznał miłości, dlatego łaknął jej teraz, choćby i ze strony brata, którego zdominował, gdy byli jeszcze mali. Potrafiła to zrozumieć, ale sama nigdy nie wybaczyła Jamesowi. Alan zawsze był dobry dla brata; to przecież dzięki jego osobistym kontaktom James dostał pracę

w agencji reklamowej w USA. Wykorzystał to, a jednocześnie za ich plecami przystał do obozu wroga.

- Co masz zamiar zrobić w sprawie testamentu? - zapytała.

- Obalić go - odparł natychmiast.

Samochód znowu nabierał prędkości, w miarę jak wzrastała furia Alana.

- To ona jest wszystkiemu winna - mówiła Fay. - Zawsze pragnęła zagrabić wszystko dla siebie i dla tej małej. Żeby zabierać dziecko na pogrzeb! Powiedziałam jej, co o tym myślę. Nie była zachwycona.

- Wyszła za ojca wyłącznie dla pieniędzy. - Alan przyhamował ostro na zakręcie. - Czekala tylko, aż umrze. No i doczekała się, nawet szybciej, niż można się było spodziewać. Głowę dam, że nie mogła wprost uwierzyć własnemu szczęściu, gdy okazało się, że stary ma nowotwór. I czy poszedł na chemioterapię albo próbował leczyć się w jakiś inny sposób? Nie, do cholery, nie! Nie, bo ona chciała, żeby wrócił do RussMore, gdzie bez trudu mogła go omotać. Fay, przecież on by mnie nie wydziedziczył, bez względu na to, jak bardzo mnie nienawidził. Znałem ojca, uwielbiał te wszystkie bzdury dotyczące rodziny. Cztery lata historii Farringtonów... gadał o tym bez przerwy, doprowadzając matkę i mnie do szału. Nigdy by nie zerwał z tradycją, gdyby nie tamta. Był chory, umierał i wtedy udało jej się go przekabacić. Do jasnej cholery!

Gwałtownym skrętem wyprzedził samochód jadący wewnętrznym pasem. Kierowca zaczął gwałtownie gestykulować. Alan rzucił okiem w boczne lusterko, obniżył szybę i wystawił przez okno dwa palce w wulgarnym geście. Bentley przyspieszył, zjeżdżając na najszybsze pasmo ruchu.

- Nigdy nie wierzyłem, że ten dzieciak jest jego. Akurat w dziewięć miesięcy po ślubie. Trzy lata minęły, zanim matka zaszła w ciążę ze mną, a przecież niemal z niej wtedy nie schodził. Sama mi o tym opowiadała. Wcale nie był taki płodny. Ta suka go oszukała i mam zamiar to udowodnić.

- Jak? - zapytała Fay.

Nie usiłowała dyskutować ani przekonywać go, że się myli. Dla niej wygląd Belindy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Dziewczynka nie tylko miała smagłą cerę i czarne włosy Farringtonów. W jej ruchach, w jej sposobie bycia także było coś, co Fay nieodmiennie kojarzyło się z tym znieawidzonym staruchem - jej teściem. Alan nie chciał zaakceptować Belindy jako swojej siostry; już sama jej obecność była dla niego niczym kolący cień. Belinda była żywym dowodem obojętności Richarda wobec zmarłej żony, jego niewierności wobec niej. W pamięci Fay wciąż tkwiła scena, kiedy kompletnie załamany Alan opowiadał

jej o narodzinach tego dziecka. Było to niedługo potem, jak się poznali. Użył wtedy staroświeckiego zwrotu, którego nigdy przedtem nie słyszała.

„Matka nie zdążyła jeszcze ostygnąć w grobie... nie minęły nawet trzy miesiące od jej śmierci, a ten już pieprzy inną kobietę”.

Widząc jego rozpacz, poczuła jednocześnie gorącą miłość i gwałtowną nienawiść. Miłość do tego silnego odważnego mężczyzny, szlochającego tej nocy w jej ramionach, i nienawiść do jego ojca, który był przyczyną owego cierpienia i słabości Alana. Zresztą istniał też inny powód, by nienawidzić Richarda Farringtona, bardziej osobisty. Ona sama pochodziła z zupełnie odmiennego środowiska. Jej rodzice byli starszymi ludźmi, którzy ciężko pracowali przez całe życie, wychowali trójkę dzieci, dali im wykształcenie i pozwolili, by poszły swoją drogą, a teraz żyli z niewielkiej emerytury na jednym z londyńskich przedmieść.

Nigdy nie zapomniała pełnego rezerwy zachowania Richarda na ich skromnym weselu. Usiłowania Christiny, by okazać serdeczność, wydały się Fay protekcyjnalne, była też świadoma zakłopotania matki i jej wysiłków, by za wszelką cenę przypodobać się rodzinie zięcia. Podczas przyjęcia jeden z przyjaciół zapytał: „A kto to jest ten starszawy gość, który zachowuje się tak, jakby mu tu coś śmierzdziało?” Skrzywiła się wtedy i odwróciła szybko. Ich przyjazd na weekend do RussMore, mający stanowić próbę zasypania przepaści dzielącej ojca i syna, także okazał się niewypałem. Ona sama była wtedy młodą, świeżo upieczoną mężatką, nerwową i niepewną. Ze wszystkich sił starała się osłaniać Alana. Opuszczała RussMore, tonąc we łzach, po gwałtownej kłótni między ojcem a synem, spowodowanej jawnie grubiańskim zachowaniem Alana wobec macochy. Nie miał wtedy racji i Fay otwarcie mu to powiedziała, ale w głębi serca rozumiała, dlaczego tak się zachował, i nie miała mu tego za złe. Wolałaby, aby był bardziej uległy wobec ojca, ale Alan nigdy nie potrafił się ugiąć. Od tamtej chwili znienawidziła Christinę za to, że najpierw podburzyła starego, a potem usiłowała go ugłaskać, odgrywając rolę anioła pokoju w rodzinnym sporze. Drugim powodem jej nienawiści była Belinda, zepsuty i rozpuszczony dzieciak, posiadający wszystkie przywileje, jakich jej synowie zostali pozbawieni. Przepaść między obiema rodzinami pogłębiła się tak bardzo, że wzajemne kontakty ustały niemal zupełnie i chłopcy nigdy nie widzieli rodzinnego domu ojca.

- W jaki sposób masz zamiar tego dowieść? - powtórzyła pytanie. - To przecież niemożliwe. Lepiej skoncentruj się na presji, jaką na niego wywarła.

- Mam zamiar użyć wszystkich możliwych argumentów - powiedział. Byli już w Londynie i samochód z trudem przebijał się przez korki na drodze do Chelsea. - A co do

dowodów, że ta dziwka wyprowadziła ojca w pole - odwrócił się ku niej, gdy zatrzymali się na czerwonym świetle - mam coś zupełnie specjalnego. Nie bez powodu w noc przed pogrzebem własnego ojca nocowałem w jakimś zawieszonym hotelu, jakbym był kimś zupełnie obcym. Pomyślałem sobie, że może się uda.

Jego rozgoryczenie nie ustępowało. Gdy ojciec ożenił się po raz drugi, Alan opuścił dom rodzinny. Zainwestował pieniądze w restauracje oferujące szybkie dania i w wieku dwudziestu pięciu lat był już milionerem. Teraz mógł sobie pozwolić na wszelki luksus, elegancki dom w Chelsea, letni domek nad morzem, willę na południu Francji. Podczas wystawnych przyjęć lubił żartować z odniesionego przez siebie sukcesu. „Mogłem zrobić forszę na tym gównianym żarciu, ale niech mnie ręka boska broni, żebym miał je wziąć do ust”. Goście wybuchali wtedy śmiechem, jako że jedzenie i trunki na przyjęciach u Alana były zawsze wyśmienite.

Służący zabrał z samochodu bagaże. Alan z ulgą rozparł się na sofie.

- Kochanie, nalej mi szkockiej, dobrze?

Fay nie protestowała. Swoją sprzeciw wyrażała zwykle dopiero przy trzecim drinku i najczęściej wygrywała. Wystarczyło, by powiedziała tylko: „Czy chcesz, aby chłopcy zobaczyli cię podpitego?” Matka Alana była nie tylko narkomanką, ale i alkoholiczką. Wszędzie w domu stały jej fotografie, staroświeckie, jakby lekko przymglone, przedstawiające piękną kobietę, romantycznie upozowaną na tle szyfonowych draperii czy kunsztownie ułożonych bukietów. To była jedyna strefa, gdzie Fay nie miała żadnego wpływu. Josephine Farrington była świętością, tragiczną ofiarą, przedwcześnie wpędzoną do grobu przez bezlitosnego męża. Fay bynajmniej nie miała o zmarłej takiego zdania, za to doskonale zdawała sobie sprawę, jak dalece może się posunąć w stosunkach z Alanem. To właśnie stanowiło część jej siły.

Podawała mężowi whisky, dla siebie nalała kieliszek wina.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że dysponujesz atutem, który pozwoli ci obalić testament?

Alan podniósł do ust szklaneczkę, wychylając jednym haustem połowę jej zawartości. Grymas nienawiści wykrzywił mu twarz.

- W kieszeni mam coś specjalnego. A jeśli dostanę następnego drinka, powiem ci, co to jest.

*

Rolf Wallberg podziękował Humfreyowi Stone'owi za podwiezienie do Londynu. Stone miał spotkanie z klientem. Rolf wziął taksówkę do hotelu Dorchester. Schodami udał

się na pierwsze piętro. Nigdy nie używał windy, jeśli mógł skorzystać ze schodów. Traktował to jako dodatkową gimnastykę. Przykładał wielką wagę do ćwiczeń fizycznych. Duży, przytulny bar był w dwóch trzecich pusty. Rolf wybrał miejsce przy ścianie i odprawił zbliżającego się kelnera, mówiąc, że złoży zamówienie, dopiero gdy nadejdzie oczekiwana przez niego osoba.

Kobieta zjawiała się punktualnie; to on był wcześniej, ponieważ punktualność stanowiła jedną z jego zasad. Zatrzymała się na moment, dostrzegła Rolfa, uśmiechnęła się i podeszła do stolika. Rolf podniósł się i przywitał ją zdawkowym pocałunkiem w policzek. Nowo przybyła była wytworna i elegancko ubrana. Miała nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Siadając, przyglądała złote włosy, opadające jej na ramiona, i zapytała:

- Jak poszło?

Rolf nie odpowiedział. Kelner błyskawicznie znalazł się przy ich stoliku.

Bezczelny, panoszący się typ, pomyślał. Jedno warte drugiego. Przyszli tu i będą teraz mleć ozorami. Nienawidził Niemców. Jego rodzina po wojnie wyemigrowała z Włoch. Niemcy ostrzelali wioskę i zabili kilku krewnych matki.

- Dwie wódki z lodem - zadysponował Rolf. Odwrócił się do swojej towarzyszki. - Tak jak się spodziewałem, skoczyli sobie do gardeł. Dojdzie do walki i ona nie wygra.

Kobieta uniosła w górę brwi.

- Skąd ta pewność?

- Forsa - odparł. - Znam sytuację finansową. Ogromny dom, wymagający, powiedzmy, jakichś osiemdziesięciu tysięcy rocznie, służba, inne wydatki. Spory dochód mogłyby przynieść farmy, ale obecnie wypuszczono je w dzierżawę. Obrazy, meble, wszystko to jest wartościowe, ale zaden z przedmiotów nie osiągnąłby magicznej kwoty miliona. A jeśli zacznie sprzedawać aktywa, będzie musiała zapłacić ogromny podatek dochodowy. Żeby zdobyć naprawdę poważną sumę, musiałaby pozbyć się samego domu, a tego nie zrobi. Jeśli sprzeda ziemię uprawną, nie będzie miała wystarczających dochodów, żeby utrzymać dom. Paragraf 22. Ale na razie ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Ale ty jej to uświadomisz.

- Owszem. Jak również to, że jej pasierb ma wystarczające możliwości finansowe, aby ją zrujnować procesami. Wartość Farrington Fast Food idzie w miliony. Alan Farrington jest jednym z tych nowobogackich i wie, jaki użytek można zrobić z pieniędzy. Ona nie ma szans. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego firma pozwoliła temu staremu wydziedziczyć syna. Nawet jeśli testament i ustanowienia powiernictwa są nie do obalenia, przecież po latach potyczek

prawnych, apelacji sądowych, kosztów adwokatów z całego majątku nie zostanie nawet pens.

- Mówisz tak, jakbyś jej współczuł - zauważyła kobieta. Miała ciemne oczy, dziwnie kontrastujące z jasnymi włosami. Przyglądała mu się zimno. - A może tak jest?

- W środku tego całego bałaganu tkwi jedenastoletnia dziewczynka. To jej współczuję.

- Wiele dzieci na tym świecie cierpi. Nie możemy sobie pozwolić na litość nad wybranymi. I co dalej?

Zaakceptował tę reprimendę. Fakt, że od czasu do czasu sypiali ze sobą, niczego nie zmieniał w ich wzajemnych stosunkach, wolnych od wszelkich sentymentów.

- Alan Farrington rozpoczyna bitwę, a my odpowiadamy. Humfrey Stone ma teraz inną sprawę, w której reprezentuje wielką korporację, więc nie będzie miał zbyt wiele czasu dla pani Farrington. A skoro tak, to jej doradcą prawnym będę ja osobiście, o ile mnie zaakceptuje.

Kobieta odstawiała szklaneczkę.

- Masz jakieś wątpliwości? Dlaczego nie miałaby tego zrobić?

- Ponieważ mnie nie lubi - odparł zimno. - Ona nie walczy dla siebie, walczy w imieniu córki. Jest uczciwa i niegłupia. Dopóki nie zdobędę jej zaufania, nie przyjmie mojej rady.

- W takim razie będziesz musiał być czarujący. - Szturchnęła go delikatnie. - Znam twoje możliwości w tym względzie. Oczaruj ją, Rolf. Zrób wszystko, co w twojej mocy.

- Może mnie to kosztować, i to sporo - powiedział. - Jeszcze drinka? Jesteś wolna, żeby zjeść ze mną obiad?

- Jestem wolna na obiad i na seks także. Mam za sobą długi i nudny dzień i myślę, że należy nam się odrobina relaksu.

Położyła rękę na jego udzie. Popatrzyli na siebie, odbierając sygnały seksualnego porozumienia. Byli doskonałymi kochankami, nigdy natomiast nie mieli zostać przyjaciółmi.

- Po co tracić czas na obiad? - rzekł Rolf. - Możemy zjeść później u mnie. Wezmę rachunek.

Kelner popatrzył za odchodzącymi i zaklął ordynarnie po włosku. Oczywiście ten wszarz nie zostawił napiwku.

2.

James Farrington przemógł się wreszcie i zatelefonował do starszego brata. Przez całe trzy dni wahał się i ciągle odkładał tę rozmowę.

Postanowił zadzwonić też do Christiny. Obiad, którym uprzednio posłużył się jako wymówką, nie przyniósł mu żadnych korzyści. Jego przyjaciel wybierał z karty najdroższe dania i najkosztowniejsze wina, a potem odmówił pójścia z nim do łóżka. James pożałował wówczas, że nie został w RussMore. Spotkanie twarzą w twarz z Alanem przerażało go. Zastanawiał się nawet, czy nie wrócić po prostu do Stanów, nie kontaktując się ani z bratem, ani z Christiną, ale na taki krok też nie wystarczyło mu odwagi. Potrzebował aprobaty Alana, choć wiedział, że aby ją uzyskać, będzie musiał wysłuchać najpierw ostrych połażanek.

Ten schemat powtarzał się przez całe jego dzieciństwo i nawet gdy już dorośli, nic się w nim nie zmieniło. James obawiał się ojca, przez Alana zaś był kompletnie zdominowany. Nigdy nie udało mu się naprawdę zadowolić żadnego z nich, ale Alan przynajmniej zwracał na niego uwagę, a nawet w pewien sposób opiekował się nim, przynajmniej tak długo, jak długo James pozostawał ustepliwy i pełen podziwu wobec starszego brata. Jednak przy każdej, choćby najmniejszej próbie samodzielności z jego strony, Alan natychmiast przestawał być opiekuńczy, a jego miazdząca krytyka pozbawiała Jamesa resztek szacunku dla samego siebie.

James był bardzo wrażliwy i inteligentny. Doskonale rozumiał, na czym polegają jego problemy emocjonalne, i nawet zadziwił swojego nowojorskiego psychoanalityka trafnością wielu spostrzeżeń. Do kobiet nie miał zaufania i nie potrafił się do nich zbliżyć. Winę za to ponosiła matka, której choroba tak bardzo zaciążyła nad jego dzieciństwem; okresy uzależnienia od nałogu, przerywane pobytami w kolejnych klinikach, i jej reakcje, których nigdy nie potrafił przewidzieć. Gwałtowne uściski, pocałunki, histeryczne zapewnienia o miłości, po których niemal natychmiast następowało odtrącenie. Do dziś nie potrafił zapomnieć, jakże często używanego przez nią zwrotu, który tak bardzo ranił jego uczucia: „Na litość boską, zjeżdż mi z drogi, ty mały nudziarzu”.

Odchodził wtedy, kuląc się niczym ranne zwierzę. Gdy matka umarła, poczucie winy walczyło w nim z ulgą, ale i obawą, że skoro jej zabrakło, nikt nie będzie go teraz ranił i obrażał. Zwrócił się wtedy do starszego brata w poszukiwaniu tej mieszaniny brutalności i poczucia bezpieczeństwa, której tak bardzo potrzebował.

Alana śmierć matki napełniła gniewem. W przeciwieństwie do Jamesa był jej ulubieńcem i kochał ją z bezkrytycznym oddaniem. Terapeuta Jamesa sugerował, że w

stosunkach między Alanem a ojcem istniał element rywalizacji seksualnej. James z miejsca odrzucił ten pomysł jako psychoanalityczną bzdurę, niewartą zwracania głowy. Motywy działań ojca i syna sięgały znacznie głębiej, niż sugerowała to uproszczona teoria Freuda. Alan kochał matkę, ponieważ była słaba, przez co on mógł się czuć mocniejszy. Wszelkie przejawy siły i determinacji stanowiły dla niego wyzwanie. James w przeciwieństwie do ojca doskonale to rozumiał. Richard widział w Alanie jedynie aroganckiego, buntowniczego nastolatka, który nie potrafi zaakceptować żadnego punktu widzenia poza swoim własnym.

Wszystko to było bardzo przygnębiające i gdy rodzina się rozpadła, James czuł się raczej jak obserwator z zewnątrz niż ktoś bezpośrednio zaangażowany. Macochy nie darzył nienawiścią. Uważał ją za miłą dziewczynę, nieco naiwną, przestraszoną gwałtownością stosunków między ojcem a starszym pasierbem. Nie widział jej w roli dziwki żadnej wyłącznie forsy - jak brzmiało dosadne określenie Alana - sądził raczej, że ojciec, starszy od niej, bardziej inteligentny i wykształcony, po prostu fascynował ją swoją osobowością. Oczywiście James nigdy nie odważył się powiedzieć tego głośno. Zajął się swoją karierą zawodową w Stanach i nawet był zadowolony, że w pewnym sensie udało mu się uciec. Nigdy jednak nie zdobył się na całkowite zerwanie z rodziną. Nie chciał zostać do reszty wykluczonym z jej grona, chociaż każdy kontakt z ojcem boleśnie go ranił.

Zaledwie cztery dni przed odlotem zadzwonił wreszcie do Alana do biura. Uważał, że tak będzie lepiej. W domu telefony najczęściej odbierała Fay. Bratowa pogardzała nim, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

- Kogo mam zaanonsować? - zapytała sekretarka Alana.

Jego brat był człowiekiem sukcesu. Teraz gotował się właśnie do połknięcia kolejnego przedsięwzięcia i przyłączenia go do sieci barów i restauracji szybkiej obsługi. James podziwiał jego drapieżną energię.

- Jego brata Jamesa - odpowiedział.

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której muzyka z taśmy łagodnie sączyła mu się w ucho. Często zastanawiał się, dlaczego ludzie potrzebują tych ogłupiających melodyjek, aby mieć pewność, że ich nie rozłączono.

- Łączę pana, panie Farrington.

James nerwowo przelknął ślinę.

- Alan? Cześć, jak się masz?

- Świetnie. Czego chcesz, do diabła?

- Wyjeżdżam za parę dni. Chciałbym się pożegnać. Czy jest jakaś nadzieja, żebyśmy mogli się spotkać?

- Absolutnie żadnej - brzmiała odpowiedź Alana. - Jestem zdumiony, że nie siedzisz w RussMore, liżąc jej dupę.

- Wcale tego nie robiłem - zaprotestował James. Dobrze znał stary schemat. Teraz będzie musiał wysłuchać obelg Alana i dopiero gdy brat się na nim wyładuje, będą mogli się pogodzić. - Nie miałem pojęcia o testamencie ani o tym, że ojciec zapisał mi Langley. Na litość boską, po prostu raz do roku składałem im kurtuazyjną wizytę. Ojciec był coraz starszy, więc uważałem...

- Tak, tak, myślałeś, że uda ci się coś od niego wyłudzić. No i udało ci się. A teraz ta suka przekaże ci twoją część pieniędzy i już tylko mnie będzie musiała się obawiać. Bo ty zostałeś kupiony. Ty gnojku.

- Alan, nie mów tak. Jestem twoim bratem. Zawsze stałem po twojej stronie, wiesz o tym. Zaprosiła mnie, żebym przenocował po pogrzebie, ale ja odmówiłem. Jeśli masz zamiar obalić testament ojca, zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

- Kiedy już zainkasujesz pieniądze - prychnął pogardliwie Alan.

- Oczywiście, że kiedy dostanę pieniądze - zgodził się James. Widocznie ostatnio stał się bardziej asertywny, skoro odważył się powiedzieć coś takiego.

Usłyszał krótki śmiech.

- Przynajmniej jesteś szczery. - Po krótkiej pauzie głos Alana zabrzmiał znacznie łagodniej. - Słuchaj, naprawdę chcesz mi pomóc?

- Przecież powiedziałem. - James zaniepokoił się nieco, ale uprzątniwszy sobie, że wraca do Nowego Jorku, odetchnął z ulgą. Nietrudno jest składać obietnice, gdy człowiek będzie oddalony o trzy tysiące mil.

- Świetnie. W takim razie jedź do RussMore i zobacz się z nią. Bądź miły, porozmawiaj, wybadaj, co zamierza zrobić, a potem opowiedz mi o wszystkim.

Jako dziecko James podsłuchiwał pod drzwiami, czytał cudze listy, podglądał i szpiegował. Czuł się wyrzucony poza nawias, więc przynajmniej pragnął posiadać sekretną wiedzę o tym, co nie było przeznaczone dla jego uszu.

- Dobrze - zgodził się. - Żaden problem. Zadzwoń do niej jeszcze dzisiaj. Była bardzo rozczarowana, że nie chciałem wtedy zostać. Jestem pewien, że zgodzi się mnie przyjąć. Będę z tobą w kontakcie. Może uda nam się jeszcze spotkać przed moim wyjazdem.

- Może - powiedział Alan i odłożył słuchawkę.

*

Belinda pojechała w odwiedziny do przyjaciółki mieszkającej dziesięć mil od RussMore. Obie dziewczynki uwielbiały jeździć na kucykach. Starsza siostra koleżanki,

członkini klubu jeździeckiego, chętnie dawała im lekcje jazdy. Belinda wpatrywała się w nią jak w obraz.

Richard nigdy nie zezwalał jej na nic więcej poza spokojną przejażdżką po parku na starym, poczciwym kucu. „Nie chcę, aby wyrosła na typową angielską dziewczynę, zwariowaną na punkcie koni” - mawiał. Potem wyznał Christinie, że głównym powodem jego decyzji był lęk. „Miałem kiedyś kuzynkę, która zginęła w wypadku na polowaniu. Miała dwadzieścia dwa lata i była urocza. Lindy jest śmiała i lubi ryzyko; zupełnie jak ty, kiedy szalejesz na nartach. Na pewno nie byłaby dość ostrożna, a tego bym nie zniósł”.

Christina nie próbowała go przekonywać. Już dość nacierpiał się z powodu jednej przypadkowej śmierci. Teraz zachęcała Belinę, aby wybrała się do przyjaciółki i została tam tak długo, jak zechce. Od czasu pogrzebu dziewczynka się nie skarżyła, ale wydawała się wyraźnie przygaszona, i Christina była pewna, że w samotności popłakuje za ojcem. Ona sama bezpośrednio po pogrzebie miała ręce pełne roboty; musiała odpisać na listy i załatwić mnóstwo spraw. W dodatku ciągle wisiała nad nią groźba Alana. Nerwowo reagowała na każdy dźwięk dzwonka, spodziewając się, że będzie to telefon od Humfrefa Stone’a. Ale adwokat nie dzwonił, nie przysłał też żadnego listu. Ten całkowity brak wiadomości sprawiał, że Christina czuła się jeszcze bardziej niepewnie.

Czasami przyłapywała się na tym, że głośno rozmawia z Richardem. „Gdybyś tylko powiedział mi, czego mam się spodziewać... znałeś go, wiedziałeś, jak z nim postępować. Zawsze mi powtarzałeś, że nie powinnam się do niczego mieszać. Szkoda, że chroniłes mnie aż tak bardzo”. Przodkowie Farringtonów spoglądali na nią ze ścian, nie obiecując jej żadnej pomocy. Tę bitwę musiała stoczyć sama, w dodatku nie znając dobrze przeciwnika. Kiedy zadzwonił James, powiedziała szybko:

- Tak, przyjeźdź i przenocuj.

Bardzo chciała się z nim zobaczyć.

James przyjechał krótko przed lunchem. Był skrupowany i niepewny, zupełnie jak w czasach, kiedy jeszcze żył Richard. Gestem nieśmiałego uczniaka wręczył jej pudełko czekoladek od Harrodsa.

- Nie wiem nawet, czy lubisz czekoladki - powiedział. - Są wyrabiane ręcznie. Mnie smakują.

- Bardzo lubię. Jak to miło z twojej strony.

Czekając na lunch, usiedli na tarasie wychodzącym na ogród różany.

- Jaki wspaniały zapach - zauważył James. - Tego właśnie brakuje mi w Stanach - angielskiego lata.

- Więc dlaczego nie wrócisz do kraju? Mógłbyś urządzić się w Langley. W RussMore jest pełno mebli i obrazów; mógłbyś sobie wybrać, co ci się podoba. Po co mieszkać na obczyźnie, skoro nie czujesz się tam szczęśliwy? Życie jest na to za krótkie, James.

- Jesteś bardzo szczodra - odparł. - Ojciec nigdy niczego mi nie zaproponował ani nie ofiarował. Dopiero ty to uczyniłaś. To zabawne, prawda?

- Chyba źle go oceniałaś - powiedziała Christina łagodnie. - Richard kochał cię, tylko nie potrafił uzewnętrznić swoich uczuć. Czuł, że jesteś pod wpływem Alana. Był bardzo dumny. Z trudem przychodziło mi zrozumieć tę jego dumę. Ja wcale nie jestem dumna, zwłaszcza w stosunku do tych, których kocham.

James uśmiechnął się przelotnie.

- Tak, jestem pewien, że nie jesteś. Wiesz, to dziwne, ale nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że ojciec w każdej chwili może pojawić się tutaj na tarasie i przyłączyć do nas. Nie mogę uwierzyć, że nigdy go już nie zobaczę. Myślę, że w ten sposób oddaję mu hołd, choć nie jestem całkiem pewien swoich uczuć.

- A mnie się wydaje, że w ten sposób okazujesz mu swoją miłość. Ja też nie mogę uwierzyć, że już go nie ma między nami. Wieczorami przyłapuję się na tym, że przygotowuję dwa drinki. Dzisiaj rano przyszło kilka listów, a ja ich nie otworzyłam, bo były zaadresowane do Richarda. Ilekroć otwieram drzwi biblioteki, spodziewam się, że go tam zastanę.

- Gdy byliśmy mali, nie wolno nam było wchodzić do biblioteki - powiedział James. - To było jego sanktuarium. Ojciec przeglądał stare rękopisy i wymagał, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Alan oczywiście nie respektował tych zakazów i za każdym razem wybuchała wielka awantura. Moja matka kulila się wtedy ze strachu i udawała, że nie słyszy. Nazywała kolekcję ojca kupą papierzysk, co doprowadzało go do szału. Może właśnie dlatego strzegł ich tak zazdrośnie. W końcu to było jego hobby. Czy kiedykolwiek pokazywał ci swoje zbiory?

- Nie - rzekła Christina ze zdziwieniem. - Nigdy nie wspominał o żadnym hobby. Chociaż nie, raz rozmawialiśmy na ten temat, jeszcze w Sztokholmie. Wówczas nie zwróciłam na to większej uwagi. Przesiadywał w bibliotece, ale sądziłam po prostu, że lubi buszować wśród książek. Nigdy mi nie proponował, żebym mu towarzyszyła. Pozwalałam mu na to, skoro tego pragnął. Wiedziałam, że jest to dla niego ważne, mieć pewną przestrzeń wyłącznie dla siebie. - Pokręciła głową. - Nigdy nie mówił o żadnych rękopisach. Co to za dokumenty?

- Nie wiem - odparł James. - To się dopiero okaże przy szacowaniu masy spadkowej. Będzie z tym sporo zachodu, bo przecież jest tego całe mnóstwo, ale myślę, że dasz sobie

radę. Jak znałem ojca, to z pewnością zostawił wszystko dokładnie uporządkowane. Czy masz coś przeciwko temu, abym zapalił?

- Oczywiście, że nie.

- Jaka ty jesteś miła - zauważył. - W Stanach potrafią zamęczyć człowieka gadaniem o szkodliwości palenia i o zanieczyszczaniu środowiska. Polityczna poprawność Amerykanów doprowadza mnie do szału. Czasami marzę o tym, aby głośno powiedzieć, że kobiety, czarni i homoseksualiści są czymś pośledniejszym, ale brak mi odwagi. Tylko w skrytości ducha jestem taki śmiały. - Zaciągnął się z rozkoszą.

- Ale mam nadzieję, że nie myślisz tak naprawdę.

Uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że nie. W końcu sam jestem gejem. - Obrzucił Christinę złośliwym spojrzeniem. - Ale chyba wiedziałaś o tym?

- Richard nigdy nic nie mówił na ten temat - odparła - a ja sama nigdy się nad tym nie zastanawiałam. W końcu to twoje życie i nikogo nie powinno to obchodzić.

- Ojciec po prostu ignorował ten fakt. Pod tym względem niczym nie różnił się od Alana. Jeśli coś im nie odpowiadało, po prostu nie przyjmowali tego do wiadomości. To filozofia Farringtonów. Nigdy nie zauważyłaś, jak bardzo ojciec i Alan byli do siebie podobni?

Christina powiedziała spokojnie.

- Nie, nie zauważyłam i nie sądzę, aby tak było. Richard był dobry i kochający, a przede wszystkim uczuciowy, twój brat natomiast jest zwykłym łajdakiem. Proszę cię, nie próbuj nawet robić takich porównań. - Poczowała, że się czerwieni.

James obserwował ją uważnie. Wiedział, że posunął się za daleko, i teraz wycofywał się pośpiesznie.

- Przepraszam. Wiem, że ojciec był taki dla ciebie i dla Belindy. - Zgasił papierosa. - Masz rację co do mojego brata. Alan to rzeczywiście łajdak, ale wiele go usprawiedliwia.

- Po lunchu będziesz mi mógł przedstawić te usprawiedliwienia - zakończyła rozmowę Christina.

Przez francuskie okno weszła do salonu. James zamknął drzwi na taras i skierował się za nią do jadalni.

Ona jest silniejsza i mądrzejsza, niż mogłoby się wydawać, pomyślał. Z takim przeciwnikiem Alan bynajmniej nie będzie miał łatwego zadania i pomoc brata może się okazać bardzo przydatna.

Podczas gdy Christina i James jedli lunch w RussMore, Rolf Wallberg został wezwany do gabinetu Humfreya Stone'a. Humfrey podsunął mu plik papierów.

- Od prawników Farringtona - wyjaśnił. - Domagają się kopii całej dokumentacji. Chcą mieć akta dotyczące ustawy powierniczej i zmian, jakie zostały wprowadzone w stosunku do poprzednio obowiązującej wersji, protokoły naszych spotkań z Richardem Farringtonem i oczywiście sam testament. Ich list nazwałbym raczej impertynenckim. - Zmarszczył brwi. List rzeczywiście był utrzymany w zaczepnym, niemal obraźliwym tonie. Wybierając tę kancelarię, Alan Farrington wyraźnie kierował się stylem jej działania.

- Ale tego przecież należało oczekiwać - zauważył Rolf. - W czym więc tkwi problem?

Humfrey popatrzył wprost na niego.

- Problem w tym, że aktualnie jestem po uszy zagrzebany w sprawie Ringwater Estate i nie mam czasu zajmować się jeszcze Farringtonami. Miałem nadzieję, że Ruben sam to poprowadzi, choćby częściowo, ale on wszystko zlecił mnie. Rolf, chciałbym cię prosić, abyś zajął się tą korespondencją, porozmawiał z panią Farrington i w ogóle zastąpił mnie przez kilka tygodni. Możesz to zrobić?

Rolf nie wahał się ani przez chwilę.

- Ależ oczywiście. Przedtem jednak będziesz musiał wytłumaczyć naszej klientce całą sytuację. Porozmawiaj z nią i zaraz zabieram się do roboty.

Humfrey nie ukrywał zatroskania. Polubił Christinę i miał szczerzy zamiar osobiście bronić jej interesów, Ruben jednak postanowił inaczej.

- Dasz sobie radę, prawda?

Rolf ukrył uśmiech. Fakt, że Humfrey zadał mu takie pytanie, świadczył o tym, iż zauważył ich wzajemną niechęć, czy też, mówiąc ściślej, niechęć Christiny do niego.

- Przecież oboje jesteśmy Szwedami - zapewnił go. - Rozumiemy się. Chcę wygrać dla niej tę sprawę. Gdy będziesz z nią rozmawiał, możesz ją o tym zapewnić. W końcu taka wygrana będzie oznaczała bardzo wiele dla mojej reputacji jako prawnika. To pierwszorzędna sprawa; może oprzeć się nawet o sąd apelacyjny.

- A nawet o Izbę Lordów - westchnął Humfrey. - Będziesz uwięziony w Anglii przez najbliższe pięć lat. A teraz serio. Najlepiej byłoby doprowadzić do ugody. Obaj wiemy, że w przypadku procesu nigdy nie ma ani zwycięzców, ani zwyciężonych.

Rolf zabawnie uniósł brwi.

- Czyżbyś zapomniał o naszym honorarium?

Humfrey nie uśmiechnął się. Pracował ciężko i dorobił się fortuny, nigdy jednak nie

przedkładał pieniędzy nad interesy klientów. Osobiście wątpił, by Rolf mógł to samo powiedzieć o sobie.

- Zadzwoń do niej. - Sięgnął po słuchawkę, dając tym do zrozumienia, że ich rozmowa jest skończona.

- Joan? Połącz mnie z panią Farrington. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę, czekając na połączenie. Może ten Szwed to rzeczywiście dobry wybór? Jest bezwzględny i wcale nie usiłuje tego ukrywać. Może rzeczywiście to właściwy człowiek do starcia z Alanem Farringtonem?

Christina odłożyła słuchawkę po skończonej rozmowie telefonicznej. Humfrey bardzo ją przeproszał, zapewniając jednocześnie, że wszystko jest w porządku. Osobiście zajmie się jej interesami, gdy tylko upora się z pewną nagłą sprawą, która wynikła zupełnie nieoczekiwanie. Rolf Wallberg jest znakomitym fachowcem, nie ustępującym żadnemu z prawników kancelarii Stone'a i z przyjemnością będzie ją reprezentował.

- On jest bardzo ambitny i będzie walczył w pani imieniu, pani Farrington. Ogromnie pragnie wygrać, również ze względu na własną reputację i - choć nie brzmi to pewnie najlepiej - tego rodzaju postawa może się okazać wielkim atutem w rozgrywce z kimś takim jak pani pasierb. Mam do Rolfa pełne zaufanie, zresztą będę osobiście czuwał nad całym przebiegiem sprawy.

Po posiłku James wybrał się na spacer. Lunch upłynął w przyjemnej atmosferze, w sumie jednak okazał się dość męczący. Oboje czuli, że wznosi się między nimi jakaś bariera. Christina pomyślała nagle, że właściwie wolałaby, żeby James zmienił zdanie i nie zostawał na noc, tylko wrócił do Londynu. Siedząc na nasłonecznionym tarasie, usiłowała pocieszyć sama siebie. Rolf Wallberg. Humfrey powiedział o nim, że jest zdolny, ambitny i żądny zwycięstwa. Ona też to zauważyła. Brakuje mu natomiast zwykłej ludzkiej życzliwości, wydawał jej się zimny i oddalony, obserwujący ludzi z chłodnym zainteresowaniem, niczym okazy jakiegoś obcego gatunku. Ale wobec Belindy zachował się zupełnie inaczej. Christina wierzyła, że dzieci obdarzone są pewnego rodzaju instynktem. W dniu pogrzebu spały razem, pragnąc pocieszyć się wzajemnie. Przed zaśnięciem Belinda zaczęła mówić o Rolfie.

- Nie przejmuj się, mamusiu. Ten człowiek zaopiekuje się nami.

- Jaki człowiek, kochanie? - zapytała Christina.

- Ten z jasnymi włosami, któremu pokazywałam ogród - powiedziała Belinda cicho.

„Przez usta dziecka...” - przypomniała sobie biblijny cytat. Richard często powtarzał, że teksty religijne zawierają wiele prawd. „Nawet jeśli jakieś stwierdzenie staje się banałem, nie oznacza to wcale, że nie jest prawdziwe” - zwykł mawiać. Christina nie podzielała zasad

jego wiary. Richard akceptował to i nigdy nie usiłował jej nawracać. „Z czasem, kochanie, wiara, być może, sama do ciebie przyjdzie” - mówił, całując ją czule. Był równie czuły, jak namiętny, jej kochanek i zarazem najlepszy przyjaciel. Jeśli wybrał takiego faceta jak Wallberg do wypełnienia swojej ostatniej woli, nie miała powodów, aby się przeciwstawiać. Przecież nie musi go lubić ani podziwiać jego zachowania. Wallberg będzie dążył do zwycięstwa. To dobrze, w końcu ona pragnie tego samego.

- Halo! - Na stopniach wiodących z ogrodu na taras pojawił się James. - Wyglądasz na zaniepokojoną. Czy coś się stało?

- Prawnicy Alana skontaktowali się z Humfreyem Stone'em - odparła. - Alan ma zamiar zakwestionować testament.

James usiadł naprzeciw niej.

- Czy wiadomo już, na jakiej podstawie?

- Nie. Na razie prawnicy zażądali dokumentów i dali do zrozumienia, że nie ustąpią. James, dlaczego on to robi? Dlaczego nie zachowa się przyzwoicie i nie porozmawia najpierw ze mną?

- A gdyby to zrobił, oddałabyś mu RussMore?

To pytanie zaskoczyło ją.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale może udałoby się nam wypracować jakiś kompromis, dzięki któremu obyliby się bez walki i psucia sobie krwi. Gdy nazwałam go łajdakiem, powiedziałaś, że wiele go tłumaczy. Chętnie bym usłyszała, czym usprawiedliwiasz swego brata.

James bez pośpiechu zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- To dlatego chciałaś, żebym został po pogrzebie, tak? Chciałaś dowiedzieć się czegoś o nas wszystkich, nie tylko o Alanie. O matce, ojcu i o nas, obu jego synach. Mam rację?

- Tak - przyznała. - Masz.

- Ale jaki sens będzie miała moja opowieść, jeśli natychmiast zaczniesz się oburzać, gdy tylko powiem krytyczne słowo pod adresem ojca?

- Postaram się tego nie robić, pod warunkiem, że będziesz *fair*.

Fair. Jakże często używała tego słowa. James już dawno doszedł do wniosku, że życie nigdy nie bywa *fair*.

- Ojciec nie rozmawiał z tobą na ten temat, prawda? To znaczy, nie wdawał się w żadne szczegóły. Po prostu naszkicował ci ogólny obraz: matka narkomanka, Alan łajdak, a ja... Co ci powiedział o mnie? Nie można na nim polegać, oportunistą, zawsze wybierający najkorzystniejsze dla siebie rozwiązanie. Coś w tym stylu, prawda? Widzę to po twojej

twarzy. Nie musisz się rumienić. Sam się tego od niego nasłuchałem.

Christina powiedziała powoli.

- Nie wyobrażam sobie, by mógł być tak okrutny.

James strząsnął popiół z papierosa.

- Och, chyba nawet nie zdawał sobie z tego sprawy - powiedział po chwili. - W gruncie rzeczy miał rację. Po prostu nigdy nie zastanawiał się nad przyczynami, to wszystko. Nie miał zrozumienia dla słabości, chociaż... - uśmiechnął się nagle - silnych charakterów także nie lubił. Nie znosił, gdy napotykał opór. To dlatego powiedziałem, że ojciec i Alan byli do siebie podobni, tyle że ojciec był intelektualistą, a Alan nie. Ojciec był wykształcony, miał rozległe zainteresowania. Alan nie mógł z nim konkurować pod tym względem, więc popadł w przeciwną skrajność. Od dzieciństwa zachowywał się jak prostak. Przy stole wycierał nos palcami, spoglądając przy tym wyzywająco na ojca. Im bardziej ojciec go odtrącał, tym on gorzej się zachowywał i tym bardziej zwracał się ku mamie. Czy rzeczywiście chcesz, żebym ci o tym opowiadał? Zanedbane dzieci, walczące o akceptację rodziców, cały ten kram...

- Chcę, jeśli to ma mi pomóc w zrozumieniu tego, co zaszło. Moja rodzina była zupełnie inna. W Anglii zaliczono by nas do klasy średniej. Lekarze, urzędnicy. Moi dziadkowie byli farmerami. Owszem, zdarzało się, że się kłóciliśmy, ale nigdy w taki sposób. Nie było między nami goryczy ani nienawiści. Kiedy coś się nie układało, staraliśmy się pomagać sobie nawzajem.

- To brzmi jak bajka - powiedział James.

Christina popatrzyła na niego ostro.

- Nie waż się z tego kpić.

- Wcale nie kpię - zaprotestował. - Po prostu zazdroszczę ci. Twoja opowieść brzmi tak cudownie, tak zwyczajnie. Przy moich rodzicach nigdy nie wiedziałem, czego się mam spodziewać. Na początku mama była bardzo kochana. Jako dziecko pamiętam ją szczęśliwą, zawsze roześmianą i w dodatku śliczną. Potem bardzo się zmieniła. Lubiała jeździć do Londynu i chodzić na przyjęcia. Tata nie przepadał za taką rozrywką, więc zaczęła bywać sama. To chyba wtedy uzależniła się od heroiny. Przez długie lata nie zdawałem sobie sprawy, że z mamą jest coś nie w porządku, po prostu wydawała mi się szalenie zmienna w nastrojach. Rozpieszczała mnie i odpychała na przemian. Nigdy nie wiedziałem, czego mam się spodziewać. Alan lepiej sobie z nią radził, a mama zawsze miała do niego zaufanie. Gdy poszedł do szkoły w Harrow, codziennie pisała do niego list, a on jej odpisywał równie skrupulatnie. Wyglądało to niemal jak konspiracja. Mój psychoanalityk w Nowym Jorku twierdzi, że podłożem ich związku był pociąg seksualny i że to właśnie z tego powodu Alan i

ojciec skoczyli sobie do gardeł.

- Dokładnie takiego wytłumaczenia należało spodziewać się po psychoanalitku - wtrąciła szybko Christina. - Nie wierzę w to, to byłoby zbyt proste. Jeśli nie znasz przyczyny, zwał wszystko na seks.

- To samo mu powiedziałem - zgodził się James. - Konflikt między ojcem a Alanem nie dotyczył seksu, tylko władzy. Właściwie każdy konflikt jest walką o władzę, o jej posiadanie i wykorzystywanie. W tym właśnie tkwi problem Alana. On zawsze musi być numerem pierwszym. Wiedział, że pod względem intelektualnym nigdy nie będzie górował nad ojcem, więc postawił na siłę i na spryt, którego mu nie brakuje. Przy ojcu nie mógł odgrywać roli głowy rodziny, tak jak to sobie wymarzył, postanowił zatem zostać obrońcą i protektorem mamy, a ona chętnie na to przystała. To zabawne, jak często kobiety potrafią omamić swoich synów, udając przed nimi, że są źle traktowane przez mężów.

Urwał na moment. Christina odezwała się:

- Ciebie nie usiłowała oszukiwać w ten sposób. Zresztą to przecież nie było prawdą. Richard robił wszystko, aby jej pomóc.

James popatrzył na nią. Przez chwilę wyglądał jak mały wystraszony chłopiec, a nie jak dorosły mężczyzna.

- Nie, mną posługiwała się jak piłką - więcej kopniaków niż łapania i przytulania. Działałem jej na nerwy. Nie wiem, czy to o tacie to prawda, czy nie, w każdym razie mama była o tym przekonana. Fakt, że ktoś płaci za drogie kliniki, jeszcze nie oznacza, że nie jest przy tym okrutny. Jestem pewien, że pod koniec ojciec jej nienawidził.

- Tak - powiedziała Christina wolno - przypuszczam, że tak właśnie było. Opowiadał mi, że przez piętnaście lat żył karmiony bezustannymi kłamstwami i bez żadnej nadziei na poprawę losu. James, powiedz mi, dlaczego lubisz swojego brata?

Po raz pierwszy od początku ich rozmowy James uśmiechnął się.

- Ja go właściwie nie lubię - odparł. - Ale kocham go i myślę, że na swój sposób Alan także mnie kocha. Jesteśmy braćmi i istnieje między nami silny związek. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Właściwie nic nas nie łączy, poza wspólnym dzieciństwem, tym domem i rodzicami nienawidzącymi się wzajemnie. Żał mi było mamy, ale jednocześnie pogardzałem nią. Lubię ludzi silnych, a ona była taka słaba, że czasami wydawała mi się wręcz odpychająca. To z jej powodu odwróciłem się od kobiet. Między mną a Alanem zawsze będzie istniała więź. Myślę, że potrzebujemy się wzajemnie.

Christina zawahała się.

- Więc może spróbowałbyś z nim porozmawiać. Nie żebyś miał go przekonywać, by

zrezygnował z tej sprawy, ale żeby chociaż spróbował powściągnąć nieco swój gniew. Może moglibyśmy się spotkać i podyskutować. Ty i ja rozmawialiśmy dziś ze sobą po raz pierwszy i nie okazało się to wcale trudne, prawda? Czy możesz spróbować?

James pokręcił głową.

- Spróbować mogę, ale obawiam się, że i tak nic z tego nie będzie. Alan jeszcze nigdy w życiu nikogo nie posłuchał. Przeciwnie, zawsze oczekuje ode mnie, że to ja się podporządkuję. Tak to już jest między nami. Mam nadzieję, że spotkam się z nim przed powrotem do Stanów, ale to nic pewnego. Alan jest wściekły na mnie o Langley Farm. W jego przekonaniu zadaję się z wrogiem. - Roześmiał się z goryczą. - Dobrze, będę próbował. Wiesz, z czego zdałem sobie nagle sprawę? - Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej: - Po raz pierwszy poczułem się w RussMore naprawdę jak w domu. Tak miło mi się z tobą rozmawiało. A może bym tak odesłał mojego psychoanalityka do wszystkich diabłów, dwa razy w miesiącu wsiadał w concorde'a i przylatywał się z tobą zobaczyć? - Ku jej zdumieniu poklepał ją po ręce. - Mógłbym cię naprawdę polubić, Christa. Na szczęście wracam do Stanów.

Po obiedzie przeszli na kawę do gabinetu, który w porównaniu z dużymi, tudorowskimi salonami był niewielki i przytulny. Christina usunęła ciemne, wzorzyste tapety i pomalowała ściany w odcieniu ciepłej czerwieni. Rezultat tak przypadł Richardowi do gustu, że umieścił tu trzy spośród swoich najlepszych obrazów. Znakomity portret pędzla Reynoldsa przedstawiający oblubienicę jednego z Farringtonów, młodą i niewinną, która wkrótce potem zmarła, wydając na świat dziecko, i stanowiący *pendant* portret jej młodego małżonka, który po śmierci żony jeszcze trzykrotnie wstępował w związki małżeńskie i spłodził jedenaścioro dzieci. Nad kominkiem Richard umieścił portret chłopca na olśniewająco błękitnym tle, dzieło malarza z epoki Tudorów. Okrągła, poważna twarzyczka dziecka, o delikatnej, niemal przezroczystej cerze, otoczona koronkowym czepeczkiem, zdawała się spoglądać wprost na widza. Mała, pulchna dziecięca rączka opierała się na czaszce. Richard wytłumaczył jej, że portret namalowano już po śmierci dziecka, być może wzorując się na wcześniejszym obrazie, który powstał jeszcze za życia chłopca. Anonimowy twórca musiał być nie lada mistrzem.

Christina zobaczyła, że James przygląda się obrazowi.

- Wiem, że to arcydzieło, ale ta czaszka przyprawia mnie o dreszcze. Twój ojciec często pokpiwał sobie ze mnie. Mówił, że pewnego dnia, gdy wejdzie do gabinetu, odkryje, że wzięłam pędzel i zamalowałam ją.

- Dlaczego więc nie przewieszisz tego obrazu? - zdziwił się. - Skoro go nie lubisz,

zastęp ten jakimś innym. Przecież ojca już nie ma. Ja też uważam, że ta czaszka jest okropna.

- To był ulubiony pokój Richarda i nie zamierzam niczego w nim zmieniać - odparła. -
Przynajmniej nie od razu.

- Zawsze sądziłem, że jego ulubionym pokojem była biblioteka - zauważył James. -
Spędzał tam najwięcej czasu, co bardzo irytowało mamę. Kiedyś słyszałem, jak Alan powiedział do niej - a miał wtedy z piętnaście lat: „Cóż on tam tak przesiaduje całymi dniami?” A mama na to: „Prowadzi badania porównawcze z zakresu religii. Tak przynajmniej twierdzi, choć Bóg raczy wiedzieć, co to może znaczyć”. „Co za nudziarstwo” - odparł wtedy Alan, a mama zaczęła chichotać. Po ślubie z tobą pewnie nie przesiadywał tam już tak często. Nie musiał szukać ucieczki. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale sama mówiłaś, że lubił spędzać czas w bibliotece.

- Tak - przyznała Christina. - Jak myślisz, dlaczego?

- Nie wiem, pewnie bez specjalnego powodu. Widzisz, ojciec ciągle stanowi dla mnie coś w rodzaju zagadki. Zastanawiam się, dlaczego przy tobie tak się zmienił. Bo zmienił się tak bardzo, że chwilami nawet trudno mi go rozpoznać, gdy o nim opowiadasz.

- Był szczęśliwy - odparła Christina łagodnie. - Szczęście zmienia ludzi. Wiem, że mnie zmieniło. Odkąd przyjechałam do Anglii, wszystko w moim życiu stało się inne. Twój ojciec sprawił, że stałam się częścią RussMore i zyskałam nową osobowość. - Uśmiechnęła się. - Przekształciłam się w angielską lady. Po wyjściu za mąż odwiedziłam dom rodzinny może ze dwanaście razy. Raz było to po śmierci mamy. Mój ojciec i brat przyjechali kiedyś z wizytą do mnie, ale widziałam, że nie czują się zbyt swobodnie. Ja się zmieniłam i zaczęło nam brakować wspólnych tematów do rozmowy. Obiecałam im, że przyjadę na Boże Narodzenie i przywiozę Lindy. Belinda uważa, że Szwecja jest wspaniała. Nie może się już doczekać wyprawy na narty z wujem. Doskonale się rozumieją, a mój ojciec spędzał z nią znacznie więcej czasu niż z Richardem i ze mną.

- To urocza dziewczynka - powiedział James. - Oczywiście ojciec przepadał za nią. Zżerała mnie zazdrość, gdy przyjeżdżałam tu i widziałem ich razem. Może gdyby któryś z nas był dziewczynką, bardziej by go lubił.

- James - powiedziała Christina miękko - proszę, przestań zadręczać się myślą, że ojciec cię nie kochał. Kochał cię, wiem o tym.

- Jesteś taka miła - odparł lekko. - Nie zadręczam się, po prostu rozważam. Ale wyglądasz na zmęczoną. Nie będę cię przetrzymywał do późna. Wypalę jeszcze jednego rakotwórczego gwoźdź i idę spać.

- A więc dobranoc. Do zobaczenia przy śniadaniu.

Kiedy wyszła, zgasił ledwo co zapalonego papierosa, odczekał kilka minut, po czym otworzył drzwi do holu i zaczął nasłuchiwać. W domu panowała cisza, o ile stare domy w ogóle mogą być ciche. Wszędzie coś trzeszczało i skrzypiało, ale nie słychać było kroków ani głosów ludzkich. Główne światła były pogaszone. James cichutko zamknął za sobą drzwi i prześliznął się w stronę biblioteki. Poruszał się równie ostrożnie jak w czasach dzieciństwa, kiedy to skradał się pod drzwiami, podpatrując sekrety innych. Koniecznie musiał dowiedzieć się wszystkiego, co nie było przeznaczone dla jego uszu. Podsluchiwał kłótnie rodziców i ich rozmowy na temat dzieci, szpiegował pokojówki, potajemnie sprowadzające do domu swoich chłopców. Szpiegowanie stało się jego obsesją. Szpiegowanie i drobne kradzieże. Namiętnie przywłaszczał sobie cudze rzeczy - książki, zdjęcia z wakacji, drobne kwoty nieopatrznie pozostawione na wierzchu. Kradzieże sprawiały, że czuł się pewniej, a zamieszanie, jakie powstawało, gdy odkryto brak jakiegoś przedmiotu, było dla niego źródłem niemałej uciechy. Ostrożnie stąpając na palcach i ciągle nasłuchując, wśliznął się do biblioteki. Nacisnął wyłącznik i pomieszczenie wypełniło się przyćmionym światłem.

- A teraz zobaczymy, co ty tu naprawdę studiowałeś, drogi ojczy - mruknął cicho.

*

- I cóż? - zapytał Alan. - Co udało ci się wyniuchać? - Nie zaprosił Jamesa do Chelsea. Uznał, że bratu należy się nauczka, że trzeba go przywołać do porządku. - Spotkamy się Pod Koroną - rzucił opryskliwym tonem, gdy James zadzwonił. - Dziś wieczorem mamy w domu przyjęcie. Do zobaczenia o wpół do siódmej.

A więc był w niełasce, skoro go nie zaproszono. James przełknął obrazę, tak jak to robił przez całe życie, i powiedział, że będzie Pod Koroną.

Alan uwielbiał puby i, otoczony wianuszkami kumpli, czuł się tam jak ryba w wodzie, podczas gdy James nie znosił hałaśliwej atmosfery tego typu lokali. Teraz zjawił się Pod Koroną punktualnie o wpół do siódmej. Alan się spóźnił. Gdy wreszcie przyszedł, nie powiedział nawet „przepraszam”.

- Jak udała się wizyta? - zapytał od razu. - Dobrze się bawiłeś?

Jest wściekły, pomyślał James. Złość wyziera z jego oczu i sprawia, że każde słowo jest przesycone jadem. James był o trzy cale wyższy od brata i lepiej zbudowany, a jednak Alan chwilami wzbudzał w nim strach.

- Niespecjalnie - odparł. - Christina dostała list od twoich prawników i uświadomiła sobie, że mówiłeś serio o obaleniu testamentu.

- O, jestem pewien, że wreszcie to do niej dotarło. Powinna zdać sobie sprawę, że nigdy nie rzucam słów na wiatr. I co powiedziała? - Popatrzył badawczo na Jamesa.

- Poprosiła mnie, abym pośredniczył między wami. Chciałaby spotkać się z tobą, abyście mogli omówić sprawy. Nie ma zamiaru się poddawać, ale nie chce też walki, jeśli istnieje jakieś inne wyjście.

- A więc wysłała cię z gałązką oliwną - podsumował Alan z wściekłością. - Ona chyba nie wie o tobie zbyt wiele, co?

- Przekazuję ci, co mi powiedziała - odparł James. - Większość czasu spędziła, pytając mnie o wszystko, o ciebie, o mnie, o mamę i ojca.

- Na litość boską! - Alan aż się poderwał. - I ty się zgodziłeś z nią rozmawiać? Co jej nagadałeś? Ty głupcze, ty idioto! Wyciągała z ciebie różne bzdury, by użyć ich potem przeciwko mnie.

- Nie - sprzeciwił się James - nie sądzę, aby miała taki zamiar. Powiedziała, że chciałyby zrozumieć, dlaczego ty i ojciec tak bardzo nienawidziliście się wzajemnie, jak ja się czułem w tym wszystkim, co się stało z mamą. Wiem, że jej nie znosisz, ale widzisz, ojciec nigdy nic jej nie mówił. Wiesz, jaki on był niekomunikatywny.

- To prawda - zgodził się Alan. - Nigdy ze mną nie rozmawiał, tylko wydawał mi polecenia. Gdyby choć raz usiadł z mamą i próbował ją przekonać, zamiast wysyłać ją do tych cholernych klinik, aby inni się nią zajęli... - Urwał, pogrążony w bolesnych wspomnieniach.

James nawet nie próbował z nim dyskutować. Alan był faworytem i jedynym powiernikiem matki. Przyjął jej punkt widzenia i nie docierały do niego żadne argumenty. James wystarczająco dużo nasłuchiwał się o problemach narkomanii w Nowym Jorku, by wiedzieć, że próba racjonalnego przekonania nałogowca nie ma najmniejszego sensu. Nic, co Richard Farrington mógłby powiedzieć albo zrobić, nie pomogłoby jego żonie, ponieważ ona sama nie chciała sobie pomóc.

Alan ocknął się z zamyślenia.

- No i co jej powiedziałeś o naszej szczęśliwej rodzinie? Na przykład o mnie?

- Nic - skłamał James. - Rozmawialiśmy głównie o ojcu. Pamiętasz, ile czasu spędzał zamknięty w bibliotece? Po ślubie z nią nie robił tego już tak często. Wiem, że będziesz wściekły o to, co teraz powiem, zresztą ja też nienawidzę tej myśli, ale uważam, że on był z Christiną szczęśliwy. Czuł się z nią zupełnie inaczej niż z naszą biedną mamą. Był też oddanym ojcem. Sam widziałem, dosłownie przepadał za tym dzieckiem.

Mówił to z całkowitym spokojem, wiedząc, że każdym słowem zadaje cios Alanowi, czyniąc go nieprzytomnym z zazdrości. Rzadko zdarzała mu się szansa wzięcia odwetu na bracie za jego szykany, ale czasami odważał się na takie ryzyko. Potem, pragnąc załagodzić

sytuację, dodał:

- Zawsze się zastanawiałem, co ojca tak fascynowało w bibliotece, że spędzał tam tyle czasu. Przeglądał dokumenty, czytał te wszystkie szpargały, które tak pieczołowicie zgromadził? Zdaje się, że dotyczyły głównie religii. Czyżby pasjonował się religiami świata?

- Skąd mam to wiedzieć, do cholery? - wybuchnął Alan. - Może zbierał pornografię? - Jego oczy zabłysły podejrzliwie. - A skąd u ciebie to nagle zainteresowanie?

- Przecież ta kolekcja, czy jak ją nazwiemy, stanowi część majątku. I to wszystko przejdzie na naszą drogą siostrzyczkę Belindę. RussMore i wszystko, co się w nim znajduje, a co powinno należeć do ciebie. Na twoim miejscu też bym się tym zainteresował.

Alan nie odpowiedział. Znał Jamesa lepiej, niż ten przypuszczał. James wyraźnie rozgrywał jakąś własną grę, przedtem z Christiną, a teraz z nim. To był jego zwykły sposób postępowania, który dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Alan nigdy nie zaprzętał sobie głowy rozważaniami, jakie motywy kierują bratem, teraz jednak wyczuł w nim nieszczerłość i to kazało mu mieć się na baczności. Wykorzystywał Jamesa, jak tylko mógł, ale nigdy mu nie dowierzał. Dokończył drinka i powiedział:

- A więc chce się spotkać, tak?

James starał się nie okazywać zdziwienia.

- Tak, właśnie prosiła mnie, abym z tobą porozmawiał. Chciałaby, abyście się spotkali i omówili wszystkie kwestie. - Sięgnął po pusty kieliszek Alana. - Napijesz się jeszcze?

- Nie - warknął Alan. - A ty, jeśli chcesz palić, musisz z tym zaczekać, aż sobie pójde. Co za cholerny nałóg.

James posłusznie odłożył papierosa.

- Co o tym sądzisz? Może rzeczywiście byłoby dobrze, gdybyście spokojnie usiedli przy stole i porozmawiali. Oszczędziłoby to masę kłopotów i forsy. Tylko prawnicy bogacą się na podobnych historiach, sam wiesz najlepiej.

- A więc przeciągnęła cię na swoją stronę! - wybuchnął Alan. - Odkąd to zależy ci na uniknięciu kłopotów? Nie próbuj mnie oszukiwać. To całe gówno nie musi cię obchodzić. Zgarniesz forszę za Langley Farm i możesz sobie siedzieć w Nowym Jorku i przyglądać się przedstawieniu. Coś ci powiem. - Alan pochylił się do przodu. - Spotkam się z nią. Możesz jej to powtórzyć. Ale miejsce i czas ja wybieram. A teraz spadam, przyjęcie zaczyna się o ósmej. Zadzwoń do mnie przed wyjazdem.

Wstał i zaczął się przepychać przez tłum pijących. James zapalił papierosa i zamówił kieliszek wina. Nie miał bratu za złe jego opryskliwości. Kolejny afront też nie zrobił na nim wrażenia. Tym razem to on sprawował kontrolę nad sytuacją. Dysponował czymś, co mogło

pomóc Alanowi. Postanowił jednak, że na razie mu o tym nie powie. Poczekaj, a potem wybierze odpowiedni moment, żeby wprawić w ruch wszystkie marionetki.

*

- Przykro mi, pani Farrington, ale pan Stone będzie przez cały dzień poza biurem. Połączę panią z panem Wallbergiem.

Zanim Christina zdążyła zaprotestować, Rolf już podnosił słuchawkę.

- Pani Farrington? Czym mogę służyć?

Christina zawahała się. Przed nią leżał otwarty list. Humfrey Stone wyszedł i już go dzisiaj nie złapie. Doprawdy nie może czekać, aż on wróci.

- Otrzymałam list od mojego pasierba Alana z prośbą o spotkanie - powiedziała. - Jutro w jego biurze w Londynie. Chciałam to panu powiedzieć, zanim się z nim zobaczę.

Rolf myślał gorączkowo. Takiego posunięcia ze strony Farringtona nie przewidział.

- Proponuje pani spotkanie? Jestem zdumiony. Jaki jest ton jego listu?

- Przeczytam panu - odparła. - „Christino, James powiedział, że chcesz porozmawiać. Bądź w moim biurze jutro o piątej. Alan”.

- To brzmi jak ultimatum, a nie jak zaproszenie - zauważył Rolf.

- Dlaczego wystąpiła pani z taką inicjatywą, nie skontaktowawszy się uprzednio z nami?

- Nie muszę się panu z tego tłumaczyć, panie Wallberg. Po prostu informuję pana, że idę na spotkanie z pasierbem. To zwykła uprzejmość z mojej strony.

Rolf przerwał jej szybko; sądząc z jej tonu, gotowa była odłożyć słuchawkę.

- Proszę zaczekać, pani Farrington. Przykro mi, jeśli moje słowa zabrzmiały impertynencko. Sprawa jest poważna. Proszę posłuchać. Pani wybiera się jutro do Londynu, tak?

- Tak - odparła Christina z mocą. - Powiedziałam już, że jadę spotkać się z moim pasierbem.

- W porządku - zgodził się Rolf. - To oczywiście pani decyzja, ale byłoby lepiej, gdybyśmy mogli się przedtem zobaczyć i przedyskutować, co powinna mu pani powiedzieć. Naprawdę uważam, że powinniśmy porozmawiać, zanim uda się pani na spotkanie z nim. Mogę przyjechać do RussMore jeszcze dzisiaj po południu, jeśli odpowiada to pani bardziej niż spotkanie w Londynie. Bardzo proszę.

- Nie widzę powodu do takiego pośpiechu - zaprotestowała Christina.

Rolf odetchnął z ulgą. Przynajmniej osiągnął tyle, że nie odłożyła słuchawki.

- W końcu najgorsze, co się może zdarzyć, to to, że Alan zachowa się grubiańsko, a

wtedy po prostu wyjdę. Ale moim obowiązkiem jest próbować uniknąć procesu.

Rolf dostrzegł otwierającą się przed nim możliwość i nie wahał się ani chwili.

- Reprezentuję dokładnie ten sam punkt widzenia. W tym względzie różnimy się z Humfreyem. Uważam, że za wszelką cenę powinna pani dążyć do polubownego załatwienia sprawy, bez wikłania się w długotrwałą przeprawę w sądzie.

Christina zawahała się.

- Jestem zdumiona, słysząc, że pan to mówi. Spodziewałam się, że będzie pan nastawiony o wiele bardziej wojowniczo niż Humfrey. Co pana tak niepokoi w moim spotkaniu z Alanem?

- Wszystko - odparł Rolf. - Proszę pozwolić mi przyjechać, a wtedy to pani wyjaśnię. Czy siedemnasta trzydzieści będzie odpowiednią porą?

Ale o piątej zadzwoniła jego sekretarka i powiedziała, że Rolf się spóźni i przyjedzie dopiero przed siódmą. W trakcie tego telefonu Rolf ciągle był w biurze. Ani przez chwilę nie miał zamiaru przyjeżdżać punktualnie. Zaplanował sobie, że zjawi się w RussMore na tyle późno, aby musiała zaprosić go na kolację. Konieczne było pozyskanie jej całkowitego zaufania. Christinę cechowała uczciwość i niezależność, tak charakterystyczne dla narodu, z którego się wywodziła, a oprócz tego wielka odwaga. Znał ten typ ludzi, choć sam się za takiego nie uważał. Nie będzie łatwo ją oszukać. Ale nie odczuwał żadnych skrupułów; skrupuły nie pasowały do jego zawodu.

- Mamusiu, o której godzinie przyjedzie pan Wallberg?

- Koło siódmej - odparła Christina.

Belinda zebrała swoje długie, ciemne włosy w koński ogon i ściągnęła go kolorową gumką. Zapowiadała się raczej na interesującą kobietę niż na piękność. Po ojcu odziedziczyła intelekt, połączony z dużym talentem artystycznym. Rysunki i próbki malarskie Belindy były naprawdę oryginalne. Jej miłość do kucyków stanowiła typowe zainteresowanie nastolatki, ale poza tym Belinda była poważnym dzieckiem i wszystko wskazywało na to, że wyrośnie na samodzielną, inteligentną kobietę. Nie zdradzała zbytniego zainteresowania chłopcami, choć spotykała ich często na okolicznych przyjęciach. W porównaniu z wieloma jedenastolatkami była raczej dziecinna i jej rodzice odetchnęli z ulgą, że nie muszą borykać się z problemami dojrzewania.

Zainteresowanie córki szwedzkim prawnikiem zdumiało Christinę.

- Skoro przyjedzie tak późno, będzie musiał zostać na kolacji - powiedziała.

Belinda zauważyła brak entuzjazmu w głosie matki.

- Nie lubisz go, mamusiu?

- Niespecjalnie. - Christina zawsze szczerze odpowiadała na bezpośrednie pytania i starała się wpajać w Belindę tę samą zasadę.

- Dlaczego? Mnie on się wydaje bardzo miły.

- Lindy, spotkałaś go zaledwie jeden raz. Mówił rzeczy, które chciałaś usłyszeć, i stąd twoja sympatia.

- Ale on mówił serio - odparła Belinda. - Wyczuwam, kiedy ktoś nie jest szczerzy, i nienawidzę tego. On nie był taki. Czy będę mogła zjeść z wami kolację?

Christina pogłaskała długi koński ogon córki.

- Kochanie - powiedziała - on tu przyjeżdża w interesach. Możesz zjeść kolację w gabinecie przy telewizorze. Zresztą może nawet nie zechce zostać. Jeśli wyjedzie wcześniej, zjemy razem.

- Myślałam, że go lubisz - nalegała Belinda. - On jest Szwedem, tak jak ty.

Christina zaprzestała dalszej dyskusji. Córka potrafiła być uparta i Christina doskonale wiedziała, po kim odziedziczyła ten rys charakteru. Ona sama w rozmowie z rodzicami upierałaby się w identyczny sposób.

Na dole zaszczekał stary terier Richarda.

- To chyba pan Wallberg - powiedziała Christina. - Zejdę na dół. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną i przywitać się z nim. Ale nie zostawaj długo. Chciałabym jak najprędzej mieć za sobą jego wizytę.

Wallberg czekał w wykładanym boazerią saloniku. Na ich widok podniósł się z uśmiechem.

- Przepraszam, pani Farrington, jestem nieprzyzwoicie spóźniony. Mam nadzieję, że moja sekretarka przekazała pani wiadomość.

- Tak - odparła Christina. - Proszę się nie przejmować spóźnieniem, wszystko jest w porządku. Lindy chciała się z panem przywitać.

Rolf uściskał dłoń dziewczynki. Christina zdumiała się, widząc w jego spojrzeniu autentyczne ciepło i czułość.

- Cześć, Lindy. Jak tam wakacje?

Belinda uśmiechnęła się.

- Wspaniale. Byłam u przyjaciółki i jeździłam na kucach. Ona ma świetnego kuca. - Popatrzyła figlarnie na matkę. - Usiłuję przekonać mamę, żeby mi kupiła porządnego wierzchowca. Wtedy mogłabym konkurować z przyjaciółką. Mój staruszek potrafi zdobyć się co najwyżej na trucht.

Rolf roześmiał się.

- Jestem pewien, że twoja mama pomyśli o tym. Postaram się ją przekonać.

W rozmowie z Belindą Rolf był naturalny i bezpośredni. Zupełnie inaczej zachowywał się wobec niej; był skupiony i kalkulujący. Christina nie potrafiła tego dokładnie sprecyzować, ale czuła w jego towarzystwie pewien dyskomfort.

- Lindy, mam pewne sprawy do omówienia z panem Wallbergiem, więc idź na górę i zajmij się sobą, kochanie.

Czekali w milczeniu, dopóki dziewczynka nie zniknęła za drzwiami.

- Czy mogę zaproponować panu drinka? - zapytała Christina. - I proszę spocząć.

- Poproszę wódkę z lodem - odparł. - Czy przygotować drinki?

Na stoliku z orzechowego drewna stała przygotowana taca. Zgodnie z życzeniem Richarda drinki przed kolacją zawsze pijali tylko we dwoje, gawędząc o wydarzeniach minionego dnia. Nawet ukochanej córce nie wolno było im wtedy przeszkadzać. Drinki zawsze przygotowywała Christina.

- Nie, dziękuję, sama się tym zajmę.

Wzdrygnęła się lekko, widząc, że Wallberg zajmuje krzesło Richarda. Oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, mimo to Christina poczuła się nieswojo. Nalała wódkę, dodała pokruszonego lodu i cytryny, dla siebie przygotowała słabą wódkę z tonikiem. Usiadła naprzeciw Rolfa.

- To bardzo miło z pana strony, że zechciał pan pofatygować się do RussMore - powiedziała.

- Naprawdę wydawało mi się to konieczne. I jeszcze raz przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem pani w wieczornych planach.

Cała ta uprzejmość, te dżentelmeńskie maniery absolutnie do niego nie pasują, pomyślała. Wolałaby, żeby przestał się tak krygować i był po prostu sobą.

- Nie, nie miałam zamiaru nigdzie wychodzić. Chciałyśmy z Lindy zjeść spokojnie kolację.

Rolf skosztował drinka i powiedział:

- Świetna wódka. Czy to stoliczna?

- Richard nie uznawał żadnej innej. Dla mnie jest za mocna. Mój mąż zawsze powtarzał, że ja topię w wodzie cały alkohol. - Uśmiechnęła się lekko, jednak nie do Rolfa, tylko na wspomnienie Richarda i jego żartów. - A teraz, panie Wallberg, proszę mi powiedzieć, dlaczego tak pana niepokoi moje spotkanie w pasierbem.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Ponieważ uważam, że jest to rodzaj pułapki - odparł. - Pani zostawiła mu otwarcie, a

on to skwapliwie wykorzystał. Bynajmniej nie dlatego, że pragnie pokojowego rozwiązania, ale dlatego, że uważa to za przejaw pani słabości. Kto jeszcze będzie obecny podczas tego spotkania? Jego doradcy prawni? Nic o tym nie wspomina. Po prostu przysłał pani ten list, który ja odczytuję jako bezczelne ultimatum. Czy mogę panią o coś zapytać? Skąd ten pomysł, aby skontaktować się z nim osobiście? W liście wspomniał o Jamesie, pani drugim pasierbie. Jaki jest jego udział w tym wszystkim?

- James przyjechał tu z wizytą - odparła. - Sama go poprosiłam, aby porozmawiał z Alanem.

Rolfowi wszystko zaczęło się układać w pewien wzór. Najpierw James, powodowany chęcią przypodobania się bratu, pojawił się w RussMore na przeszeptki, a potem zdał Alanowi pełny raport ze swojej misji. Christina sama dała mu broń do ręki i teraz Alan zamierzał się nią posłużyć.

Christina dostrzegła wyraz twarzy prawnika i pomyślała nagle, że Wallberg potrafi być równie bezwzględny jak Alan Farrington. A jednak - co było zdumiewające - uważał, że powinna dążyć do polubownego załatwienia sprawy.

Rolf zauważył, że Christina taksuje go wzrokiem.

- Pani Farrington - odezwał się łagodnie - nie musi mnie pani lubić, ale powinna mi pani zaufać. Jestem pani doradcą prawnym, jestem po pani stronie i czułbym się o wiele lepiej, gdyby zwracała się pani do mnie po prostu Rolf. Bardzo proszę.

Zauważył, że się zaczerwieniła.

- Przepraszam, nie chciałam, aby to tak wypadło. Zachowałam się jak stary zgred. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Proszę mi wybaczyć.

- Stary zgred? Nigdy przedtem nie słyszałem tego wyrażenia.

- Ja także nie, dopóki tu nie przyjechałam. Typowo angielskie powiedzonko z lat sześćdziesiątych. Oznacza niechęć wobec kogoś, brak aprobaty. Ale Anglicy mają tyle dziwacznych wyrażeń.

- Sami są bardzo dziwni. My, Szwedzi, jesteśmy otwarci, łatwo nas zrozumieć. Anglików - nigdy. Zastanawiam się, jakim sposobem nauczyła się pani być tu szczęśliwa. Przecież tutaj wszystko jest zupełnie inne niż w Szwecji.

- Nauczyłam się kochać ten kraj - odparła. - I proszę nie zapominać, że miałam wspaniałego męża. Rzeczywiście zyskanie przyjaciół zajmuje trochę czasu. Anglicy nie zaakceptują nikogo, dopóki się nie sprawdzi, ale kiedy już zaakceptują, są najwspanialszymi przyjaciółmi na świecie.

Urwała, uświadomiwszy sobie nagle, że niepostrzeżenie przeszli na szwedzki, przez

co atmosfera stała się bardziej intymna. Jakby wyczuwając to, Rolf powiedział po angielsku:

- To było bardzo miłe. Przez chwilę poczułem się zupełnie jak w domu. Ale nie mogę niepotrzebnie zabierać pani czasu ani zapominać, po co się tu znalazłem. Co ma pani zamiar powiedzieć swojemu pasierbowi?

Zawahała się.

- Zamierzam mu powiedzieć, że rozumiem jego rozgoryczenie. Dopóki nie porozmawiałam z Jamesem, nie miałam pojęcia, jakie było jego dzieciństwo, jak bardzo cierpiał, gdy jego matka wpadła w nałóg i później umarła. Zamierzam mu powiedzieć, że nie jestem jego wrogiem - Rolf skinął głową - ale nigdy nie postąpię w sposób sprzeczny z wolą Richarda. Alan może dostać wszystko, co Richard zapisał mnie osobiście, jednak nigdy RussMore.

- A to jest jedyna rzecz, na której mu zależy - dokończył Rolf. - I myśli pani, że on pani wysłucha?

- Nie wiem - odparła spokojnie - ale muszę dać mu szansę. Alan i James sporo przecierpieli w dzieciństwie. To wiele tłumaczy.

- Niejeden człowiek przeszedł w życiu koszmar i bynajmniej nie stał się łajdakiem z tego powodu. Czasami bywało wręcz odwrotnie. Nie wierzyłbym za bardzo we wszystko, co mówi James. Czy pani uważa, że jej zmarły mąż był złym ojcem?

- Nie - powiedziała szybko. - Na pewno nie. Richard był typowym przedstawicielem swojego pokolenia i sposobu wychowania. Jego małżeństwo okazało się prawdziwym koszmarem; wieczna troska, nikłe przebłyski nadziei, że może ta kuracja albo tamten psychiatra wreszcie pomoże żonie... rozczarowanie, gdy ponownie sięgała po heroinę. Nastawiała Alana przeciwko Richardowi, opowiadała mu różne rzeczy na temat ojca, zmuszała do opowiedzenia się po jej stronie. Jamesa w jednej chwili rozpieszczała, by w następnej odepchnąć go od siebie. To było okropne, taka ciągła huśtawka nastrojów.

- Tak - powiedział Rolf. - Zna pani to powiedzenie: „Pokaż mi narkomana, a pokażę ci manipulatora i kłamcę”. To brutalne, ale prawdziwe. Jeśli koniecznie chce się pani spotkać ze swoim pasierbem, proszę mi pozwolić pójść z panią.

- Nie, to byłoby zbyt prowokacyjne. Nie mogę zacząć od agresji.

Rolf mógł sobie wyobrazić to spotkanie: dobre intencje z jej strony, współczucie dla pasierba, nadzieja na rozsądną rozmowę. Doskonale wiedział, jaka będzie reakcja Alana Farringtona. Ta prosta szwedzka dziewczyna, która została angielską damą, będzie się jeszcze musiała wiele nauczyć. Na siłę odpowiada się większą siłą, inaczej człowiek przegrywa.

Dokończył drinka, rozsiadł się wygodniej w fotelu i powiedział:

- Chyba zdaje sobie pani sprawę, że Alan może mieć ukryty magnetofon i nagrywać wszystko, co pani powie, łącznie z pani ofertą rezygnacji z osobistych legatów?

Christina natychmiast odrzuciła tę myśl.

- Takie rzeczy zdarzają się w powieściach szpiegowskich, ale nie w normalnym życiu.

- Podobne wypadki zdarzały się już niejednokrotnie. A więc nie przekonam pani, aby pozwoliła mi pani pójść z sobą?

- Obawiam się, że nie.

Rolf zamilkł na moment. Robił widoczne postępy. Christina nie była już taka spięta jak na początku ich rozmowy. Popatrzył na zegarek.

- Nie pozwalam pani zjeść kolacji. Dochodzi ósma, więc będę się zbierał.

Christina wstała, sięgając po jego szklaneczkę.

- Jemy dopiero o wpół do dziewiątej. Proszę zostać na kolacji. Może uda nam się porozmawiać o czymś innym, a nie tylko o tej okropnej sprawie. Czy wypije pan jeszcze jednego drinka?

- Dziękuję, z przyjemnością. Przyjmuję pani zaproszenie. Nie będziemy wspominali ani o pani pasierbie, ani o testamencie. Z pewnością znajdziemy niejednego temat do rozmowy.

Jadalnia była niewielka i ciemna, o ścianach pokrytych masywną boazerią. Rolf zwrócił uwagę na piękne srebra z leciutką patyną starości. Posiłkowi towarzyszyły wyśmienite wina. Zauważył też, że Christina w świetle świec wygląda szczególnie pięknie. Miała wyjątkowo szlachetny zarys czaszki, co wskazywało, że będzie się starzała z wdziękiem, jasnoniebieskie, typowo nordyckie oczy o głębszym odcieniu niż jego własne, i pełne, zmysłowe usta. Nic dziwnego, że Richard Farrington się w niej zakochał. Zaczęła go pytać o jego życie. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że z jej strony jest to wyłącznie uprzejmość, a nie prawdziwe zainteresowanie, ale zawsze był to krok naprzód w ich wzajemnych stosunkach. Rodzeństwo? Nie miał ani siostr, ani braci. Był sierotą, adoptowanym przez małżeństwo z Göteborga. Dobrzy ludzie, ale surowi. Po luterzańsku surowi, dodał, a Christina odpowiedziała na to.

- Wiem, co pan ma na myśli. Moi rodzice byli zupełnie inni; otwarci i liberalni. Ojciec zawsze nas zachęcał, abyśmy samodzielnie podejmowali decyzje i postępowali zgodnie z naszymi planami. Kościół nie zajmował w naszym życiu zbyt wiele miejsca. Bogiem mojego ojca była prawda. Karał nas jedynie za kłamstwo.

- Miała pani szczęście - zauważył. - Mnie bito bez względu na to, czy mówiłem prawdę, czy kłamałem. Wcześniej nauczyłem się, że najlepiej jest nic nie mówić. Może właśnie dlatego zostałem prawnikiem; teraz przynajmniej mogę mówić, ile chcę. Moi rodzice

byli dumni ze mnie i z mojego sukcesu zawodowego, jednak bardzo wcześnie powiedzieli mi, że nie są moimi prawdziwymi rodzicami. Myślę, że to nigdy nie jest bez znaczenia. Odwiedzałem ich jako dorosły człowiek, ale nie było między nami prawdziwego porozumienia. Teraz oboje nie żyją.

Popatrzyła na niego i twarz jej złagodniała.

- Wszystko to brzmi tak przygnębiająco.

Nietrudno wzbudzić jej współczucie. Pod tym względem nie miał żadnych skrupułów, w końcu wszystko, co powiedział, było prawdą. Z przybranymi rodzicami los wyplatał mu paskudnego figla.

- A co pan robi oprócz tego, że jest pan prawnikiem? Czy jest pan żonaty?

- Nie i nigdy nie byłem. Nie lubię zobowiązań. Miewam przyjaciółki i nie pragnę innego rodzaju związków. Jeżdżę na nartach, ale proszę mi pokazać Skandynawa, który tego nie robi, i kolekcjonuję stare rękopisy.

- Co za zbieg okoliczności. Richard także się tym interesował.

Rolf opuścił powieki, aby ukryć podniecenie.

- Naprawdę? To prawdziwy zbieg okoliczności. W testamencie nie ma żadnej wzmianki o jego zbiorach. Może nie miały specjalnej wartości?

- Nawet nie wiem - przyznała. - Richard miał zwyczaj zamykać się czasami w bibliotece. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To było jego hobby, ja się na tym nie znałam. Kiedy poznaliśmy się w Sztokholmie, wspominał mi raz, że zaszedł do pewnego antykwariatu i natrafił tam na coś wspaniałego. Nie pamiętam, co takiego wtedy kupił, ale był bardzo podniecony. James także wspominał o tym hobby. Twierdził, że Richard miał na tym punkcie prawdziwą obsesję, że gdy byli mali, zamykał się w bibliotece na całe godziny. Bardzo ich to irytowało, podobnie jak ich matkę. Wspominał coś o badaniach porównawczych z dziedziny religii, ale obawiam się, że tak naprawdę nie wiem, co to znaczy.

- Studiowanie religii przez porównywanie Pisma i zwojów - wyrecytował Rolf. - Słyszałem o tym, to bardzo hermetyczna wiedza. Nie wiedziałem, że pani mąż był takim intelektualistą. Humfrey Stone opisał go raczej jako staroświeckiego angielskiego dżentelmena.

- Bo nim był - powiedziała Christina. - Obdarzonym wspaniałym poczuciem humoru i kochającym sercem.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem odezwał się:

- Złożyła mu pani niezwykły hołd. Ile kobiet potrafiłoby powiedzieć coś takiego o swoich mężach? Pewnie niewiele. - Popatrzył na zegarek, odsunął krzesło i dodał: - Jeśli mi

pani wybaczy, nie zostanę już na kawie. Podróż powrotna zajmie mi dobre dwie godziny.

Christina zareagowała tak, jak zareagowałyby, mieszkając w Sztokholmie. Zresztą gościnność była tradycją Farringtonów.- Wypił pan zbyt wiele, żeby prowadzić. Policja drogowa w Lincolnshire jest bardzo surowa, więc lepiej niech pan zostanie na noc. Zawsze mamy przygotowany pokój gościnny. Richard nigdy nie pozwalał gościom odjeżdżać po obiedzie, chyba że nie pili alkoholu.

Rolf uśmiechnął się.

- Czy nauczył się tego od pani?

- Nie, od przyjaciół, którzy w ten sposób stracili prawo jazdy. Naprawdę proszę zostać.

Zawahał się. Nie chciał spędzać tu nocy, to było zbyt wielką pokusą, choć jednocześnie był to wielki krok na drodze do zdobycia jej zaufania.

- Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony. A może mogłaby mi pani pokazać rękopisy męża? Byłbym bardzo zainteresowany.

- Z przyjemnością, pod warunkiem, że potrafiłabym je odszukać wśród książek i innych papierzysk w bibliotece. Jeśli przyjedzie pan jeszcze kiedyś, możemy spróbować.

Musiał zadowolić się tą obietnicą.

3.

Kiedy Christina zeszła na śniadanie, Wallberga już nie było. Gospodyni podała jej liścik od niego:

Dziękuję za kolację i przemiły wieczór. Będę w firmie przez cały dzień, na wypadek gdyby mnie Pani potrzebowała. Proszę zadzwonić do mnie po spotkaniu. Rolf.

Christina wyrzuciła kartkę. Ranek miała wypełniony zajęciami. Postanowiła, że pojedzie do Londynu bezpośrednio przed spotkaniem z Alanem, a potem wróci prosto do domu. Belinda zaprosiła przyjaciółkę, żeby spędziła z nią dzień i przenocowała. Była bardzo samodzielnym i przedsiębiorczym dzieckiem. Rodzice kochali ją, ale nigdy jej nie rozpieszczali ani nie psuli, tak że nie miała żadnych kompleksów i zahamowań, w przeciwieństwie do obu synów Richarda.

Christina była zadowolona, że ma tyle zajęć. Praca pozwalała jej opanować zdenerwowanie, jakie ogarniało ją na myśl o spotkaniu z Alanem. Postanowiła przemówić do niego rozsądnie i starać się załagodzić jego gniew i rozgoryczenie, które z ojca przelał teraz na nią.

Przed wszystkim nie pozwolę się zastraszyć, powtarzała w myślach, podjeżdżając pod biurowiec w Holborn. Budynek był wysoki i niemal całkowicie przeszklony. Masywne litery nad wejściem głosiły: „Farrington Fast Food”. Biuro Alana znajdowało się na najwyższym piętrze. Na spotkanie Christiny wyszła sekretarka, elegancka, kompetentna kobieta ze zdawkowym uśmiechem na twarzy. Zapukała do drzwi gabinetu i Christina usłyszała głos dobiegający z wnętrza pokoju:

- Proszę wejść.

- Pani Farrington do pana.

Christina weszła do środka i znalazła się twarzą w twarz z pasierbem. Alan nie wyszedł jej naprzeciw. Stał w miejscu, mając za plecami okno, za którym rozciągał się wspaniały widok na niebo, zasnuwane skłębionymi chmurami gnanymi wiatrem i dachy sąsiednich budynków.

- Dzień dobry, Alanie - powiedziała Christina.

Przez moment nie odpowiadał, wpatrując się w nią wzrokiem przepełnionym gniewem. W końcu odwrócił głowę.

- Chciałaś się ze mną widzieć - odezwał się szorstko. - Siadaj. Mam spotkanie o szóstej piętnaście, więc załatw sprawę krótko.

Christina podeszła do krzesła. Czowała, że pod wpływem impertynencji pasierba zaczyna

się rumienić, ale nie pozwoliła się wyprowadzić z równowagi. Usiadła powoli, rozpięła zakiet i popatrzyła na Alana spokojnie.

- Dlaczego także nie usiądziesz? Nie przyszłam tu, aby się kłócić, i nie zamierzam dać się sprowokować. Chcę spróbować przedyskutować z tobą całą sprawę. Czy nie możemy porozmawiać jak dwoje rozsądnych ludzi, zamiast skakać sobie do gardeł?

Alan zmierzył ją zimnym spojrzeniem.

- Tu nie ma o czym dyskutować - powiedział. - Mam zamiar zakwestionować testament i z pewnością wygram sprawę.

- Nie sądzę - odparła ze spokojem. - Jeśli sprawa oprze się o sąd, wygraną stroną będą wyłącznie adwokaci. Możesz obrzucać mnie błotem, jeśli taka jest twoja wola, ale twój ojciec zasięgnął porady najlepszych prawników i testament jest nie do obalenia. Przyszłam tu, aby złożyć ci pewną propozycję.

Alan uśmiechnął się. W jego uśmiechu było jawne szyderstwo.

- Ach tak? No to posłuchajmy.

- Oddam ci wszystko, co twój ojciec zapisał mnie, a co nie stanowi części majątku powierniczego; pieniądze, jego osobiste udziały, wszystko. Więcej nie mogę zrobić. Nie mam ci do zaoferowania nic poza tym, ponieważ RussMore należy do Belindy. - Pochyliła się do przodu. - Alanie - powiedziała - nie jestem twoim wrogiem. Chciałabym, abyśmy zostali przyjaciółmi. Po co pielęgnować starą nienawiść? Nic nie wróci życia twojej matce ani nie zmieni sposobu, w jaki ty i twój ojciec odnosiliście się do siebie wzajemnie. Twoi rodzice nie żyją i ta część twego życia należy już do przeszłości. Ja nie byłam niczemu winna. Uwierz mi, że teraz, gdy wiem więcej na ten temat, bardzo współczuję tobie i Jamesowi.

Alan odchylił się w krześle, jakby pragnąc odsunąć się od niej. Nastąpiła chwila ciszy. Alan nie patrzył na nią, więc nie mogła domyślić się jego reakcji. Podniósł z biurka jakąś teczkę, otworzył i zaczął przeglądać. Nagle podniósł głowę i spojrzał wprost na Christinę.

- To, co trzymam w ręku - powiedział, wyraźnie akcentując każde słowo - to raport na twój temat, sporządzony przez prywatną firmę detektywistyczną ze Sztokholmu. Potwierdza wszystko, co podejrzewałem już od dawna. Byłaś niezłą dziwką... zabawiałaś się z całym mnóstwem przyjaciół... Popatrzmy tylko... - Przekartkował kilka stron. - O tutaj, niejaki Jan Borg pieprzył cię aż do momentu, kiedy poznałaś mojego ojca, zgadza się? Kiedy wystawił cię do wiatru, natychmiast poderwałaś starego w parku. Wychodząc za męża, byłaś w ciąży, tak? Z dzieckiem Borga?

Christina nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo pobađła. W gniewie jej cera zawsze przybierała niemal popielaty odcień. Alan odczytał jej reakcję zupełnie błędnie.

- Ty spryciaro - mówił dalej - udało ci się omotać starego głupca, ale daleko na tym nie zajdziesz. Udowodnię, że twój bękart nie jest Farringtonem, a to rozpieprzy cały testament. W ustawie powierniczej wyraźnie jest powiedziane, że tylko Farrington może dziedziczyć RussMore. Możesz sobie schować swoją propozycję do kieszeni. Lepiej zatrzymaj pieniądze, które ci zapisał. Przydadzą ci się, kiedy zabiorę całą resztę.

Christina wstała, podeszła do biurka Alana i powiedziała:

- Przed śmiercią twój ojciec powiedział, że masz złą krew, odziedziczoną po matce. Nie rozumiałam, co chciał przez to wyrazić, ale teraz już rozumiem. Skrzywdziłbyś dziecko. Belinda jest jego dzieckiem. Będę walczyć do upadłego. Nigdy, przenigdy nie dostaniesz tego domu, bez względu na to, ile będzie mnie to kosztowało.

Po tych słowach odwróciła się i wyszła, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

Kiedy już siedziała w samochodzie i usiłowała uruchomić silnik, jej ręce drżały tak silnie, że przez dłuższą chwilę nie potrafiła przekręcić kluczyka w stacyjce. Nagle wybuchnęła potokiem szwedzkich słów, jakby zapominając, kim się stała przez te wszystkie lata. Na powrót była Christiną Nordohl i teraz obrzucała Alana przekleństwami w swoim ojczystym języku. Przedtem było jej go szczerze żal. Miała nawet poczucie winy z powodu tego, co uczynił mu Richard. Wyobrażała sobie, jak okropnie musiał czuć się ten buntowniczy, nie rozumiany przez nikogo chłopiec, widząc, jak jego matka pogrąża się w nałogu, a potem po pijanemu topi się w basenie. Gorąco mu współczuła i była nawet gotowa oddać wszystko, co Richard zapisał jej osobiście, byleby wynagrodzić Alanowi doznana krzywdę.

- Och - powiedziała na głos, budząc tym zdziwienie kierowcy, który zatrzymał się na czerwonym świetle tuż obok niej - ty cholerna idiotko. - Angielskie i szwedzkie wyrazy przeplatały się nawzajem. - Ty tępogłowa kretynko. Żeby współczuć temu łajdakowi, tej brudnej, zapowietrzanej świni.

Samochód jadący za nią zaczął trąbić. Ciągłe płonąc oburzeniem, ruszyła z takim impetem, że musiała gwałtownie przyhamować. Teraz oprócz furii poczuła, że do jej serca zaczyna się wkradać zimny, paraliżujący strach. Jej gniew jakby się wypalił. Alan dysponował raportem o jej prywatnym życiu, z czasów przed poślubieniem Richarda. Te słowa, którymi w nią rzucił: „Byłaś niezłą dziwką... zabawiałaś się z całym mnóstwem przyjaciół”. Jej sympatie z czasów szkolnych i dwa krótkie związki z mężczyznami, kiedy już ukończyła dwadzieścia lat, przedstawił jako coś brudnego i obrzydliwego, coś, czego należy się wstydzić. „Udowodnię, że twój bękart nie jest Farringtonem”.

Przecież to może zniszczyć Belinę.

- Mój Boże - powiedziała głośno. - Co ja mam teraz robić?

Wyrzuciła kierunkowskaz, zjechała na pobocze i zatrzymała się.

W tym stanie nie może wracać do RussMore. Najpierw musi z kimś porozmawiać. W domu są przecież Belinda i jej koleżanka. „Jak ci poszło z Alanem, mamusiu?” - niemal usłyszała pytanie córki. Będą rozmawiały o kucykach i zawodach.

„Twój bękart nie jest Farringtonem”.

Sięgnęła po telefon w samochodzie.

- Z panem Wallbergiem proszę.

Pauza.

- Przykro mi, ale wyszedł z biura jakieś dwadzieścia minut temu. Połączę panią z jego sekretarką. Czy mogę zapytać, kto mówi?

- Christina Farrington. Właściwie to nic ważnego.

Ale telefonistka już ją połączyła.

- Pan Wallberg zostawił numer, pod którym może go pani zastać - powiedziała sekretarka. - Czekał na pani telefon. W tej chwili jest w hotelu Lancaster. Czy mam go zawiadomić, aby do pani zadzwonił?

- Nie - zdecydowała Christina - sama do niego zatelefonuję. O tej porze pewnie już dotarł do hotelu. Proszę mi dać ten numer.

*

- Alan? - krzyknęła z góry Fay, słysząc trzaśnięcie drzwi wejściowych. - Alan?

- Tak? - zawołał zirytowany, że nie czeka na niego na dole. - To ja. Kogóż innego się spodziewałaś, na litość boską?

- Schodzę - odparła Fay. Zmarszczyła brwi, słysząc rozdrażnienie w jego głosie. Alan był zdenerwowany, widocznie coś poszło nie tak, jak się spodziewał. To ta żmija, pomyślała z gniewem i zamykając jednocześnie drzwi do pokoju dziecinnego, powiedziała krótko: - Bądźcie teraz cicho. Muszę porozmawiać z tatusiem.

Alan siedział w pokoju, który ona uparcie nazywała dziennym - termin ten przyprawiłby jej teścia o dreszcze - i popijał nie rozcieńczoną whisky.

- Jak było, kochanie? - Podeszła bliżej i otoczyła męża ramieniem.

- Zaczęła od uzalania się nade mną - powiedział. - Sama słodycz sączyła się z jej ust. „Chciałabym, abyśmy zostali przyjaciółmi” i tym podobne bzdury. O mało się nie porzygałem.

- Czy to znaczy, że ona ustąpi? - zapytała Fay wolno.

- A gównu! - parsknął ze złością. - Potem przeszła do konkretów. „Oddam ci

wszystko, co twój ojciec zostawił mnie; pieniądze, papiery wartościowe, wszystko, ale RussMore należy do Belindy”. - Udatnie naśladował szwedzki akcent. Jednym haustem wychylił połowę zawartości szklaneczki, ale Fay nie skomentowała tego ani słowem.

- I co było dalej? - nalegała. - Powiedziałeś jej, co może sobie z tym zrobić?

- Tak, powiedziałem. Powiedziałem jej też o *dossier*, o tym, że wiem o wszystkich mężczyznach, z którymi sypiała. Na koniec zagrałem asem atutowym. Pan Jan Borg. Ledwo wyskoczyła z jego łóżka, żeby natychmiast wskoczyć do łóżka ojca. Wychodząc za starego, była w ciąży z Borgiem. Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć jej twarzy w tym momencie. To był dla niej szok. - Wysunął się z ciasno obejmujących go ramion.

Fay sięgnęła po pustą szklaneczkę.

- Zrobię ci następnego drinka - powiedziała szybko.

- Zgoda - mruknął Alan. - Ale daj mi coś mocniejszego, a nie takie kocie siki, jak to masz w zwyczaju.

- Proszę - powiedziała, wręczając mu szklanekę - ale przestań wyżywać się na mnie w ten sposób. Jestem po twojej stronie, pamiętaj.

Alan popatrzył na żonę i pokiwał głową.

- Wybacz mi. Nie mówiłem serio. Po prostu ta suka wyprowadziła mnie z równowagi. Miałem jej po dziurki w nosie. Żebyś słyszała to jej gadanie o sympatii i zrozumieniu! Ale nic ze mną nie wskórała. Jak tylko usłyszała, że mam zamiar udowodnić, że jej dziecko jest bękartem, natychmiast porzuciła swoje gierki.

- Alan? - Fay popatrzyła na męża z niepokojem. - Alan, ale ty chyba nie wspomniałeś jej o tym, co zrobiłeś... przed pogrzebem. - Obawiała się, że wybuchowy temperament męża mógłby go zdradzić.

- Oczywiście, że nie - warknął. - Za kogo mnie masz, za idiotę? Jasne, że trzymałem język za zębami. To moja karta atutowa, w sam raz do wyciągnięcia w sądzie. - Skosztował drinka.

- A więc się nie wycofała - rzekła Fay. Spodziewała się, że w tej sytuacji Alan będzie triumfował, tymczasem on był przygnębiony i ponury. Nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

- Nie - odparł stanowczo - nie wycofała się. Zapowiedziała, że będzie walczyć. Obrzuciła błotem moją matkę. Podobno powtarzała tylko słowa ojca. Dobrze, że rozdzielało nas biurko, bo inaczej mógłbym ją uderzyć.

- Chwała Bogu, że się powstrzymałeś - powiedziała Fay spokojnie.

A więc o to poszło, o jego matkę. Christina uderzyła w najczulszy punkt, ośmieliła się podnieść rękę na świętość, jaką była Josephine Farrington. Przeciwno takim ciosom nie

potrafił się bronić. Fay doskonale знаła swojego męża. Wiedziała, że jego odwaga, często wręcz napastliwość, stanowi rodzaj tarczy, osłaniającej głęboką, nieuleczalną ranę. Ona sama była wobec Alana bardziej opiekuńcza niż wobec własnych dzieci.

- Nienawidzę tej kobiety - powiedziała łagodnie. - Wydaje mi się, że nienawidzę jej jeszcze bardziej niż ty. Nieważne, co mówi. Przegra i razem z tą swoją ukochaną córeczką będzie musiała znieść publiczną hańbę. A wszystko dlatego - zbliżyła się do Alana i pocałowała go - że mam przebiegłego, inteligentnego męża. Nikt inny nie wpadłby na taki pomysł i nie odważyłby się na to, na co ty się odważyłeś. Jestem z ciebie dumna. A teraz chodź, powiesz dzieciom dobranoc. Nie zasną, póki do nich nie przyjdiesz.

Wyjęła mu z ręki szklaneczkę, a on nie zaprotestował.

- Dokończysz później, jak zejdziemy na dół. Nie chcę, żebyś śmierdział szkocką, kiedy będziesz całował chłopców.

Zgodnie ruszyli na górę.

*

Elegancka blondynka obdarzyła Rolfa promiennym uśmiechem. Nigdy nie przychodziła do niego do biura. Teraz, kiedy zupełnie nieoczekiwanie zadzwoniła z propozycją spotkania, musiał iść do niej do hotelu Lancaster. Początkowo usiłował protestować.

- Spodziewam się telefonu od pani Farrington.

Jej odpowiedź była błyskawiczna, wypowiedziana tak charakterystycznym dla niej łagodnym, ale jednocześnie nie dopuszczającym żadnego sprzeciwu tonem.

- Więc zostaw jej numer. Muszę się z tobą zobaczyć, a o dziewiątej odlatuję do domu.

Gdziekolwiek się pokazała, zawsze wzbudzała powszechną uwagę. Miała wspaniałe blond włosy, nieskazitelny makijaż, a przede wszystkim idealną figurę z imponującym biustem. Ilekroć bywali gdzieś razem, Rolf dostrzegał spojrzenia innych mężczyzn. Zawsze go to bawiło. On sam uważał ją za perfekcyjną maszynę seksualną, w idealny sposób zaprogramowaną na zaspokajanie siebie samej i partnera. Nigdy nie znał kobiety bardziej pozbawionej typowo kobiecych cech, jak właśnie ona.

- Robisz pewne postępy, Rolf - przyznała. - To oczywiście zabierze trochę czasu. Ale jedna rzecz mnie niepokoi. Dlaczego nie przeszukałeś biblioteki, kiedy miałeś szansę? - Na dnie ciemnych oczu czaiło się podejrzenie. Nie ufała mu, ale zaufanie nie było częścią jej zawodu, natomiast podejrzliwość tak.

- Gdybyś zobaczyła tę bibliotekę, nie zadałabyś takiego pytania - odparł. - Na oko jest tam około dwóch tysięcy tomów i całe szuflady katalogów, indeksów i odsyłaczy. To

prawdziwa biblioteka, Irmo, a nie pokój umeblowany na pokaz. Zaproponowałem jej, że kiedyś razem przyjrzymy się zbiorom, i zgodziła się.

Popatrzył na zegarek. Było już dobrze po szóstej, a Christina nie dzwoniła. Jego towarzyszka nie lubiła swojego imienia, więc zazwyczaj starał się go nie używać. Jeśli teraz nazwał ją Irmą, to po to, by zademonstrować tym swoje niezadowolenie i irytację. Najpierw wezwanie, dosłownie na ostatnią chwilę, a teraz to przesłuchanie. Popatrzył na nią, dając upust swojemu rozdrażnieniu:

- Jeśli uważasz, że ktoś inny załatwi sprawę szybciej, ściągnij go tu, a ja się wycofam.

- Gdybym tak uważała, zrobiłabym to natychmiast. Wiesz, że będę musiała złożyć raport. W końcu to kosztuje czas i pieniądze. Niektórzy sądzą, że lepiej by się uporali z naszym problemem tutaj. W końcu tobą kieruje także motyw osobisty.

- Owszem - zgodził się - ale jestem gotowy doprowadzić sprawę do końca bez żadnej pomocy. Możesz to przekazać ode mnie firmie.

Kobieta rozluźniła się nagle. Podniosła szklaneczkę, delikatnie poruszając kostkami lodu, i pociągnęła niewielki łyk.

- Uspokój się. Zapomnę o tym, co powiedziałeś. Zdaje się, że ktoś z obsługi zmierza w naszą stronę. To pewnie ten telefon, na który tak czekasz.

Rolf podniósł się od stolika. Irma miała rację; rzeczywiście na linii była pani Farrington.

- Odbiorę w kabinie - powiedział.

- Zaczekam tutaj - odparła kobieta. - Tylko postaraj się załatwić sprawę krótko, bo o szóstej trzydzieści muszę być na Heathrow.

- Rolf? - powiedziała Christina. - Przepraszam, jeśli przeszkodziłam.

- Nie przeszkodziła mi pani - odparł szybko. - Cały czas czekałem na telefon. Co się stało? Zdaje się, że jest pani mocno poruszona.

- Jestem. Miał pan rację, nie powinnam była tam chodzić. Czuję, że muszę porozmawiać z kimś, zanim pojedę do domu. Czy jest pan bardzo zajęty, czy też mógłby mi pan poświęcić kilka chwil?

- Gdzie pani jest?

- W samochodzie. Zaparkowałam koło Guildhallu.

- Proszę mi podać nazwę ulicy, a zaraz tam będę.

- Nie, proszę, przecież nie musi pan tego robić.

- Ale chcę - nalegał. - Gdzie dokładnie pani zaparkowała?

- Na Coleman Street - powiedziała. Sama była zdumiona, że świadomość, iż Rolf

zaraz z nią będzie, sprawia jej taką ulgę.

- Złapię taksówkę - obiecał. - Niech mi pani da kwadrans. I proszę się nie denerwować. Pojedziemy gdzieś na drinka i wszystko omówimy.

Wrócił do baru. Kobieta właśnie kończyła szampana.

- Muszę już iść - powiedział, nie bawiąc się w ceregiele. - Umówiłem się z nią. Przyjemnego lotu. Aha, zapłać rachunek, dobrze?

I już go nie było.

*

Znaleźli niewielką winiarnię w pobliżu Guildhallu. Salka była nieduża, gwarna i zatłoczona, okupowana głównie przez urzędników City, którzy w drodze do domu często wpadali tu na drinka. Rolf rozejrzał się dokoła i skrzywił się niechętnie.

- Beznadziejna sprawa - powiedział. - Tutaj nie da się porozmawiać. Nawet usiąść nie ma gdzie.

- Właśnie zwalnia się stolik - przerwała mu szybko Christina. - Ci ludzie, o tam, już wychodzą.

Rolf zareagował natychmiast. Rozpychając się łokciami, przecisnął się do stolika, zanim ktokolwiek zdołał się do niego zbliżyć. Christina usiadła.

- Co pani przynieść do picia?

- Czerwone wino.

Do tej pory nie zwracała uwagi na sposób, w jaki się poruszał. Sprawiał wrażenie, jakby żadna przeszkoda nie była w stanie go powstrzymać, i nawet największy tłum zdawał się rozstępować przed nim. Szybko wrócił z dwoma kieliszkami.

- A teraz proszę opowiadać - powiedział.

Christina była blada i wyraźnie zmęczona. Jej własna wina, pomyślał. Upierała się, żeby wypróbować wszelkie pokojowe środki wobec kogoś, kto uzna to wyłącznie za objaw słabości. Alan Farrington musiał jej dopiec do żywego.

Christina spróbowała wina i skrzywiła się. Było skwaśniałe i nie nadawało się do picia.

- Alan zachował się po prostu wstrętne - zaczęła. - To było okropne. Te jego groźby i w ogóle sposób, w jaki się do mnie zwracał. Nigdy przedtem nie czułam się tak upokorzona.

- Nigdy przedtem nie zetknęła się pani z nienawiścią, stąd ten szok. Ale przynajmniej nauczyło to panią jednego - nie kontaktować się z Alanem osobiście.

Popatrzyła na niego i powiedziała cicho:

- Miał pan rację. Żałuję, że nie posłuchałam pańskiej rady. Nigdy więcej nie popełnię

tego błędu. Przykro mi, że zareagowałam tak histerycznie. Zepsułam panu wieczór. Po prostu czułam, że muszę z kimś porozmawiać, zanim pojedę do domu.

- W niczym mi pani nie przeszkodziła - zapewnił. - Po prostu miałem służbowe spotkanie z klientem, trudnym i wymagającym klientem. Nie każdy ma tyle względów dla innych, co pani. Naprawdę musimy przedyskutować całą sytuację. Czy mogę zadać pani jedno pytanie? Trudne pytanie.

Christina zawahała się.

- Nie, lepiej nie. Chyba wiem, o co chce mnie pan zapytać i nie mogę udzielić panu żadnej odpowiedzi. Nie tutaj i nie teraz.

Rolf skinął głową.

- Rozumiem. A zatem inne pytanie, o wiele prostsze. Czy ma pani zamiar walczyć ze swoim pasierbem, czy też ulegnie pani szantażowi, aby chronić Belinę?

Odpowiedziała zgodnie z jego oczekiwaniem:

- Nigdy nie ulegnę. Myślę, że mój mąż wstałby z grobu, gdyby Alan kiedykolwiek położył rękę na RussMore. Może obrzucać mnie błotem, ile chce, ale ja nie ustąpię. Chce walki, więc będzie ją miał.

Wallberg uśmiechnął się.

- Świetnie, tego właśnie się spodziewałem. Pani pasierb jest sprytny w interesach, ale to, co zrobił dzisiaj, dowodzi, że poza tym jest głupcem. Pani nie należy do kobiet, które by się przestraszyły pogroźek. Gdyby był rozsądny i zachował się miło, byłbym naprawdę zaniepokojony. Myślę, że powinniśmy pojechać teraz gdzieś, gdzie moglibyśmy spokojnie zjeść kolację i przedyskutować całą sprawę. Dlaczego nie zostanie pani na noc w Londynie? Albo, jeśli tak będzie wygodniej, odwiozę panią później do RussMore.

Christina poczuła, że nagle opuszcza ją cała energia.

- Czy nie moglibyśmy odłożyć tej rozmowy o kilka dni? Czy to naprawdę takie pilne?

Przerwa w kontaktach, mogąca wpłynąć na ochłodzenie ich stosunków, bynajmniej nie leżała w zamiarach Rolfa. Do tej pory posunął się znacznie dalej, niż ośmieliłby się przypuszczać.

- Uważam, że to jest bardzo pilne - powiedział z naciskiem. - Jutro z rana Farrington spotka się ze swoimi prawnikami, tego możemy być pewni. W tej sytuacji my też powinniśmy zacząć działać bez zwłoki. Musimy zaplanować wszystkie nasze posunięcia i zaangażować pierwszorzędного adwokata, który będzie reprezentował panią w sądzie. Jest jeszcze mnóstwo do ustalenia. Chciałbym zapiąć wszystko na ostatni guzik i jak najszybciej uzyskać aprobatę Rubena Stone'a dla naszych poczynań. Uważam, że powinniśmy

przedyskutować nasze plany jeszcze dzisiaj, kiedy ma pani wszystko świeżo w pamięci.

Jakiś przeblýsk rozsądku kazał Christinie odmówić. Instykt podpowiadał jej, że Rolf zwyczajnie nią manipuluje. Z drugiej jednak strony odczuwała pokusę, aby pozwolić mu sobą pokierować. Przez dwanaście lat u jej boku stał mężczyzna, który ją wspierał i ochraniał. Przerażała ją konieczność samodzielnego podejmowania decyzji, a pełna ufności miłość jedenastoletniego dziecka nie była jej dostateczną pomocą.

- Nie chciałbym wywierać na panią presji, zwłaszcza po tym, co pani dzisiaj przeszła - kontynuował Rolf - ale przecież jest pani silna i wytrzymała. Może pani zostać na noc w Londynie. - Doskonale wiedział, że Farringtonowie mają niewielkie mieszkanie w Chelsea. Znał każdy przedmiot będący własnością Christiny i jego wartość aż do ostatniego pensa. Nie zbywało mu na argumentach. - Możemy zjeść razem obiad i nie będzie pani skazana na nocny powrót. Przecież służba zaopiekuje się Belindą.

Nagle ten pomysł wydał jej się pociągający. Jest taka zmęczona. Najpierw obiad i wytyczenie planu postępowania, a potem noc w londyńskim mieszkaniu.

- To żaden problem - powiedziała. - Mogę po prostu zadzwonić i powiedzieć, że wracam dopiero jutro.

- Świetnie. - Znowu się uśmiechnął. - A zatem chodźmy stąd.

Gdy przeciskali się do wyjścia, przelotnie dotknął jej ramienia. Stojąc przy samochodzie, powiedział:

- Ja poprowadzę. Proszę mi tylko powiedzieć, dokąd jedziemy.

Christina wręczyła mu kluczyki i usiadła obok niego.

- Jest takie bistro na King's Road - powiedziała. - Richard i ja często tam chodziliśmy. Bardzo spokojne miejsce, można tam bez przeszkód porozmawiać. Richard nie znosił gwarnej restauracji.

- Ja także - zauważył Rolf. - Lubię rozmawiać podczas jedzenia.

Jak na londyńskie zwyczaje było jeszcze wcześniej, gdy siadali naprzeciw siebie przy stoliku ustawionym w niewielkiej niszy. Rolf zamówił wódkę dla siebie i wino dla Christiny. Zauważyła, że wino jest znakomitej marki. Dobrze było splukać kwaśny posmak, jaki pozostał jej w ustach po winie wypitym w winiarni.

- Nie jestem specjalnie głodna - powiedziała.

- Powinna pani coś zjeść. Jedzenie uspokaja nerwy znacznie lepiej niż alkohol.

- Czy wie pan - odezwała się nagle - że przychodząc tutaj poczułam się jakby bliżej Richarda? Myślę teraz o tych szczęśliwych dniach, które spędzaliśmy razem. Przecież to brzmi jak koszmar - walczyć z jego synem o dom. Czasami żałuję, że Richard zmienił

testament. Belinda i ja byłybyśmy równie szczęśliwe, mieszkając gdzie indziej.

- Powiedziała pani przecież, że nie ma zamiaru się poddawać - przypomniał jej. Pochylił się do przodu, spoglądając na nią z bliska. - Nie czas teraz na snucie wspomnień. Byliście szczęśliwym małżeństwem, ale to już przeszłość. Teraz najważniejsza jest przyszłość i to, czego pragnął pani mąż, proszę więc nie bawić się w sentymenty, pani Farrington. Pomówmy lepiej o pieniądzach.

Christina aż wzdrygnęła się na taką brutalną bezpośredniość.

- O pieniądzach?

- Tak, o pieniądzach. O całej masie pieniędzy na opłacenie najlepszych prawników, jakich niewątpliwie będzie pani potrzebowała. Firma Harvey & Stone jest pierwszorzędna - jej honorarium pójdzie w dziesiątki tysięcy funtów. A jeszcze adwokat, który będzie reprezentował panią w sądzie i wreszcie czas. - Wzruszył ramionami. - Przecież mogą upłynąć i dwa lata, zanim w ogóle dojdzie do rozprawy. Powinna się pani liczyć z kosztami, powiedzmy, trzystu tysięcy funtów.

Christina jęknęła.

- Ależ to niemożliwe. Nie stać mnie na podobny wydatek. Będę musiała sprzedać udziały, które Richard mi zostawił. Osobiście nie posiadam żadnych wartościowych przedmiotów, wszystko należy do Belindy.

Była naprawdę przerażona i nie potrafiła logicznie myśleć. Rolf nie ustępował.

- Rozpatruję najgorszy scenariusz - powiedział. - Może dojdzie do rozprawy wcześniej. Ale jeśli Alan Farrington wie, co robi, a prawnicy przecież też mu podpowiedzą, to możemy być pewni, że będzie przeciągał sprawę, aż pozbawi panią ostatniego pensa. Gdyby był moim klientem, sam bym mu doradzał podobne postępowanie. - Odczekał chwilę, zanim dodał: - A potem może dojść do wniosku, że i tak nie wygra, i wycofać sprawę, choć nie sądzę, aby to było w jego stylu.

- Alan jest bardzo bogaty - powiedziała powoli. - Może spokojnie czekać, aż pozbawi nas wszystkiego i będziemy musiały sprzedać ziemię. Na koniec zostanie mi jedynie RussMore wraz z wyposażeniem oraz dwie farmy.

Rolf dolał jej wino. Przestraszył Christinę, ale bynajmniej nie odczuwał wyrzutów sumienia z tego powodu. Jej stres, niepokój, obawa, z jaką spoglądała na niego, były mu zupełnie obojętne. Zakończył łagodnie:

- I w rezultacie trzeba będzie sprzedać RussMore, a on je wtedy kupi.

Christina odstawiła nietknięty kieliszek i powiedziała:

- Czy to dlatego radził mi pan na początku, abym poszła na ugodę?

Przytaknął.

- Przewiduję, jak sprawy mogą się potoczyć - odparł.

- A teraz z kolei zachęca mnie pan do walki?

- Tak - zgodził się - zachęcam.

- Dlaczego? Jak pan może postępować w ten sposób?

Uśmiechnął się. Był to osobliwy uśmiech, zupełnie pozbawiony ciepła.

- Ponieważ teraz wiem coś, czego przedtem nie wiedziałem. Przedstawiłem najgorszy z możliwych scenariuszy, a teraz zapoznam panią z alternatywą.

Zobaczył, że nagle poczerwieniała z gniewu.

- Niech pan wreszcie przestanie grać ze mną w swoje głupie gry - wyrzuciła z pasją. - Najpierw śmiertelnie mnie pan przeraził, a teraz mówi mi pan, że istnieje alternatywa.

- Może pani przestać kłopotać się o pieniądze - powiedział spokojnie, nie poruszony jej wybuchem. - Wszystko, co musi pani zrobić, to znaleźć dokument, który pani mąż kupił w antykwariacie w Sztokholmie. Wtedy będzie pani dosyć bogata, by pokonać Alana Farringtona.

*

Tej nocy Christina prawie nie zmrzyła oka. Im dłużej zastanawiała się nad historią opowiedzianą jej przez Rolfę, tym więcej znajdowała w niej luk i niedopowiedzeń. Rolf twierdził, że w pewnym antykwariacie w Sztokholmie Richard natrafił na bezcenny wprost rękopis. Wallberg prześliznął się po szczegółach, a ona sama była zbyt zdumiona jego rewelacjami, by się o nie dopytywać. Ów bardzo stary rękopis miał zawierać fragment Pieśni nad Pieśniami. Christinie niewiele to mówiło; odnosiła mgliste, niejasne wrażenie, że ma to związek z Żydami i Starym Testamentem, ale na tym jej wiedza się kończyła. Rolf podkreślał wartość znaleziska, wielokrotnie powtarzał, że rękopis jest wręcz bezcenny. Christina bez trudu będzie go mogła spieniężyć i wówczas jej problem zostanie rozwiązany. Pozwoli jej to przeciągać sprawę tak długo, że w końcu to nie ona będzie zmuszona ustąpić, tylko Alan. Wallberg zdawał się być tym bardzo podniecony, promieniował energią i entuzjazmem. „Wygramy ten proces” - powtarzał co chwila, dopóki nie zadała mu jednego, prostego pytania:

- Skąd pan się o tym dowiedział i dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?

Jego odpowiedź stanowiła oczywisty unik.

- Musiałem się upewnić. Nie chciałem wzbudzać w pani nieuzasadnionych nadziei. Skontaktowałem się z antykwariuszem. Okazało się, że pamiętał co kupił u niego Richard Farrington. Wtedy wiedziałem już, że mam rację. Jedyne, co musimy teraz zrobić, to

przeszukać kolekcję pani męża i odnaleźć ten dokument.

Jego pewność udzieliła się i jej.

- Trudno w to uwierzyć - powiedziała. - Richard był dobrze sytuowany, ale przecież nie aż tak bogaty. Pomyśleć, że przypadkowo natknął się na taką fortunę...

Wallberg uśmiechnął się do niej; jego niebieskie oczy miały teraz niemal ciepły wyraz.

- Powiedziałbym, że znalazł dwa skarby, ten rękopis i wspomniał żonę. Kiedy możemy rozpocząć nasze poszukiwania? Jutro?

- Nie - odparła, coś sobie przypominając. - Jutro jeszcze nie. Przyjeżdża kuzynka Richarda z mężem. Ich syn wrócił właśnie z RPA. Ale pan ich przecież poznał. Jane i Peter Spannierowie.

- Proszę przesunąć ich wizytę, tamto jest o wiele ważniejsze - powiedział szybko.

Jego bezwzględność nie spodobała się jej.

- Nie mogę - zaprotestowała. - Lubię ich, a ta wizyta została zaplanowana już dawno. Zadzwoń do pana. Bez pańskiej pomocy nie dałabym rady. Nie wiedziałabym nawet, czego mam szukać.

Nie usiłował jej przekonywać, ale widać było, że czuje się dotknięty.

- Oczywiście. Zapomniałem, że ma pani zobowiązania towarzyskie.

- To jest rodzina - poprawiła go - a nie żadni znajomi. Byli dla mnie bardzo dobrzy, gdy przyjechałam do Anglii.

- Przepraszam - usprawiedliwił się. - Nigdy nie miałem rodziny, tylko przybranych rodziców. Nie chciałem wywierać na panią presji. Po prostu jestem bardzo podniecony, ponieważ wiem, że możemy zwyciężyć. Pragnę tego zwycięstwa.

- Ja także - przyznała. - Proszę też nie myśleć, że nie jestem panu wdzięczna. Skoro odkrył pan istnienie tego rękopisu, wszystko zawdzięczam panu.

Odprowadził ją pod drzwi mieszkania i wyciągnął rękę na pożegnanie. Christina uścisnęła jego dłoń.

- Problem, pani Farrington, polega na tym, że pani jest bardzo miłą osobą, ja natomiast bynajmniej nie jestem miły. Pewnie mógłbym się od pani niejednego nauczyć. Proszę zadzwonić do mnie wkrótce.

- Na pewno. Dobranoc, Rolf.

Kiedy została sama, natychmiast zaczęły jej się nasuwać różne pytania. Na żadne z nich nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Skąd Rolf mógł wiedzieć, że Richard natrafił na coś tak rzadkiego i cennego, skoro nikt inny nie miał o tym pojęcia? Skąd wiedział, do którego

antykwarium się udać i o co go pytać? Przecież o zainteresowaniach Richarda wspomniała mu jedynie mimochodem, relacjonując rozmowę z Jamesem. Wtedy powiedziała tylko, że Richard zbierał stare dokumenty związane z religią.

Obudziła się z głową pełną pytań, ale nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na żadne z nich. Zaparzyła kawę i obserwowała słońce wynurzające się nad dachami Chelsea. Rolf ukazał jej wyjście z sytuacji, która kilka godzin wcześniej wydawała się zupełnie beznadziejna. Nagle przed jej oczami zamajaczyła twarz pasierba, wykrzywiona nienawiścią. „Udowodnię, że twój bękart nie jest Farringtonem”. Alan mógł ją zrujnować, zmusić do sprzedaży RussMore albo do zmiany ustawy powierniczej na jego korzyść. Jako jeden z jej wykonawców i jednocześnie opiekun Belindy miała do tego prawo. Może lepiej nie zaglądać w zęby koniowi darowanemu przez Wallberga? Dlaczego, usłyszawszy jego propozycję, zamiast ulgi poczuła niepokój? Było tak dlatego, że mu nie ufała; to on sam stanowił źródło owego niepokoju. Unikał odpowiedzi na jej pytania. Pewne pytania jednak musiała postawić sobie sama i sama znaleźć na nie odpowiedź. Czy powinna brać pod uwagę to, co podpowiada jej instynkt? Czy jeśli za całą tą historią o odnalezionym przez Richarda skarbie kryje się coś podejrzanego - a tak właśnie przypuszczała - powinna badać ją bliżej, zagłębiając się w szczegóły? Jej pierwszym obowiązkiem było zabezpieczenie przyszłości Belindzie i przekazanie jej RussMore, zgodnie z życzeniem zmarłego męża.

Siedziała na brzegu łóżka, obserwując, jak wschodzące słońce rozlewa się po niebie różową łuną. Najpierw trzeba znaleźć rękopis, a potem zobaczyć się, czy zapewnienia Wallberga o wartości tego dokumentu są prawdziwe, zdecydowała w końcu. I tu od razu nasunęło jej się kolejne pytanie. Przecież Rolf jest prawnikiem, a nie antykwariuszem. Skąd więc może wiedzieć, że rękopis przedstawia aż taką wartość? Na to także nie potrafiła sobie odpowiedzieć.

Skończyła pić kawę, zamknęła mieszkanie i ruszyła w drogę powrotną. Zanim dotarła do RussMore, postanowiła opowiedzieć o wszystkim Spannierom.

*

- Zobaczysz, że polubisz Christinę - upierała się Jane Spannier. - Z pewnością nie było to łatwe dla niej, poślubić Richarda zaraz po tej okropnej historii z jego pierwszą żoną. Ja osobiście nie znosiłam Josephine.

Harry Spannier przyglądał się krajobrazowi Lincolnshire przesuwającemu się za oknem, podczas gdy jego matka prowadziła samochód, perorując przy tym z ożywieniem, a ojciec pochrapywał na tylnym siedzeniu. Im bardziej zapewniała go, że polubi RussMore i Christinę, tym mniej Harry był o tym przekonany. Przez ostatnie piętnaście lat mieszkał w

Johannesburgu, tam też się ożenił. Od ponad roku był już rozwiedziony, ale matka ciągle traktowała go, jakby był małym chłopcem, a ona znała jego reakcje lepiej niż on sam. Wiedział, że matka nie lubiła Josephine Farrington, ponieważ zawsze mówiła o tym zupełnie otwarcie. Nie miała zrozumienia dla słabości czy choroby, chyba że było to coś naprawdę poważnego, a i wtedy uważała, że cierpienie należy znosić bez skarg i rozczulania się nad sobą. W pamięci Harry'ego tkwił obraz Josephine Farrington - pięknej kobiety, matki dwojga synów młodszych od niego, z których jeden był gwałtowny i nieokrzesany, a drugi nieśmiały. O tym młodszym krążyła w szkole opinia, że lubi przywłaszczać sobie cudze rzeczy. Nie przyjaźnił się z nimi zbyt, choć byli jego kuzynami. Pamiętał też RussMore, wielkie, ponure domostwo, dokąd zapraszano go na baliki dziecięce czy później - gdy już był nastolatkiem - na przyjęcia bożonarodzeniowe. Nie widział powodu, dla którego miałby nagle polubić ten dom, skoro nie lubił go nigdy przedtem.

- No i proszę - ciągnęła matka - ta biedna dziewczyna ma teraz ciężki orzech do zgryzienia z Alanem. Mówiła mi Sheila, która usłyszała to od znajomych w Londynie, że Alan ma zamiar zakwestionować testament ojca.

Harry zmusił się do zadania pytania:

- A kto to jest Sheila, mamo?

- Sheila Duffield, kuzynka wdowy po Phillipie. Kilka lat temu wyszła za starego Tony'ego Duffielda. Miły facet, ale straszliwy nudziarz. Najwyraźniej jednak Sheila kocha być lady Duffield i zanudzenie na śmierć przez własnego męża nic jej nie przeszkadza.

Harry roześmiał się.

- Założę się, że wyrąbałaś jej to prosto w oczy.

Matka zawsze była bezkompromisowa i nic nie potrafiło jej powstrzymać przed wyrażeniem swojej opinii. Nawet teraz, gdy wrócił do domu po tak długiej nieobecności, potrafiła chwilami doprowadzać go tym do szału, mimo to nigdy nie przestał jej kochać i podziwiać. On także miał dosyć kłamstw i kręactwa, którymi był karmiony przez pięć długich, nieszczęśliwych lat, dopóki nie nakrył żony w łóżku ze swoim współnikiem, wróciwszy wcześniej z podróży służbowej. Nawet w tak jednoznacznej sytuacji próbowała się jakoś wyłgać. Harry spoliczkował kochankę, wybijając mu przy tym kilka zębów z kosztownymi koronkami, a ją wyrzucił nagą z sypialni. Skandal rozniósł się po całym Johannesburgu z szybkością pożaru buszu. Jego żona pochodziła z szacownej południowoafrykańskiej rodziny. Reakcja Harry'ego spotkała się z ostrą krytyką w wytwornych kręgach towarzyskich, które tolerowały cudzołóstwo, ale nie rozgłos. Powszechnie twierdzono, że nie zachował się jak dżentelmen. Jego partner zagroził, że

wystąpi z oskarżeniem o czynną napaść. Harry zaofiarował się, że wybije mu resztę zębów, aby sprawa stała się bardziej opłacalna. Następnie sprzedał swoje udziały w firmie eksportowej i przeniósł się do Kapsztadu, gdzie postanowił zacząć wszystko od nowa. Zamiar ten jednak nie powiódł się. Oddanie władzy w państwie w ręce czarnej większości graniczyło z cudem. Przed krajem rysowała się wspaniała przyszłość, Harry Spannier jednak poczuł nagle tęsknotę do Anglii, którą opuścił wiele lat temu. Sprzedał wszystko i przyjął propozycję ojca, żeby wrócić do domu i poprowadzić rodzinny interes.

A więc jego kuzyn zamierza obalić testament.

- Czy ma szansę na wygraną? - zapytał.

- Kto, kochanie? Na jaką wygraną? - odpowiedziała pytaniem matka, błędząca już myślami gdzie indziej.

- Alan - przypomniał jej. - Czy uda mu się obalić testament?

- Bóg raczy wiedzieć - odparła Jane Spannier. - Alan ma mnóstwo forsy, a nie wydaje mi się, aby Christina posiadała wiele poza RussMore i ziemią. Wszystko wchodzi w skład majątku powierniczego. Wkrótce będziemy na miejscu i możemy ją zapytać. Dokonała prawdziwych cudów z domem. Przedtem był taki ponury.

- Pamiętam. Ale jestem zdumiony, że Richard pozwolił jej dotknąć czegokolwiek. Zawsze tak się trząśł nad każdym przedmiotem.

- Och, on uwielbiał Christinę - powiedziała Jane sucho. - Nie potrafił jej niczego odmówić. Dziecko także ubóstwiał. Aż dziw, że zupełnie nie rozpuścił Lindy. No, jesteśmy prawie na miejscu. Za tymi drzewami na wprost nas jest brama wjazdowa. O tej porze roku RussMore jest przepiękne. Poza tym jest tam zawsze znakomite jedzenie.

Ojciec otworzył oczy i uśmiechnął się do Harry'ego.

- Wina także. Mają świetnie zaopatrzoną piwniczkę.

Harry roześmiał się w odpowiedzi.

- Skoro tak, to z pewnością będę się dobrze bawił.

*

- Na twoim miejscu byłabym ostrożna, rozmawiając z nim - zauważyła Fay.

Alan Farrington trzymał na kolanach starszego syna. Popatrzył na żonę nad głową chłopca i powiedział:

- Jest moim bratem i zaprosiłem go na lunch, zanim wróci do Stanów. Nie ma powodu, żeby wpadać w histerię.

Fay nie ustępowała.

- Ja mu nie dowierzam. W porządku, pojechał do RussMore, rozmawiał z Christiną i

umówił cię z nią, ale co z tego? On nadal jest właścicielem farmy wartej niezłą sumę, ty zaś nie masz nic. Langley powinien odziedziczyć jeden z naszych chłopców. Tymczasem w testamencie nie ma ani słowa na ich temat, zupełnie jakby nie istnieli.

Alan doskonale wiedział, jak bardzo ją ubodło pominięcie synów w testamencie. Fay zawsze żywiła urazę do teścia, że ignoruje wnuków; zresztą on sam też miał to ojcu za złe.

- Kochanie, wiem o tym, ale mój cholerny ojciec nienawidził mnie, więc nie zostawił nic moim dzieciom. Nie możesz mieć o to żalu do Jamesa. Bez względu na to, co o nim myślisz, on mi naprawdę pomógł. Fakt, że ta dziwka ofiarowała się zwrócić inne zapisy taty, świadczy o jej słabości. Moi prawnicy dostali już taśmę z nagraniami. No dobrze już, bądź miła dla Jamesa.

- Będę miła - zgodziła się, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Nie dowierzała Jamesowi.

- Oho, jest już James - powiedział Alan. - Złaź, Timmy, i zawołaj Roberta. - Przejechał ręką po głowie chłopca. Bardzo kochał swoich synów. Często powtarzał, że w równym stopniu pragnie zdobyć RussMore dla Timmy'ego, swojego starszego syna, jak i dla siebie.

Gdy James wszedł do pokoju, dziecko akurat wychodziło. James uśmiechnął się i powiedział: „Cześć, Timmy”, ale chłopiec nie zwrócił na niego uwagi, tylko pobiegł szukać braciszka.

James nie przestał się uśmiechać. Powieki miał opuszczone, aby ukryć obawę. Wiedział, jak bardzo szwagierka go nie lubi, ale nie przejmował się tym. Liczyło się wyłącznie nastawienie Alana, to zaś zależało w głównej mierze od jego nastroju.

- Cześć - przywitał go Alan.

James odprężył się. Brat zachowywał się przyjaźnie i zdawał się zadowolony, że go widzi. James poczuł, że ogarnia go fala sympatii do Alana. Psychoterapeuta określił kiedyś postępowanie Alana metodą kija i marchewki. James zgadzał się z tą opinią, ale jednocześnie wiedział, że to się nigdy nie zmieni.

Alan nalał mu džinu z tonikiem. Do pokoju weszli chłopcy, i zachęceni przez Alana, zbliżyli się, by pocałować wujka. James nie przepadał za dziećmi, ale musiał przyznać, że jego bratankowie stanowią miłą parę. Byli bardzo ładni, z ciemnymi oczami i włosami, odziedziczonymi po ojcu, i dobrze wychowani. Każdemu z nich przyniósł w prezencie książkę. Nie bardzo wiedział, co ma im wybrać, więc sięgnął do wspomnień z własnego dzieciństwa i zdecydował się na swoje ulubione „O czym szumią wierzby” dla Timmy'ego i „Przygody królika Piotrusia” dla czteroletniego Roberta. Obie książki były pięknie oprawione

i pochodziły z wytwornej księgarni na Hill Street. Chłopcy podziękowali grzecznie, obdarzając go jeszcze jednym obowiązkowym pocałunkiem, i wyszli razem z nianią, żeby zjeść lunch.

James odlatywał następnego dnia rano. Cieszył się, że wraca do domu. Podczas pobytu w RussMore ogarniała go czasami fala tęsknoty do Anglii, za swój prawdziwy dom jednak uważał Stany. Anglia nie była dla niego. W Nowym Jorku miał wielu przyjaciół i prowadził taki tryb życia, jaki mu najbardziej odpowiadał. Zapach róż w angielskim ogrodzie był właściwie bez znaczenia dla takiego człowieka, jakim stał się obecnie. Pomyślał, że sprzeda Langley i za te pieniądze kupi sobie mieszkanie przy Dwudziestej Piątej Wschodniej.

Podczas lunchu rozmawiali z Alanem o interesach, o jego własnej firmie i o rozszerzeniu sieci barów i restauracji należących do Alana. Fay prawie się nie odzywała. Jej zainteresowania ograniczały się wyłącznie do spraw domowych. James ucieszył się w duchu, że szwagierka nie bierze udziału w rozmowie. Gdy podano kawę, nie mógł już dłużej opanować ciekawości.

- Jest coś nowego w związku z naszą drogą macochą?

Alan zrelacjonował mu przez telefon spotkanie z Christiną. James aż się skulił, słuchając opowiadania brata. Te obelgi, te wszystkie inwektywy. Niemal było mu żal Christiny. Wiedział, jak boleśnie Alan potrafi ugodzić. Przez chwilę nawet żałował, że pośredniczył w zaaranżowaniu tego spotkania, ale to uczucie szybko minęło, gdy Alan podziękował mu i zaprosił go na lunch.

Alan zignorował ostrzegawcze spojrzenie Fay. Po obfitym lunchu, któremu towarzyszyło wyborne wino, poczuł przyływ opiekuńczości wobec młodszego brata. Alkohol albo wyzwalał w nim agresję, albo czynił go sentymentalnym. Teraz Alan był w łagodnym nastroju.

- Dałem taśmę moim prawnikom. Powiedzieli, że może się okazać bardzo przydatna.

Fay usiłowała mu przerwać:

- A może wypijemy kawę w ogrodzie? Wtedy James będzie mógł jeszcze zobaczyć dzieci.

James miał wielką ochotę wyjść na dwór, zwłaszcza że marzył o papierosie, ale chciał też usłyszeć nowiny Alana. Wiedział, że ze strony Fay jest to rodzaj dywersji, dlatego też rzekł miękko:

- Och, bardzo mi tu dobrze. Mów dalej, Alan. Co ci powiedzieli?

- Poradzili mi, abym przeciągał wszystko możliwie jak najdłużej - oświadczył Alan. - Taktyka odwlekania, tak żeby ta dziwka zrujnowała się na prawników. Jeśli przegramy w

pierwszej instancji, wnieść apelację. Być przygotowanym na trzyletnie zmagania, w wyniku których będzie zmuszona albo ustąpić, albo sprzedać majątek.

Jamesowi wydłużyła się mina.

- A co z twoimi kosztami?

Alan uśmiechnął się szeroko.

- To samo im powiedziałem. Dlaczego mam pozbywać się pieniędzy, jeżeli nie jest to konieczne? Odrzuciłem ten pomysł natychmiast i kazałem im ostro brać się do roboty. Zaangażować najlepszych adwokatów i próbować ustalić możliwie jak najwcześniejszy termin rozprawy. Nie byli tym zachwyceni. - Roześmiał się. - Usiłowali przedstawić mi swoje argumenty. Twierdzili, że sprawa wcale nie jest oczywista. Ojciec był, co prawda, poważnie chory, ale w chwili sporządzania testamentu nie taki znowu stary, więc wywieranie presji będzie trudne do udowodnienia. Trwające dwanaście lat zgodne małżeństwo i te wszystkie bzdury. Usiłowali mnie przekonać do ich punktu widzenia. Ale ja powiedziałem tylko: „Mam zamiar rozegrać to po swojemu”. Wiem, że zwyciężę, nawet jeśli oni mają co do tego wątpliwości.

- Jesteś zupełnie pewien? - zapytał James. Coś w spojrzeniu brata sprawiło, że poczuł dziwny dreszcz - obawę przemieszaną z podziwem.

- Jestem pewien swego - brzmiała odpowiedź Alana. - Nie mogę przegrać. Oszukała ojca, rodząc mu dziecko swojego kochanka. Powiedziałem jej to w oczy, a co więcej, potrafię to udowodnić.

- W jaki sposób? - James wlepił w niego wzrok. - Jak możesz udowodnić coś takiego?

- Alan! - wtrąciła Fay ostro. - Alan, czy idziemy w końcu zobaczyć chłopców, zanim James odjedzie, czy nie? Przecież oni później wychodzą na herbatę.

- Dobrze, dobrze. Chodźmy do ogrodu. Będziesz mógł zapalić jednego z tych twoich śmierdzących papierosów.

Właściwy moment na zwierzenia minął. Nie, nie powie nic więcej Jamesowi. Świetnie się bawił, przechwalając się przed nim, ale Fay nie musi się niczego obawiać. Gdy znaleźli się na patio, szepnął do niej:

- Przecież nie jestem idiotą i nie miałem zamiaru mu tego zdradzać. - Poklepał ją lekko po pośladku. - A teraz porozmawiajmy o czymś innym - powiedział głośno. - Kochanie, zawołaj chłopców.

Wkrótce potem James wyszedł, nie dowiedziawszy się niczego więcej. Wiedział, że zawdzięcza to bratowej, i postanowił nie darować jej tego.

Sekretarka Rolfa Wallberga nacisnęła interkom.

- Pan Stone jest teraz wolny. Czekaj na pana w swoim gabinecie.

- Dziękuję, Judy, zaraz tam idę.

Odkąd przyjechał ze Sztokholmu, tylko dwukrotnie spotkał starszego partnera firmy Harvey & Stone. Teraz spodziewał się tego wezwania.

Gabinet Rubena Stone'a znajdował się na najwyższym piętrze budynku przy Chancery Lane. Był to duży pokój, którego wyposażenie stanowiły antyczne meble. Na ścianach wisiały osiemnastowieczne obrazy, przedstawiające sceny z wyścigów. Ogromne, masywne, bogato rzeźbione biurko pasowało do osobowości zasiadającego za nim prawnika.

Ruben podniósł się z miejsca i wyszedł na spotkanie Rolfa.

- Witaj, mój chłopcze. - powiedział. - Jak się masz? Czy podoba ci się praca u nas? - Nie czekając na odpowiedź, dorzucił: - Mam nadzieję, że tak. Siadaj, porozmawiamy chwilę. Za piętnaście minut mam umówione spotkanie z klientem, ale tacy jak on z reguły się spóźniają. Wydaje im się, że każąc innym czekać, sami nabierają ważności.

Roześmiał się gardłowo. Jego głęboko osadzone, brązowe, tryskające humorem oczy i nieskazitelne maniery wzbudzały instynktowne zaufanie. Ruben był niewątpliwie najlepszym spośród londyńskich radców prawnych i każdy, kto pracował w jego kancelarii, zaliczał się do prawniczej elity.

Rolf usiadł, odmówił cygara i cierpliwie czekał, podczas gdy Ruben zapalał swoje.

- Doktor twierdzi, że powinienem rzucić palenie - zauważył - ale ja nie mam zamiaru go słuchać. Palę niewiele, piję niewiele i pracuję ciężko - to najlepsza recepta na długie życie. A teraz powiedz mi, jak postępuje sprawa Farringtonów?

Z pewnością znał wszystkie poczynione dotychczas kroki, ale teraz oczekiwał pełnego sprawozdania Rolfa.

- Lepiej niż przypuszczałem - odparł Rolf - znacznie lepiej. Udało mi się przekonać panią Farrington, żeby odrzuciła żądania pasierba.

Ruben wypuścił wielki kłęb dymu z cygara.

- Zgodziła się?

- Tak. Jadę do niej wkrótce, żeby ustalić warunki finansowe. Wierzę, że udało mi się ją przekonać, iż będzie w stanie pokryć koszty sprawy.

- Dobrze - powiedział Ruben w zamyśleniu. - Czy ona wie, jaka kwota może wchodzić w grę? Nie chciałbym wprowadzać jej w błąd. To bardzo miła kobieta. Jej męża też lubiłem. Dom jest piękny, tak przynajmniej powiedział mi Humfrey. Czy składałeś mu już raport?

- Jeszcze nie - odparł Rolf. - Na razie sam zajmuję się wszystkim i pani Farrington wydaje się z tego zadowolona. Oczywiście poinformuję go o wszystkich poczynaniach, ale na razie Humfrey jest bardzo zajęty.

- Tak, wiem. - Ruben pokiwał głową. Popatrzył wprost w zimne, niebieskie oczy Rolfa i uśmiechnął się. - Dobrze sobie radzisz, choć sprawa nie jest prosta - zauważył. - Mam nadzieję, że to doświadczenie przyda ci się, gdy nas opuścisz. I jeszcze jedno. Zostawmy na chwilę na boku profesjonalny aspekt całej sprawy. Rzadko można natrafić na większego łajdaka niż pan Alan Farrington.

Rolf podniósł wzrok.

- Zna go pan?

- O tak. Spotkałem go na jednym z przyjęć dobroczynnych, gdzie był ze swoją żoną. Ładna dziewczyna. - Strzepnął popiół z cygara i mówił dalej: - Farrington pozwolił sobie na kilka obrzydliwych, antysemitkich uwag. Zdaje się, że po pijanemu. Mój syn też był obecny na tym przyjęciu, a ów incydent bardzo go poruszył; ledwo zdołałem mu wyperswadować, aby nie robił z niego sprawy. Podczas ostatniej wojny straciliśmy wielu krewnych. Niektórym udało się szczęśliwie przedostać do Szwecji. Dla Niemców był to policzek; mieli ich niemal na wyciągnięcie ręki, a jednak nie mogli dosięgnąć. Mój syn był bardzo zainteresowany, gdy dowiedział się, że prowadzimy sprawę przeciwko Farringtonowi, reprezentując jego macochę. Wielka szkoda, że sam zrezygnował z kariery prawniczej i zdecydował się zostać architektem. Tak jak już powiedziałem, Alan Farrington to kawał drania i gdybym nie stał na czele firmy, reprezentowałbym interesy pani Farrington, nie biorąc od niej żadnego honorarium. - Rzucił okiem na elegancki, wodoszczelny zegarek od Cartiera. - Mój klient się spóźnia, tak zresztą, jak się spodziewałem. Co sądzisz o moim najnowszym obrazie? To ten nad regałem.

Rolf wykręcił szyję, a potem wstał, żeby mieć lepszy widok.

- Bardzo ładny. Czy jest pan amatorem wyścigów konnych?

Ruben roześmiał się.

- Wyłącznie na płótnie. To jeden z lepszych obrazów Bena Marshalla. Pojawił się na aukcji trzy miesiące temu. Odrestaurowałem go i kazałem na nowo oprawić. Prezentuje się wspaniale, a przyjemność jest znacznie tańsza i trwa o wiele dłużej. Wyścigi to jeden z najlepszych sposobów na pozbycie się pieniędzy, niemal tak samo skuteczny, jak wrzucenie ich do ognia. A teraz, mój drogi chłopcze, pozwolę ci wrócić do siebie. Muszę jeszcze przestudiować notatki, zanim mój klient raczy się wreszcie pojawić. Zrobiłeś dobrą robotę. Pamiętaj, że zawsze jestem tutaj, na wypadek gdybyś potrzebował rady. Nie zapomnij też

informować o wszystkim mojego bratanka Humfreya; to bardzo wrażliwy chłopak i nie chciałbym, aby poczuł się urażony.

- Nie zapomnę - obiecał Rolf. - Dziękuję panu, panie Stone, i moje gratulacje z powodu obrazu. Wygląda bardzo ładnie, choć przyznaję, że zupełnie nie znam się na angielskim malarstwie. Gdyby to był szwedzki pejzaż, prędeż mógłbym wydać opinię.

Zszedł na dół do swojego pokoju. Na biurku znalazł notatkę. Dzwoniła pani Farrington z pytaniem, czy mógłby przyjechać w sobotę do RussMore. Odetchnął z satysfakcją. Tak, oczywiście, że mógłby. Będzie siedział tam tak długo, dopóki nie znajdzie tego, po co przybył do Anglii. Poleciał sekretarce oddzwonić i przyjąć w jego imieniu zaproszenie pani Farrington.

*

Z okazji przyjazdu Spannierów Christina wydała niewielkie przyjęcie, zapraszając na obiad kilka zaprzyjaźnionych osób. Z myślą o Harrym Spannierze zaprosiła również córkę sąsiadów, która właśnie przyjechała w odwiedziny do rodziców. Wspólni znajomi byli raczej w wieku Richarda, miała jednak nadzieję, że syn Spannierów będzie się dobrze bawił. Tymczasem okazało się, że Harry Spannier spędził cały wieczór, wpatrując się w nią i niemal nie odzywając się do swojej sąsiadki przy stole. Christinę mocno to speszyło.

W ogóle Harry okazał się zupełnie inny, niż go sobie wyobrażała. Spodziewała się, że będzie wysoki, o ogorzalej cerze, spalonej afrykańskim słońcem. Istotnie był opalony, ale drobnej budowy, niewiele wyższy od niej, o delikatnych rysach, z głęboko osadzonymi oczami, które nagle przypomniały jej Richarda.

Jane uścisnęła ją serdecznie i bez ogródek oznajmiła, że wygląda na przemęczoną, czemu Peter natychmiast się sprzeciwił, twierdząc, że Christina wygląda wspaniale, jak zwykle zresztą. Po tym przywitaniu przedstawili jej Harry'ego.

- Miło mi cię poznać - powiedziała Christina. - Jak się czujesz po powrocie do domu?

Jego odpowiedź była niekonwencjonalna.

- Jeszcze nie wiem. Ciągle nie jest to dla mnie dom, ale powoli zaczynam się przyzwyczajać. - Rozejrzał się wokół i dodał: - Jak tu się zmieniło! Doskonale pamiętam ten pokój; była to ciemna i ponura nora, a teraz, dzięki tobie, stał się jasny i uroczy.

Jane wtrąciła szybko:

- Nie zwracaj na niego uwagi, Christa. On zawsze mówi to, co myśli. Obawiam się, że odziedziczył to po mnie. Typowy Farrington.

Z oddaniem popatrzyła na syna. Odpowiedział jej spojrzeniem i uśmiechnął się. Potem zwrócił się do Christiny:

- Wcale nie taki typowy. Farringtonowie są raczej skryci. Moja matka wyraźnie się wyrodziła.

Christina poczuła nagłą radość. Jak to dobrze, że przyjechali, zarówno ten nieco osobliwy mężczyzna, jak i jego rodzice. W ich towarzystwie na pewno przyjemnie spędzi czas.

Jane z prawdziwym entuzjazmem odniosła się do projektowanego przyjęcia. Znała wszystkich zaproszonych gości i natychmiast przedstawiła pełny rejestr ich wad i zalet. Raz czy dwa Christina przyłapała wzrok Harry'ego Spaniera, który potrząsał głową w udanej rozpacz.

- Obowiązuje strój wieczorowy - zapowiedziała swoim gościom. - To żeby uczcić waszą wizytę i przyjazd Harry'ego. Mnie też dobrze zrobi odrobina odświętności. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu. Chciałabym, aby było to prawdziwe przyjęcie.

- Wspaniale to wymyśliłaś - powiedziała Jane. - Zabrałam stary aksamitny żakiet Petera. Dla Harry'ego też zapakowałam strój wieczorowy. Miejmy nadzieję, że będzie pasował.

- Na pewno będzie - odparł Harry. - Bynajmniej nie przybrałem na wadze. Raczej schudłem. Jeśli ktoś chce stracić parę kilogramów, nie ma nic lepszego jak głośna sprawa rozwodowa - dorzucił w stronę Christiny.

Jane wspomniała jej wcześniej o nieudanym małżeństwie syna, ale nie wdawała się w szczegóły. Christina powiedziała spokojnie.

- O, na pewno. Wypijmy drinka, zanim pójdziemy się przebrać.

Harry wystąpił naprzód.

- Ja się tym zajmę - oznajmił. - Wskaż mi tylko kierunek.

- Taca z alkoholami stoi na stoliku pod oknem - powiedziała Christina. - Dla mnie bardzo słaba wódka z mnóstwem toniku.

- Dla mamy i ojca z pewnością dwie nie bardzo słabe wódki, a dla mnie dzin z angosturą według recepty johannesburskiej. Na trzy palce dzinu, dwie kostki lodu i odrobina angostury. - Zamieszał drinki i zbliżył się do Christiny. - Na zdrowie - powiedział. - Miło jest odwiedzić znowu RussMore

Przyjęcie okazało się sukcesem. Christina siedziała u szczytu stołu. Nawet Peter Spanier, który najwyższe uznanie dla urody kobiecej zwykł wyrażać lakonicznym „super”, powiedział szeptem do żony:

- Mój Boże, popatrz, jak ta Christina znakomicie wygląda. Założę się, że nie pozostanie zbyt długo we wdowieństwie.

- Lepiej niech uważa - odszepnęła Jane. - Z pewnością niejeden będzie ostrzył sobie na nią zęby, ale bynajmniej nie z myślą o ożenku. Przecież na wiele mil dookoła nie ma ani jednego wolnego mężczyzny, chyba że geje. Ta dziewczyna Copfordów sprawia bardzo miłe wrażenie, ale Harry nie wysiła się zbytnio. Niemal się do niej nie odzywał podczas obiadu.

Peter Spannier też to zauważył. Zauważył również, że syn prawie nie odrywa oczu od Christiny, znając jednak niewyparzony język żony, wołał tego nie komentować.

Po kawie Harry podszedł do Christiny, odgradzając ją od reszty gości. Sąsiad, starszy, emerytowany kapitan marynarki, wycofał się taktownie.

- Wiesz - zaczął Harry - zapomniałem już, jak eleganckie i dystyngowane bywają angielskie przyjęcia. Pamiętałem je jako nudziarstwo ponad wszelkie wyobrażenie, ale dzisiaj naprawdę świetnie się bawiłem. Wspaniale wyglądasz w tej czarnej sukni.

- Dziękuję - odparła Christina. - Myślę jednak, że życie w Johannesburgu było bardziej wystawne niż nasze tutaj.

- O, z pewnością. Kto miał forszę, ten żył jak król. Moja żona była bogata, więc opływaliśmy w dostatki; mnóstwo służby, wielki dom, basen w ogrodzie. Po prostu zrobiłem się zgorzkniały po tej całej historii z rozwodem. Lepiej nie zwracaj uwagi na moje słowa.

- Dobrze, nie będę - obiecała Christina. - Z kim z gości chciałbyś teraz porozmawiać? Popatrzyl prosto na nią.

- Z tobą - odparł. - Słyszałem, że masz kłopoty z Alanem. Mama mówiła, że on ma zamiar zakwestionować testament Richarda. Czy to prawda?

- Tak, prawda, ale nie psujmy sobie miłego wieczoru rozmową na ten temat. Chodź, porozmawiasz z panią Francis. Niedawno wróciła z wycieczki do Petersburga.

- W porządku, skoro już muszę - zgodził się Harry. - Przepraszam, nie miałem zamiaru wścibiać nosa, gdzie nie trzeba. Przez najbliższe pół godziny dam się oprowadzać po Ermitażu, ale po upływie tego czasu wracam do ciebie. - Podszedł do pani Francis i donośnym głosem poprosił, aby opowiedziała mu o swojej wycieczce do Petersburga.

Gdy goście wychodzili, znalazł się w holu u boku Christiny i pomagał paniom wkładać płaszcze. Pani Francis obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Było mi bardzo miło pana poznać - powiedziała. - Co za pech, że mieszka pan aż w Norfolk.

- Prawda? - zgodził się chętnie.

Pani Francis, która przekroczyła już czterdziestkę, po ostatnim rozwodzie najwyraźniej była spragniona męskiej adoracji.

Ku zakłopotaniu Christiny Harry mrugnął do niej znacząco.

- Czy on zawsze był taki? - zwróciła się szeptem do Jane.

- Jeszcze gorszy - padła natychmiastowa odpowiedź. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale dzisiaj Harry zachowywał się wyjątkowo przyzwoicie. Jeśli kogoś nie lubi, potrafi być naprawdę okropny. Do ciebie zapałał gorącą sympatią. Bądź dla niego miła, kochanie, on nadal cierpi. Nie daj się zwieść tą bufonadą. Wierz mi, on naprawdę kochał tę podłą babę, swoją żonę. Pasy bym z niej darła za to, co mu uczyniła. Peter, czas już spać.

- Nie poganiaj mnie tak - zaprotestował Peter Spannier. - Christino, chętnie bym wypił strzemiennego przed snem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa - odparła - a potem pewnie wszyscy pójdziemy do łóżek. Jane?

- Ja też się napiję, bo inaczej Peter wypije swoją brandy i zaśnie w fotelu. Harry, przyłączysz się do nas?

W odpowiedzi Harry wzruszył ramionami.

- Miałem nadzieję, że będzie mi dane zostać sam na sam z piękną kobietą, ale tata jak zwykle wszystko zepsuł. Napiję się, jeśli ktoś zaproponuje mi drinka.

Wieczorem zrobiło się chłodniej i w kominku w gabinecie płonął ogień. Ogromny salon po wyjściu gości sprawiał dość przygnębiające wrażenie. Harry zbliżył się do kominka i popatrzył na wiszący nad nim portret.

- Jaki dziwny obraz. Nie pamiętam, aby wcześniej tu wisiał.

- Przedtem wisiał w holu - wyjaśniła Christina - ale gdy zmieniałam wystrój tego pokoju, Richard go tu przewiesił. Bardzo lubił ten obraz. Dziecko uchodzi za członka rodziny Farringtonów, ale jego imienia nie znamy.

- Tylko tą czaszką jakoś się nie zachwycam - powiedział Harry.

- Boże drogi - wtrąciła Jane - nigdy jej nie lubiłam, ale siedziałam cicho. Richard był taki drażliwy wobec każdego słowa krytyki.

- To samo powiedział James - dodała Christina. - Sugerował mi nawet, abym przewiesiła gdzieś ten portret, ale ja nie chciałam.

- A propos Jamesa - powiedziała Jane - słyszałam, że masz kłopoty z Alanem.

Christina zawahała się na moment. Już wcześniej zdecydowała, że opowie o wszystkim Spannierom i poprosi ich o radę, jednak godzina pierwsza w nocy nie wydawała jej się najstosowniejszą porą.

A właściwie dlaczego nie, pomyślała nagle. Spontaniczne zwierzenia mogą się okazać znacznie łatwiejsze niż zaplanowane na zimno wyznanie.

- Ma zamiar zakwestionować testament i postanowienia nowej ustawy powierniczej,

na mocy której RussMore dziedziczy Belinda. Bardzo się cieszę z waszej wizyty, bo chciałam się was poradzić. Harry, nalej wszystkim jeszcze po drinku, a ja opowiem wam całą historię.

4.

- Najlepiej od razu ściągnij tu tego Szweda, niech jak najszybciej zabiera się do szukania rękopisu, czy jak go tam zwał zawyrokował Peter Spannier, gdy Christina pokrótce przedstawiła im wszystkie fakty; decyzję Alana o zakwestionowaniu testamentu i nowej umowy powierniczej, pesymistyczny scenariusz przedstawiony jej przez Wallberga, że RussMore nie podola takiemu obciążeniu finansowemu, jakim byłby przeciągający się proces, wreszcie odkrycie istnienia bezcennego wręcz rękopisu, które może zmienić całą sytuację.

Jane także zapaliła się do tego pomysłu.

- Nawet się nie zastanawiaj. Sprzedaj rękopis i spokojnie zainkasuj pieniądze. Alan postępuje obrzydliwie. Mam zamiar napisać do niego i wyłożyć mu, co o tym sądzę.

- Na twoim miejscu nie marnowałbym znaczka - sprzeciwił się Peter. - Alan nigdy nie przejmował się żadną opinią na swój temat. Cokolwiek byś napisała, do niego i tak to nie dotrze.

- Jesteście tacy kochani, że pozwalacie mi zawracać wam głowę moimi kłopotami - powiedziała Christina. - Już sama rozmowa z wami sprawiła, że poczułam się lepiej. Nie jest to temat, który powinno się dyskutować z przyjaciółmi, zresztą Richard by sobie tego nie życzył. W końcu to sprawy czysto rodzinne. - Podniosła się z miejsca. - Zrobiło się późno, a ja was zatrzymuję.

Peter i Jane pocałowali ją na dobranoc. Christina przytrzymała otwarte drzwi przed Harrym, ale ten zamknął je z powrotem.

- Jest jeszcze sporo rzeczy, których im nie powiedziałaś - zauważył spokojnie. - Dlaczego nie powiesz ich teraz mnie?

- Ponieważ chcę się położyć.

- Christino, ja także należę do rodziny, a ponadto nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. Nie powiedziałaś, na jakiej podstawie Alan chce obalić testament. Podważenie ustawy powierniczej sporządzonej przez takich asów jak Harvey i Stone jest przecież niemożliwe. Co on takiego ma na ciebie?

Christina otworzyła drzwi i spojrzała mu prosto w oczy.

- Harry, idź już, proszę. Chciałabym pogasić światła.

Harry nie ruszył się. Przez moment pomyślała, że zagrozi jej drogę.

- No dobrze - ustąpił w końcu. - Ale lubię cię, Christo, i wiem, że potrzebny ci przyjaciel. Czy nie uważasz tego za dziwne, że twój pan Wallberg ma większą wiedzę na temat starych rękopisów niż na temat prawa spadkowego? Nie możesz sprzedać niczego, co

stanowi część majątku, dopóki nie zapadnie wyrok. Dobranoc i do zobaczenia rano.

- Zaczekaj! - Christina złapała go za rękaw. - Co masz na myśli? Nie mogę niczego sprzedać?

- Porozmawiamy o tym rano, dobrze?

Położył rękę na jej ramieniu, pocałował ją lekko w policzek i wyszedł.

Rano nie pojawił się na śniadaniu.

- Gdzie jest Harry? - zapytała Christina. - Muszę z nim pomówić.

Jane rozsmarowywała marmoladę na grzance.

- Wyszedł na spacer. Skąd ten nagły pośpiech? Co Harry takiego zrobił? Zauważyłam, że wczoraj zostaliście jeszcze po naszym wyjściu.

- Harry powiedział coś, co mnie zaniepokoiło tak, że nie mogłam spać. Jane, czy to prawda, że nie można sprzedać niczego z majątku tak długo, jak długo testament jest kwestionowany?

- Pojęcia nie mam. Nigdy w życiu nie miałam takiego problemu. Zapytamy Petera, jak tylko zejdzie na dół. Przepraszam, że tak zamarudził. Może tu chodzi o uprawomocnienie się testamentu. Czy o tym mówił Harry?

- Tak, chyba tak. Jane, czy nie moglibyście zostać do soboty? Przyjedzie wtedy Wallberg, żeby poszukać tego rękopisu.

- Żałuję, ale naprawdę nie możemy. W piątek jest dzień wypłaty dla robotników, a po południu mam zebranie rady parafialnej. Musimy wracać w piątek z samego rana. Zadzwonię do ciebie w sobotę wieczorem zapytać, jak ci poszło. Naprawdę nie przejmuj się tak bardzo. Wszystko się ułoży. - Biedna Christa, pomyślała przy tym Jane ze współczuciem. Wygląda na mocno przestraszoną. To okropne, nie mieć nikogo, kogo można by się poradzić. - Jakie plany na dzisiaj? - zapytała szybko, zmieniając temat.

- Jedziemy do Longstown na lunch. - Christina odsunęła na dalszy plan dręczący ją problem. - Potem Heatonowie zaprosili nas na drinka. Nie zapraszałam nikogo na kolację, więc Belinda będzie mogła zjeść z nami. A potem spędzimy spokojny wieczór, gapiąc się w telewizor, o ile znajdziemy coś do oglądania.

- Świetnie - oznajmiła Jane. - A jak się czuje Belinda? Pogodziła się już z sytuacją? To okropne dla dziecka stracić jedno z rodziców. Kiedy wraca do szkoły?

- We wrześniu. Nie może się już doczekać. Doskonale daje sobie radę. To dzielna mała dziewczynka, pod wieloma względami przypomina mi Richarda.

- Nie ona jedna jest taka dzielna - odparła Jane. - O, widzę Harry'ego, spaceruje po ogrodzie. Idź do niego i niech ci wszystko wytłumaczy.

Przez chwilę Christina obserwowała Harry'ego przez okno. Maszerował dziarsko, ale wyglądał tak, jakby zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Powiedziała powoli:

- Czy nie pogniewasz się, jeśli coś powiem? Harry wydaje mi się trochę dziwny. To znaczy... taki niekonwencjonalny.

- Tak, na pewno, ale jeśli kogoś polubi, staje się najlepszym przyjacielem. Idź do niego.

Christina wybiegła do ogrodu. Zawołała głośno: „Harry!”, ale on zdawał się tego nie słyszeć. Szedł przed siebie z lekko pochyloną głową, głęboko pogrążony w myślach. Gdy zbliżyła się do niego, przystanął, odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- O, dzień dobry.

- Nie chcesz śniadania?

- Nie, dziękuję. Rozglądałem się trochę. Chciałbym przyjechać tu kiedyś na dłużej i poznać całą posiadłość. Przejmuję nie tylko przedsiębiorstwo ojca, ale i farmę. Zapoznając się ze sposobem zarządzania RussMore, mógłbym wiele skorzystać. Czy będę mógł to zrobić?

- Kiedy tylko zechcesz. Poproszę Boba Thorna, aby wyjaśnił ci wszystko. To nasz zarządca. Widziałam cię przez okno. Wyglądałeś na przygnębionego.

Szli teraz obok siebie. Harry zwolnił nieco, by dostosować się do jej kroków.

- Nie jestem przygnębiony - odparł powoli. - Przynajmniej nie tak, jak byłem. Po prostu jestem wściekły, że moje życie potoczyło się w ten sposób. Nigdy nie miałem zamiaru wracać do Anglii - kochałem Południową Afrykę. Mam młodszego brata, który gospodarzy na farmie, mniej więcej czterdzieści mil od domu. Zawsze liczył na to, że przejmie interes po ojcu, gdy ten zdecyduje się odejść na emeryturę lub umrze. On też nie jest zachwycony moim powrotem.

- Więc dlaczego wróciłeś? Nie mogłeś znaleźć sobie kogoś i zacząć wszystkiego od nowa? Rozwód to jeszcze nie koniec świata. W dzisiejszych czasach rozwody są niemal na porządku dziennym.

- Aż za bardzo - odparł krótko. - Ludzie zrywają ze sobą dla byle błahostki. Ja zastałem żonę w łóżku z moim współnikiem, o trzeciej po południu, kiedy myślała, że jestem o dwieście mil od domu. Dla mnie nie była to drobnostka, więc ją wywaliłem, a jego wysłałem do dentysty, żeby sobie sprawił nowe zęby. Postanowiłem zerwać z tym wszystkim i wrócić do Anglii. Mama była przerażona. - Uśmiechnął się na wspomnienie reakcji matki. - Zawsze znajdowała dla mnie jakieś wytłumaczenie. Jako nastolatek byłem raczej okropnym szczeniakiem. Potem, kiedy wreszcie zacząłem zachowywać się jak człowiek, wywędrowałem na drugi koniec świata, nie dbając o to, co pomyślą ojciec i matka. A teraz

wróciłem i oni zabili tucznego cielca na moje powitanie. Mam wspaniałych rodziców. Myślałaś o tym, co powiedziałem wczoraj wieczorem?

- Że nie będę mogła niczego sprzedać? Nie spałam do czwartej rano.

- Przykro mi, ale wydaje mi się, że mam rację. Zapytaj swojego szwedzkiego kumpla. Zapytaj go też, skąd wiedział, że Richard kupił tak cenny rękopis, skoro nikt inny nie miał o tym pojęcia. Skąd wiedział, do którego antykwariusza się udać? Ja też nie spałem wiele tej nocy. Ułożyłem sobie nawet całą listę pytań, które sam chciałbym mu zadać.

Christina odparła powoli:

- Ja także się nad tym zastanawiałam, ale nic nie będę robiła, dopóki nie znajdziemy rękopisu. Wallberg przyjeżdża w sobotę, aby mi pomóc w poszukiwaniach.

- Też bym ci pomógł, ale nie wiedziałbym nawet, czego mam szukać. Dasz mi znać, gdy już znajdziecie ten rękopis?

- Tak - odparła. - Na pewno. I przyjmuję propozycję, którą złożyłeś mi ostatniej nocy. Potrzebuję przyjaciela i chciałabym, abyś to ty nim został.

*

Gdy Rolf dojeżdżał do Lincoln, zaczęło padać. Wysoko na wzgórzu wznosiła się słynna katedra, posępna bryła, ledwo widoczna w strugach deszczu. Rolf nie czuł podniecenia; nigdy nie pozwalał sobie na tego rodzaju uczucia. Był lodowato spokojny. Wszystko poszło gładko, znacznie szybciej niż mógłby przypuszczać. Przewidział wszystkie wydarzenia, jakie miały nastąpić. Rodzinna wendeta, zakwestionowanie testamentu, nienawiść i walka, którą toczyli między sobą ci obcy mu ludzie. Wszystko to było wodą na jego młyn.

Poczekaj, upomniał się przedtem w duchu, to naprawdę nie pora na ekscytację. Przyjdzie na nią czas później, kiedy będziesz już miał to w rękach.

Napęczniałe od deszczu chmury zaczęły powoli ustępować, odsłaniając jasny, jakby przemyty błękit nieba. Przed Rolfem leżało Lincolnshire, płaskie i monotonne. Zza rosnących szerokim pasem drzew wyłaniały się dachy i błyszcząca miedzią kopuła RussMore, pokryta zielonkawą patyną. Na ten widok zaczął zwalniać.

Nie miał wątpliwości, co musi zrobić. Nie pozwoliłby sobie ani na odrobinę wyrzutów sumienia. Christina była czarującą kobietą. Pociągała go fizycznie, ale nie darzył jej uczuciem. Nie odczuwał żadnych skrupułów, zabił je w sobie już dawno temu. Gdyby wróciła do Szwecji, może byłoby to dla niej najlepszym rozwiązaniem. Zresztą w końcu to nie jego sprawa. Gdy pokonywał długą aleję wjazdową, dom rósł w jego oczach niczym cenny klejnot. Nienawidził tego miejsca i wszystkiego, co się z nim wiązało. Ludzi, których los

pobłogosławił rodziną, podczas gdy on nie miał żadnej, a którzy walczyli ze sobą niczym zwierzęta wyłącznie po to, aby posiadać tę starą, nieważną kupę cegieł i kamieni. Christina jest głupia, że chce tu zostać, bawiąc się w strażnika czegoś, z czym nic jej nie łączy, dla dobra dziecka, któremu bez tego dziedzictwa byłoby znacznie lepiej, i żeby stało się zadość życzeniom jej zmarłego męża, mszczącego się na synu, którego nienawidził.

Przyhamował zbyt ostro, aż żwir wytrysnął spod kół. Christina musiała go wypatrywać, bo natychmiast otworzyła drzwi i wyszła mu naprzeciw.

- Dzień dobry, Rolf. Jak to dobrze, że pan przyjechał.

Wyglądała bardzo młodo - szczupła i schludna, w dżinsach i sportowej bluzce, z jasnymi włosami spiętymi z tyłu głowy, sprawiała raczej wrażenie dwudziestolatki, a nie trzydziestotrzyletniej wdowy. Ręka, którą mu podała, była bardzo zimna. Przytrzymał ją odrobinę za długo.

- Jak się pani czuje? Czy wizyta krewnych udała się?

Christina była zdumiona, że o tym pamiętał.

- Bardzo. Chciałam, żeby zostali dłużej i poznali pana, ale niestety, musieli wracać.

Rolf ukrył przebłysk zaniepokojenia.

- Jaka szkoda. Czy powiedziała im pani, czego mamy szukać?

- Tylko ogólnie. Ich syn ma pewne wątpliwości, ale o tym porozmawiamy później. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy od razu poszli do biblioteki? Bardzo bym już chciała mieć to wszystko za sobą.

- Ja także - przytaknął bez wahania.

Weszli do domu. Wewnątrz panował chłód i unosił się leciutki zapaszek stęchlizny.

Przecież Szwedzi kochają słońce, pomyślał nagle. Kiedyś będę mieszkał w kraju, gdzie zawsze jest piękna pogoda.

Pamiętał bibliotekę i ten moment, kiedy po raz pierwszy zobaczył członków rodziny Farringtonów, czekających na odczytanie testamentu Richarda. Humfrey Stone, poważny i nieco pompatyczny, starszy syn zmarłego i jego żona, oboje dosłownie emanujący nienawiścią, nieśmiały i trzymający się na uboczu młodszy syn, który z miejsca wzbudził w nim pogardę. Rolf wyczuwał w tym mężczyźnie słabość, której nienawidził. I wreszcie Christina, z córką u boku, blada, wyraźnie wyczerpana uroczystościami pogrzebowymi, i bardzo piękna. Odsunął na bok to wspomnienie.

- No dobrze - powiedział - od czego zaczynamy?

- Nie mam pojęcia - odparła Christina. - Decyzję zostawiam panu.

- Najlepiej od tamtych szaf. Tych po lewej. Powinny zawierać portfolia.

Było tak, jak przypuszczał. W wysuwanych szufladach leżały teki wypełnione starymi dokumentami dotyczącymi posiadłości - aktami własności, korespondencją wielu pokoleń Farringtonów, planami architekta z początków osiemnastego wieku, kiedy kolejny właściciel postanowił rozbudować dom, dodając jedno skrzydło. Oprawne w skórę albumy zawierały grafiki i oryginalne rysunki, opatrzone notatkami sporządzonymi przez dawno już zmarłych ludzi.

Przeszukali najpierw jedną, a potem drugą i trzecią szafę. Nie zawierały nic poza archiwalnymi dokumentami rodzinnymi, obejmującymi okres ostatnich dwustu lat. Było tego całe mnóstwo do przeczesania, a mieli jeszcze do przejrzania pozostałe piętnaście szaf.

Pracowali, siedząc na podłodze, z rękami pokrytymi kurzem, jaki nagromadził się tutaj przez wszystkie lata, kiedy nikt nie sięgał do zbiorów. Wreszcie Christina odezwała się:

- Tu nie ma żadnych fragmentów kolekcji Richarda, tylko archiwum rodzinne.

- Mimo to musimy przejrzeć wszystko - odparł. - Pani zajmie się tą szafą, a ja tamtą z drugiej strony. Proszę się nie martwić, znajdziemy ten rękopis.

Ale po trzech godzinach poszukiwań ciągle jeszcze nie natrafili na poszukiwany skarb.

- Już prawie pierwsza - powiedziała Christina. - Pracujemy od dziewiątej. Czy zje pan coś?

Opróżnili każdą szafę, przeszukali dokładnie wszystkie szuflady.

Rolf pokręcił głową.

- Nie, chyba że zjemy po kanapce i zaraz zabierzemy się do dalszej roboty.

- Zrobię kanapki - zgodziła się - i przyniosę coś do picia.

- Kawę - polecił. - Musimy być skoncentrowani, żeby niczego nie przeoczyć. Pani mąż mógł ukryć swój skarb między innymi dokumentami. Niektórzy zbieracze tak robią.

- Dlaczego miałby tak postąpić, skoro nikt nie wiedział, że on to posiada? Richard nie był skryty.

- Obawiam się, że będziemy musieli się zabrać do szukania wśród książek.

- Ależ tu są tysiące książek - zaprotestowała Christina.

- Trzeba będzie przejrzeć je wszystkie - odparł.

Christina zatrzymała się w drzwiach. Przesunęła rękami po twarzy, znacząc policzek smugą kurzu. Na ten widok Rolf uśmiechnął się.

- Idąc po sandwicze, proszę najpierw umyć twarz - powiedział łagodnym tonem. - Umazała sobie pani czoło.

Zjedli kanapki i wypili kawę, siedząc w kucki na podłodze. Rolf zastanawiał się przez

chwilę.

- Kiedy pani wyszła, szybko przejrzałem pierwszą półkę - powiedział. - Książki są ustawione tematycznie. Połowa tej ściany poświęcona jest literaturze pięknej, w układzie alfabetycznym. Widzę tu wiele rarytasów, wiele pierwszych wydań. To bardzo cenne rzeczy, jednak nie na tyle, by pieniądze z ich sprzedaży wystarczyły. Myślę, że moglibyśmy spróbować w następujący sposób. Zacznijmy od R - religia. Możliwe, że między książkami stoi jakaś teczka. Jedyńm sposobem, aby ją odnaleźć, jest opróżnienie całej półki. - Wysączył resztkę kawy i popatrzył na Christinę. - Ale jeśli znęcam się nad panią, pani Farrington, proszę mi to powiedzieć. Kiedy pracuję, niewiele mam względów dla innych. Wielekroć mi to zarzucano.

- Nie sądzę, aby to była prawda - odparła - ale gdy tylko zmienię zdanie, natychmiast dam panu znać. A jeśli ja mam brudne ślady na twarzy, to pan ma smugę kurzu dokładnie na czubku nosa. - Oboje roześmiali się i Christina dodała: - Myślę, że możesz nazywać mnie Christa, tak jak wszyscy.

Właściwie wolałby, aby mu tego nie proponowała, ale uśmiechnął się i powiedział łagodnie:

- Dobrze, Christa. A teraz zabierajmy się do książek.

Natknął się na nie na drugiej półce. Cztery te czki oprawione w zielony marokini, z wytłoczonym tytułem: „Badania porównawcze” i z objaśnieniem pod spodem: „Kolekcja Richarda W. Farringtona”. Christina przeszukiwała półkę tuż przy podłodze.

- Tu jest cały rząd książek poświęconych islamowi - powiedziała.

- Wśród nich chyba nie będzie tego, czego szukamy.

Rolf zawahał się przez chwilę.

- Nie - powiedział. - Może natomiast być w tym.

Zeskoczył z bibliotecznymi schodków. Christina podniosła się z kolan, żeby zobaczyć, co trzyma w ręku.

- Ależ głupiec ze mnie! - wykrzyknął Rolf. - Przecież należało zacząć właśnie od tego. „Badania porównawcze. Kolekcja Richarda W. Farringtona”. - Zniżył głos. - Miałaś rację. Nie był skryty. Nasz rękopis musi być w jednej z tych teczek.

Każda z tek miała wytłoczony złotem napis: „Buddyzm”, „Chrześcijaństwo”, „Hinduizm”, „Judaizm”. Rolf otworzył ostatnią z nich, odkładając na bok pozostałe. Każdy dokument, zabezpieczony specjalnym odkwaszonym papierem, włożony był do przezroczystej koperty z folii. Do kopert dołączone były opisy, sporządzone wyraźnym charakterem pisma Richarda, zawierające czas, datę i miejsce nabycia. Same rękopisy nic

Christinie nie mówiły. Nie wszystkie zachowały się w dobrym stanie, z niektórych pozostały tylko drobne fragmenty, ułamki pergaminów zapisanych w różnych językach. Głównie były to teksty hebrajskie i greckie przekłady. Objasnienia Richarda były zbyt specjalistyczne, by mogły zainteresować kogokolwiek poza naukowcami. Z zapisków wynikało, że z niektórych dokumentów był bardzo dumny, inne stanowiły dla niego źródło rozczarowania - te niekompletne. Niektóre rękopisy były oryginałami, inne późniejszymi kopiami dawno zaginionych dzieł.

Christina, niezdolna dłużej ukrywać podniecenia, przerwała Rolfowi, wolno odwracającemu strony:

- Na litość boską, czego ty szukasz?

Rolf przewrócił kolejną kartę i gwałtownie wciągnął powietrze. Staranne wersaliki, podkreślone podwójną linią, głosiły: „Klejnot mojej kolekcji. Rękopis nabyty w Sztokholmie w 1983 roku, za niewiarygodnie niską cenę 20 tys. koron”.

Odwrócił się ku Christinie.

- Tego - powiedział. - Tego szukaliśmy. Otwórz. Przecież to należy do ciebie.

Christina wzięła do ręki ciężki wolumin i ostrożnie otworzyła plastikową kopertę. Ale w środku nie było nic poza jeszcze jednym arkuszem papieru zabezpieczającego, zapisanym pismem jej męża.

Najszynniejsza księga Starego Testamentu, Salomonowa Pieśń nad Pieśniami. Kopia oryginału datowanego na XII wiek przed Chrystusem. Rękopis pochodzenia sefardyjskiego, pierwotnie trzymany w zwoju, czemu zawdzięcza prawie idealny stan zachowania, niemal bez żadnych ubytków tekstu. Znalazłem ten rękopis w stosie szpargałów w antykwariacie w Sztokholmie, gdzie zaszedłem przypadkiem tego samego dnia, w którym poprosiłem o rękę moją drogą żonę. Ze wszystkich skarbów świata starożytnego ten odpowiada najbardziej mojej życiowej sytuacji. Jak powiada psalm 23, „mój kielich przelewa się”. Kierując się tymi słowami, nie będę już powiększał swojej kolekcji, gdyż posiadam doskonałość.

Christina odwróciła stronę, potem kolejne; wszystkie puste. W tece nie było żadnych innych rękopisów.

- Ależ tu nic nie ma - szepnęła. - Nie ma. Rękopis gdzieś zaginął.

Rolf wpatrywał się w dwa arkusze zabezpieczającego papieru, otaczające próżnię. Zdawał się niezdolny wypowiedzieć choćby jedno słowo. W końcu wydusił:

- Nie wierzę w to. Nie mogę w to uwierzyć. Daj mi tę tekę. Richard musiał go gdzieś przełożyć. Widocznie przeoczyłem.

Z bolesnym natężeniem jeszcze raz przeszukał wolumin od początku do końca, ale bez

rezultatu. Jak szalony zaczął przeglądać pozostałe. Wreszcie zatrzasnął ostatni. Twarz miał bez jednej kropli krwi, oczy rozszerzone jak pod wpływem szoku.

- Zniknął - powiedział powoli. Mocno chwycił zaskoczoną Christinę za ramię. - Rękopis został skradziony. Kto miał dostęp do tego pomieszczenia po śmierci twojego męża?

Christina usiłowała się uwolnić z jego uścisku.

- Tylko pokojówki i gospodyni. Nie wchodziłam tu od dnia pogrzebu. Przecież nikt nawet nie wiedział, że taki rękopis istnieje. I co to za dokument? Jakaś relikwia?

Zauważyła, że dłonie Rolfa zaciskają się w pięści.

- Nie, nie relikwia - powiedział ochryplym tonem. - Pieśń Salomonowa, Pieśń nad Pieśniami. Najwcześniejsza zachowana kopia najsłynniejszej księgi Starego Testamentu. Christino! - złapał ją za ramiona. - Kto mógł wśliznąć się tutaj i zabrać rękopis? Pomyśl! Kto tu był? Kto zna ten dom? - Zanim zdążyła cokolwiek wtrącić, sam sobie odpowiedział na to pytanie: - Twój pasierb James. Przyjechał tutaj, został nawet na noc. Przecież to on ci powiedział, że zbieranie rękopiśmiennych tekstów poświęconych religii stanowiło hobby jego ojca. Wspominałaś mi o tym, pamiętasz?

- Tak - odparła - tak, mówił mi. Rolf, sprawiasz mi ból.

Wallberg złagodził nieco chwyt, ale trzymał ją nadal.

- Ukradł coś, co jest warte milion albo i więcej. Oszukał cię. Tak ci się odpłacił za twoje dobre serce, za próbę usprawiedliwiania go. Tym czynem oddał RussMore w ręce swojego brata Alana. Ale to mu się nie uda.

Odwrócił jej twarz ku sobie, tak że musiała spojrzeć wprost na niego. Poczula nagły skurcz strachu. W oczach Rolfa czaiło się coś budzącego grozę. Niemal szeptał, ale w jego głosie brzmiała prawdziwa determinacja:

- Odzyskam ten rękopis, zobaczysz. Odzyskam go dla ciebie. Dla nas obojga.

Stali tak blisko siebie, że ich ciała niemal się stykały. Jedyne, co musiał zrobić, to pochylić głowę. Gdy położył swoje usta na jej wargach, ogarnęła ich fala wzajemnego pożądania. W Christinie narastało pragnienie, by odpowiedzieć na jego pieśczość. Nie mogła się poruszyć ani uwolnić z jego ramion, nie chciała zresztą. W odpowiedzi na jego pocałunek rozchyliła wargi i na moment wszystko wokół niej przestało istnieć.

Nagle Rolf wypuścił ją z objęć i postąpił krok do tyłu. Pod działaniem impulsu skierowanego raczej przeciwko sobie samej niż przeciwko niemu Christina wymierzyła mu siarczysty policzek. Nawet się nie poruszył.

- Przepraszam - powiedział. - Zasłużyłem na to.

- Lepiej idź już sobie - odparła drżącym głosem. - Zachowałam się jak idiotka. Idź już.

Rolf wpatrywał się w nią z dziwnym spokojem.

- Pragnąłem cię od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię wchodzącą do tego pomieszczenia. Nie rób sobie wyrzutów. Jesteś młoda i piękna. Nie zostałaś stworzona do tego, żeby żyć samotnie. Nie powinienem cię dotykać, ale przecież nie byłaś temu niechętna. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

- To nie powinno się w ogóle wydarzyć - odparła. - Nie minęły jeszcze trzy miesiące od śmierci Richarda. Jak ja mogłam? Przecież ja cię nawet nie lubię.

Uśmiechnął się.

- Wcale nie trzeba kogoś lubić, żeby go pragnąć.

- Och - zmieszła się. - Nie chciałam tego powiedzieć. To było okrutne i w dodatku nieprawdziwe. Po prostu jestem na siebie wściekła.

Wyszła z biblioteki i skierowała się do ogrodu. Rolf podążył za nią.

- W tej chwili nie potrafię nawet zebrać myśli - odezwała się w końcu.

Rolf szedł u boku Christiny, uważając, by nie dotknąć jej nawet przez przypadek. Niemal nie zepsuł wszystkiego tą jedną chwilą szaleństwa. Okłamał ją już nieraz i wiedział, że wielokrotnie jeszcze to uczyni, ale to jedno było prawdą. Pożądał jej od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. „Nawet cię nie lubię”. Nie czuł się urażony tym stwierdzeniem. Na myśl o Jamesie poczuł przyływ wściekłej furii. Ten drań ukradł rękopis nie dlatego, że znał jego wartość historyczną. Z jego strony był to raczej rodzaj złośliwego figla, próba zdobycia uznania ze strony brata. Przecież bracia Farringtonowie byliby gotowi zniszczyć rękopis. Alan z pewnością jest do tego zdolny. Najchętniej wrzuciłby w ogień wszystko, co jego ojciec kochał i cenił.

Idąc alejką, zbliżyli się do żywopłotu, biegnącego przez około sto jardów, aż do miejsca, gdzie zaczynał się ogród wodny, otoczony od tyłu wysokim murem z czerwonej cegły, równie starym jak sam dom. Ogród olśniewał bogactwem barw, ale ani Rolf, ani Christina nie dostrzegali jego uroków. Christina była oszołomiona i wstrząśnięta. Oszołomiona utratą rękopisu, wstrząśnięta wspomnieniem tej okropnej chwili, w której ogarnął ją gwałtowny przyływ pożądania.

Doszli do końca alejki. Przed nimi rozpościerał się ogród wodny, pełen roślin lubiących wilgoć i cień. Gigantyczne gunnery wyciągały wielkie, płaskie liście ku wierzbie płaczącej.

Christina powoli odwróciła głowę i spojrzała wprost na Rolf'a.

- Co teraz zrobisz? Jak zamierzasz odzyskać rękopis?

- Pojadę do Nowego Jorku - odparł. - Zobaczę się z Jamesem Farringtonem i zagrozę

mu, że jeśli nie odda skradzionej własności, zostanie aresztowany.

Christina przypomniała sobie nagle uwagę Harry'ego.

- Ale to nie jest moja własność. Nie mogę sprzedać niczego, dopóki nie zakończy się proces. Dlaczego powiedziałeś mi, że mogłabym to zrobić?

Rolf jak zwykle na wszystko miał gotową odpowiedź.

- Ponieważ nikt nie wiedział o istnieniu tego rękopisu. Mam swoje kontakty; sprzedałbym go w twoim imieniu, cicho i dyskretnie.

- Łamiąc przy tym prawo - zauważyła.

- Chcę ci pomóc. Chcę wygrać tę sprawę. Nie, nie zawahałbym się ani na moment.

Christino, naprawdę nie możesz pozwolić sobie na skrupuły. Czy Alan też ma takie wrażliwe sumienie? Stracisz ten dom i dziedzictwo Belindy. Co Richard by ci poradził w takiej sytuacji? Co zrobiłby on sam?

Christina odparła bez wahania.

- Udzieliłby mi takiej samej rady jak ty. Richard miał w sobie pewien rys okrucieństwa. Ja sama nigdy nie doświadczyłam bezwzględności z jego strony, ale wiem, że potrafił być bezlitosny. Kiedyś po kłótni z Alanem powiedział do mnie: „Prędeż spalę ten dom, niż pozwolę, by przeszedł w jego ręce”. Ale teraz Richard nie żyje i to ja muszę podjąć decyzję. Nie jestem nim i będę postępowała zgodnie z tym, co sama uznam za słuszne.

Rolf wyczuł, że gdyby teraz usiłował z nią dyskutować, przegrałby. Christina posiadała niewzruszone zasady moralne, tak niepotrzebne, jego zdaniem.

- Masz rację - powiedział - ale przynajmniej pozwól mi odzyskać własność twoją i Belindy. Potem sama podejmiesz decyzję. Jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy, pomogę ci.

Christina podjęła spacer alejką.

- Nie mówisz mi prawdy. Skąd się dowiedziałeś o tym wszystkim? Wiedziałeś, że Richard ma ten rękopis, na długo przedtem, zanim zdążyłam ci cokolwiek wspomnieć na ten temat. Wiedziałeś, gdzie go kupił i kiedy.

- Nie okłamałem cię - sprzeciwił się Rolf. - Przestań tak krążyć i popatrz na mnie. Popatrz w twarz komuś, kogo oskarżasz o kłamstwo. Czy nie wiesz, że prawdę można wyczytać z oczu?

- Nie - odparła. - Nigdy w to nie wierzyłam. Nawet jeśli nie kłamiesz, to coś przede mną ukrywasz. Od samego początku nie byłeś wobec mnie szczery.

- Nie, nie byłem - przyznał Rolf. - Czy moglibyśmy gdzieś usiąść? Chcesz usłyszeć prawdę. Opowiedzenie jej zajmie trochę czasu.

Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

- Wracajmy lepiej do domu - zdecydowała Christina.

*

Harry Spannier wetknął głowę do kuchni, gdzie jego matka zajęta była obieraniem jarzyn.

- Mamo, czy Christa dzwoniła?

- Nie, jeszcze nie. Pewnie ten prawnik ciągle u niej siedzi. Przeszukanie takiej biblioteki może zabrać kilka dni, o ile w ogóle jest tam coś do znalezienia. Miejmy nadzieję, że tak. Im dłużej myślę o tym podłym Alanie, tym bardziej jestem wściekła.

- Mnie się nie podoba cała ta historia - odparł Harry. - Ten Szwed wygląda mi na spryciarza.

Jane zaczęła kroić kapustę.

- Zdaje się, że Christa ci się spodobała.

- Jest atrakcyjna. Poza tym to bogata wdowa. Dlaczego miałaby mi się nie spodobać?

Żartował i Jane doskonale o tym wiedziała.

- To nie jest prawdziwy powód - odparła. - Znam cię, kochanie. Tylko nie angażuj się zbyt głęboko. W spizarce są ziemniaki, bądź tak dobry i przynieś mi je. O, dziękuję. Gdzie jest twój ojciec?

- Ogląda mecz krykieta w telewizji. Nie jest zadowolony. West Indiens przegrywają dwieście pięćdziesiąt osiem do czterech. Czy chcesz, abym ci pomógł?

- A czy ty kiedykolwiek obierałeś coś poza jabłkiem? - Roześmiała się. - Nie, dziękuję, kochanie. Idź i dotrzyмай towarzystwa tacie. Dołączę do was, gdy tylko uporam się z gotowaniem. Wypijemy po drinku i możemy zadzwonić do Christy.

- Daję jej czas do ósmej - powiedział Harry. - Jeśli do tej godziny nie zadzwoni, sam do niej zatelefonuję.

Ale czas mijał, Spannierowie zasiedli do drinka przed kolacją, a telefon ciągle milczał.

*

- Ile ty masz lat, Christino?

Znał oczywiście jej wiek, ale chciał osadzić w czasie swoją historię.

- Trzydzieści trzy. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ historia, którą mam zamiar ci opowiedzieć, wydarzyła się dwadzieścia lat przed twoim urodzeniem. Było to zresztą także przed moimi narodzinami, co jednak wcale nie czyni dla mnie tej sprawy mniej realną. Miałaś rację, twierdząc, iż wiedziałem o tym, że twój mąż posiada bezcenny rękopis. Wiedziałem, gdzie go kupił i kiedy, ale dopiero od

niedawna. Nie było to pierwsze dzieło sztuki, którego losy śledziliśmy, ale z pewnością najbardziej unikalne i jedno z najcenniejszych.

- Jacy my? - zapytała Christina.

- Moja firma - odparł gładko. - Od ponad pięciu lat zajmujemy się odszukiwaniem zaginionych dzieł na żądanie klientów. Zatrudniamy detektywów, prowadzimy poszukiwania w całej Europie i w wielu przypadkach nasze starania zostały uwieńczone powodzeniem. To praca wymagająca wielkiej cierpliwości. Śladów zostało niewiele. Dawni właściciele nie żyją. Naszymi klientami są dalecy krewni, często mieszkający w Stanach. Biorąc pod uwagę, jak niewielu osób dotyczyło to wtedy, zdumiewające jest, ilu spadkobierców zgłasza się do nas teraz.

Christina zmarszczyła brwi.

- Nie tłumaczysz mi tego zbyt jasno - zauważyła. - Czy chcesz powiedzieć, że ten rękopis był kradziony? Ale Richard kupił go w dobrej wierze.

- Oczywiście - zgodził się Rolf. - Tak samo uczynili inni, którym zaoferowano obrazy impresjonistów, płótna starych mistrzów, wspaniałą biżuterię. Wszyscy kupowali w dobrej wierze. Odkryliśmy jednego Renoira i dwa dzieła Matisse'a u prywatnych właścicieli w miejscach tak oddalonych od siebie, jak Helsinki i Grecja. Gdy już znamy miejsce przechowywania obiektu, moim zadaniem jest uregulowanie kwestii jego własności. Najczęściej wystarcza groźba wystąpienia na drogę sądową. Potem dzieło się sprzedaje, a pieniądze dzieli między spadkobierców. Pamiętam, raz zdarzył się wyjątek. Pewien mężczyzna koniecznie chciał odzyskać biżuterię swojej prababki, gdyż pragnął podarować ją żonie. Wygląda na to, że niewiele z tego rozumiałaś. To moja wina. Dla mnie ta historia jest tak oczywista, że zapominam opowiedzieć ją od początku. - Rolf mówił takim tonem, jakby to, co opowiada, było mu najzupełniej obojętne. - Oczywiście słyszałaś o holocauście. Każdy o tym słyszał, już Żydzi się o to postarali.

- I tak powinni byli uczynić! - zawołała gwałtownie Christina. - Nie wolno dopuścić, aby ludzie zapomnieli o podobnym horrorze.

Rolf pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Nie każdy by się z tobą zgodził.

Nie spodobał jej się ton tej wypowiedzi, a już ostatnią uwagę uznała za okropną.

- A ty?

- Ja jestem neutralny, podobnie jak państwo szwedzkie. Podczas gdy w Europie trwała wyniszczająca wojna, my staliśmy z boku, i była to słuszna decyzja, ponieważ dzięki naszej neutralności mogliśmy udzielić aliantom znacznie większej pomocy, niż gdybyśmy byli

okupowani. Ten punkt widzenia wydaje mi się słuszny, ale oboje jesteśmy zbyt młodzi, aby mieć prawdziwe pojęcie o tym, jakich kompromisów wymagała taka postawa albo jakie byłyby konsekwencje, gdyby ten wybór okazał się błędny. Na pewno już się domyśliłaś, że właścicielami rękopisu byli Żydzi, bogaci niemieccy Żydzi, którzy chwilowo mieli to szczęście, że udało im się wykupić od zagłady w obozie. - Rolf oparł się wygodnie w fotelu i założył nogę na nogę. - Niemcy także są ludźmi. Nawet w oddziałach SS zdarzali się oficerowie, których udało się przekupić łapówką. Kto był biedny, szedł prosto do transportu i do komory gazowej.

Zareagowała tak, jak tego oczekiwał.

- Twierdzisz, że bogaci nie szli do komór? Przecież pod koniec wojny w Niemczech nie było już wcale Żydów.

- Pod sam koniec nie - zgodził się. - Mówię, że bogatym Żydom, przynajmniej niektórym z nich, udało się przeżyć dłużej niż biednym. Niektórzy zdołali się nawet wydostać z Niemiec do Szwecji, ale tych była zaledwie garstka. Jednak pod koniec wojny, kiedy już było wiadomo, że Hitler przegra, większość skończyła w obozach. Myślisz, że jestem antysemitą, tak? - strzelił w nią pytaniem.

- Sprawiasz takie wrażenie. Wiem, że w Szwecji są ludzie wyznający podobne poglądy, ale, proszę, nawet nie próbuj głosić ich w tym domu.

- Nie będę - odparł łagodnie - ponieważ nie należę do tej grupy ludzi. Moja praca polega na odzyskiwaniu rzeczy zagrabionych Żydom. Rękopis Richarda był na mojej liście. Czy odpowiedziałem na twoje pytania?

- Nie - odparła Christina. - Wcale nie odpowiedziałeś. Tak naprawdę nie wyjaśniłeś mi niczego. Jak został ukradziony? A jeśli rzeczywiście został, to przecież powinieneś wystąpić o wyłączenie go z masy spadkowej, a nie namawiać mnie, żebym go sprzedała.

- Mój klient pragnie, aby rękopis został sprzedany. Zależy mu na pieniądzach. Zaaranżowałem wszystko tak samo, jak to czyniłem poprzednio. Ty bierzesz połowę i mój klient też połowę. Nie ma żadnego włączenia się po sądach i wszyscy są zadowoleni. Wydawało mi się, że ten sposób usatysfakcjonuje wszystkich i jednocześnie pozwoli ci wygrać z Alanem. - Pochylił się w jej stronę. - Pragnę tego, Christo. Wielokrotnie już załatwiałem podobne transakcje, ale ta naprawdę jest dla mnie ważna. Podziwiam twoją odwagę i twoją prawość, tak samo jak gorąco pragnę kochać się z tobą. Ale o tym nie będziemy mówili.

- Nie, nie będziemy - powiedziała szybko. - Co się stało z ludźmi, którzy byli właścicielami tych wszystkich przedmiotów? Co się stało z tymi, którzy posiadali rękopis?

Rolf nie odpowiedział od razu. Promienie zachodzącego słońca padające na jego włosy nadawały im srebrzysty połysk. Twarz miał ukrytą w cieniu.

- Wszyscy zostali wymordowani - powiedział w końcu. - Wszyscy, poza młodą dziewczyną z pięciomiesięcznym niemowlęciem. Mieli przyjaciela. Kogoś, kogo znali jeszcze dawniej, zanim rozpanoszył się nazizm. Sądziłem, że mogą mu zaufać.

Christina zadrżała.

- A on ich zdradził? Jakże to okropne.

Rolf zdawał się zupełnie spokojny.

- To zdarzało się nagminnie. W zamian za pieniądze albo dzieła sztuki proponowano im zwolnienie z wywózki, a potem aresztowano ich, gdy tylko wrócili do domu po wręczeniu łapówki. Ale ten przypadek był nieco odmienny. Tu w grę wchodziła przyjaźń i zaufanie. Czy mam ci o tym opowiedzieć? Może jeśli poznasz historię owego „klejnotu” Richarda, łatwiej przyjdzie ci się go pozbyć.

Christina nie wahała się ani przez moment.

- Tak, powiedz mi. Chcę wiedzieć.

Rolf przeciągnął się w fotelu, napinając mięśnie niczym drapieżne zwierzę. Już wcześniej, gdy chwycił ją za ramię, Christina uświadomiła sobie jego fizyczną siłę. Teraz powiedział powoli:

- Chyba łatwiej ci będzie to zrozumieć, jeśli przedstawię wszystko w formie szczegółowej opowieści. Jest to historia, którą udało mi się złożyć ze strzępów wspomnień, okruchów rozmów, rozmaitych detali. Ale najpierw przygotuję ci drinka. Myślę, że możesz go potrzebować.

5.

Klaus Himmelsbach, przystojny mężczyzna o ujmujących manierach, cieszył się dużą popularnością wśród swoich klientów. Kobiety lubiły go za sposób, w jaki je emablował, mężczyźni zaś za zabawne dykteryjki, którymi ich częstował, i za ustępliwość w zawieraniu transakcji. Firma Himmelsbach Galleries istniała w Hamburgu od ponad osiemdziesięciu lat i sama jej nazwa gwarantowała autentyczność sprzedawanych w niej dzieł sztuki. Można było tam znaleźć wszystko, począwszy od stylowych mebli po drobiazgi złotnicze Fabergego. Klaus Himmelsbach wyspecjalizował się w wyrobach złotniczych i miniaturach, podczas gdy jego ojciec Frederick zajmował się przede wszystkim osiemnastowiecznymi meblami niemieckimi, a dla specjalnych klientów, rozmiłowanych w przepychu i wytworności, sprowadzał najwspanialsze okazy meblarstwa włoskiego.

Klaus rozszerzył ofertę galerii, skupując wyroby rzemiosła, kunsztowne drobiazgi złotnicze pochodzące z pracowni słynnego Fabergego, które znalazły się w Niemczech wraz z uciekinierami z carskiej Rosji. Wielu z nich opuściło ojczyznę wyłącznie z tym, co zdołali pochować po kieszeniach. Klaus skupował od tych nieszczęśników wszystko, co udało im się ocalić, by potem sprzedawać to z zyskiem bogatym Niemcom, miłośnikom pięknych wyrobów. Miał stały krąg klientów. Szczególnie zabiegał o względy kobiet, gdyż to wiodło do znajomości z ich mężami. Po pierwszej wojnie stał się postacią dobrze znaną w kręgach towarzyskich Hamburga.

Kraj przeżywał wówczas kryzys gospodarczy, a szalejąca inflacja doprowadziła wielu Niemców na skraj nędzy. Jednocześnie jednak zaczęły wyrastać nowe fortuny, budowane przez ludzi obdarzonych zmysłem do interesów, którzy inwestowali raczej w wartościowe przedmioty, a nie zawracali sobie głowy obligacjami czy gromadzeniem pieniędzy, z dnia na dzień tracących na wartości. Do klientów Himmelsbacha należeli także bogaci Żydzi, którzy korzystali z jego pośrednictwa w sprzedaży i nabywaniu dzieł sztuki, podobnie jak ich przodkowie korzystali z usług jego ojca, a jeszcze przedtem dziadka. Wraz z żoną bywał nawet w domach niektórych z nich, gdzie przyłączał się do ogólnego utyskiwania nad stanem kraju, szalejącą inflacją, niepokojami wśród robotników, a przede wszystkim nad groźbą komunizmu. Na ulicach dochodziło do zamieszek i starć między zwalczającymi się ugrupowaniami politycznymi. Kraj pogrążał się w anarchii, a stary i niedołężny kanclerz Hindenburg najwyraźniej nie potrafił zapanować nad sytuacją.

Komunistów obawiali się wszyscy. Uciekinierzy z carskiej Rosji rozpowszechniali przerażające historie o mordowaniu, odbieraniu własności prywatnej, aresztowaniach

przedstawicieli klas posiadających i masowych egzekucjach. Komunizm był najgorszą z możliwości, jaka mogła spotkać Niemcy, i nikt nie atakował go bardziej zawzięcie niż bogata burżuazja.

Klaus Himmelsbach hojną rękąłożył na partię narodowych socjalistów, którzy zdawali się być jedynym ratunkiem przed zagrażającym od wschodu bolszewickim terrorem. Po objęciu władzy przez Hitlera, kiedy rasistowskie ataki i jawnie antyżydowska propaganda stały się częścią oficjalnej polityki, starał się uspokajać swoich żydowskich klientów, których przestał obecnie nazywać publicznie przyjaciółmi. Mówił im natomiast, do kogo mogą zwracać się o wszelkiego rodzaju pomoc, oczywiście z zachowaniem jak najdalej posuniętej dyskrecji. Zawsze podkreślał, że dyskrecja jest niezbędna. Po wybuchu wojny, kiedy rozpoczęły się wywózki Żydów do tak zwanych obozów pracy i rehabilitacji, doradzał im, do kogo mogą się zwrócić z propozycją łapówki, i najczęściej służył za pośrednika. Sam nigdy nie czerpał korzyści materialnych z tych transakcji. Odmawiał nawet przyjmowania prezentów od tej garstki Żydów, którzy posiadali jeszcze jakieś wartościowe przedmioty. Na początku lat trzydziestych wśród jego klientów było co najmniej dwanaście rodzin żydowskich. W 1944 roku pozostały zaledwie cztery; Steinbergowie, niegdyś właściciele dużych fabryk tekstylnych, przejętych przez państwo bez żadnej rekompensaty, gnieźdzący się obecnie całą rodziną w niewielkim mieszkaniu na przedmieściu Hamburga, Braunerowie, dawni potentaci okrętowi, obecnie zaś nędzarze tułający się po rozmaitych schronieniach w ciągłej ucieczce przed aresztowaniem, pani Rabinowitz i trójka jej ocalałych wnucząt, mieszkający kątem u aryjskich przyjaciół po schwytaniu i wywiezieniu reszty rodziny, i wreszcie Rubensteinowie, zamożna rodzina przeważnie prawników i lekarzy obecnie pozbawionych praktyki, którym udało się ocalić życie dzięki łapówkom i przekupstwu. Ale niebawem miał nastąpić koniec ich wszystkich. Klaus Himmelsbach widział to zupełnie wyraźnie. Koniec ostatnich Żydów w Hamburgu i koniec Niemiec, dla których wojna była przegrana. Miliony niemieckich żołnierzy straciło życie w Rosji, a wraz z nimi została pogrzebana niemiecka szansa na zwycięstwo. W młodości Klaus studiował także historię; przedmiot ten stanowił nieodzowną część wykształcenia każdego historyka sztuki.

Hitlera spotkało dokładnie to samo, co niegdyś Napoleona. Obecnie Niemcy czekali na ofensywę aliantów. Nocami samoloty alianckie bombardowały miasto i port. Klaus z żoną i dziećmi chronił się wówczas w schronie przeciwlotniczym. Był świadkiem wielu pożarów i zniszczeń. To była zapowiedź przyszłości, przyszłości zbyt strasznej, by nawet o niej myśleć. Od wschodu nieubłagalnie zbliżali się Rosjanie.

Pewnej nocy, wyjątkowo wolnej od zawrota syren, huku bomb i dział obrony

przeciwlotniczej, żona Klausu usłyszała pukanie do drzwi kuchennych. Zgasiła światło i otworzyła drzwi, myśląc przy tym z obawą, że to pewnie patrol żandarmerii sprawdzający zaciemnienie. Żyła w bezustannej obawie przed żandarmami, gdyż po kilku upomnieniach z reguły następowało aresztowanie. Ale na schodach stała kobieta, niska, szczelnie otulona płaszczem, z twarzą ukrytą w wysoko postawionym kołnierzu.

- Frau Himmelsbach?

Leni Himmelsbach gwałtownie wciągnęła powietrze. Wydawało jej się, że rozpoznaje ten głos.

- Frau Steinberg? To pani? O mój Boże.

- Przepraszam, że przyszedłam. - Kobieta mówiła tak cicho, że Leni z trudem rozróżniała poszczególne słowa. - Przysłał mnie mój mąż. Sam jest bardzo chory, przeziębiony. Czy mogłabym porozmawiać z panem Himmelsbachem?

Leni zawahała się. Dawniej pozostawała z Ruth Steinberg w przyjacielskich stosunkach i nawet ją lubiła. Steinbergowie należeli do najlepszych klientów Klausu, poza tym byli bardzo gościnni i urządzali wspaniałe przyjęcia. Wiedziała, że Klaus nie kontaktował się z nimi już od dłuższego czasu.

- Bardzo proszę, Frau Himmelsbach.

Leni poczuła przypływ współczucia. Jeśli Klaus nie zechce z nią rozmawiać, sam będzie wiedział, jak to załatwić.

- Niech pani zaczeka tutaj. Proszę nie pukać, on zejdzie do pani.

Zamknęła drzwi i poszła po męża.

Później czekała na niego na górze, modląc się, aby nagle nie odezwały się syreny alarmowe. Gdyby tę kobietę złapano na ulicy, z pewnością zdradziłaby, od kogo wraca; takie informacje policja wydobywała biciem i torturami. Czekanie trwało całą wieczność. Usiłowała szyc, ale dygotała z zimna i strachu. Czowała, że nienawidzi Ruth Steinberg za to, że odważyła się do nich przyjść. Kiedy wreszcie Klaus pojawił się na górze, trzymał pod pachą jakiś rulon.

- Poszła już? Pozbyłeś się jej nareszcie?

- Tak, poszła do domu.

- Czego chciała? Nie miała prawa tu przychodzić i narażać nas.

Klaus nie odpowiedział. Usiadł przy stole, kładąc rulon przed sobą. Zaczął go rozwijać, przytrzymując ostrożnie obiema rękami. Leni zajrzała mu przez ramię. Na wyciętym z ram płótnie widoczny był pejzaż w delikatnych, pastelowych kolorach i stojąca na jego tle postać kobieca w białej sukni, przytrzymująca ręką rondo szerokiego kapelusza,

tak eteryczna i zwiewna, jakby przywiał ją wiatr.

- Och, jaki śliczny obraz. Co to jest? Czy ona ci go dała?

Klause zawsze zdumiewało, że po tylu latach bliskiego kontaktu ze sztuką jego żona pozostała kompletną ignorantką. Powiedział cierpliwie:

- To Renoir. Usiłowała mi go ofiarować, ale ja go nie przyjąłem.

Leni popatrzyła na męża ze zdumieniem.

- Ale dlaczego? Taki obraz musi być wart fortunę. Steinbergom nic teraz po nim. Czego ona chciała?

Klaus ostrożnie zwinął płótno i przewiązał je kawałkiem brudnego sznurka.

- Chciała, abym pomógł jej i jej rodzinie wydostać się z Niemiec. Słyszeli o tej nowej ustawie. Führer zarządził, że wszyscy Żydzi z Reichu mają być wywiezieni na wschód. Będzie się przeszukiwało dom po domu, tak że nikt nie zdoła tego uniknąć. Ruth błagała mnie o pomoc, oferując w zamian Renoira. Nic im zresztą więcej nie zostało oprócz kilku sztuk biżuterii. Gdyby udało im się przedostać do Szwecji, mogliby ją sprzedać.

- Dlaczego do Szwecji? - zapytała Leni.

Klaus rzadko unosił się gniewem, ale tym razem nie wytrzymał.

- Nie bądź idiotką. Szwecja jest neutralna. Gdzie indziej mogliby uciec? Zamiast zadawać mi głupie pytania, zrób lepiej kawę.

Obecnie kawa była obrzydlistwem, palonym z żołądźmi z dodatkiem różnych domieszek, ale przynajmniej pozbył się Leni i miał czas pomyśleć w spokoju. Rozwiązał sznurek i jeszcze raz przyjrzał się obrazowi. Podniósł się z miejsca i poszukał w szufladzie bibulek, którymi Leni wykladała półki. Starannie zabezpieczył nimi płótno, zanim zwinął je na powrót, przewiązał sznurkiem i odstawił na bok. To był koniec Steinbergów, koniec wszystkich Żydów w Niemczech, ale i koniec Himmelsbachów. I jedni, i drudzy byli skazani na zagładę. Zagłada Himmelsbachów mogła nie być natychmiastowa, ale zbliżała się równie nieubłaganie.

Nakłonił Ruth Steinberg, żeby usiadła, podał jej szklankę wody, uspokoił, gdy zaczęła nerwowo protestować, że musi już iść, że nie powinna ich narażać. Nie zgodził się przyjąć Renoira. Przecież byli przyjaciółmi, a jej rodzice należeli do klientów jego ojca na długo przedtem, zanim Ruth została jego klientką. Powiedział, że zastanowi się, w jaki sposób będzie mógł im pomóc, o ile oczywiście jakakolwiek pomoc będzie możliwa, a w końcu zapytał, czy Steinbergowie znają jeszcze jakich Żydów gotowych podjąć próbę ucieczki, zamiast czekać na nieuchronną eksterminację. Ruth Steinberg odparła natychmiast, że ona sama zna jeszcze dwie takie rodziny; staruszkę z trójką wnucząt, gotową uczynić wszystko,

by ratować dzieci przed zagładą, jaka stała się udziałem ich rodziców i starszego rodzeństwa. To Frau Rabinowitz, pan Himmelsbach ją przecież zna. Owszem, Klaus znał Rabinowiczów ze słyszenia. Byli bogatymi przemysłowcami, ale nie należeli do jego klientów.

- Są też Braunerowie, Hilda i Beniamin, z dwójką dzieci i rodzicami Beniamina. Zna ich pan?

- Tak - odparł Klaus. - Nawet nie wiedziałem, że ktoś z nich przeżył. - W jego głosie brzmiał prawdziwy smutek. - Należeli do moich stałych klientów. To dzięki mnie zapoczątkowali swoją kolekcję bibelotów Fabergego. Jaka jest ich sytuacja?

- Rozpacзлиwa, podobnie jak nas wszystkich.

Klaus przyglądał się kobiecie siedzącej przy kuchennym stole, pijącej wodę i spoglądającej na niego wzrokiem pełnym rozpacz. W końcu odezwał się łagodnie.

- Ale jak tacy Braunerowie mają zamiar żyć w Szwecji? Z małymi dziećmi i starymi krewnymi?...

- Coś udało im się zachować - odparła Ruth Steinberg. - Jak nam wszystkim zresztą. My, Żydzi, zawsze trzymamy coś w zanadru na wypadek pogromów albo dla poborców podatkowych. Mamy to już we krwi, zawsze być gotowymi do ucieczki. Jesteśmy w stanie zapłacić za nasze życie.

Klaus ujął jej szczupłą, zimną rękę w swoje dłonie i powiedział:

- Mnie nie musicie płacić. Znajdę jakiś sposób, by pani i pani przyjaciele mogli się stąd wydostać, zabierając swoje skarby ze sobą. Proszę przyjść za trzy dni o tej samej porze albo, gdyby był nalot, jeszcze dzień później. Postaram się do tego czasu mieć dla pani jakąś wiadomość.

Ruth Steinberg chwyciła jego dłoń i podniosła do ust.

- Niech Bóg pana wynagrodzi. Proszę zatrzymać obraz, dopóki nie wrócę. Gdyby złapali mnie na ulicy, nie chciałabym, aby dostał się w ich ręce. Będę u pana za trzy dni.

Przybycie Leni z kawą wyrwało go z rozmyślań.

- Dolałam trochę sznapsa dla lepszego smaku - powiedziała. Nie lubiła, gdy mąż był nie w humorze. Klaus uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję, Leni.

Natychmiast się rozpromieniła.

- Co zrobiłeś z tym obrazem? Chciałabym jeszcze raz mu się przyjrzeć. Musi być bardzo cenny. A może mógłbyś go zatrzymać? - powiedziała prosząco. - W końcu Ruth ci go ofiarowała.

- O tak - odparł - mógłbym go zatrzymać. Jak myślisz, ile później dostanę za niego od

Rosjan? Zaproponują mi uczciwą cenę?

Leni nie zwróciła uwagi na sarkazm w jego głosie. Jej oczy rozszerzyły się przerażeniem.

- Rosjanie! Boże drogi, nawet mi o nich nie wspominaj. Oni tu nie wejdą. Nie mogą. Führer zapewnia, że Niemcy będą walczyć do ostatniego żołnierza. Nie zasnę, jeśli będziesz mnie straszył Rosjanami.

Jej wielkie niebieskie oczy wypełniły się łzami. Leni była bardzo głupia. Jak zwierzył się kiedyś ojcu, ta kobieta urodziła się z wielkimi cyckami, za to zupełnie bez półkul mózgowych. Ojciec roześmiał się wtedy i powiedział: „Czyż to nie jest najlepsza rekomendacja dla żony? Mądre kobiety potrafią być bardzo męczące. Radzę ci, nigdy się z taką nieżeń”.

- Nie powinienem był cię niepokoić - powiedział łagodnie. - Masz rację, Rosjanie nigdy nie wejdą do Niemiec. Czasami jestem defetystą. Popatrz, jak na razie nie zapowiadają nalotu. Może więc idź się położyć, a ja zaraz do ciebie przyjdę. - Żartobliwie klepnął ją w pośladek. Jego żona, choć skończyła już czterdzieści pięć lat i urodziła piątkę dzieci, nadal zachowywała dobrą figurę. - I niech ci się nie przyśni jakiś gwałcący cię Rosjanin. To będę tylko ja.

Gdy wyszła, usiadł i na nowo pogрузzył się w rozmyślaniach, planując ostrożnie każdy szczegół, jak to czynił przez całe życie, zanim zaryzykował swój kapitał w jakiejś transakcji.

*

Albrecht Hoffman stracił nogę na froncie wschodnim pod Smoleńskiem, gdzie walczył w dywizji pancerniej SS. Choć nie przekroczył jeszcze czterdziestki, wyglądał znacznie starzej. Odmrożoną nogę trzeba było amputować poniżej kolana. Zanim trafił do szpitala polowego, przeżył godziny prawdziwego koszmaru, leżąc na mrozie z przestrzelonym płucem. Był o włos od śmierci przez zamarznięcie. Te przeżycia poorały mu twarz głębokimi bruzdami i zatrwały umysł nieprzejednaną nienawiścią do Żydów. To przecież Żydzi byli winni wojnie, która uczyniła go kaleką.

Po wyjściu ze szpitala znalazł zatrudnienie w straży portowej w Hamburgu. SS zawsze potrafiło odpowiednio zadbać o swoich ludzi. Albrecht był wdowcem; żonę i jedyne dziecko stracił podczas alianckiego nalotu na Hamburg, w czasie kiedy przebywał w szpitalu. Pewnego dnia w jego ręce wpadła grupa Żydów usiłujących zbiec z Niemiec na łodzi rybackiej. Kapitan najpierw przyjął od nich zapłatę, a następnie zadenuncjował ich straży portowej. Złoto i biżuteria uciekinierów zostały skonfiskowane. Hoffmanowi udało się zatrzymać dla siebie niewielką tabakierkę z monogramem wysadzonym diamentami.

Osobiście konwojował rozpaczających, skatowanych Żydów do bydłych wagonów, które skierowano prosto do Oświęcimia.

Albrecht nie znał prawdziwej wartości swojej zdobyczy. Był jednak inteligentny i nie brakowało mu sprytu. Zanim wstąpił do SS, pracował jako urzędnik. Zwrócił się więc do gestapo z prośbą o zezwolenie na przejrzenie kartotek. Uzyskał je z łatwością; był przecież bohaterem wojennym, który w dodatku stracił rodzinę. Kartoteki zawierały informacje o przedstawicielach wszystkich grup i związków zawodowych; nazwiska czołowych przedstawicieli każdej branży oraz raporty policyjne z uwagami o ich postawie i przynależności partyjnej. Klaus Himmelsbach zasłużył sobie na bardzo wysoką ocenę. Utrzymywał wiele osobistych kontaktów z członkami SS i partii, szczerą ręką łożył na fundusz narodowy i był bardzo użyteczny w kontaktach z bogatą gminą żydowską. Hoffman wiedział, co to naprawdę oznacza. Udał się do Himmelsbach Galleries i poprosił o rozmowę z samym Herr Himmelsbachem. Tabakierka, jak się okazało, pochodziła z osiemnastego wieku; stanowiła jeden z upominków tradycyjnie ofiarowywanych przez elektora Hanoweru. Klaus doskonale wiedział, skąd pochodzi to cacko. W czasach rządów starego kanclerza niejednym z kolekcjonerów kupił od niego podobną tabakierkę jako lokatę kapitału w okresie szalejącej inflacji. Teraz zaproponował Hoffmanowi cenę odpowiadającą wartości przedmiotu. Wiedział, że Hoffman sprzedaje rzecz skonfiskowaną Żydom, a więc należącą do państwa, i od tej chwili miał na niego haczyk.

W dzień po wizycie Ruth Steinberg obaj mężczyźni spotkali się w niewielkiej kawiarni w pobliżu doków. Klaus nigdy nie odwiedzał Hoffmana w biurze. Wszędzie wokół widać było skutki bombardowań; uszkodzone budynki i całe rumowiska gruzów, wśród których kręciły się grupy robotników naprawiających urządzenia portowe. Zapach palącego się oleju drażnił gardła i szczypał w oczy.

- Jak myślisz, Albrecht, jak długo jeszcze wytrzymamy? - zapytał Klaus spokojnie.

Hoffman powoli mieszał łyżeczką kawę. Cukru brakowało już od dłuższego czasu, a niewielkie racje żywnościowe były zmniejszane z dnia na dzień.

- Niedługo - odparł. - Wkrótce zostaniemy pokonani i wejdą tu Rosjanie. Nie zamierzam dożyć tego dnia, w którym zajmą moje miasto. Dobrze wiem, do czego są zdolni.

- Popołniając samobójstwo, nikomu nie pomożesz - zauważył Klaus. - Ty już spełniłeś swój obowiązek wobec ojczyzny. Powinieneś teraz zatroszczyć się o siebie. Masz jedno życie i zasłużyłeś na to, aby je zachować.

Hoffman skrzywił się niechętnie.

- Jakie to będzie życie? Rosyjskiego niewolnika? Przecież oni dobijali naszych

rannych. Lepiej już strzelić sobie w łeb.

- Lepiej żyć w Szwecji z okrągłą sumką na koncie - odparł Klaus. - Taki w każdym razie jest mój plan. Nie zamierzam tkwić tu z żoną i dziećmi, czekając na Rosjan, i nie zamierzam też uciekać, skazując się na życie w ubóstwie. Obaj mamy przed sobą przyszłość, ale najpierw musimy to zorganizować.

Hoffman nic nie odpowiedział. Czuł mrowienie w miejscu poniżej amputowanego kolana. Wyprostował się na twardym, niewygodnym krześle i bezradnie pogmerał ręką w pustej nogawce.

- Opowiedz mi o swoim planie - powiedział w końcu.

*

Dwie następne noce upłynęły pod znakiem nalotów. Klaus, Leni i dzieci spędzili je w schronie przeciwlotniczym. Każdego ranka ze schronów wynurzały się gromady zmęczonych, wyczerpanych ludzi, by przystąpić do walki z ogniem i usunąć wyrządzone szkody. Trzeciej nocy zapanował wreszcie spokój i Ruth Steinberg ponownie zapukała do kuchennych drzwi Himmelsbachów. Tym razem przyszła z towarzyszką. Kobiety zwracały na ulicy mniejszą uwagę niż mężczyźni. Żadna z nich nie miała gwiazdy Dawida na płaszczu. Gdyby je przyłapano na złamaniu tego poniżającego nakazu, natychmiast spotkałaby je kara w postaci bicia i tortur.

Klaus wysłał Leni na górę. Poprosił Ruth, żeby usiadła, i czekał, aż przedstawi mu swoją towarzyszkę. W świetle elektrycznym zauważył, że to piękna kobieta. Miała jasne włosy i niebieskie oczy, tak że śmiało mogła uchodzić za Aryjkę. Sprawiała wrażenie chorej i niedożywionej. Nie odzywała się ani słowem.

- To córka przyjaciół - wyjaśniła Ruth - Hester Rubenstein. Przyprowadziłam ją ze sobą. Czy ma pan dla nas jakieś wiadomości?

- Usiądźcie, proszę - powiedział Klaus. - Mogę was poczęstować winem. Co za okropne naloty mieliśmy przez ostatnie dwie noce.

Żydzi nie mogli ryzykować zejścia do schronów i musieli szukać schronienia na powierzchni. Klaus nalał dwie szklaneczki reńskiego. Hester Rubenstein pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Karmię dziecko i wino mogłoby mu zaszkodzić.

Dziecko. A więc to z tego powodu biedna dziewczyna sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej.

Odezwał się łagodnie:

- Niestety, nie dysponuję żadnym innym poczęstunkiem. Za to mam nowiny, dobre nowiny. Udało mi się załatwić statek.

Ruth Steinberg gwałtownie wciągnęła powietrze i popatrzyła na swoją towarzyszkę.

- Statek? Żeby nas stąd zabrał?

Klaus przytaknął.

- Owszem. Nie było to wcale proste. Musiałem znaleźć kogoś, komu mógłbym zaufać.

Kobiety wpatrywały się w niego jak w zbawcę. Blondynka zamruła powiekami, by ukryć napływające łzy.

- Jeden z celników jest moim przyjacielem - mówił dalej Klaus. - Znam go jeszcze z czasów, kiedy eksportowałem dzieła sztuki za granicę. Ten przyjaciel skontaktował mnie z kapitanem szwedzkiego trawlera, który zgodził się przewieźć was do Szwecji. Obawiam się jednak że cena będzie wysoka.

Ruth przerwała mu gwałtownie.

- Mówiłam panu, że możemy zapłacić. Ile żąda?

Klaus zaczął powoli wyłuszczać sprawę.

- Ten Szwed nie chce pieniędzy. Nie chce niemieckich marek, bo mówi, że kiedy przegramy wojnę, będą zupełnie bezwartościowe. Zależy mu na czymś, co mógłby sprzedać. Ruth, pani ofiarowała mi ten piękny obraz. Zaproponowałem mu go. To właśnie jest cena. W zamian za Renoira zgodził się zabrać dwanaście osób. Będzie wam tłoczno podczas przeprawy, ale w końcu będziecie bezpieczni.

- Dwanaście osób - powtórzyła Ruth. - Ale przecież z mężem Hester i jego rodzicami jest nas dziewiętnaścioro.

Klaus powiedział ze smutkiem.

- Nie więcej niż dwanaście. I tak będzie wam okropnie ciasno. Nie weźmie więcej, pytałem go już. To wy będziecie musieli zdecydować, kto zostaje. Dzięki Bogu, że to nie ja muszę dokonać wyboru.

- Proszę nam to zostawić - powiedziała Ruth, wstając. - Jak my się panu odwdzięczymy, panie Himmelsbach? Pan uratował nam życie. Hester ma pięciomiesięcznego synka. Musi uciekać. Nie - zwróciła się ku dziewczynie, ucinając jej protest - twój syn musi żyć i musi mieć matkę. Jak dostaniemy się na statek i kiedy odpłyniemy?

- Mój znajomy celnik obiecał mi pomoc. To dobry człowiek, nienawidzi tego, co uczyniono Żydom. Dysponuje służbową ciężarówką, która ostatnio poszła do warsztatu, więc nie figuruje na grafiku wyjazdów. Obiecał, że postara się, aby zreperowano ją poza kolejnością. Ciężarówką dojedziecie do umówionego punktu na nabrzeżu, a stamtąd szalupą na trawler. Zabierzcie kosztowności, ale nic, co zajmuje dużo miejsca. Obrazy powyjmujcie z ram i zrolujcie, tak jak to pani zrobiła - zwrócił się do Ruth. - Kosztowności włożcie do

bagażu. Pamiętajcie, że miejsca nie będzie wiele. Ubierzcie się grubo, bo na morzu będzie zimno. Jedzenia nie zabierajcie; kapitan obiecał, że podzieli się z wami. - Popatrzył na obie kobiety i dodał: - Zbierzcie wszystkich w jednym miejscu.

- Najlepiej u nas - powiedziała Ruth Steinberg. - Starczy miejsca dla wszystkich. Ale kiedy odpływamy?

- W piątek - odparł Klaus. - Ciężarówka zaparkuje przed waszym domem o pierwszej w nocy. Będzie czekała pięć minut i ani chwili dłużej. Musicie być gotowi. Kierowca ryzykuje życie, aby wam pomóc.

- Bóg go wynagrodzi - powiedziała Ruth z mocą. - Pana także.

Hester Rubenstein nadal milczała. Klaus uśmiechnął się do niej ciepło. W przeszłości ten uśmiech zdobył mu niejednego klienta i zdecydował o powodzeniu wielu transakcji.

- Dla mnie najwspanialszą nagrodą będzie, jeśli usłyszę, że dotarliście bezpiecznie do Szwecji - powiedział. Nie mógł się oprzeć, żeby jeszcze raz nie popatrzeć na Hester. Gdyby ją odżywić i zadbać o nią odpowiednio, byłaby piękną. Klaus zawsze był admiratorem piękna, zarówno w ludziach, jak i w przedmiotach. - Lepiej już idźcie. Dam przyjacielowi wasz adres. Na litość boską, nie dajcie się teraz złapać jakiemuś patrolowi.

Patrzył, jak kobiety znikają w bocznej uliczce, wtapiając się w ciemność. Nagle zadrżał z zimna. Na dworze wszystko spowijała gęsta, lepka mgła, w której dwie oddalające się sylwetki wyglądały niczym duchy.

*

W ciągu najbliższych trzech dni wszystkie rodziny spotkały się w jednym miejscu. Przekradali się nocą, w pojedynkę i parami, z trwogą wypatrując patroli ulicznych. Musieli przeczekać dwa kolejne naloty. Siedemdziesięciopięcioletni Heine Brauner nie wytrzymał napięcia i zmarł na ulicy na atak serca. Rodzina zostawiła jego zwłoki w jednej z bram. Każdy z Żydów niósł węzełek, gdzie były ubrania, trochę jedzenia, które miało im wystarczyć do piątku, i kosztowności. Braunerowie mieli biżuterię, kilka wyrobów rzemiosła artystycznego z pracowni Fabergego, które ocalały im jeszcze z kolekcji, oraz parę złotych monet. Steinbergowie przynieśli obrazy Matisse'a i Raoula Dufy'ego, zwinięte i zapakowane w papier. Z całej rodziny Rabinowiczów przeżyła jedynie siedemdziesięciodziewięcioletnia staruszka i trójka jej wnuków: dwaj chłopcy w wieku jedenastu i dziewięciu lat oraz sześciolatnia dziewczynka. Rodzice tych dzieci i pozostali krewni zostali już dawno wywiezieni na wschód. Frau Rabinowicz miała trzy złote ozdobne puzderka, z których jedno było wysadzone diamentami. Z pewnością wystarczą na życie dla niej i dla dzieci, dopóki wojna się nie skończy. Po wojnie dziećmi zajmą się krewni z Ameryki.

Teściowie Hester Rubenstein zabrali ze sobą kosztowności - luźne kamienie wyjęte z opraw i schowane w skórzanym woreczku. Oprócz tego do bagażu włożyli swój największy skarb, którego nigdy nie zgodziliby się wymienić, nawet za cenę życia. Ocalenie go od zagłady było dla nich warte tyle, co życie ich własnych dzieci.

Skarb był w ich posiadaniu już od pokoleń. Wiele wieków temu pewien sefardyjski Żyd wybrał się w podróż do wschodniej Europy, gdzie zachorował i zmarł. Leżąc na łożu śmierci, przekazał swój skarb jednemu z Rubensteinów. W oczach Sefardyjczyka Rubensteinowie jako Żydzi aszkenazyjscy byli kimś pośledniejszym, niemniej jednak powierzenie im opieki nad skarbem w oczach umierającego było mniejszym złem niż dopuszczenie, by wpadł on w ręce gojów. Skarb zamknięty był w zwoju i przez całe wieki żaden z Rubensteinów nie rozwijał go, by nie narażać drogiego obiektu na szkodliwe działanie światła. Ojciec przekazywał go synowi, objaśniając jednocześnie, co zawiera ów tajemniczy skarb. Uciekając do Szwecji, rodzina zabierała go ze sobą.

Wszyscy byli podnieceni i niepewni. Nawet dzieci, które przez długi czas ukrywania się u aryjskich przyjaciół nauczyły się żyć w pełnym strachu milczeniu, teraz zaczęły hałasować, klóćąc się między sobą. Swoich niemieckich opiekunów żegnały ze łzami w oczach. Frau Rabinowitz każdego dnia przypominała wnukom, że istnieją dobrzy, odważni Niemcy, którzy ryzykują życie, żeby ocalić Żydów.

Zgromadzeni stali przed straszliwym dylematem; było tylko dwanaście miejsc i osiemnaście osób. Starsi podjęli decyzję w czwartek w nocy. Mąż Ruth odmówił ucieczki. Uznał, że jego obowiązkiem jest zająć się rodzicami, którzy są już starzy i wymagają opieki. Być może później trafi mu się jeszcze okazja do ucieczki. Dla Frau Rabinowitz musiało się znaleźć miejsce ze względu na wnuki. Teściowie Hester postanowili, że zostaną, oddając swoje miejsca synowi, jego żonie i dziecku. Wdowa po Beniaminie Braunerze wstała i powiedziała po prostu, że bez męża nie chce rozpoczynać nowego życia w obcym kraju. Pozostanie tutaj, a Bóg będzie ją chronił. Będzie żyła nadal przez swoje dzieci Hildę i Beniamina oraz przez wnuki.

Godziny, jakie pozostały im do pierwszej w nocy, spędzili na wspólnej modlitwie. Była jasna, księżycowa noc, a gwiazdy na niebie lśniły niczym diamenty. Mąż Hester ze szlochom objął swoich rodziców. Ojciec, trzymając w ramionach niemowlę, udzielił mu błogosławieństwa. Ostatnie słowa starego Rubensteina skierowane do syna Jacoba brzmiały:

- Uważaj na chłopca i pamiętaj, co ze sobą zabierasz. Przekaż mu to, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Ocal życie i bądź szczęśliwy.

Punktualnie o pierwszej w nocy Albrecht Hoffman zaparkował ciężarówkę przed wejściem od podwórza. Otworzył tylne drzwi i dokładnie w tym samym momencie na ulicy pojawili się pierwsi Żydzi. Albrecht nie odezwał się do nich ani jednym słowem. Popędzał ich tylko niecierpliwymi gestami. Patrząc, jak drapią się na ciężarówkę, odczuwał bezlitosną furję. Pewnie są przekonani, że uda im się zbiec i ocalić swoje skarby, myślał.

Dziecko w ramionach matki zaczęło kwilić. Kobieta szybko położyła rękę na jego ustach. Widząc niezdarne ruchy staruszki, Albrecht z trudem powstrzymywał się od wybuchu. Dawniej pogoniłby ich uderzeniem lub kopniakiem. Zamknął drzwi, zasunął zasuwę, uruchomił silnik i ruszył w ciemność, do Büsum, gdzie czekał szwedzki trawler.

*

Trawler kołysał się łagodnie na fali. Kapitan wpatrywał się w wygwieżdżone niebo, klnąc przy tym pod nosem. Przekroczył już pięćdziesiątkę, a lata twardej, bezlitosnej harówki uczyniły go bezwzględny. Zajmował się szmuglowaniem towarów i od czasu do czasu ludzi, pod warunkiem, że mieli czym zapłacić. Wyznawał zasadę, że prawa ustanowiono po to, by ludzie sprytni i bezwzględni mogli je bezkarnie łamać. Przez ostatnie dwa lata zajmował się także namierzaniem niemieckich łodzi podwodnych. Ofiary nigdy nie zaprzętały jego sumienia; myślał wyłącznie o zysku. Pieniądze były jedyną rzeczą, jaką kochał; dla nich uczyniłby wszystko. Załogę werbował głównie wśród portowych mętów i szumowin, wybierając najgorszych opryszków, gotowych na wszystko, pod warunkiem, że wynagrodzenie będzie odpowiednie.

Nie po raz pierwszy pracował dla Albrechta Hoffmana i wiedział, czego się od niego oczekuje. Tak jasna noc nie była po jego myśli. Zawsze istniała groźba, że brytyjskie samoloty zignorują szwedzkie barwy wymalowane na górnym pokładzie.

Zaklął i znowu skierował noktowizor na nabrzeże. Wkrótce na drodze ciągnącej się wzdłuż linii brzegowej dostrzegł światła ciężarówki, która właśnie skręcała w stronę plaży.

- Już są. Opuścić łódź - polecił załodze.

Potrzebne będą dwa kursy, zdecydował. Żydzi na plaży stali zbici w niewielką gromadkę. Jeszcze raz omiół wzrokiem przygarbione, okutane w łachmany figurki. Pięć z nich było mniejszych niż reszta.

- Cholera, dzieciaki - zaklął. - No trudno.

Silnik zaczął pracować i łódź skierowała się do brzegu. Stanowisko pierwszego oficera zajmował potężnie zbudowany, ponury Szwed, który na swoim koncie miał długoletni wyrok za zabójstwo kompana podczas bójki. Załoga bała się go jak ognia. Kapitan powiedział, nie odwracając nawet głowy:

- Otworzyć pokrywy luków ładowni!

Pierwszy oficer powtórzył rozkaz i kiedy szalupa zbliżyła się do burty trawlera, zrzucano drabinkę sznurową.

- Pomóżcie im - rozkazał pierwszy oficer i dwaj marynarze pomogli Żydom wejść na pokład.

Łódź zawróciła po czekających na plaży.

Żydzi rozglądali się niepewnie po nowym otoczeniu; ponura atmosfera napełniała ich grozą. Jedno z dzieci - sześćioletnia wnuczka pani Rabinowitz - wybuchnęło płaczem.

- Witamy na pokładzie - odezwał się kapitan łamaną niemieczyzną.

- Będziecie musieli zejść do ładowni. Śmierdzi tam rybami, ale trudno, jakoś wytrzymacie. Bagaze zostawcie na pokładzie, w ładowni jest mało miejsca. Później je gdzieś poupychamy.

Marynarze pomogli im zejść na dół. Ohydny odór ryb i stęchłej wody zapierał dech i wywoływał fale mdłości. Na dnie ładowni stała woda, przelewająca się od burty do burty i połyskująca w świetle księżyca.

Beniamin Brauner zaczął protestować.

- Moja żona nie może tam zejść, tam jest brudno.

- Lepsze to niż wagon bydłocy - powiedział kapitan szorstko.

Hilda Brauner wtrąciła szybko:

- On ma rację. Co to ma za znaczenie, że tam jest brudno? Brud można potem zmyć. Chodź, nie rób zamieszania.

Posłusznie zniknęli w otwartym luku. Łódź zawróciła po pozostałych.

Najmłodszemu z załogi przypadło pomóc Hester Rubenstein. Zszedł do łodzi, odebrał z jej rąk niemowlę i pomógł wspiąć się na burtę. W świetle księżyca dostrzegł bladą twarz i jasne włosy wymykające się spod szala, błyszczące niby srebro. Nie mógł oderwać od niej oczu. Hester wyciągnęła ramiona po dziecko.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję za uratowanie nam życia.

Młody chłopak, który uciekł na morze, mając szesnaście lat, bez przerwy popadał w tarapaty. Odrzucał wszelkie ustalone normy, nie uznawał rozkazów, przez co niejednokrotnie naraził się policji i był zwalniany z jednego statku po drugim. Żył z dnia na dzień, niczym szczur portowy, nie stroniąc od kradzieży. Pracował wyłącznie dla pieniędzy i nie zadawał przy tym żadnych pytań. Nigdy przedtem nie widział kogoś takiego jak ta dziewczyna, z twarzą jaśniejącą jak perła i długimi włosami powiewającymi na wietrze.

- Do ładowni - zakomenderował pierwszy oficer. - Szybko!

Młody marynarz powstrzymał Hester.

- Ona nie może zejść na dół... ma dziecko.

Potężny oficer obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Mam oczy i widzę. Na dół ze wszystkimi.

W tym momencie oddalił się, przywołany przez kapitana. Hester ruszyła za ostatnim z Braunerów.

- Nie - powstrzymał ją młody marynarz. - Ty tam nie pójdziesz. Ty pójdziesz ze mną.

Mówił po szwedzku, więc Hester nie rozumiała jego słów. Chłopak złapał ją za ramię i skierował się ku rufie, omijając z dala ładownię. Hester usiłowała się opierać, ale pociągnął ją za sobą. Przemknęli nie zauważeni; pozostali marynarze zajęci byli mocowaniem pokryw luków.

Nie zabrał jej do pomieszczeń dla załogi. Zeszli po trapie pod pokład. Wreszcie Hester odmówiła dalszej drogi. Przystanęła, obronnym gestem tuląc do siebie dziecko i wpatrując się w chłopaka oczami rozszerzonymi strachem.

- Dokąd mnie zabierasz? Chcę być razem z moim mężem. Puść mnie.

Jej głos zaczął się wznosić do krzyku. Nie mógł dopuścić do tego, by ją usłyszano. Oberwałby wtedy od pierwszego oficera za niewykonanie rozkazu. Gwałtownie przyciągnął dziewczynę do siebie, kładąc jej dłoń na ustach. Przysunął twarz do jej twarzy i szepnął łamaną niemczyzną, której nauczył się trochę od innych marynarzy.

- Chcesz, żeby twoje dziecko zginęło? Narób hałasu, a zginiecie oboje, rozumiesz? Ty bądź cicho. Nie ruszaj się i nie pozwól dziecku płakać.

Rozejrzał się. W pobliżu był niewielki, zagracony schowek, niewiele większy od zwykłego kredensu. Otworzył drzwi. W schowku było ciemno i śmierdziało ropą i nasmołowanymi linami. W świetle padającym z korytarza ocenił, że jeśli dziewczyna się pochyli, będzie tam dla niej wystarczająco miejsca. Wepchnął ją do środka, uwalniając jednocześnie jej usta.

- Bądź cicho - polecił. - Później przyjdę po ciebie, rozumiesz?

- Mój mąż - zaczęła błagać. - Gdzie jest mój mąż?

- Razem z innymi - odparł. - Wszystko z nim dobrze. Dla ciebie bezpieczniej tutaj. Lepiej dla dziecka.

Przyłożył palec do ust, jeszcze raz nakazując jej, by nie robiła hałasu, i zamknął drzwi.

Sam nie wiedział, co go skłoniło do tego kroku. Nie rozumiał, czym tak bardzo ujęła go ta dziewczyna w przeciągu kilku sekund, kiedy weszła na pokład i wyciągnęła ramiona po dziecko, że postanowił uratować jej życie. To przyszło zupełnie nieoczekiwanie. Pierwszy

oficer stłukłby go na miazgę, gdyby się o tym dowiedział. Ostrożnie zasunął rygiel w drzwiach. Teraz nie będzie mogła wyjść. Uspokojony wrócił na pokład.

W ciemnej, śmierdzącej ładowni Jacob Rubenstein głośno wykrzykiwał imię żony. Gdzie ona mogła być? Przepychał się między towarzyszami niedoli, nie zważając na ich głośne protesty.

- Hester! Hester!

Wystraszone dzieci zaczęły głośno płakać. Kobiety szlochały w ciemnościach. Ruth Steinberg, nie mogąc dłużej znieść smrodu spalin, zwymiotowała, kuląc się na dnie ładowni. Jeden z mężczyzn zdołał wspiąć się na górę i walił pięściami w pokrywę luku.

- Wypuście nas. Otwórzcie i wypuście nas. Nie mamy czym oddychać.

Trawler przechylił się gwałtownie i mężczyzna spadł z drabinki. Upadł na plecy, mocno uderzając się w głowę. Na pokładzie kapitan słyszał krzyki i płacz dzieci. Trawler był już dość daleko od brzegu i kierował się w stronę otwartego morza. Nadciągał wiatr i kołysanie stawało się coraz silniejsze. Nie można zwlekać zbyt długo. Jeśli pogoda się pogorszy, jego ludzie nie dadzą sobie rady jeszcze z Żydami. Odczekał, aż ład całkowicie zniknie z horyzontu. Teraz wokół nie widać było nic poza bezkresną pustką Morza Północnego, znaczoną białymi grzywami piany. Kapitan popatrzył na zegarek; płynęli już prawie dwie godziny. Odgłosy z ładowni ucichły; najwyraźniej Żydów zmogła choroba morska. Wydał rozkaz zatrzymania silników i spuszczenia kotwicy. Załoga zebrała się na pokładzie. Ktoś musiał zostać za sterem, żeby utrzymać statek w kursie. Wybrał Johansena, najmłodszego z marynarzy.

- Johansen, przejmiesz ster. Otwórzcie luki i przygotować się. Uwaga!

Żydzi wychodzili pośpiesznie, spragnieni świeżego powietrza, pragnąc jak najszybciej opuścić ohydne więzienie pod pokładem. Marynarze chwyтали ich jednego po drugim. Jacob Rubenstein i młodzi Braunerowie usiłowali stawiać opór, więc ogłuszono ich mocnymi ciosami w głowę. Kobiety przerzucano za reling niczym worki. Płaczące i rozpaczliwie czepiające się babki dzieci nie stanowiły żadnego problemu. Stara poszła za burtę, a one zaraz za nią. Wszystko to zajęło nie więcej niż kwadrans i na pokładzie zapanowała cisza. Marynarze spokojnie przypatrywali się głowom podskakującym na fali, obojętni na płacze i krzyki. Większość ofiar i tak umrze z zimna, zanim zdoła utonąć. Kapitan wydał następny rozkaz:

- Uruchomić silniki.

Silniki zaczęły pracować z głuchym odgłosem i trawler odpłynął, ciągnąc za sobą długi ślad piany. Kapitan nawet nie popatrzył na morze, by sprawdzić, czy ktoś nie został

jeszcze na powierzchni. Spokojnie nakazał oficerowi, by wysłał marynarzy do ładowni po pozostawione przez uciekinierów rzeczy. Cały bagaż zamknięto w jego kabinie, by uchronić go przed wścibstwem ewentualnych złodziejasków. Dla siebie kapitan także nie miał zamiaru niczego zatrzymywać. Dobrze znał długie ręce SS i Albrechta Hoffmana. Wiedział, że za swoją pracę dostanie odpowiednią zapłatę, podobnie jak reszta załogi.

Do uszu Hester docierał hałas, przytłumiony, co prawda, przez pokład nad jej głową i zamknięte drzwi. Słyszała rozpaczliwe krzyki i nawoływania. Na zewnątrz musiało dziać się coś strasznego. Mocniej przytuliła dziecko do siebie. Zaczęło popłakiwać, więc dała mu pierś, aby je uspokoić. Zresztą jego wątły głosik i tak ginął wśród innych odgłosów. Nagle zapanowała cisza. Silniki, które zatrzymano jeszcze zanim rozpoczął się tumult na górze, ponownie zaczęły pracować. Hester dygotała jak w gorączce. Starła się opanować ogarniającą ją histerię. Masowała pustą pierś, usiłując wycisnąć z niej trochę mleka dla dziecka. Zniekształcone niemieckie słowa marynarza kołatały jej w pamięci w rytm odgłosów silnika:

„Będziesz robić hałas... twoje dziecko umrze... bądź cicho... twoje dziecko umrze”.

Zaczęła cichuteńko nucić kołysankę i w końcu sama zapadła w sen, stanowiący rodzaj ucieczki przed ogarniającym ją szaleństwem.

Rankiem, kiedy zawinęli do Göteborga, mężczyzna, który uratował jej życie, otworzył drzwi i wyprowadził ją na pokład. Dobrowolnie zgodził się zostać na wachcie, podczas gdy reszta załogi poszła do miasta. Kabina kapitana została opróżniona. Wszystkie torby i węzłki załadowano do taksówki i przewieziono do jednego z pensjonatów, skąd Albrecht Hoffman miał je odebrać. Hester nie odzywała się ani jednym słowem. Kołysząc w ramionach dziecko, podążała za Johansenem w całkowitym milczeniu.

- Pieniądze? - zwrócił się do niej swoją łamaną niemczyzną. - Czy masz jakieś pieniądze?

Pokręciła przecząco głową i wyciągnęła rękę ze złotym zegarkiem na przegubie. Johansen odpiął zapinkę.

- Dobrze, dostaniemy za to pieniądze - powiedział. - Kupię dla ciebie jedzenie.

Spoglądał na nią w świetle dnia, na jej wymizerowaną twarz i ogromne, niebieskie oczy, szeroko otwarte i puste. Powiedział po prostu.

- Zabiorę cię do domu, do mojej matki. Będę dla ciebie dobry.

Nigdy przedtem nie powiedział tych słów żadnej dziewczynie.

Pojechali tramwajem do centrum, gdzie sprzedał zegarek u jubilera, który zapłacił mu godziwą sumę, głównie powodowany uczuciem litości wobec tej wymizerowanej dziewczyny

piastującej w ramionach śpiące niemowlę. Na stacji Johansen kupił bilety i trochę żywności.

Wsiadli do pociągu. Hester ciągle milczała. Wmusił w nią trochę jedzenia. Gdy już zjadła, po raz pierwszy odezwała się.

- Co się stało z moim mężem? Co się stało z innymi?

Johansen poruszył się niespokojnie na twardym siedzeniu. Pociąg był prawie pusty; jedyną pasażerką w ich przedziale była stara wieśniaczka, pochrapująca w kącie. W końcu powiedział:

- Nie żyją. Wyrzucili ich za burtę. Ukryłem cię, bo wiedziałem, jakie są rozkazy. Jak się nazywasz? Ja nazywam się Hendrik Johansen.

Nie odpowiadała. Jej spojrzenie stawało się coraz bardziej puste i nieobecne. Zaniepokoił się.

- Jak się nazywasz? Imię, twoje imię? - powtórzył, trącając ją łokciem.

Hester powiedziała powoli:

- Nie wiem. Nie pamiętam.

*

Rozległo się pukanie do drzwi. W pierwszej chwili Christina nawet go nie usłyszała. Drugie pukanie było silniejsze. W drzwiach stała gospodyni.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Farrington, ale telefonuje pan Harry Spannier. Czy mam przełączyć?

Christina pokręciła głową.

- Nie. Proszę mu powiedzieć, że zadzwonię później.

- Wiedziałałam, że pani nie życzy sobie, aby jej przeszkadzano - ciągnęła gospodyni, wyczuwając panujące w pokoju napięcie. Pracowała w RussMore już dziesiąty rok, ale z podobną atmosferą zetknęła się po raz pierwszy. - Przygotowałam trochę zupy i zimną kolację dla pani i pana Wallberga. Belinda już zjadła. Ogląda teraz telewizję.

- Dziękuję, zjemy później. Zadzwonię z drugiego telefonu.

Gospodyni obrzuciła prawnika szybkim spojrzeniem. Jak później opowiedziała mężowi, ten Szwed miał zupełnie nieruchomą twarz, jakby wykutą w kamieniu.

- Tylko spoglądał spode łba. A ona wyglądała tak, jakby usłyszała jakąś złą nowinę. Wyraźnie była w szoku. Założę się, że to jakaś sprawka tego okropnego Alana.

Dla służby Alan Farrington był kimś w rodzaju rodzinnego demona. Gdyby to on odziedziczył RussMore, z pewnością zwolniłby połowę personelu.

- Pewnie masz rację. Ale nie przejmuj się tak. W tej sprawie nic nie poradzimy. - Mąż gospodyni miał filozoficzne usposobienie i nigdy nie zaprzętał sobie umysłu kwestiami, na

które nie miał żadnego wpływu. Poza tym pragnął w spokoju obejrzeć swój ulubiony program w telewizji.

Po wyjściu gospodyni Christina podniosła się z miejsca. W pokoju powiało nagle chłodem. Może był to skutek przygasającego ognia. A może tak podziałała na nią ta koszmarna historia, której przed chwilą wysłuchała? Dołożyła do kominka kilka polan, rozbijając je pogrzebaczem, dopóki nie zajęły się płomieniem.

- Rolf, czy nie dokończysz tej historii? Co się stało z tą dziewczyną Hester i jej dzieckiem?

Głosem zupełnie pozbawionym wyrazu powiedział:

- Johansen zabrał ją do domu, do swojej rodziny. Nigdy nie przypominała sobie swojego nazwiska. Kiedy dziecko miało rok, poszła do szopy i wypła całą butelkę środka owadobójczego. Sekcja zwłok wykazała, że była w trzecim miesiącu ciąży z tym Szwedem. On na swój sposób był dla niej dobry, ale myślę, że to było więcej, niż mogła znieść. Może przypominała sobie wszystko, przez co przeszła? Tego nigdy się nie dowiemy. Szwed wrócił na morze, a jego matka adoptowała chłopca. Rękopis natomiast stał się częścią łupu Himmelsbacha i Hoffmana. Sortując swoją zdobycz, natknęli się na zwój i otworzyli go, ale nie mieli pojęcia, jaką wartość może przedstawiać ten pisany po hebrajsku dokument. Zależało im na obrazach, złocie i kosztownościach. Żydzi powiedzieliby, że to Bóg czuwał nad rękopisem i nie dopuścił do jego zniszczenia. Himmelsbach i Hoffman podzielili się zdobyczą. Rękopis przypadł Hoffmanowi, który dołączył go do rysunków odrzuconych przez Himmelsbacha. Po wojnie sprzedał wszystko, a wiele lat później twój mąż odnalazł manuskrypt w jednym ze sztokholmskich antykwariatów. Gdybym wierzył w Boga, powiedziałbym, że to widoczne zrządzenie Opatrzności. - Uśmiechnął się niewesoło. - Ale ponieważ nie wierzę, nazwę to przypadkiem. Myślę, że będziesz chciała mnie zapytać, skąd znam tę historię. - Podniósł się z miejsca, by rozprostować kości. - Skoro wszyscy nie żyją, łącznie z Hester Rubenstein, a dziecko poszło do adopcji, jak się o niej dowiedziałem?

- Tak - powiedziała Christa powoli. - O to właśnie miałam cię zapytać.

- Powiedziałem, że nikt nie przeżył, co jest prawdą w odniesieniu do tych, którzy znaleźli się na pokładzie trawlera. Ale teściowie Hester zostali w Niemczech i teściowi udało się przeżyć. Teściowa zmarła jeszcze tej samej zimy, on zaś ukrywał się aż do końca wojny. Po wojnie przedostał się do Szwecji, żeby odnaleźć syna, synową i wnuka. Rozpoczął poszukiwania, ale nikt nie potrafił udzielić mu żadnych wskazówek. Takie osoby nigdy nie postawiły stopy na szwedzkiej ziemi. Jego rodzina i cenny depozyt, wszystko przepadło bez wieści, podobnie jak pozostali Żydzi, którzy próbowali wówczas ucieczki. Jedynym ogniwem

był Klaus Himmelsbach, ale on także rozplątał się bez śladu. Kiedy Rubenstein natrafił w końcu w Szwecji na jego trop, było już za późno; Himmelsbach nie żył. W końcu stary człowiek zwrócił się do kogoś o pomoc. Nieważne, co to była za instytucja, zresztą tłumaczenie zajęłoby zbyt wiele czasu. W każdym razie ze względu na wielką wartość rękopisu pewni ludzie postanowili przyrzeć się bliżej całej sprawie i tym sposobem zajęła się nią moja firma. Niestety, przypadki zabierania uciekinierów z Niemiec i mordowania tych osób, aby pościć ich dobytek, zdarzały się dość często i właściwie byliśmy pewni, że tym razem też stało się coś podobnego. Zналиśmy datę ucieczki, co okazało się bardzo pomocne, oprócz tego stary Rubenstein dokładnie pamiętał wszystkie szczegóły. Dzięki szwedzkim kartotekom policyjnym dotarliśmy do marynarza, który uratował Hester. Był alkoholikiem i wegetował w dokach, utrzymując się z żebraniny, ale pamiętał piękną Żydówkę tak dokładnie, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Mówiąc o niej, płakał.

Christina podniosła wzrok na Rolfa.

- Mówiłeś, że jesteś adoptowany. Czy to ty byłeś tym dzieckiem?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Miło byłoby powiedzieć teraz, że tak, ale tego typu zbiegi okoliczności zdarzają się wyłącznie w książkach. Nie, nie jestem tym dzieckiem. Nie mógłbym nim być chociażby ze względu na różnicę wieku. Usiłowałem odnaleźć tego chłopca, ale okazało się, że zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego. Jego przybrani rodzice byli biedni i mieszkali na farmie oddalonej o całe mile od lekarza, nie mówiąc już o szpitalu. Tak, byłem adoptowany, ale to jedyne podobieństwo. Nie jestem Żydem, nie trzeba jednak nim być, aby pragnąć naprawić tak wielkie zło. To dlatego przejąłem całą sprawę i dlatego tak mi zależało na odnalezieniu rękopisu. Pragnąłem przekazać go żyjącym krewnym Rubensteinów. Teść Hester zmarł, ale pozostali dalsi krewni, niezbyt zamożni, mieszkający we Francji. Nie są ortodoksyjni i nie mieliby nic przeciwko sprzedaży rękopisu. Tym sposobem pomógłbym i tobie. Możesz to zrozumieć?

- Tak - odparła Christina. - Nie wiem natomiast, w jaki sposób miałabym wziąć za niego pieniądze. Zadzwoń do Harry'ego i możemy jeść kolację. Nalej sobie drinka, ja za chwilę wrócę.

Wyszła z pokoju, aby zatelefonować. Zarejestrował ten fakt.

*

- No i co? - dopytywała się Jane Spanner. - Co mówiła Christina? Znaleźli coś?

- Tak - odparł Harry. - Była to kopia Pieśni nad Pieśniami, bardzo stara i najwidoczniej bezcenna. Ale zniknęła. Christina mówi, że ją ukradziono.

Rodzice popatrzyli na niego ze zdumieniem.

- Zniknęła? - dopytywał się Peter Spannier. - Jak to zniknęła? Kto mógł ją zabrać?

- James. Tylko on był w RussMore po pogrzebie Richarda i Christina przypuszcza, że wówczas dokonał kradzieży. Ten Szwed ma zamiar pojechać do Nowego Jorku, by odzyskać rękopis. Christina mówi, że historia tego dokumentu jest straszliwa. Zresztą była bardzo zdenerwowana. Jadę do niej jutro.

Rodzice wymienili szybkie spojrzenia.

- Może pojedę z tobą? - zaproponował ojciec.

- Nie, chyba że wybierasz się do Szwecji - odparł Harry. - Na mój nos ta cała sprawa śmierdzi, a już najbardziej podejrzany jest sam Wallberg. Należałoby przyjrzeć się bliżej temu panu. Gdy on będzie w Nowym Jorku, Christa powinna pojechać do Sztokholmu i tam poszukać odpowiedzi na kilka pytań. Nie jestem specjalnie zajęty, więc mogę wybrać się razem z nią.

- A ona się zgodziła? - indagowała Jane.

- Jeszcze jej tego nie proponowałem, ale jestem pewien, że się zgodzi. A teraz, mamo, pomogę ci uporać się z obiadem. W gospodarstwie domowym doszedłem do niezwyklej wprawy. Zobaczysz, będziesz zdumiona.

- O, z pewnością - odparła Jane. - I nie jest to jedyna rzecz, która mnie w tobie zdumiewa. No dobrze, możesz nakryć do stołu. Peter, żadnego kolejnego dżinu z tonikiem. Będę gotowa za dziesięć minut.

- To świetnie - odparł Peter spokojnie. - Akurat zdążę wychylić jeszcze jeden dżin.

- On jest niemożliwy - mruknęła Jane, wychodząc z Harrym do kuchni.

- Ojciec nie lubi, gdy się go strofuje - zauważył Harry. - Dziwię się, że ciągle chce ci się to robić.

- Nawyk - skwitowała krótko Jane. - Twój ojciec to uwielbia i sprawia mu ogromną radość, gdy może postąpić odwrotnie. Zupełnie jak ty. Dlatego też nie będę strzepiła sobie języka i powtarzała ci bez końca, żebyś był ostrożny i nie angażował się zbyt z Christiną, bo wiem, że i tak mnie nie posłuchasz.

*

Podczas obiadu Rolf Wallberg bacznie przyglądał się Christinie. Zauważył, że niemal nic nie je. On sam był bardzo głodny.

- Widzę, że mocno tobą wstrząsnęła moja historia. Może niepotrzebnie opowiedziałem ci wszystko tak obrazowo.

- Ta chwila, kiedy wrzucają ich do wody, ciągle stoi mi przed oczami - odparła

powoli. - Richard też byłby poruszony, gdyby wiedział.

Czy naprawdę? - pomyślał Rolf przelotnie. Osobiście nie miał zbyt wysokiego mniemania o angielskim sumieniu. Anglicy zawojowali pół świata bez najmniejszych skrupułów. A sam Richard? Czyż nie oszukał nic nie podejrzewającego Pølsona? Ale nie wyraził na głos swojej opinii, nie chcąc przeciwstawiać się Christinie. Dokończył posiłek, wypił kieliszek wina i powiedział:

- Pojadę już. Nie zostanę na noc. Chciałbym polecieć jutro, możliwie jak najwcześniej. Udam się do Nowego Jorku i złożę przyjacielską wizytę twojemu pasierbowi.

- A jeśli on zaprzeczy wszystkiemu? James zawsze kłamał, to stało się jego drugą naturą. Przecież go nie zmusisz.

Rolf podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. Christina zeszywniała, choć jednocześnie ogarnęło ją pragnienie poddania się jego dotykowi.

- Nie możesz go zmusić, aby zwrócił rękopis - powtórzyła.

- Będę próbował.

Uścisnął lekko jej ramię i wyszedł bez słowa pożegnania.

- Mamusiu? - Christina nawet nie usłyszała wejścia Belindy. - Mamusiu, czy pan Wallberg już poszedł?

- Tak, musiał wracać do Londynu.

Belinda uważnie przyjrzała się matce.

- Wyglądasz na zmartwioną. Czy on nie potrafił ci pomóc?

Christina wyjaśniła córce pokrótce, że razem z Wallbergiem szukali pewnego wartościowego przedmiotu, który mogłaby sprzedać, by opłacić sprawę w sądzie. Belinda objęła ją ramieniem.

- Nie martw się - powiedziała. - Znajdziemy to. Jutro możemy poszukać razem.

Christina przytrzymała ją w objęciach.

- Kochanie, to zginęło, ale pan Wallberg sądzi, że już wie, gdzie tego szukać. Obiecał, że postara się odzyskać ten przedmiot.

Belinda rozpromieniła się od razu.

- Skoro tak powiedział, to na pewno to zrobi. Chodź, w telewizji nadają jeden z twoich ulubionych filmów. Przyszłam cię zawołać, bo pomyślałam, że pewnie chciałyś go obejrzeć. Jaka szkoda, że pan Wallberg już pojechał.

Film okazał się jedną z tych zwariowanych komedii ze Steve'em Martinem. Belinda widziała go już mnóstwo razy. Siedząc obok córki, zastanawiała się, co w tym zimnym, nieprzeniknionym Szwedzie tak bardzo pociąga Belinę. Czyżby w nieświadomy sposób

wyczuwała jego magnetyczną siłę, która na nią samą podziałała z taką mocą, że aż ją to przeraziło? Nigdy przedtem nie doznawała podobnego uczucia ani przy Richardzie, ani przy Janie, ani przy żadnym innym mężczyźnie. Jeden pocałunek Rolfa sprawił, że powstała między nimi bardzo silna więź seksualnego napięcia, którą przerwał Wallberg, a nie ona sama. A potem wepchnął ją w sam środek koszmaru, nie oszczędzając jej żadnego szczegółu z opowieści o morderstwie popełnionym z zimną krwią na niewinnych ofiarach. „Nie możesz go zmusić”. To były jej własne słowa. „Będę próbował”. I ta gorąca ręka na jej ramieniu, parząca skórę. Z uczuciem nagłej ulgi przypomniała sobie, że jutro przyjeżdża Harry Spanner. Ta myśl sprawiła, że poczuła się bezpiecznie.

*

James Farrington zadzwonił do brata ze swojego biura. Takie drobne oszustwa jak prywatne rozmowy telefoniczne ze służbowych aparatów leżały w jego naturze. W Nowym Jorku było wcześniej rano. James wiedział, że o tej porze Alan właśnie zakończył południową odprawę. Dawno już ze sobą nie rozmawiali i w związku z tym James czuł się teraz niepewnie. Zawsze byli ze sobą w kontakcie, choć to zwykle James musiał wykonać pierwszy krok. Alan wyraźnie tego od niego oczekiwał, demonstrując w ten sposób swoją przewagę. Trwało to od tak dawna, że James nawet przestał zauważać, iż ich kontakty są właściwie jednostronne. W głębi duszy wiedział, że tak już musi być i tak pozostanie.

Trzykrotnie usiłował skontaktować się z Alanem w Chelsea, ale za każdym razem bezskutecznie. Zostawiał mu wiadomość, ale brat nie oddzwaniał. Postanowił więc złapać go w biurze w Holborn. Po krótkiej pauzie na drugim końcu linii usłyszał głos Alana:

- Cześć. - To typowo amerykańskie, swobodne pozdrowienie brzmiało sztucznie w ustach kogoś takiego jak Alan, który nienawidził Amerykanów i pogardał cudzoziemcami.

- Cześć - odparł James.

- Dzwoniłem już kilka razy i zostawiłem ci wiadomość - poskarżył się James. - Chciałem się dowiedzieć, jak się mają sprawy.

- Znakomicie, jeśli masz na myśli sprawę z nią - brzmiała odpowiedź. - Będzie mnie reprezentował Cunningham. Ma nadzieję na szybki termin przesłuchań. Druga strona będzie miała ciężki orzech do zgryzienia. A co u ciebie?

- Mam huk roboty - odparł James. - Właśnie zawarliśmy kontrakt na projekt centrum handlowego i kompleksu przemysłowego na Florydzie. Lecę tam pod koniec tygodnia, żeby sfinalizować transakcję. Świetna sprawa, będzie z tego mnóstwo szmalu - zachichotał.

Alana nie interesowały sukcesy młodszego brata. Zupełnie zignorował ten temat.

- Składam ofertę na przejęcie sieci Bambio Burger - powiedział szybko. - Zamierzam

zrobić szum koło tego wydarzenia. Fotoreporterzy, artykuły w prasie gospodarczej i te wszystkie bajery. Myślę, że wygramy przetarg, a wtedy moglibyśmy wejść na giełdę. Nasi prawnicy są zdania, że nie mielibyśmy żadnych kłopotów ze sprzedażą akcji.

To oczywiście przebijają wszystko, co James mógłby osiągnąć na Florydzie.

- To wspaniale - przyznał. - A więc nie będziesz potrzebował pieniędzy?

Na drugim końcu linii usłyszał szyderczy śmiech.

- Pieniądzy? Wypuszczę akcje, więc po co, do diabła, miałbym jeszcze potrzebować forsy?

- Och, na honoraria dla prawników - mruknął James. - Cunningham jest jednym z największych asów w palestrze, a co za tym idzie, najdroższym.

Nie dokończył. Nawet z odległości trzech tysięcy mil wyczuł irytację Alana. Od kilku tygodni rozkoszował się swoim nowym pomysłem. Stary dokument żydowski znaleziony w bibliotece ojca był obecnie w jego mieszkaniu, głęboko ukryty w sejfie. Dla ojca ten rękopis stanowił doskonałość; gdy go zdobył, zaprzestał dalszego kolekcjonowania. James nie potrafił odcyfrować pisma pokrywanego pergamin, wahał się też przed pokazaniem go specjalistom. Właściwie sam nie rozumiał swoich oporów. Po prostu zatrzymał ukradziony rękopis. Podobnie postępował przez całe życie, chowając po różnych zakamarkach przywłaszczone przedmioty, traktując je jako talizmany przeciwko brakowi miłości i jednocześnie dowody swojego sprytu. Oto znowu okazał się mądrzejszy od wszystkich ważniaków z rodziny. Teraz wyobrażał sobie, że mógłby podarować rękopis bratu, czyniąc go tym samym swoim dłużnikiem.

„Dysponuję czymś, co może być warte mnóstwo pieniędzy. Jeśli chcesz, mogę ci to dać”.

Przeżywanie w myślach tej sceny sprawiało mu ogromną satysfakcję. Tymczasem Alan nie potrzebował pieniędzy. Gdyby James zaproponował mu rękopis, Alan po prostu by go wyśmiał.

- A kto jest adwokatem Christy? - zapytał.

- Nie powiedzieli - odparł Alan. - Nie spodziewali się widocznie, że popchniemy sprawę tak daleko do przodu. A może byś przyjechał przyjrzeć się zabawie? Nie mogę się już doczekać, kiedy ta suka dostanie za swoje.

- Cóż - powiedział James - to świetnie, że jesteś tak pewny wygranej.

- Ty także możesz być pewny - odparł Alan. - Nie mogę przegrać. Trzymam w ręku wszystkie atuty. Najbliższe Boże Narodzenie spędzę w RussMore.

James zdawał sobie sprawę, że Alan przesadza. Sprawa w żaden sposób nie mogła się

zakończyć w tak krótkim terminie. Ale przedstawienie konkretnej daty było typowe dla Alana; potęgowało dramatyzm całej historii.

- Daj mi znać, to może rzeczywiście wpadnę. Jak tam Fay i dzieci? - zapytał z obowiązku.

- Dobrze. Robert miał odrę, biedny szkrab. Muszę już kończyć. Mam na linii drugą rozmowę. Bądź ze mną w kontakcie.

Odłożył słuchawkę.

James pomyślał o szwagierce opiekującej się chorym na odrę dzieckiem. Jakież by to było piękne, gdyby tak przypadkiem uniknęła odry w dzieciństwie i zaraziła się teraz. Przez chwilę napawał się wizją Fay dręczonej gorączką i pokrytej plamami wysypki. Co za świnią, pomyślał, nawet nie przekazała Alanowi, że dzwoniłem. Wolał myśleć w ten sposób, niż przyznać, że Alan najzwyczajniej w świecie zignorował jego telefon.

A więc Alan wygra. Zmusi macochę i przyrodną siostrę do opuszczenia RussMore i wreszcie zatriumfuje nad znenawidzonym ojcem. Co za wspaniały scenariusz. James był wielkim miłośnikiem teatru i miał licznych przyjaciół, którzy dzielili jego upodobania. Farringtonowie stanowili znakomity materiał do krwawego stuartowskiego dramatu. Uśmiechnął się na tę myśl. Rzeczywiście brakowało jedynie morderstwa.

Tego wieczoru wybierał się na nową sztukę ze swoim dawnym kochankiem, z którym po zakończeniu romansu nadal pozostał w przyjaźni. Żaden z jego związków nie trwał długo, ale James zawsze starał się utrzymywać przyjacielskie kontakty, ilekroć to było możliwe. Bardzo był też lubiany przez kobiety jako inteligentny, zajmujący partner do rozmowy, posiadający rozległe zainteresowania i obracający się w literackich i artystycznych kręgach Nowego Jorku. Ceniony i akceptowany w tym środowisku, stworzył sobie nowe życie, a mimo to nie potrafił zdobyć się na tak decydujący krok, jakim byłoby całkowite zerwanie więzów łączących go z rodziną. Zdecydował, że musi pokazać hebrajski rękopis ojca jakiemuś specjaliście i dowiedzieć się, ile mógłby być wart. Jego były kochanek miał kontakty z wielkimi domami aukcyjnymi. Może należałoby się zwrócić do kogoś pracującego w Sotheby's albo Christie's?

Jadąc metrem do domu, przeglądał najnowszy numer „Art Review”, czasopisma, które regularnie otrzymywał z Anglii. Nie zauważył mężczyzny śledzącego go od samego biura, który wysiadł na tej samej stacji i szedł za nim krok w krok; gdy James otwierał drzwi swoją kartą, stanął tuż za jego plecami. Nie zwrócił na niego uwagi, dopóki wąskie ostrze nie dotknęło jego karku i nie usłyszał łagodnego głosu tuż za sobą.

- Idź dalej. Spróbuj tylko krzyknąć, a będzie po tobie.

*

- Czego chcesz? - zapytał James, usiłując zachować spokój. Na wielu jego znajomych napadnięto na ulicy albo w domu. W podobnych wypadkach należało unikać agresji, starać się nie ulegać panice, tylko spokojnie oddać napastnikowi wszystko, czego zażąda. Nigdy też nie wolno było przyglądać się twarzy napastnika, tak by móc go potem zidentyfikować.

Mężczyzna z nożem cały czas trzymał się za plecami Jamesa. Wjechali windą na górę, a potem przeszli kilka kroków korytarzem wiodącym do drzwi mieszkania. James wszedł do środka, nie odwracając głowy.

- Czego chcesz? - powtórzył.

Napastnik nie odpowiadał. James poczuł, że skóra cierpnie mu ze strachu. A jeśli to nie złodziej, tylko jakiś szaleniec? W ciągu ostatnich trzech miesięcy miały miejsce dwa okropne morderstwa, których ofiary zostały przed śmiercią okaleczone.

Spróbował raz jeszcze.

- Oddam ci portfel i zegarek. To rolex.

- Siadaj na tamtym krześle - usłyszał szept tuż przy uchu. Ostrze ponownie dotknęło jego karku. - Nie odwracaj się.

James poczuł suchość w ustach. Tamci dwaj mężczyźni zostali najpierw przywiązani do krzesel.

- Rusz się.

Mężczyzna popchnął go lekko. James podszedł do krzesła i usiadł, dygocąc ze strachu. I nagle poczuł, że wzbiera w nim desperacka odwaga. Przecież był mocno zbudowany, silny i sprawny fizycznie. Lepiej zginąć, broniąc się, niż być powoli krajany na kawałki przez jakiegoś sadystycznego maniaka. Naprężył mięśnie i już miał zaatakować napastnika, gdy ten odezwał się znowu:

- Dawaj portfel i zegarek. Powoli, bez żadnych gwałtownych ruchów.

Mordercy na tle seksualnym nie okradają swoich ofiar. James wyciągnął z kieszeni portfel i podał przez ramię. Poczuł, jak napastnik wyrywa mu go z ręki. Zdjął z przegubu zegarek i także podał za siebie.

- Co jeszcze masz? Kosztowności? Gotówkę? Gadaj, gdzie to trzymasz.

Ostrze mocniej nacisnęło na tętnicę szyjną.

- W sejfie w ścianie - powiedział James szybko. - Mam tam około dziesięciu tysięcy dolarów i spinki do mankietów. Podam ci szyfr.

- Sam otworzysz - powiedział głos. - Jeśli będziesz postępował dokładnie według moich poleceń, może uda ci się ocalić głowę.

Sejf ukryty był za wypukłym lustrem. Szczęśliwy, że może się ruszyć z krzesła, James wstał, podszedł do ściany, zdjął lustro i odstawił na bok. Za lustrem znajdowały się metalowe drzwiczki z tarczą pośrodku. Alarm był włączony. James wyciągnął rękę i przekręcił wyłącznik po lewej.

- Otwieraj.

James uruchomił kombinację cyfr i otworzył drzwiczki. Wewnątrz sejfu zapaliło się światło.

- Wyjmuj wszystko i kładź na podłogę.

James zaczął od pieniędzy. Pięć rulonów po dwa tysiące dolarów. Zwykle trzymał gotówkę w sejfie, gdyż przed bankomatami często zdarzały się napady nawet w biały dzień. Następnie rzucił na podłogę trzy pudełeczka zawierające spinki do mankietów. Dwie pary pochodziły od Tiffany'ego i były prezentem od kochanka, trzecią, staroświecką, dostał od ojca, gdy ukończył dwadzieścia jeden lat.

- To wszystko - wymamrotał. - Reszta to moje prywatne papiery. Testament, akt własności mieszkania i takie tam.

- Wszystko na podłogę. Nie próbuj oszukiwać.

James obiema rękami wygarnął całą zawartość sejfu.

- Zamknij sejf i stań pod ścianą z rękami nad głową. Spróbuj się odwrócić, a jesteś martwy.

James uczynił, jak kazano. Napastnik pochylił się, zbierając pieniądze z podłogi. W tym momencie James miał szansę, aby próbować go obezwładnić, nie uczynił jednak żadnego ruchu. To napad rabunkowy. Jeśli on nie będzie stawiał oporu, nic mu nie grozi.

Cios, który go dosięgnął, był klasycznym ciosem karate; miał na celu ogłuszyć, ale nie zabić. James jęknął i z wolna osunął się na podłogę, zginając nogi w kolanach. Stracił przytomność, zanim jeszcze znalazł się na podłodze.

Mężczyzna, który go uderzył, niemal obojętnym ruchem włożył pieniądze do kieszeni. Puzderka ze spinkami rzucił na stół, a całą uwagę skupił na papierach. Niewiele czasu zajęło mu odnalezienie tego, po co tutaj przyszedł, zwykłej, brązowej koperty. Testament i akt własności odsunął nogą na bok. Ostrożnie włożył kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Potem wyjął z pudełek spinki do mankietów i wsunął do tej samej kieszeni, do której uprzednio włożył pieniądze i zegarek. Pochylił się nad Jamesem i zbadał mu puls. Serce biło miarowo. Lada chwila przyjdzie do siebie, zdecydował. Podszedł do telefonu i wyrwał przewód z gniazdka, po czym opuścił apartament. Zjechał windą na dół i spokojnie skierował się ku wyjściu, mijając w holu jakąś parę. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta zeznali później

na policji, że nie zauważyli nic podejrzanego. Po prostu przeszedł obok nich mężczyzna w eleganckim garniturze, w kapeluszu z opuszczonym rondem i w ciemnych okularach.

*

Dwaj nowojorscy policjanci byli najwyraźniej znudzeni. Podobnych historii wysłuchiwali po kilkanaście każdego dnia. Zanotowali szczegóły i przesłuchali małżeństwo, które zauważyło obcego mężczyznę, opuszczającego budynek w krytycznym czasie. Prywatnie byli zdania, że Farrington poderwał jakiegoś gościa, zaprosił go do mieszkania, a tamten skorzystał z okazji, żeby go obrobić. Tym sposobem facet stracił dziesięć tysięcy dolarów, zegarek, portfel z pięćdziesięcioma dolarami i kartami kredytowymi oraz trzy pary złotych spinek.

Farrington coś tam jeszcze plótł o jakiejś kopercie, ale nawet nie potrafił powiedzieć dokładnie, co zawierała. Jakieś stare dokumenty, które odziedziczył po ojcu. W miarę opowiadania Jamesa detektywi coraz bardziej tracili zainteresowanie. Wygłosili kilka zwyczajowych formułek o wprowadzeniu danych do komputera, gdzie codziennie trafiały informacje o setkach podobnych incydentów.

Policjanci znali się już od dawna. Po skończonej służbie poszli na piwo, wymieniając najnowsze plotki. Rabunek w najmniejszym stopniu nie zaprzętał ich uwagi. Facet nie został nawet ranny, po prostu dostał po głowie i na parę minut stracił przytomność. Nic takiego się nie stało.

*

- Nie potrafię zrozumieć, jak mogłam dać się namówić na tę eskapadę - protestowała Christina.

- Po prostu marzył ci się wyjazd - odparł Harry Spannier. - Belindzie też się spodobał pomysł wycieczki, prawda? - Uśmiechnął się do dziewczynki, która odpowiedziała mu uśmiechem.

- Och, ogromnie. Wiem, że na Boże Narodzenie znowu pojedziemy do dziadka, ale teraz też będzie zabawnie.

Przed nimi zapaliły się lampki sygnalizujące konieczność zapięcia pasów. Samolot zaczął nabierać prędkości na pasie startowym, potem oderwał się łagodnie od ziemi i zaczął się wznosić w górę. W przejściu pojawiły się stewardesy z wózkami, oferując napoje i upominki ze strefy wolnocłowej. W głośniku zabrzmiał głos kapitana.

- Panie i panowie, kapitan Lindsen wraz z załogą witają państwa na pokładzie samolotu Skandynawskich Linii Lotniczych lecącego do Sztokholmu. Polecimy na wysokości trzydziestu tysięcy stóp. Warunki atmosferyczne są bardzo dobre. Lot potrwa około dwóch

godzin i dwudziestu pięciu minut. Stewardesy podadzą państwu napoje i lekkie przekąski. Dziękuję za uwagę.

Sztokholm. Christina wyjrzała przez okno. Na dole kłębiły się chmury, a wokół rozpościerało się olśniewająco czyste niebo. Harry miał rację. Chętnie dała się namówić na wycieczkę do Sztokholmu i zabranie Belindy. Harry działał bardzo sprytnie, zapewniając sobie poparcie dziewczynki.

„Och, proszę, mamusiu! Szkoła zaczyna się dopiero za dziesięć dni. Czy nie mogłybyśmy pojechać? Tak bardzo chciałabym zobaczyć dziadka i wujka Svena”.

- Ale właściwie dlaczego? - pytała, gdy wystąpił z tą propozycją. - Jaki miałby być cel tego wyjazdu?

Harry nie owijał niczego w bawelnę.

- Myślę, że na początek powinniśmy sprawdzić to i owo na temat tego twojego pana Wallberga. Wszystko, co o nim wiesz, pochodzi z drugiej ręki.

- Ależ on pracuje dla kancelarii Harvey & Stone - zaczęła protestować. - Nie powiesz mi, że im także nie powinnam ufać.

- Nie - odparł. - Ale ta cała historia jest zbyt gładka. Pewien szlachetny Szwed - choć trochę antysemita, co chyba zauważyłaś - rozpoczyna krucjatę w celu odzyskania przedmiotów skradzionych ponad pięćdziesiąt lat temu. Działa na zlecenie całej hordy jakichś tajemniczych spadkobierców, domagających się pieniędzy za utracone dobra, między innymi za ten niewątpliwie bezcenny hebrajski rękopis, na który Richard natrafił zupełnie przypadkowo. Proponuję, abyśmy trochę rozejrzeli się w tej sprawie, nic więcej. Co masz do stracenia? Dla ciebie będzie to oderwanie się od kłopotów i zastanawiania się, z czym ten cholerny Alan może jeszcze wyskoczyć, a dla Belindy dodatkowe wakacje przed rozpoczęciem szkoły. Ponadto będziesz miała okazję pokazać mi swoje rodzinne miasto. Zadzwoń do linii lotniczych i zapytam o rozkład lotów.

Ustąpiła z łatwością. Harry miał rację, mówiąc o powodach, którymi się kierowała. Rzeczywiście chciała choć na chwilę oderwać się od kłopotów. Chciała przestać myśleć o Rolfie Wallbergu i o tym, co mogłoby się wydarzyć między nimi. Z Harrym czuła się bezpiecznie. Był jej przyjacielem i należał do rodziny. Bez trudu zawojował Belindę. Nie była nim tak zafascynowana jak Rolfem, ale zaakceptowała go z łatwością jako równego, trochę szalonego kuzyna, który proponuje różne zabawne rzeczy pod wpływem chwilowego nastroju.

Wystarczył jeden telefon do brata Christiny i już mieli zarezerwowane pokoje w hotelu Emburg.

„Nic bardzo ekskluzywnego! - wykrzyknął Harry. - Jestem tylko ubogim krewnym”. Potem brat zadzwonił ponownie, z propozycją, że Belinda może pojechać do dziadka. Dziadek będzie ją zabierał na żaglówkę i w ogóle będzie się nią opiekował, podczas gdy Christa i Harry będą załatwiać swoje sprawy w Sztokholmie. Oczywiście oni też są zaproszeni, kiedy już będą mieli dosyć miasta.

Tym sposobem znaleźli się teraz w samolocie lecącym wysoko po bezchmurnym niebie nad Morzem Północnym. Tak naprawdę Christa nie miała pojęcia, co będą robili w Sztokholmie. Będą sprawdzali to i owo, powtarzał Harry. Przede wszystkim zajmą się sprawdzeniem tego szlachetnego Szweda, jak nazywał Wallberga. Brzmiało to dość ironicznie, ale Christina podejrzewała, że taka właśnie była intencja Harry’ego.

Nazajutrz po pośpiesznie zakończonej wizycie Rolfa zadzwonił do niej Humfrey Stone. Stary adwokat poinformował ją, że Wallberg musiał na krótko wyjechać do Nowego Jorku, ale on, Humfrey, będzie do jej dyspozycji, dopóki Rolf nie wróci. Dopiero po tej rozmowie uświadomiła sobie, że Rolf nie powiedział Humfreyowi prawdy. To przecież w jej interesach wyjechał. Ale właściwie co miał powiedzieć w biurze? Skoro zamierzał złamać prawo, pośrednicząc w sprzedaży rękopisu, to oczywiście musiał skłamać.

Przez moment odczuła pokusę, aby zadzwonić do Jamesa i ostrzec go, że Rolf wybiera się do niego. Może potrafiłaby go skłonić, aby oddał ukradziony rękopis. Potem jednak zrezygnowała z tego pomysłu.

„Na szczęście wracam do Stanów, Christo. Inaczej mógłbym cię polubić”.

Zaprosiła Jamesa do RussMore, a on nadużył jej zaufania. Nie była mu nic winna.

Samolot zaczął schodzić do lądowania. Belinda zapięła pasy i wyciągnęła szyję w stronę okna. Samolot zanurkował w warstwę chmur i w chwilę potem oczom ich trojga ukazały się wyspy, na których leżało jedno z najpiękniejszych miast północnej Europy.

Dom. Już od ponad dziesięciu lat nie myślała tak o Szwecji. Harry trącił ją łokciem.

- Chcesz, abym potrzyzymał cię za rękę? Nienawidzę lądowania.

Belinda usłyszała jego słowa.

- A ja uwielbiam - powiedziała. - To takie fascynujące, widzieć, jak ziemia biegnie nam na spotkanie.

Harry uśmiechnął się szeroko.

- Nie znoszę dzieci. One nie wiedzą, co to nerwy. Bums! No, wreszcie jesteśmy bezpieczni na szwedzkiej ziemi. Dzięki Bogu.

- Wcale nie jesteś przestraszony. - Belinda zaczęła chichotać. - Po prostu chciałeś potrzyzymać mamę za rękę. - Ta myśl wydała jej się bardzo zabawna.

Harry zignorował ją i poważnym tonem zwrócił się do Christiny:

- A już najbardziej nie znoszę jedenastoletnich dziewczynek, bo one zwykle mają rację.

Na lotnisku czekał na nich Sven. Christina pomyślała, że brat bardzo się postarzał. Ostatni raz widzieli się trzy lata temu. Na pogrzeb Richarda Sven przysłał telegram i kwiaty, ale sam się nie zjawił. Poczula się urażona, ale musiała przyjąć jego usprawiedliwienie; dziewczyna Svena spodziewała się dziecka i na ten dzień miała wyznaczony termin cesarskiego cięcia. Było to już ich drugie dziecko, ale ani Sven, ani Gerda nie wspominali o małżeństwie. Richard nie akceptował takiej postawy, a ona sama - jak sobie później uświadomiła - przyjęła za nim ten punkt widzenia.

Ale teraz Sven czekał na nią, machając ręką ponad głowami tłumów zebranych w hali przylotów. Pomachała mu w odpowiedzi.

Brat był wysoki, jasnowłosy i niebieskooki, ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi. Sven miał okrągłą twarz, szerokie czoło i spłaszczony nos, stanowiący pamiątkę po wypadku na nartach zakończonym wpakowaniem się na drzewo. Był bardzo inteligentny i przedsiębiorczy i to on stworzył firmę, w której kiedyś pracowali razem. Obecnie Nordohl Design Centre miało filie w Sztokholmie i Göteborgu i ustaloną pozycję na rynku.

Sven uściskał ją serdecznie, podał rękę Harry'emu, którego przedstawiła jako kuzyna Richarda, wreszcie chwycił Belinę w objęcia i podniósł wysoko do góry.

- Aleś ty wyrosła. Gdy ostatnio widziałem cię w Anglii, byłaś małą dziewczynką. Christa, dlaczego nie przyjeżdżasz z nią częściej? No, pocałuj wujka.

- A dlaczego ty i Gerda nie przyjeżdżacie częściej do RussMore?

Nie mogła się powstrzymać od tego pytania. Niejednokrotnie wysyłała im zaproszenia, ale Sven ciągle znajdował jakąś wymówkę. Tak naprawdę ani on, ani Gerda nie czuli się swobodnie w RussMore. Teraz brat udał, że nie słyszy pytania. Żartował z Beliną, która popiskiwała z uciechy.

Harry zauważył tę wymianę zdań i ujął Christinę za ramię.

- A ja myślałem, że kłótnie rodzinne to wyłączna specjalność Farringtonów. Daj temu spokój.

Zostawili bagaże w Emburgu, niewielkim, przytulnym hoteliku na starym mieście, i poszli na lunch. Po lunchu Sven miał odwiedzić Belinę do dziadka. Posiłek upłynął im w przyjemnej atmosferze, choć między bratem a siostrą można było wyczuć pewien dystans. Harry uświadomił sobie, że Christina nie tylko wyjechała do Anglii i przejęła angielskie obyczaje, ale całkowicie zerwała więzy z rodziną.

- No więc - zaczął Sven - właściwie nie powiedziałaś mi dokładnie, dlaczego przyjechałaś. Wakacje?

W tym pytaniu krył się pewien podtekst. Co właściwie Christina robi w towarzystwie tego „kuzyna” jej zmarłego męża? Christina zrozumiała przytyk i poczerwieniała z urazy. Moralność Svena była jego własną sprawą. Odpowiedziała bezbarwnym tonem:

- Nie podoba mi się prawnik reprezentujący mnie w sprawie testamentu Richarda. To Szwed, współpracujący z londyńską firmą prawniczą. Przyjechałam tu, aby dowiedzieć się czegoś na jego temat. A poza tym podczas pobytu w Sztokholmie Richard kupił coś bardzo wartościowego. Nie wiem, czy ci wspominałam, że mój pasierb Alan ma zamiar sędownie obalić testament, ponieważ Richard zapisał RussMore Belindzie.

- Nie, nie wspominałaś, ale przecież nasze wzajemne kontakty są bardzo ograniczone, prawda? Nie dziwię się, że twój pasierb chce wstąpić na drogę sądową. W Europie nie można traktować dzieci w ten sposób. Wy też z czasem będziecie musieli to zmienić.

Belinda podniosła głowę. Jadła czekoladowe ciasto i wokół ust miała pełno okruchów czekolady.

- Alan jest okropny - powiedziała. - Okropny dla mamy, okropny dla każdego.

- Nie wydaje mi się, abyśmy musieli analizować brytyjskie prawo spadkowe - wtrącił Harry pogodnie. - Belinda, wytrzymaj buzię, masz czekoladę rozmazaną na brodzie. Właściwie to mógłbyś nam pomóc - zwrócił się do zbitego z tropu Svena. - Gdzie moglibyśmy kupić stare druki, rękopisy i tym podobne przedmioty? Czy jest w Sztokholmie specjalna ulica z antykwariatami, podobna do tej, którą mamy w Londynie?

- Tak, i to w pobliżu waszego hotelu - odparł Sven. - Nie dalej jak dwie przecznice. Większość tego typu sklepów jest na Starym Mieście, ze względu na turystów. To są drogie rzeczy.

Harry uśmiechnął się rozbijając.

- Nie mamy zamiaru niczego kupować, tylko popytać. A gdzie mógłbym znaleźć listę najlepszych kancelarii prawniczych?

- W książce adresowej. W Emburgu na pewno będą ją mieli. Myślę - dodał, spoglądając na zegarek - że powinniśmy się już zbierać. Przed nami długa droga. - Uśmiechnął się do Belindy. - Dziadek się nie może doczekać twojego przyjazdu. Przygotował dla ciebie mnóstwo wspaniałości.

Belinda z zapalem pokiwała głową.

- Ja też nie mogę się doczekać. - Popatrzyła na Christinę szczerym spojrzeniem dziecka nie znającego żadnych zakazów, potem zwróciła się do wuja: - Mój brat Alan jest

okropny i wcale nie chcę, aby mieszkał w RussMore.

Sven nalegał, że to on ureguluje rachunek. Gdy poszedł płacić, Harry mruknął do Christiny.

- Belinda z pewnością jest córką swojej matki. Nie owija niczego w bawełnę.

Nastąpiły uściski i pożegnania. Christina szepnęła do Belindy:

- Kochanie, baw się dobrze i przekazaj dziadkowi, że bardzo go kocham. Zadzwoń do ciebie jutro. Pamiętaj, bądź grzeczna, dobrze?

- Będę, mamusiu. Ty też baw się dobrze.

Samochód ruszył z miejsca. Belinda pomachała im jeszcze przez szybę.

- Twój brat jest trochę oschły - zauważył Harry. - Bardzo miły, ale surowy wobec ciebie.

- Myśli, że zrobiłam się snobką, to dlatego. Wielka posiadłość ziemska i tryb życia angielskiego ziemiaństwa to nie jest coś, co Szwed może łatwo zaakceptować. My zawsze z dumą podkreślaliśmy, że jesteśmy bardzo demokratyczni. Sven uważa, że wychodząc za Richarda, sprzedałam się. Jeśli tak to ocenia, nic na to nie poradzę.

- Twój ojciec także?

- Nie, tata nie. Mój ojciec nigdy nie feruje wyroków. Jest zdania, że każdy ma prawo żyć własnym życiem i wyznawać własne wartości, pod warunkiem, że nie dzieje się to z krzywdą dla innych. Sven hołduje wielu uprzedzeniom, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Zbyt daleko odeszłam już od rodziny, by mogło mnie to jeszcze dotknąć. Zresztą może Sven ma rację. Zmieniłam się i niewiele już we mnie zostało z dawnej Christy, którą znał. - Uśmiechnęła się. - Byłam bardzo dumna z wystąpienia Belindy. Zachowała się niegrzecznie, ale kocham ją za to. To zabawne, ilekroć jednak pomyślę o oddaniu RussMore Alanowi, Belinda wyskakuje z czymś takim, że natychmiast porzucam tę myśl.

Znaleźli się w uliczce prowadzącej w stronę hotelu. Podczas przechodzenia przez jezdnię Harry wsunął rękę pod ramię Christiny i tak już pozostało.

- Zacznijmy od poszukania antykwariatu, w którym Richard kupił rękopis - powiedziała Christina. - Zabierajmy się do dzieła, w końcu po to tu przyjechaliliśmy.

Uliczka była wąska i brukowana, zabudowana starymi domami o malowniczo nadwieszonych piętorkach. Przeważały sklepy z meblami, ceramiką i szkłem. Nie brakowało też antykwariatów oferujących stare książki i rękopisy, ale nigdzie nie natrafili na nazwisko Pølson.

- Chodźmy w lewo - zaproponował Harry.

Christina pokręciła głową.

- Tam są tylko sklepy z pamiątkami dla turystów. Tu gdzieś była taka uliczka odchodząca w prawo, gdzie było więcej antykwariatów, nie takich ekskluzywnych. Spróbujmy tędy.

Ale czas zmienił wygląd zaułka i obecnie znaleźli w nim tylko trzy sklepy ze szwedzkim szkłem, nie zawsze najwyższej jakości, i kilka przytulnych kawiarenek.

- Wracajmy do miejsca, skąd rozpoczęliśmy nasze poszukiwania - zdecydował Harry.
- Może tamten antykwariat zmienił właściciela. W końcu minęło już dwanaście lat. Powinniśmy zajść gdzieś do środka i zapytać.

Pierwszy sprzedawca nie potrafił im pomóc. Swój sklep prowadził w tym miejscu dopiero od roku, uprzednio mieszkał w Göteborgu. Widać było, że o wiele bardziej zainteresowany jest próbą sprzedania im osiemnastowiecznych map niż udzieleniem jakichkolwiek informacji. Wstąpili do antykwariatu o trzy domy dalej; jego właścicielką okazała się kobieta. Wnętrze było dyskretnie oświetlone i unosił się w nim zapach starych opraw. W wydzielonym kącie ze specjalnym oświetleniem klienci mogli spokojnie obejrzeć książki.

- Czym mogę państwu służyć? - Sprzedawczyni mówiła po angielsku.

- Szukamy antykwariatu Pølsona - zwróciła się do niej Christina. - Przemierzyliśmy już całą ulicę wzdłuż i wszerz, ale nie możemy go odnaleźć. Pewnie zmienił właściciela. Czy pani może wie coś na ten temat?

Właścicielka, dawno już po czterdziestce, lekko zaniedbana, roztaczająca wokół aury uczoności, jak przystało na osobę zajmującą się starymi drukami, miała sporo sprytu.

- Wszyscy wkoło o tym wiedzą - powiedziała. - Antykwariat zamknięto dwa lata temu, kiedy to Pølson został zamordowany.

Zaprosiła ich do niewielkiego biura na zapleczu i poczęstowała kawą. Drzwi do sklepu zostawiła otwarte, tak by widzieć wchodzących klientów. Z uwagą wysłuchiwała wyjaśnień Christiny, tłumaczącej, że pragnę skontaktować się z antykwariuszem, który sprzedał jej mężowi hebrajski rękopis. Jeśli ta dama interesuje się starociami, może przecież zostać jej klientką. Miło pomyśleć, że tej Szwedce tak się w życiu powiodło. Jej ubiór i dodatki wskazują na to, że ma pieniądze, a towarzyszący kobiecie Anglik też nie wygląda na zwykłego turystę. Jej klienci wywodzili się z podobnych sfer. Starła się więc udzielić przybyszom żądanych informacji i nie uszło jej uwagi, że kobieta była wyraźnie wstrząśnięta, usłyszawszy, iż Pølson został zamordowany.

- Pølson pochodził z Danii - objśniła. - Prowadził swój sklep przez wiele lat i wszyscy doskonale go znali. Nieźle znał się na swoim fachu, chociaż czasami zdarzały mu się

wpadki. Mój mąż kupił od niego przepiękną Biblię Göteborgską i potem sprzedał ją z ogromnym zyskiem. Ale Pølson nie żywił urazy, zawsze odnosił się bardzo życzliwie do ludzi. Dlatego to morderstwo było takie okropne. - Pochyliła się do przodu, najwyraźniej rozkoszując się swoją rolą. - Policja twierdziła, że chodziło o napad rabunkowy. Nikt jednak w to nie wierzył. Biedny Pølson przed śmiercią był torturowany. Doprawdy trudno sobie wyobrazić większą potworność. Przywiązali siedemdziesięcioletniego staruszka do krzesła i męczyli go. Wyłamywali mu palce jeden po drugim. Bóg wie, co kierowało napastnikami. Przewrócili sklep do góry nogami, ale jak wykazała inwentaryzacja, niczego nie brakowało. To też było dziwne. Niektórzy nawet snuli domysły, że może Pølson handlował kradzionymi przedmiotami. Sprawców nigdy nie odnaleziono. Nic dziwnego, że po tym wszystkim lokal tak długo stał pusty. Przed rokiem kupił go młody człowiek z Göteborga.

- Przecież rozmawialiśmy z nim - zdziwiła się Christina. - Powiedział nam, że nigdy nie słyszał o Pølsonie.

- To jasne, że nie powiedział prawdy. W końcu to dla niego żadna reklama. Nie znaczy to, że zawsze mówi prawdę o tym, co ma do sprzedania.

- I wszystko to wydarzyło się dwa lata temu? - wtrącił Harry.

Właścicielka skinęła głową.

- Mniej więcej. Ja akurat pojechałam w odwiedzinach do córki, ale mój mąż był na miejscu. To on pierwszy zauważył, że sklep jest zamknięty i że się w nim nie świeci. Po dwóch dniach zawiadomił policję. Przyjechali, otworzyli drzwi i znaleźli tego biedaka. Obawiam się, że to wszystko, co mogę państwu powiedzieć na ten temat.

Christina powiedziała powoli.

- I nikt nie wie, czego szukali napastnicy? Albo czy to znaleźli?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Policja twierdzi, że torturowali go dobre dwie godziny, zanim go zabili. Nie miał żadnych białych kruków. Przecież z pewnością oddałby im wszystko, byle tylko uniknąć bólu. Ta cała historia jest bardzo tajemnicza i obawiam się, że nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Na ulicy Harry ponownie ujął Christinę pod ramię.

- Zanim zaczniemy wyciągać jakieś wnioski, wróćmy do hotelu i przejrzyjmy spis prawników.

- To do ciebie niepodobne, taka ostrożność - powiedziała Christina z namysłem. - Co za okropny zbieg okoliczności.

- Paskudny - zgodził się Harry - jeśli to w ogóle był przypadek. Chyba sama w to nie wierzysz, ja zresztą też nie. Ale, jak powiedziałem, nie będziemy wyciągali żadnych

przedwczesnych wniosków. Którędy teraz? Zupełnie się pogubiłem.

*

- Jakie przyjemne mieszkanie - zauważył Rolf Wallberg.

- Dziękuję - odparł James Farrington. - Właśnie mam zamiar je sprzedać i przeprowadzić się w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Dwa dni temu zostałem obrabowany. Facet groził mi nożem. Nie złapali łajdaka i boję się, że mógłby tu wrócić.

- Istotnie to nie jest przyjemne - skwitował Rolf zimno. - Ale skoro nie doznał pan żadnych obrażeń, może pan mówić o szczęściu. Nowy Jork to bardzo niebezpieczne miasto.

Usiadł, zanim James poprosił go, aby zajął miejsce. James odezwał się niepewnie:

- Chciał się pan ze mną zobaczyć w imieniu Christy. Nie wiem, w jaki sposób mógłbym jej pomóc, ale oczywiście uczynię wszystko, co w mojej mocy. Czy wypije pan drinka?

- Nie. Nie przyszedłem tu z wizytą towarzyską. Przyszedłem, aby odzyskać własność pani Farrington, rękopis, który pan ukradł z kolekcji swojego ojca.

Zauważył, że Jamesowi krew nabiegła do twarzy. Farrington ciągle był blady i wymizerowany; najwyraźniej przygoda sprzed dwóch dni nie pozostała bez wpływu na jego samopoczucie. Teraz zaczerwienił się gwałtownie, a potem zbladł.

- Niech pan nie traci czasu na zaprzeczanie - mówił dalej Rolf. - Ukradł pan ten rękopis, ale jeśli pan go zwróci, pani Farrington nie podejmie żadnych kroków ani też nie powie nikomu, że jest pan złodziejem.

James nie odpowiedział. Przeszedł przez pokój, nalał sobie nie rozcieńczonej whisky i usiadł z opuszczonymi ramionami.

Poddał się od razu, pomyślał w duchu Rolf. Nie po raz pierwszy znajdował się w podobnej sytuacji. James podniósł szklaneczkę do ust.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedział głosem, który nie przekonałby nikogo. - Niczego nie ukradłem.

Rolf podniósł się z miejsca i podszedł ku niemu.

- Pańska macocha potrafi wybaczać, ja natomiast nie znam uczucia litości i nie lubię, gdy ktoś usiłuje mnie oszukać. Gdzie jest rękopis?

James uświadomił sobie nagle, że ten człowiek potrafi być niebezpieczny.

- Czy pan mi grozi? - zapytał głośno.

- Owszem - brzmiała spokojna odpowiedź. - Grożę panu. Wyduszę z pana całą prawdę, a pan nawet nie ośmieli się nikomu o tym pisać, bo wtedy musiałby pan powiedzieć, dlaczego to zrobiłem. Daję panu dokładnie dwie minuty.

James odstawił szklaneczkę. Ciągłe jeszcze nie doszedł do siebie po tamtym napadzie. Poczuł, że nerwy zaczynają mu odmawiać posłuszeństwa. Od dzieciństwa kłamał w samoobronie, chcąc uniknąć kary. Teraz jednak wiedział, że kłamstwo w niczym mu nie pomoże.

- Nie ukradłem tego rękopisu - zaprotestował. - Po prostu byłem ciekawy. Ojciec zawsze był taki tajemniczy. Gdy byliśmy dziećmi, spędzał całe godziny zamknięty w bibliotece. Chciałem zobaczyć, co on tam chował, więc pożyczyłem sobie rękopis na trochę. Na pewno bym go zwrócił.

- Jestem o tym przekonany. - Rolf uśmiechnął się nieprzyjemnie. - A tak przy okazji, skąd pan wiedział, gdzie szukać?

- Znałem zamiłowanie ojca do szufladkowania zbiorów określonych kategorii. Wszystko w bibliotece było ustawione według alfabetu.

- No więc skoro już pan zaspokoił swoją ciekawość, może pan zwrócić pożyczony rękopis - powiedział Rolf.

- Nie mogę - odparł James. - Po prostu nie mogę. Ukradzono mi go podczas napadu, razem z gotówką i spinkami do mankietów. Zgłosiłem rabunek na policji. Może pan sprawdzić na komisariacie, jeśli mi pan nie wierzy.

Rolf usiadł z powrotem.

- Czy pokazywał pan komuś ten rękopis? Czy wie pan już, co pan właściwie zabrał?

- Miałem zamiar pokazać - przyznał James. Nie mógł się powstrzymać od kłamstwa. - Pomyślałem, że jeśli okaże się cenny, powiem o tym Christinie. Niestety, nie zdążyłem przekazać go specjalistom. Według mnie, pismo wyglądało na arabskie. A czy pan wie, co to za rękopis? Czy rzeczywiście jest tak ważny, że przyjechał pan aż do Nowego Jorku i zachował się jak brutal, żeby go odzyskać?

Rolf popatrzył na niego zimno.

- Rękopis ma wartość miliona dolarów albo i więcej. To bezcenny dokument żydowskiej historii. Tylko pański ojciec poznał się na jego wartości. Nie mogłem pozwolić, aby trafił w ręce pańskiego brata Alana. Bo pan by mu go oddał, prawda? Chciał mu pan udowodnić, jaki pan jest mądry. Pragnął pan, aby Alan wreszcie coś panu zawdzięczał. Zatem przyjechałem, aby go panu odebrać. Tymczasem rękopis przepadł. Pański złodziej pewnie uznał go za bezwartościowy śmieć i wyrzucił do kosza. I w ten sposób nikt na tym nie skorzysta. Co za strata.

Podniósł się, wciąż mierząc Jamesa nieprzychylnym spojrzeniem. James wstał także; na stojąco czuł się mniej zagrożony.

- Czy Christa zdaje sobie sprawę, jaki pan jest naprawdę? - zapytał. - Jak by zareagowała, gdybym jej powiedział, że był pan gotów użyć przemocy? Nie sądzę, żeby jej się to spodobało.

- Ja także nie sądzę - zgodził się Rolf. - Ale tym sposobem nic by pan nie zyskał, tylko zrobiłby pan sobie ze mnie wroga. A ja jestem niebezpiecznym przeciwnikiem, panie Farrington. Nie podoba mi się też to, co pan uczynił. Przez pana moja klientka straciła fortunę, i to jest jeszcze jeden powód, abym nie darzył pana sympatią. - Wzruszył ramionami. - Ale nic już nie mogę zrobić i pan także nie. Mam nadzieję, że znajdzie pan sobie mieszkanie w bezpieczniejszym miejscu. Sam wyjdę, nie musi mnie pan odprowadzać.

Poruszał się bardzo szybko i do uszu Jamesa dobiegł trzask zamykanych drzwi. James duszkiem wychylił resztkę whisky. Gdy odstawiał szklaneczkę, czuł, że drży mu ręka. Cichutko, jakby obawiając się, że ktoś mógłby go podsłuchać, wyszeptał:

- Chryste, co to za facet? I to ma być prawnik?

Niestety, nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie.

*

Harry Spannier sięgnął po słuchawkę.

- Czy mogę rozmawiać z panem Rolfem Wallbergiem?

- Przykro mi, ale nikt o takim nazwisku nie pracuje w naszej kancelarii.

Christina zaczęła protestować:

- Ależ to szaleństwo. Humfrey Stone powiedział mi, że Rolf jest jednym z bardziej wziętych adwokatów w Szwecji, że cieszy się międzynarodową sławą. Z pewnością musieli o nim słyszeć.

- Niekoniecznie - zaproponował Henry. - To była telefonistka. Następnym razem poproszę o rozmowę z którymś z kancelistów. Nawet jeśli Wallberg nie pracuje w kancelarii, to ktoś powinien go znać, przynajmniej ze słyszenia. - Urwał gwałtownie i zaczął ubolewać nad własną głupotą. - Do licha, że też wcześniej na to nie wpadłem. Cholernie kiepski detektyw ze mnie. Pasowałbym bardziej na inspektora Clouzota niż na Sherlocka Holmesa. Widziałas „Powrót Różowej Pantery?”

Christina była bliska wybuchu. Harry często doprowadzał ją do pasji swoimi uwagami nie mającymi żadnego związku z tematem.

- Pozwól, że ja spróbuję. - Wyjęła mu z ręki słuchawkę. - Podaj mi numer kolejnej kancelarii! Co? To przecież największa firma w Sztokholmie. Muszą go znać. Halo? Dzień dobry, chciałabym rozmawiać z panem Helströmem? Och, jest na?... Z sekretarką? Bardzo proszę. - Zakryła ręką mikrofon. - Nawet ja słyszałam o Helströmie, choć nigdy przedtem nie

potrzebowałam porady prawnej. Halo? Tak, nazywam się Christina Farrington i chciałabym rozmawiać z Panem Helströmem, ale, jak rozumiem, jest w tej chwili na spotkaniu z klientem... tak, jestem pewna, że tak. Czy u państwa pracuje pan Rolf Wallberg? Tak? - Z triumfem odwróciła się do Harry'ego. - Sekretarka mówi, że jest w Anglii, ma urlop sabatowy¹. Tak? - znów powiedziała do słuchawki. - Tak, wiem, że jest w Anglii i właśnie w związku z tym chciałabym zasięgnąć porady pana Helströma. Widzi pani, pan Wallberg reprezentuje mnie w pewnej sprawie. Czy byłoby możliwe spotkać się z panem Helströmem? Nie może pani? Tak, rozumiem. Zadzwoń pani do mnie? Zatrzymam się w Emburgu na dzień lub dwa. Christina Farrington. Bardzo dziękuję.

Harry uniósł w górę brwi.

- O co chodziło pod koniec rozmowy? Nie rozumiem waszego uroczego języka.

- Pomyślałam, że może bardziej pójdzie mi na rękę, jeśli będzie wiedziała, że jestem Szwedką. Powiedziała, że Helström jest obecnie bardzo zajęty, ale może zgodzi się mnie przyjąć na krótką konsultację. Zdawała się być raczej zdziwiona tą całą historią. Ale słuchaj, Harry, on naprawdę jest prawnikiem. Pracuje w znanej kancelarii.

Harry popatrzył na nią.

- Jesteś pewna, że powiedziała urlop sabatowy?

- Tak - odparła Christina. - Dlaczego?

- Ponieważ on współpracuje w Anglii z twoimi prawnikami, na miłość boską! Urlop sabatowy oznacza całkowitą przerwę w pracy, a nie praktykę w znakomitej firmie Harvey & Stone.

Christina powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Przyłożył rękę do ucha.

- Co powiedziałaś?

- Klęłam - odparła. - Klęłam w moim ukochanym ojczystym języku. Czy ty mógłbyś chociaż raz być poważny? Czuję się, jakbym błądziła we mgle. Po jednej mojej stronie idziesz ty i usiłujesz mi wmówić, że z Wallbergiem jest coś nie w porządku, a po drugiej kroczy on sam, usiłując mnie przekonać, abym mu zaufała. Do tego wszystkiego jest jeszcze Richard, uszczęśliwiony zdobyciem skarbu, który został zrabowany zamordowanym Żydom.

Opadła na krzesło, zrzucając z nóg pantofle.

- Masz szalenie zgrabne stopy - zauważył natychmiast Harry. - Bardzo seksowne. Nie, nie denerwuj się, Christina. Staram się podtrzymać cię na duchu. Robimy postępy, i to

¹ Półroczny lub roczny płatny urlop, udzielany raz na siedem lat osobom pełniącym funkcje administracyjne lub naukowe.

znacznie szybciej, niż moglibyśmy się spodziewać. Odlóżmy tę sprawę, dobrze? Przez resztę dnia nie będziemy już wspominali o szlachetnym Szwedzie. Ty odpoczniesz chwilę z seksownymi nogami swobodnie uniesionymi do góry, a ja zostawię cię w spokoju. Przyjdę po ciebie koło siódmej i zaproszę cię na drinka i na kolację do jakiegoś przyjemnego, taniutkiego lokalu, takiego w sam raz na moją kieszeń. Jak ci się podoba ten plan?

- Bardzo mi odpowiada - odparła zmęczonym głosem. - Ale nie będziesz wydawał pieniędzy, bo to ja zapłacę. Przyjechałeś ze mną, aby mi pomóc, więc nalegam.

Harry odwrócił się w drzwiach i uśmiechnął się szeroko.

- Miałem nadzieję, że tak powiesz. A więc do siódmej.

Christina zamknęła oczy. Chciała zostać sama i uporządkować jakoś kłębiące się w głowie myśli. Pølson został zamordowany dwa lata temu. Przed śmiercią był torturowany. Wzdrygnęła się na wspomnienie relacji właścicielki antykwariatu. Starego antykwariusza męczono, aby wydobyć od niego informację, której nie posiadał. A może został zabity, kiedy już zdradził wszystko, co wiedział? Ale jaki mógł istnieć związek między śmiercią Pølsona a odkryciem Richarda? Czy naprawdę chodziło o rękopis, stanowiący taką rzadkość? Jeśli Rolf Wallberg wie o jego istnieniu, mogą wiedzieć o tym i inni i próbować go odszukać. A jeśli ona i Rolf mieli rację, przypuszczając, że rękopis jest teraz w rękach Jamesa? Być może Rolf zdążył się z nim już skontaktować. Humfrey Stone pewnie będzie wiedział, gdzie go znaleźć. Sięgnęła po telefon i wykręciła numer kancelarii w Londynie. Humfreya nie było, ale jego sekretarka знаła numer nowojorskiego hotelu, w którym zatrzymał się Rolf. Christina sprawdziła różnicę czasu; w Stanach dochodziło właśnie południe. Może uda jej się zastać Rolfa w hotelu? Jeśli nie, zostawi mu wiadomość.

Jego pokój nie odpowiadał. Christina zostawiła numer hotelu, przekazała informację, żeby Wallberg się z nią pilnie skontaktował, i odłożyła słuchawkę. Już sam telefon spowodował, że obraz Rolfa pojawił się jak żywy przed jej oczami; jasne oczy o lodowatym wyrazie, blond włosy o srebrzystym połysku, promieniująca z niego siła, która odpychała i przyciągała jednocześnie. Rolf pobudził ją do życia i nienawidziła się za to.

*

Rolf wrócił do hotelu, żeby się spakować. Odlatywał o dziesiątej z lotniska Kennedy'ego. Prześpi się podczas lotu. Recepcjonistka obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Pewien dżentelmen czeka na pana w barze. Poza tym jest dla pana wiadomość.

Wręczyła mu notatkę z informacją o telefonie Christiny. Rolf rzucił okiem na kartkę i schował ją do kieszeni. A więc Christina jest w Sztokholmie. Dlaczego po tak długim pobycie z dala od ojczystego kraju nagle zdecydowała się odwiedzić Sztokholm? Na pewno nie w celu

zobaczenia się z rodziną. Z notatki wynikało, że mieszka w hotelu. Zostawiła numer telefonu, żeby do niej zadzwonił.

Recepcjonistkę bardzo intrygował ten przystojny, posępny mężczyzna.

- Mam nadzieję, że to nie są złe nowiny?

Szwed sprawiał wrażenie, jakby otrzymane nowiny nie były zbyt pomyślne. Może będzie potrzebował czyichś ramion, żeby się wypłakać, kiedy skończy się jej dyżur. Nie miałyby nic przeciwko temu, lubiła blondynów.

Rolf nawet nie podniósł głowy.

- Mówi pani, że w barze? Czy tędy?

Rozczarowana, wskazała mu drogę.

- Obok restauracji, tam po lewej.

Rolf natychmiast podążył we wskazanym kierunku, nie mówiąc nawet dziękuję. A cudzoziemcy z reguły byli tacy uprzejmi. Wykrzywiła się za jego plecami.

Gość Rolfa siedział przy stoliku, przed nim stała szklanka piwa i tacka z preclami. Dostrzegłszy Wallberga, pozdrowił go skinieniem głowy. Rolf zbliżył się do stolika, ale nie usiadł.

- Chodź do mojego pokoju - rzucił.

Mężczyzna szybko wychylił resztkę piwa i poszedł za nim do windy. W milczeniu wjechali na ósme piętro i weszli do pokoju Rolfa. Tam Rolf bez słowa wyciągnął rękę, a jego gość rozpiął marynarkę i wyjął kopertę.

- Wszystko jest w tej kopercie? - zapytał Rolf.

- Zależy panu na całej reszcie? Na zegarku i biżuterii? Mogę to wyrzucić.

- Lepiej będzie, jak ja to zrobię. Możesz zatrzymać zegarek i pieniądze.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zrobię z nich użytek. Sprawdziłem już; banknoty nie noszą kolejnych numerów serii. Portfel i karty kredytowe spaliłem.

- Dobrze - powiedział Rolf. - Daj mi biżuterię.

Trzy pary spinek do mankietów przeszły z ręki do ręki. Rolf włożył je do kieszonki na piersi. Odwrócił się, otworzył kopertę, wyjął rękopis i przyglądał mu się w milczeniu. Mężczyzna obserwował go spokojnie.

- Zrobiłeś świetną robotę - powiedział w końcu Rolf. - Chciałbym, abyś o tym wiedział. Ryzykowałeś, ale opłaciło się.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Ryzyko należy do mojego zawodu. Nie wiem, co tam jest w środku, ale jeśli pan

mówi, że to warte swojej ceny, to się cieszę.

Rolf podszedł do drzwi i otworzył je przed swoim gościem. Wyciągnął do niego rękę.

- Polecę cię odpowiednim ludziom.

A więc wreszcie trzymał to w rękach. Rękopis ciągle tkwił w zabezpieczającej folii. Dotknął go z szacunkiem. Pergamin był taki stary, taki delikatny. Miał lekkie zażółcenia, ale pismo nadal było wyraźne. Przypomnił sobie pełen zachwytu komentarz Richarda Farringtona: „Prawie idealny stan zachowania, niemal bez ubytków w tekście”. Żywy świadek historii, pieczołowicie chroniony przez Żydów całe stulecia. Przetrwał pogromy i prześladowania i przemierzył Europę pod opieką tych, którzy uważali go za święte dziedzictwo. Ta opieka skończyła się pewnej nocy na wodach Morza Północnego, gdy jego strażnicy zostali w bestialski sposób pozbawieni życia.

Rolf ostrożnie zamknął kopertę, chroniącą delikatny pergamin, drobny okruch ludzkiej przeszłości. Krąg został zamknięty, pomyślał chłodno, i to uspokoiło drzenie jego rąk. Nareszcie spłacił w całości swój dług. Włożył zapieczętowaną na nowo kopertę do aktówki. Lata poszukiwań, naznaczone bolesną świadomością zbrodni, mogły wreszcie zostać zakończone, zamknięte na zawsze, właśnie tutaj, w nowojorskim pokoju hotelowym. Zawdzięczał to pomocy pewnego człowieka, utalentowanego w dość specyficzny sposób i jednocześnie mającego sekretne kontakty, lecz także sobie samemu. To przecież on - Rolf Wallberg - nie dopuścił, aby cokolwiek stanęło mu na drodze; skrupuły, współczucie, honor czy wreszcie nakazy prawa.

Wyjął z kieszeni notatkę o telefonie Christiny, zmiął ją w palcach i wrzucił do kosza na śmieci. Nie miał jej nic do zakomunikowania; właściwie wszystko mogło poczekać do jego powrotu do Anglii. Przedtem, w recepcji hotelowej, dowiedziawszy się, że Christina wyjechała do Szwecji, poczuł nagły niepokój. Teraz nie zaprzętał sobie tym głowy. Jak wszyscy ludzie mający coś do ukrycia, podejrzewał, że inni też oszukują. Nic, na co Christina mogłaby natrafić, nie miało już znaczenia. Liczył się wyłącznie rękopis, spoczywający w jego aktówce. Jego pierwszy krok na drodze do domu.

Zadzwoił do Londynu, do hotelu Lanesborough, gdzie zatrzymała się kobieta czekająca na wiadomość od niego, kobieta o wspaniałych blond włosach i instynktach aligatora. Po krótkiej chwili dostał połączenie z jej pokojem.

Nie było żadnych wstępnych grzeczności, żadnego wypytywania o wzajemne samopoczucie.

- Masz?

- Mam. Jutro będę w Londynie.

- Czekam. Uczymy to. Nie rób żadnych innych planów.

Odłożyła słuchawkę.

Rolf skończył się pakować i zamówił do pokoju coś do zjedzenia. O ósmej trzydzieści siedział już w taksówce jadącej na lotnisko. Spinki Jamesa Farringtona nadal spoczywały w jego kieszeni. Zupełnie o nich zapomniał.

6.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, że zgodził się pan nas przyjąć, panie Helström.
Prawnik uśmiechnął się.

- Ależ to drobiazg. Dla przyjaciół Rolfa zawsze znajdę czas.

- Nie dla przyjaciół, tylko dla klientki - poprawiła Christina szybko. - Pan Wallberg reprezentuje mnie w toczącym się postępowaniu w związku z zakwestionowaniem testamentu mojego męża.

Słyszając to wyjaśnienie, prawnik zmarszczył lekko brwi, ale zawodowy uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Kiedy usłyszałem o tym, uznałem, że widocznie należy pani do grona jego przyjaciół - powiedział. - Rolf wystąpił o roczny urlop. Uznaliśmy, że po trzech latach wytężonej pracy zasłużył sobie na dłuższy wypoczynek, z dala od jakichkolwiek problemów zawodowych.

Mówili po angielsku przez wzgląd na Harry'ego.

- A czym się zajmował pan Wallberg? O ile oczywiście możemy to wiedzieć.

- Jak najbardziej - odparł Helström z całym przekonaniem. - Jesteśmy z niego bardzo dumni. Jedno z zadań naszej kancelarii to odnajdywanie przedmiotów i kosztowności, które naziści zrabowali Żydom, a które później zaginęły na terenie Szwecji. Oczywiście zatrudniamy prywatnych detektywów i ściśle współpracujemy z Interpolem, ale głównie zajmował się tym Rolf. Wymagało to od niego częstego podróżowania, zarówno po Szwecji, jak i po Niemczech, a także umiejętności negocjowania. Muszę powiedzieć, że odniósł wiele sukcesów.

- Mnie powiedział, że zajmował się sprawą rekompensat dla krewnych tych Żydów, którzy ponieśli śmierć podczas próby ucieczki do Szwecji - wtrąciła Christina.

Helström przytaknął.

- Owszem. Więcej naprawdę nie potrafię państwu powiedzieć. Ale może z kolei pani mogłaby mnie objaśnić w pewnej kwestii. - Pochylił się do przodu. - Muszę przyznać, że trochę dziwi mnie fakt, iż Rolf podjął jakąś sprawę, nie informując mnie o tym. - Urwał, wyraźnie czekając na odpowiedź. - Chyba nie oznacza to, że ma zamiar przenieść się do Anglii?

Christina wstała.

- Jestem pewna, że nie. Pan Wallberg wielokrotnie mówił mi, że tęskni za Szwecją. Myślę, że po prostu zainteresował go mój przypadek, ponieważ jest tak odmienny od wszystkiego, z czym mógł się zetknąć na kontynencie. Mąż zapisał posiadłość naszej córce,

wydziedziczając starszych synów, i teraz jeden z nich usiłuje obalić testament.

Prawnik popatrzył na nią z niedowierzaniem i lekką dezaprobatą.

- Nie, jestem pewien, że z takim przypadkiem Rolf nie zetknąłby się ani w Szwecji, ani w żadnym innym kraju w Europie. Mam nadzieję, że uda się pani rozwikłać ten problem bez wstępowania na drogę sądową. Rodzinne spory najlepiej rozstrzygać we własnym gronie. Jestem przekonany, że dla Rolfa to interesujące doświadczenie i że uczyni wszystko, aby pani pomóc. Nie powiedziała mi pani natomiast, co właściwie sprowadza panią do mnie.

Harry pośpiesznie zerwał się z krzesła.

- Straciliśmy pana Wallberga z oczu, a moja kuzynka musi się z nim skontaktować w dość pilnej sprawie. Pomyśleliśmy, że może wpadł do domu na kilka dni. - Obdarzył Helströma szerokim uśmiechem. - Dało mi to pretekst do złożenia wizyty w waszym pięknym kraju. Bardzo dziękujemy, że poświęcił nam pan tyle czasu. Christa, idziemy?

Ujął ją za ramię i poprowadził w stronę drzwi. Stary prawnik popatrzył za nimi z niesmakiem. Czuł, że tych dwoje wystrychnęło go na dudka.

Gdy już znaleźli się na dworze, Harry zapytał:

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Wallberg pracuje dla kancelarii Harvey & Stone?

- Dlatego, że on najwyraźniej nie ma o tym pojęcia - odparła Christina. - Nie chciałam przysparzać Wallbergowi kłopotów. W każdym razie wiemy to, czego chcieliśmy się dowiedzieć. Wallberg mnie nie okłamał.

- Tak, to prawda, okłamał za to swoją firmę. Zastanawiam się, dlaczego to zrobił.

Przeszli przez jezdnię. Christina milczała. Instynktownie starała się chronić Rolfa, choć nie była pewna, czy postępuje słusznie. Dlaczego skłamał na temat pracy w Londynie?

- Może ten stary adwokat ma rację? - zamyślił się Harry. - Może Wallberg naprawdę ma zamiar osiąść w Anglii i zatrudnić się w kancelarii Harvey & Stone albo otworzyć własną? To są tylko domysły, a rozwiązanie może być zupełnie proste.

Skinął na przejeżdżającą taksówkę.

- Nie wiem - odparła Christina. - Zostałam mu wiadomość, żeby zatelefonował do mnie z Nowego Jorku, ale nie oddzwonił. Harry, muszę zatelefonować do Jamesa. Nie mogę jechać do taty i Lindy, nie wiedząc, co zaszło w Nowym Jorku.

Harry zastanawiał się przez moment.

- A może zostaw to mnie? Czas, aby nasi bracia Grimm dowiedzieli się, że ktoś z rodziny stoi po twojej stronie. James na pewno od razu pobiegnie z nowiną do drogiego kuzyna Alana.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Christina odwróciła się do Harry'ego.

- Alan będzie wściekły - powiedziała. - Nie chciałabym, aby odgrywał się na tobie.

Harry roześmiał się.

- A ja właśnie o tym marzę. Już się nie mogę doczekać. Zaczniemy od rozmowy z jego wiernym zausznikiem, Jamesem.

*

- Co się z tobą dzieje, Rolf? - Kobieta ściągnęła suknię i teraz stała przed nim w prowokującej pozycji. Wyciągnęła rękę, pragnąc pomóc mu zdjąć ubranie, ale Wallberg powstrzymał ją gestem. - Co z tobą? - powtórzyła.

- Nic - odparł. - Po prostu nie mam ochoty na seks, więc spokojnie możesz się ubrać. Nie potrafię pieprzyć na zawołanie, powinnaś o tym wiedzieć.

- No cóż - grzywa jasnych włosów opadła na nagie ramiona - po raz pierwszy ci się to zdarza. Masz jakieś problemy? - W oczach kobiety czaił się gniew.

- Nawet jeśli tak, to jest to moja sprawa, a nie twoja. Ty może pragniesz świętować w ten sposób, ale ja jakoś nie mam na to ochoty.

Kobieta poniechała dalszych prób sprowokowania go i teraz ubierała się nieśpiesznie.

- Więc jak, do diabła, się czujesz?

Wciągnęła suknię przez głowę i zapięła zamek na plecach.

- Wypluty, wypompowany z energii. Ta sprawa ciągnęła się tak strasznie długo. Początkowo mnie także ogarnęło uniesienie, ale teraz wszystko się wypaliło. Powinnaś to zrozumieć.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Rozumiem. Problem w tym, że kiedy mnie ogarnia euforia, nie tracę nastroju tak szybko. Nie wiedziałam, że jesteś taki wrażliwy. - Podeszła do Rolfa i położyła mu ręce na ramionach. Nagle cała jej opryskliwość zniknęła. - To trwało tak długo, że przestałam cię już pociągać - szepnęła.

- Nie przestałaś - odparł. - Tego możesz być pewna. Przykro mi. Następnym razem wszystko będzie inaczej... lepiej.

Odwróciła się, zapinając złoty naszyjnik. Na rękę wsunęła bransoletkę, stanowiącą komplet z naszyjnikiem.

- Nie będzie następnego razu - powiedziała. - Nie zobaczysz mnie już, w każdym razie nie w najbliższym czasie. Dopóki się znowu nie pojawiysz. - Uśmiechnęła się do niego. - „Przyjdzie na pewno”. To, zdaje się, był tytuł sztuki, prawda? Chodzi o śmierć.

Przytaknął.

- Eugene O'Neill. Doskonały dramat.

- Tym razem nie przyszła. - Roześmiała się znowu. - Chodźmy coś zjeść, o ile nie straciłeś także apetytu.

W restauracji to ona złożyła zamówienie i wzniosła toast szampanem.

- Wykonałeś kawał świetnej roboty. Zawsze mi zarzucano, że nie potrafię docenić ludzi i podziękować im odpowiednio, więc teraz ci dziękuję. Nigdy nie zapomnimy tego, co uczyniłeś. Może nawet doczekasz się własnej ulicy. Ulica Rolfa Wallberga.

Rolf milczał. Nareszcie było po wszystkim. Umarli mogli odpoczywać w spokoju.

- Wracasz do domu? - zapytała.

- Nie, jeszcze nie.

- A co cię tu zatrzymuje? - spytała lekkim tonem, choć знаła odpowiedź na to pytanie.

- Chcę poprowadzić do końca sprawę Farringtonów - odparł. Starał się, aby jego głos brzmiał zupełnie obojętnie, ale jego towarzyszka nie dała się oszukać.

- Z powodu tej kobiety? W jaki sposób możesz jej pomóc teraz?

- Nie wiem, ale będę próbował. Zaufała mi.

- Rozumiem. - Irma wolno sączyła szampana. - Nie możesz żyć bez tej sprawy. Posłuchaj mojej rady. Ona ma dobrych adwokatów, więc pozwól im działać w jej imieniu, a sam jedź do domu.

Rolf Wallberg popatrzył jej prosto w oczy. W jego spojrzeniu malowało się uczucie, które nagle rozpoznała. Ona sama stłamsiła je w sobie już wiele lat temu.

- Pojechałbym - odparł - gdybym tylko wiedział, gdzie jest mój dom.

*

W pierwszej chwili James nie rozpoznał ani głosu, ani nazwiska.

- Harry? Jaki Harry?

- Harry Spanner, twój kuzyn. Pamiętasz mnie jeszcze? To ja byłem tym chłopakiem, którego Alan zaczepiał na dziecięcych balikach.

- Ach tak, ach tak. Jak się masz? Skąd dzwonicz? Sądziłem, że mieszkasz w Południowej Afryce.

James mgliście przypominał sobie niewysokiego chłopca, który na zaczepki reagował kopaniem Alana w golenie, ale nic poza tym. Przez całe lata nigdy o nim nie myślał ani też nie słyszał, co się z nim dzieje.

- Teraz już nie - odparł Harry. - Wróciłem do Anglii i przejmuję przedsiębiorstwo rodzinne. W tej chwili jestem z Christiną.

James momentalnie zeszywniał.

- A co ty tam robisz?

W jego głosie brzmiało zaniepokojenie.

- Staram się jej udowodnić, że nie wszyscy krewni Farringtonów to skończeni łajdacy - odparł Harry. - Słyszałem, że Alan zamierza obalić testament.

- Tak. - James miał się teraz na baczności. Harry Spannier. A jaki on ma w tym interes, do diabła? Niech no tylko Alan się dowie, że opowiedział się po stronie Christiny. - Tak, to prawda. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego - dodał szybko.

- Przecież jej prawnik pojechał do Nowego Jorku zobaczyć się z tobą.

Kompletnie zaskoczył tym Jamesa, który na samo wspomnienie Wallberga poczuł, że wzbiera w nim gniew.

- Owszem, był u mnie - odparł. - I możesz powiedzieć ode mnie Christinie, że zachował się jak ostatni łajdak. Groził mi przemocą fizyczną.

- Mocny Boże! - Harry udawał, że ta informacja zrobiła na nim wielkie wrażenie. - Naprawdę? Zagroził, że cię pobije? To nie było działanie zgodne z prawem. A co ty takiego zmalowałeś, James? Zwędziłeś coś? Może jakiś stary rękopis? Pamiętam, że zawsze wszystko kleiło ci się do rąk.

- Ty draniu! - wybuchnął James. - Alan się z tobą policzy.

- Powiedz mu, że jestem już dużym chłopcem i potrafię znacznie więcej niż tylko kopać po nogach.

Odwrócił się do Christiny.

- Odłożył słuchawkę - powiedział. - Owszem, twój szlachetny Szwed widział się z nim i zdrowo biedaka nastraszył. Wcale mi to nie wygląda na działanie zgodne z najlepszymi tradycjami kancelarii Harvey & Stone. Ale może w Szwecji tak właśnie się załatwia podobne sprawy. - Popatrzył na nią uważnie. - Sporo ryzykował. Czy wiedziałaś, że ma zamiar potraktować Jamesa tak ostro?

- Nie - odparła Christina. - Oczywiście, że nie wiedziałam. A co z rękopisem?

- Nie wiem, chyba mu oddał. Pozostaje nam tylko skontaktować się z Wallbergiem albo poczekać, aż on skontaktuje się z nami.

Ale Rolf nie dawał znaku życia. Nie skontaktował się z kancelarią w Londynie, a w jego mieszkaniu odpowiadała automatyczna sekretarka. W hotelu w Nowym Jorku poinformowano ich, że pan Wallberg wyprowadził się dwa dni temu. Po kolejnym dniu wyczekiwania Harry zaproponował, żeby pojechać do ojca Christiny po Belinę.

- Christino - zaczął ojciec łagodnie. - Christino, o co chodzi w całej tej sprawie? Chyba możesz mi powiedzieć. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

Christina obdarzyła ojca czułym uśmiechem. Byli sami. Belinda poszła z Harrym do

wioski po zakupy. W piecu buzował ogień, rozpalony dla odegnania jesiennych chłódów. Pokój był zupełnie zwyczajny, wypełniony prostymi, funkcjonalnymi meblami, ten sam, jaki pamiętała z wakacji spędzanych tu wiele lat temu. Nic się tutaj nie zmieniło. Życie było proste i sprowadzało się głównie do żeglowania, łowienia ryb, długich spacerów wzdłuż wybrzeża, wieczorów spędzanych na rozmowach, wczesnego chodzenia spać i wstawania o świcie. Nic się nie zmieniło poza nią samą. Nawet czas zdawał się ojca nie dosięgać. Stary człowiek pozostał tym samym łagodnym, mądrym mentorem swoich dzieci, przekonany, że prosta, uczciwa filozofia życiowa stanowi jedyną odpowiedź na każdy problem.

- Odkąd tu przyjechałaś, nie jesteś sobą - mówił ojciec. - Czy sprawił to ten proces?

Christina westchnęła.

- Tak, oczywiście.

To Harry nalegał, aby przed powrotem do Anglii spędzili kilka dni u jej ojca. „Och, przestań się zamartwiać, bo i tak nic nie wymyślisz. Szlachetny Szwed z pewnością się odnajdzie. Krótka przerwa dobrze ci zrobi”.

Ale nie zrobiła. Christina nie potrafiła się uwolnić od dręczących ją problemów. Początkowo łudziła się, że dawna magia tego domu znowu zacznie działać, w głębi duszy wiedziała jednak, że to nie nastąpi. Jej zerwanie z przeszłością okazało się trwalsze, niż mogła przypuszczać.

- Christino, dlaczego nie zrezygnujesz z tego spadku? - zapytał ojciec. - Ani dom, ani pieniądze nie są przecież warte tej walki i tego rozgoryczenia. Nawet jeśli w końcu zwyciężysz, czy to przyniesie szczęście Belindzie? A ty? Jaka przyszłość cię czeka? Będziesz tam mieszkała sama, wśród obcych. Bez Richarda nie należysz do RussMore.

Popatrzyła na niego.

- Problem w tym, że należę. RussMore stało się częścią mnie. To dom Belindy, a Anglia jest jej ojczyzną. Wiem, że chciałbyś, abym zrezygnowała ze spadku i wróciła do Szwecji, ale ja nie mogę tego zrobić.

- Usiłujesz przekonać mnie czy siebie samą? Jest coś, o co nigdy cię nie pytałem. Nie mogłem, jak długo żył twój mąż. Byłaś tam szczęśliwa? Naprawdę szczęśliwa?

- Tak - odparła Christina. - Z Richardem byłam szczęśliwa.

- Był od ciebie dużo starszy - ciągnął ojciec z łagodnym naciskiem. Otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie, tak jakby znowu była małą dziewczynką. - Bardzo różnił się od wszystkich mężczyzn, których znałaś przedtem. Był bogaty i inteligentny, a świat, w którym się obracał, musiał ci się wydawać zupełnie odmienny od tego, w którym dorastałaś. Jego dzieci cię nienawidziły. Twoje nowe życie nie mogło być łatwe. Z pewnością nieraz

nachodziły cię chwile zwątpienia... czy żalu.

- Zwątpienia tak - przyznała Christina. - Czasami wątpiłam, czy uda mi się wynagrodzić Richardowi koszmar wcześniejszych lat. Ale Richard twierdził, że dokonałam tego. Powiedział, że byłem jedyną osobą na świecie, która uczyniła go szczęśliwym, w chwili kiedy myślał, że jego życie już się skończyło. Dałam mu też Belinę. Odwiedziłeś nas zaledwie raz czy dwa i nigdy nie widziałeś ich naprawdę razem. Ich wzajemny stosunek był wspaniały. I nie sądz, że mogłam być zazdrosna, bo Richard zawsze stawiał mnie na pierwszym miejscu. A co do Alana, to jego nienawiść nie była skierowana osobiście przeciwko mnie. Nienawidziłby każdego, kto uczyniłby Richarda szczęśliwym, bo to jego tak naprawdę nienawidził. James natomiast pragnął miłości, a Richard nie potrafił mu jej okazać. Och, tato, nie wszystkie rodziny są takie jak nasza. Może my jesteśmy nudni i zwyczajni, nie doznając tak intensywnych emocji.

- Za to jestem raczej wdzięczny losowi - zauważył ojciec sucho. - Stokroć wolę, żeby moje dzieci były szczęśliwe i zwyczajne, niż żeby miały stać się podobne do Farringtonów. Belinda już nauczyła się nienawidzić. Mówiła ze mną o swoim przyrodnim bracie i byłem tym wstrząśnięty. Czy chcesz, żeby wzrastała w ten sposób? - Usunął opiekuńcze ramię; widocznie słowa córki ugodziły go boleśnie.

Christina powiedziała szybko:

- Tato kochany, tak mi przykro. Po prostu poczułam, że zaczynasz ferować wyroki, a to do ciebie takie niepodobne. Boże, jakże żałuję, że to wszystko nie potoczyło się inaczej! Zostałam zmuszona do walki, podczas gdy jedyne, czego naprawdę pragnę, to jakoś ułożyć sobie życie. - Podniosła wzrok na ojca. W jej spojrzeniu rozpoznał upór odziedziczony po matce. - Nie mogę uciec. Richard powierzył mi opiekę nad Beliną i RussMore i od tego nie wolno odstąpić. Proszę, spróbuj to zrozumieć i nie mówmy już o tym więcej, dobrze?

- Dobrze. Ja także przepraszam. Nie miałem wątpliwości co do twoich motywów. Po prostu musiałem się upewnić, że wszystko dokładnie przemyślałaś. Podoba mi się ten twój kuzyn. - O wiele bardziej niż twój zmarły mąż, dodał w duchu. - To dobrze, że ci pomaga. Belinda także go lubi.

- Są dla siebie jak kumple - powiedziała Christina. - Harry'ego często trzymają się figle, ale on nie jest głupi. To dobry przyjaciel.

- Chyba nie tylko przyjaciel - odparł ojciec. - Wydaje mi się, że on pragnie czegoś więcej niż przyjaźni.

Christina pokręciła głową.

- Mylisz się. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Pewnie niedługo on i Belinda już

wrócą. Tato, nienawidzę myśli o wyjeździe, ale muszę przecież wracać do Anglii. Chciałabym wyjechać już jutro. Czy masz coś przeciwko temu?

Ojciec uśmiechnął się.

- Nie, oczywiście, że nie. Będzie mi ciebie brakowało. Odwiedź nas niebawem i przywieź Belinę. Mam dzieci Svena, ale Belinda jest dla mnie kimś specjalnym. No, pocałuj mnie. Zawsze będziesz moją małą dziewczynką, wiesz przecież o tym.

Gdy ją obejmował, oczy Christiny wypełniły się łzami.

Nazajutrz wróciła z Harrym i Beliną do Sztokholmu, gdzie złapali popołudniowy samolot do Londynu. W samolocie Harry odegrał komedię z trzymaniem Belindy za rękę podczas startu i lądowania, „no bo skoro twoja matka nie chce...” i oboje chichotali z tego żartu. „On pragnie więcej niż tylko przyjaźni”. Słowa ojca powróciły do Christiny echem, ale odegnęła je czym prędzej. Harry nie stanowił żadnego zagrożenia. Flirtował z nią, ale przecież to tylko żarty. W jego spojrzeniach, w jego dotyku nie wyczuwała namiętności ani pożądania. Harry pod żadnym względem nie był podobny do Rolfa Wallberga.

- I chwała Bogu - mruknęła do siebie.

*

- Dzień dobry, panie Wallberg. - Sekretarka obdarzyła uśmiechem wchodzącego Rolfa. - Jest dla pana kilka informacji, w większości od pani Farrington. Czy mam je przynieść?

- Proszę.

Rolf odwiesił płaszcz. Jesienny dzień był chłodny, niebo pokrywały deszczowe chmury. Nienawidził angielskiego klimatu. Tęsknił za czystym powietrzem i jasnym błękitem nieba Skandynawii, gdzie nawet przenikliwe zimno było mniej smętne niż ta szarówka. Christina usiłowała się z nim skontaktować. Dobrze zatarł za sobą ślady. Potrzebował czasu na zastanowienie się i podjęcie ostatecznej decyzji. Zdecydował, że zostanie, dopóki sprawa z Alanem Farringtonem się nie zakończy.

Przejrzał listę osób, które do niego dzwoniły. Christina telefonowała czterokrotnie, prosząc, aby się z nią pilnie skontaktował; ostatnia wiadomość pochodziła z RussMore.

Odezwał się brzęczyk sekretarki.

- Pan Wallberg? Pan Humfrey pragnie się z panem zobaczyć, o ile jest pan wolny w tej chwili.

- Już idę - powiedział Rolf.

Humfrey z pewnością zacznie wypytywać o Nowy Jork, a on będzie musiał kłamać. Jest protegowanym Rubena, więc Humfrey nie może zbyt mocno naciskać.

Humfrey wstał na jego powitanie. Nie lubił Rolfa, ale zawsze zachowywał się wobec niego z nienaganną uprzejmością.

- Jak się udała podróż?

Najwyraźniej spodziewał się jakichś wyjaśnień i Rolf udzielił mu ich bez trudu.

- Beznadziejnie - powiedział. - Ruben Stone poprosił mnie, abym skontaktowałem się z jednym z jego klientów, który akurat przebywał w Nowym Jorku. Kiedy tam dotarłem, gość przez dwa dni był nieosiągalny. Amerykanie nie udzielają zbyt chętnie wyjaśnień... zwłaszcza zagranicznym prawnikom. Traciłem czas, siedząc w hotelu i czekając, aż wreszcie facet będzie wolny. W końcu poświęcił mi pół godziny i od razu było: „Do widzenia, panie Wallberg, miło mi było pana poznać”. Ale przekazał mi dane, których potrzebował Ruben. Dostałem wiadomość od pani Farrington. Czy w jej sprawie zaszło coś nowego w czasie mojej nieobecności?

- Adwokat Farringtona zaproponował spotkanie stron w obecności Kena Huberta i nas obu - powiedział Humfrey. - Węszę w tym jakąś sztuczkę Alana Farringtona, bo to przecież nie jest zwykła procedura.

Kenneth Hubert miał reprezentować Christinę w sądzie, podczas gdy wybór Alana padł na Johna Cunninghama. Obaj prawnicy byli równie znani, ale reprezentowali zupełnie odmienny styl działania. Humfrey mówił dalej:

- Cunningham to grubianin. Będzie starał się obrazić i wyprowadzić z równowagi panią Farrington.

- W takim razie nie wolno jej godzić się na to spotkanie - powiedział Rolf szybko.

- Nie, nie, chyba że Hubert jej tak poradzi. On dobrze zna Cunninghama, zresztą zdaje się, że poza salą sądową są przyjaciółmi. Na pewno zdoła go utemperować, gdyby za bardzo ją atakował.

Urwał i zaczął pocierać nos. Ten gest, świadczący o zaniepokojeniu, zawsze irytował Rolfa.

- Muszę powiedzieć - podjął wreszcie Humfrey - że nie spodziewałem się takiej taktyki. Byłem przekonany, że będą odwlekać sprawę możliwie jak najdłużej, żeby zmusić panią Farrington do rezygnacji ze względu na wysokie koszty. Tymczasem dzieje się coś zupełnie odwrotnego. Alan Farrington nalega na jak najszybszą rozprawę wstępną. Zupełnie tego nie rozumiem.

- Widocznie jest przekonany, że zwycięży - podsunął Rolf. - Czy pani Farrington wie już o propozycji spotkania?

Humfrey pokręcił głową.

- Nie, pismo z kancelarii przyszło do mnie dziś rano. Właśnie miałem zamiar do niej napisać.

- Chciała się ze mną spotkać, więc mogę ją uprzedzić o pańskim liście. Czy mam to zrobić?

- Tak, to dobry pomysł - odparł Humfrey. - Zaufała ci bardziej, niż mógłbym przypuszczać. Na początku wydawało mi się, że nadajecie na całkiem różnych częstotliwościach.

- Bo też i nadawaliśmy, ale to się z czasem zmieniło. Zdobyłem jej zaufanie, choć nie było to łatwe. - Pozwolił sobie na uśmiech. - My, Szwedzi, jesteśmy bardzo uparci i zawzięci.

- Tak, zauważyłem - skwitował Humfrey. - Pojedziesz do RussMore?

Rolf zawahał się.

- Może będzie lepiej spotkać się z nią w biurze. Pomyślę jeszcze.

Wrócił do swojego gabinetu, zamknął drzwi i zapowiedział, że przez najbliższe pół godziny nie będzie odbierał żadnych telefonów. Alan Farrington parł do przodu. Był bardzo pewny zwycięstwa, a przecież nic, co do tej pory ustalono, nie usprawiedliwiałoby podobnego zadufania. Rolf zaczął się zastanawiać nad tym, co powiedziała mu Christina, uprzedzając jego pytanie.

„Chyba wiem, o co chce mnie pan zapytać, i nie mogę udzielić panu żadnej odpowiedzi. Nie tutaj i nie teraz”.

No cóż, zdecydował, skoro rękopis zniknął, nie będzie miała pieniędzy na przeciągający się proces. Jeśli Alan Farrington wszedł w posiadanie jakichś informacji, które mogłyby wpłynąć na rezultat sprawy, Christina będzie musiała się do nich ustosunkować.

Nagle wyobraził ją sobie tak dokładnie, jakby stanęła przed nim. Aż wstał, wytrącony z równowagi intensywnością swoich uczuć. Do tej pory zawsze uznawał seks bez jakichkolwiek związków uczuciowych. Teraz na myśl o Christinie odczuwał przypływ pożądania, ale i uczucia. Nie potrafił już tego rozdzielić. Ledwo spłacił jedno zobowiązanie, a już zaciągnął następne. Czuł, że musi wygrać dla niej ten proces. Będzie walczył za pomocą wszelkich dostępnych środków i bez względu na cenę.

Miłość, pomyślał z pasją. Nawet gdybym ją kochał, nie zawahałbym się przed zranieniem jej, żeby osiągnąć cel.

Zawsze kierował się w życiu tą zasadą.

*

Kenneth Hubert był u szczytu swojej zawodowej kariery. W wieku czterdziestu dwóch

lat otrzymał tytuł doradcy królewskiego². Nie przyjął oferowanej mu posady sędziego, ponieważ za bardzo fascynowała go atmosfera walki na sali sądowej, błyskawiczna wymiana argumentów i dowodów. Nie chciał z tego zrezygnować na rzecz miejsca za stołem sędziowskim. Gdy jego żona usiłowała protestować, powiedział jej krótko:

„Kochanie, zabawa w sędziego mnie nie pociąga. Wolę gorączkę walki, potykanie się z przeciwnikiem”.

„I pieniądze” - odparła wtedy.

„I pieniądze - zgodził się. - Podobnie jak ty”.

Pobrali się bardzo młodo. Molly również była członkiem palestry i specjalizowała się w prawie karnym. Należała do tych dziewcząt, które zawsze się śpieszą, i bezustannie gdzieś pędziła w rozwianej todze i przekrzywionej peruce. Była bardzo ładna, inteligentna i oddana. Oczarowała Kennetha od samego początku ich znajomości. Ken jako cywilista zarabiał krocie, podczas gdy Molly dostawała marne grosze, występując jako adwokat z urzędu w sprawach karnych.

Ożenił się z nią wbrew niej samej, jak mawiała nieraz, i od ponad dwudziestu jeden lat byli szczęśliwym małżeństwem. Mieli dwoje dzieci. Molly Hubert pracowała aż do narodzin drugiego dziecka. Kenneth zbyt dobrze znał swoją żonę, aby namawiać ją do rezygnacji z pracy zawodowej. Kiedy sama podjęła taką decyzję, udawał zdziwienie.

„Nie mogę jednocześnie zajmować się praktyką i Tomem - powiedziała wtedy. - Mój wybór padł na Toma”.

„Zawsze możesz wrócić do zawodu - zapewnił ją. - Interesuj się na bieżąco różnymi sprawami, to nie zaśniedziejesz. Zresztą ja zawsze potrzebuję twojej pomocy”.

Omawiał z nią każdą sprawę. Molly rozumowała z nieubłaganą logiką, podczas gdy jego umysł czasami oscylował na granicy prawa. To właśnie czyniło go tak dobrym adwokatem, owa skrzywiona perspektywa, pozwalająca mu dostrzegać luki prawne, często uchodzące uwagi innych.

Tego wieczoru w początkach września Ken i Molly siedzieli w swoim domu na Lowndes Square, popijając dzin z tonikiem. Kenneth wprowadzał żonę w szczegóły sprawy Farrington *contra* Farrington.

Molly zapoznała się wcześniej z jej ogólnym zarysem, a teraz przyszedł czas na przedyskutowanie szczegółów.

- Motorem całej sprawy jest chciwość - zauważyła. - Żona urabia umierającego męża i

² *Queen's Counsel*, tytuł nadawany wybitnym adwokatom.

zagarnia wszystko dla swojego dziecka. Pasierb podaje ją do sądu i obrzuca błotem, także powodowany zachłannością.

- Tym razem jesteś w błędzie, kochanie. Nim nie kieruje chciwość, tylko nienawiść, i to jest o wiele gorsze, ponieważ tego uczucia nie da się zaspokoić pieniędzmi. Odbyłem spotkanie z prawnikami mojej klientki; odmalowali mi tego pasierba w bardzo ponurych barwach. To człowiek opanowany obsesyjną nienawiścią do ojca. Po jego śmierci przelał to uczucie na jego drugą żonę i niewinne, jedenastoletnie dziecko. Twierdzi, że macocha wywierała wpływ na męża podczas sporządzania testamentu, i utrzymuje, że dziecko jest nieślubne. Zdaje się, że ta szwedzka dama wiodła dość swobodne życie, zanim poślubiła Farringtona. Wolna miłość i tak dalej - to było bardzo modne kilka lat temu.

- I nadal jest w modzie - dorzuciła Molly. - W dzisiejszych czasach mało kto zawiera związek małżeński. Wszyscy wybierają wolne związki. Zresztą i wśród naszego pokolenia niewiele małżeństw przetrwało. Nie sądzę, aby to miał być argument przeciwko tej macosze. Nie wiem, w jaki sposób pasierb mógłby udowodnić, że przyrodnia siostra nie jest dzieckiem jego ojca. Skoro ojciec nie żyje, porównanie kodu genetycznego staje się niemożliwe. Syn może opowiadać, co mu się tylko podoba, ale niczego nie udowodni.

Ken wysączył ostatnie krople dżinu.

- Jeszcze jeden? Ja sam chętnie się napiję.

- Ale ja przygotuję drinki - powiedziała Molly. - Wiem, że lubisz, jak się koło ciebie skacze. Rozpuścili cię w kancelarii, a ja dodatkowo rozpieszczam cię w domu.

Jej uśmiech był dla niego tak samo atrakcyjny, jak dwadzieścia jeden lat temu, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Wiesz, kiedy natrafiam na sprawę podobną do tej, zawsze sobie uświadamiam, jak szczęśliwy jestem, mając ciebie i chłopców. Bardzo szczęśliwy. Powoda reprezentuje Cunningham. O, ten będzie zachwycony. Uwielbia podobne historie. Muszę zobaczyć się z klientką i zadać jej parę bezpośrednich pytań. Jeśli będzie usiłowała coś zataić, John żywcem obedrze ją ze skóry na ławie świadków. Prawnicy Farringtona proponują spotkanie stron.

Molly popatrzyła na męża z ożywieniem.

- Czy to oznacza, że chcą pójść na ugodę?

- Chyba nie, sądząc po tym, co mówią jej doradcy prawni. Oni w tym widzą kolejną próbę zastraszenia. Farrington użył już tej taktyki, gdy spotkał się z macochą w cztery oczy. Zdaje się, że to naprawdę paskudny typ.

- Nigdy nie przestawało mnie zdumiewać, że ktoś tak miły jak John zawsze wybiera sobie podobnie obrzydliwych klientów. Chyba ulega rozdwojeniu jaźni, wchodząc do sądu.

Kenneth uśmiechnął się szeroko.

- On mówi to samo o mnie. Kochanie, ktoś w końcu musi bronić także i tych złych chłopców, bo inaczej w ogóle nie byłoby sprawiedliwości. Przypomnij sobie swoich klientów. To dopiero były typy spod ciemniej gwiazdy. A czy nie walczyłaś z zapalem w ich obronie?

- Walczyłam - przyznała - ale przez cały czas brałam pod uwagę, że mogą być niewinni. Jednego z nich doskonale pamiętam. Był oskarżony o wyjątkowo brutalne morderstwo i udało mu się uniknąć kary. Po sprawie przyszedł mi podziękować. Odwróciłam się wtedy i odeszłam... nie mogłam nawet spojrzeć na niego. Ten facet był winny jak diabli. - Pociągnęła łyk alkoholu. - To nie tylko miłość matczyzna kazała mi zrezygnować z kariery - powiedziała. - Niektóre przypadki stawały się dla mnie zbyt wielkim obciążeniem. Ale jestem pewna, że przez cały czas wiedziałeś o tym, ty stary lisie, tylko nigdy nie odezwałeś się ani jednym słowem. A właśnie, czy pójdziesz na to przyjacielskie spotkanie, zanim zaczniecie w sądzie dobierać się sobie do skóry?

Ken zastanowił się przez chwilę.

- Tak, myślę, że tak. Obejrzę sobie w spokoju tę szwedzką damę i przygotuję się na to, czym John będzie chciał mnie zaskoczyć. Poza tym chcę się przyjrzeć bliżej jej pasierbowi. Ile jeszcze czasu do kolacji?

- Nie tyle, abyś mógł wypić kolejny dzin - odparła Molly stanowczo. - Przygotuję jedzenie, a ty otworzysz jakieś dobre wino. Mamy dzisiaj twoje ulubione danie - *saltimbocca alla Romana*.

Kenneth podniósł się z sofy i westchnął z zadowoleniem.

- Mądra, seksowna, a do tego doskonała kucharka. Czym sobie zasłużyłem na ciebie?

- Bóg tylko wie - odparła Molly słodko. - Ja ciągle zadaję sobie to samo pytanie.

Roześmiał się.

- Szkoda, że nie zaprosiliśmy Johna. Uwielbia włoskie potrawy. Może udałoby mi się go przycisnąć w sprawie jego taktyki.

- Akurat! - parsknęła Molly. - Z niego taki sam spryciarz, jak z ciebie. Stanowicie dobraną parę. No, zbieraj się. Mam ochotę napić się wina podczas nakrywania do stołu.

Zjedli wyśmienity posiłek i zasiedli przed telewizorem, żeby obejrzeć swój ulubiony serial, którego akcja rozgrywała się w amerykańskim środowisku prawniczym. Głównym zajęciem bohaterów, bez przerwy pogrążonych w oparach alkoholu, było zaciąganie długów i biurowe romanse. Kenneth śmiał się w głos. Sprawa Farringtonów poszła w zapomnienie.

*

- Siadaj, Christino. Czy napijesz się kawy?

Sekretarka, która ją wprowadziła, czekała w drzwiach.

- Nie, dziękuję.

Rolf zaproponował spotkanie w biurze i to sprawiło, że Christina poczuła jednocześnie ulgę i niepokój. Przez telefon Rolf rozmawiał z nią niemal opryskliwym tonem, unikając wszelkich pytań, i Christina doznała uczucia pewnego zawodu. Teraz też zachowywał się z profesjonalnym chłodem, jakby poza samą sprawą nic ich nie łączyło.

- Bardzo mi przykro - zaczął - ale mam złe nowiny. Nie chciałem o tym mówić przez telefon.

- Rękopis? James ci go nie oddał?

- Nie był w stanie. Okradziono go. Złodziej zabrał całą zawartość sejfów, włącznie z gotówką i biżuterią. To prawda, sprawdziłem na policji. Napastnik zabrał rękopis i prawdopodobnie zniszczył go. Jakże mi przykro. - Obszedł biurko i stanął za jej krzesłem. Maską obojętności spadła z jego twarzy. Położył rękę na jej ramieniu, a jego jasne oczy spoglądały łagodnie. - Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć, zwłaszcza że sam rozbudziłem twoje nadzieje.

Odwrócił się gwałtownie i wrócił na miejsce za biurkiem.

- To nie twoja wina - zaczęła Christina. - Rękopis nie należał do mnie, więc i tak nie mogłabym wziąć za niego pieniędzy. Proszę, nie czyn sobie wyrzutów. Zdziałałeś, ile było w twojej mocy. Co mam teraz zrobić?

- Pracujemy nad sprawą. Humfrey chce się z tobą spotkać. Adwokaci twój i Alana proponują spotkanie stron. Moim zdaniem, nie powinnaś się na nie godzić.

- Dlaczego nie? Jeśli mój adwokat mi to doradza, dlaczego nie powinnam?

- Z powodu pytań, które mogą tam paść. Christino, główna kwestia sprowadza się do tego, czy Belinda jest dzieckiem Richarda. Teraz zapytam cię o to, a ty mi odpowiesz.

Christina zerwała się na równe nogi.

- Nie - odparła. - Nie odpowiem. Nie mogę.

Nagle znalazł się obok niej. Zanim zdążyła postąpić krok do tyłu, chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego nie możesz?

W jej oczach pojawiły się łzy i zaczęły się toczyć po policzkach. Podniosła dłonie do twarzy, żeby je ukryć.

- Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? - nalegał Rolf.

- Bo sama nie wiem. Nigdy nie wiedziałam przez te wszystkie lata. Obserwowałam ją, jak rosnąc, coraz bardziej upodobia się do Richarda. Jestem pewna, że to jego córka, ale

bardzo pragnęłam w to uwierzyć. Nie istnieje żadna możliwość sprawdzenia tego. Belinda ma ciemne włosy i karnację Richarda, ale Jan też był brunetem. To mój kochanek. Porzucił mnie dosłownie na chwilę przedtem, zanim poznałam Richarda. Sypialiśmy ze sobą do ostatniego dnia, a potem... potem kochałam się z Richardem. Nie miałam już okresu. Skąd mogę wiedzieć, z którym z nich zaszłam w ciążę?

Rolf popatrzył na nią przeciągle.

- Czy powiedziałaś o tym Richardowi przed ślubem?

- Tak - odparła bez wahania. - Kochałam go. Richard był dla mnie bardzo dobry i nie potrafiłabym go oszukać. Powiedziałam mu, że nie mogę wyjść za niego, bo możliwe jest, że noszę w sobie dziecko innego mężczyzny.

Rolf przyciągnął ją do siebie. Na moment zeszywniała, próbując się oprzeć, ale on był silny, a ona nie miała w sobie dość mocy, aby mu się przeciwstawić. Trzymał ją w objęciach, a jego ręka powoli przesuwiała się po jej włosach.

- Tego byłem pewny - powiedział spokojnie. - Byłem przekonany, że mu powiedziałaś. Nie jesteś kobietą, która by kłamała czy oszukiwała. Jak zareagował?

- Oświadczył, że to bez znaczenia - wyszeptła Christina. - To moje dziecko, a on będzie je kochał jak własne. Gdy Belinda przyszła na świat, popatrzył na nią i powiedział: „Kochanie, ona jest z Farringtonów”. I to wszystko. Nigdy więcej nie wracaliśmy do tego tematu.

Poczuła jego wargi na swojej skroni. A potem Rolf uniósł jej twarz i pocałował prosto w usta. Richard, Richard, pomyślała z desperacją, zanim przestała odczuwać cokolwiek poza ustami Wallberga i jego ciałem. Jakby czytając w jej myślach, szepnął do niej.

- On umarł, ale ty żyjesz. Pomogę ci.

I nagle napięcie opadło. Odsunęli się, spoglądając po sobie.

- O Boże - powiedziała Christina - dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego pozwoliłam ci na to?

Uśmiechnął się przelotnie.

- Nie ma znaczenia dlaczego. Ale sprawy między nami muszą poczekać, dopóki nie wygrasz procesu. Czy jesteś gotowa powtórzyć swojemu adwokatowi to, co powiedziałaś mnie? I adwokatowi Alana? On także może cię o to zapytać.

- Nie. - Christina nie wahała się ani przez moment. - Nie dbam o swoją opinię, zresztą nie mam się czego wstydzić, ale nie będę mieszała w to Belindy. Zaprzeczę wszystkiemu. Myliłeś się co do mnie. Gdy w grę wchodzi dobro mojego dziecka, potrafię kłamać i oszukiwać.

- To dobrze - odparł. - To właśnie musisz zrobić - zaprzeczyć wszystkiemu. Tym sposobem wygrasz, ponieważ ciężar dowodu spoczywa na Alanie, a on nie będzie w stanie niczego udowodnić. Gdyby Richard żył, Alan miałby prawo zażądać badania DNA, skoro jednak nie żyje, możesz spokojnie iść na to spotkanie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała. - Dlaczego skłoniłeś mnie, abym ci powiedziała?

- Żeby się upewnić, że nikomu tego nie powtórzysz - odparł. - Powierzyłaś mi swój sekret i teraz nie ma potrzeby nikomu go powtarzać. Jesteś przygotowana na to pytanie, więc nikt cię nim nie zaskoczy.

Wyjął chusteczkę i otarł usta.

- Zaprowadzę cię do Humfreya.

*

Spotkanie odbyło się w kancelarii doradców prawnych Alana Farringtona na Gray's Inn Road i trwało niecałą godzinę. Christina wyszła pierwsza, nie zaszczycając Alana ani jednym spojrzeniem. Za nią podążali Humfrey Stone i Rolf Wallberg. Alan Farrington, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie spodni, zwrócił się w stronę obu adwokatów i swojego prawnika. Z każdego jego ruchu biła agresja. Zarówno Cunningham, jak i Hubert byli wysocy, co jeszcze bardziej podkreślało niski wzrost Alana.

- Co za cholerna strata czasu! Ta kobieta kłamała w żywe oczy, a wy dwaj pozwoliliście jej wykręcić się sianem.

Popatrzył gniewnie na Johna Cunninghama. Nastąpiła niezręczna chwila ciszy; Ronald Hamilton wyglądał na zakłopotanego. Cunningham obrzucił swojego klienta spojrzeniem pełnym nie ukrywanej niechęci.

- Celem tego spotkania, które - jak pozwolę sobie przypomnieć panu, panie Farrington - odbyło się na pana wniosek, było ustalenie, czy istnieje możliwość porozumienia między stronami bez wstępowania na drogę sądową. Nie miało ono być dla mnie okazją do postraszenia pańskiej macochy. Jeśli istotnie kłamie, jak pan twierdzi, dowiodę tego niezbitcie, więc nie wykręci się sianem na ławie świadków. Ale skoro nie jest pan usatysfakcjonowany, proponuję, aby zwrócił się pan do innego adwokata, żeby przejął tę sprawę. Do widzenia.

Skinął głową doradcy prawnemu Alana, jakby pragnąc okazać mu współczucie, że jest skazany na takiego klienta.

- Cześć, Ronald, poinformuj mnie później, co postanowił pan Farrington. Idziesz, Kenneth? - zwrócił się do Huberta.

- Chętnie, jeśli mnie podrzucisz, John.

Wyszli razem z pokoju. Doradca Alana był czerwony z gniewu. Pogródki klienta nie

zrobiły na nim żadnego wrażenia; jego kancelaria cieszyła się wielką renomą, tak że prawnicy mogli sobie swobodnie wybierać klientów, którzy im odpowiadali.

- To było bardzo głupie przedstawienie, panie Farrington.

Alan wlepił w niego wzrok. Nie był przyzwyczajony do takiego tonu.

- Co, u diabła, pan sobie myśli, żeby zwracać się do mnie w ten sposób?

- Myślę - odparł stary prawnik z furią - że obraził pan jednego z najznamienitszych członków palestry, który w tej sytuacji może nie zechcieć reprezentować pana w sądzie. Jeśli chce pan osobiście występować jako swój adwokat, to jest pan na najlepszej drodze do tego. Od razu wyjaśnijmy sobie jedno. Jeśli uda mi się przekonać Johna Cunninghama, żeby nie rezygnował, pan będzie trzymał się z daleka od wszystkiego, dopóki nie dojdzie do rozprawy, a w sądzie będzie pan mówił wyłącznie to, co Cunningham każe panu powiedzieć. Uczucia osobiste zostawi pan wyłącznie dla siebie. Czy wyrażam się jasno?

Alan oblał się rumieńcem. Czuł, że lada chwila eksploduje. Spotkanie stron, zaplanowane przez niego jako próba zastraszenia i obrażenia Christiny, potoczyło się zupełnie inaczej. Zdawało mu się, że wszyscy są jej przychylni. Wystudiowana grzeczność jego własnego adwokata wobec macochy doprowadzała go do pasji, a poza tym zirytował go ten zagraniczny prawnik, który przez cały czas nie spuszczał z niego zimnego, nieruchomego spojrzenia, aż Alan poczuł się niewyraźnie. W spojrzeniu Szweda kryła się niema obraza. Alan rzadko zadawał sobie trud, aby kontrolować swój temperament, raczej wykorzystywał go do podporządkowywania sobie osób słabszych czy mniej agresywnych. Instynktownie wyczuwał, że wobec Wallberga próba zastraszenia nie miałaby najmniejszego sensu. Na tyle znał się na ludziach, by być tego świadomym.

Teraz doszedł do wniosku, że przecież nie może sobie pozwolić na utratę najlepszego doradcy prawnego, odezwał się więc przeproszającym tonem, co kompletnie zaskoczyło Hamiltona.

- Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro. Zachowałem się jak prawdziwy głupiec. Niech pan się postara ułagodzić Cunninghama. Jeśli pan chce, mogę do niego napisać. To się już nie powtórzy.

Popatrzył na starego prawnika błagalnie, jakby apelując do jego uczuć.

- Kiedy zobaczyłem tę kobietę siedzącą tutaj, straciłem nad sobą kontrolę. Przecież ona buntowała mojego ojca przeciwko mnie i bratu i kompletnie omotała biednego starego, który po śmierci matki czuł się bardzo samotny. Obiecuję, że od tej pory będę panował nad sobą. Ta kobieta wyrządziła mnie i moim dzieciom tak potworną krzywdę, że nie mogłem znieść jej obecności w tym pokoju. Będę się trzymał od niej z daleka.

Nagła zmiana w jego zachowaniu była zaskakująca. Obecnie Alan sprawiał wrażenie kogoś słabego, skrzywdzonego, doprowadzonego do ostateczności jawną niesprawiedliwością. Prawnik wstał i poklepał go pocieszająco po ramieniu. Sam miał synów mniej więcej w wieku Alana. Wiedział, ile krzywd rodzice potrafią wyrządzić dzieciom, a dzieci rodzicom. W swojej praktyce wielokrotnie spotykał się z okrucieństwem w rodzinie.

- Proszę się nie przejmować. Zajmę się wszystkim. Jeśli osoba macochy wywiera na pana tak negatywny wpływ, najlepiej będzie trzymać się od niej z daleka. A przede wszystkim, panie Farrington, proszę mieć do nas zaufanie, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę mi wierzyć, Cunningham jest naprawdę najlepszy. Czy to pana samochód stoi na zewnątrz?

- Tak - odparł Alan, wyciągając rękę. - Dziękuję panu. Sam wyjdę, proszę się nie fatygować.

Szary bentley zaparkowany był na dziedzińcu. Alan wsiadł do wozu i uruchomił silnik, nie odjechał jednak od razu, tylko sięgnął po telefon i zadzwonił do Fay.

- Kochanie, jak poszło? - spytała.

Nie okłamywał jej.

- Spieprzyłem sprawę.

- Jak to? Co się stało?

- Straciłem panowanie nad sobą i nagadałem adwokatowi. Tak ją obskakiwałem, tak się do niej wdzięczyłem, że poniosło mnie i wygarnąłem mu, a on mi na to, żebym się odpieprzył i znalazł sobie kogoś innego.

- Och, Alan, powinnam była pojechać z tobą. Czy da się to jeszcze odkręcić?

- Robiłem w tej sprawie, co mogłem. Ugłaskałem Ronniego Hamiltona i obiecałem nie wtrącać się już do niczego. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. - W jego głosie wyczuwało się przygnębienie.

Fay powiedziała z ożywieniem:

- Nic się nie martw i pozwól im robić swoje. Nie ma sensu trzymać psa i samemu szczekać.

Słyszając to, Alan musiał się roześmiać. Świetnie, jest przecież sprytny i da sobie radę w tej sytuacji. Wspaniała dziewczyna z tej Fay. Żadnych wyrzutów, żadnych pretensji - żona jedna na milion.

- Masz rację, skarbie. Wracam do domu.

*

Po wyjściu z Gray's Inn Christina zatrzymała się. Humfrey uściskał jej rękę.

- Doskonale się pani spisała, pani Farrington. Myślę, że obaj adwokaci byli pod wrażeniem. Ja przynajmniej byłem. - Popatrzył na Rolfa, jakby szukając u niego potwierdzenia.

- Tak, wszystko wypadło bardzo dobrze - zwrócił się Rolf do Christiny spokojnie i przekonująco.

- Byłam taka zdenerwowana - wyznała.

- Zupełnie nie było tego po pani widać - zapewnił Humfrey. - Czy przyjechała pani samochodem? Ja muszę pędzić na kolejne spotkanie, ale Rolf może sprowadzić pani taksówkę.

- Nie trzeba - powiedziała szybko. - Mam tu samochód. Zostaję na noc w Londynie. Dziękuję za pańskie wsparcie. Bardzo mi pomogło. - Odwróciła się do Rolfa. - Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Humfrey dodał jeszcze:

- Teraz czeka nas moc papierkowej roboty. Potrzebujemy zeznań pani, lekarza pani męża i personelu zatrudnionego w RussMore, a także przyjaciół, krewnych oraz każdego, kto potwierdziłby stan umysłu pani męża podczas choroby. - Widząc, że Christina spogląda zdezorientowana, dodał: - Żeby odeprzeć zarzuty o wywieraniu na niego presji podczas choroby. To nie będzie trudne. Do widzenia, pani Farrington.

Gdy odszedł, Christina i Wallberg popatrzyli sobie prosto w oczy.

- Kiedy będę mógł cię zobaczyć? - zapytał Rolf. - Dziś wieczorem?

- Nie - odparła szybko. - Rolf, ja nie chcę, żeby to się stało.

- Wiem, ale to się już stało i niczego nie zmienisz. Nie uciekniesz ode mnie, Christa, potrzebujesz mnie. Jeśli obiecuję, że cię nie dotknę...

- Już raz obiecałeś - przypomniała - i nie dotrzymałeś obietnicy, podobnie jak ja sama. Nie chcę romansu z tobą, znienawidziłabym się za to. Kiedy byłam mężatką, kilku mężczyzn próbowało mnie do tego namówić. Myślę, że głównie z powodu różnicy wieku między mną a Richardem. Nigdy go nie zdradziłam.

- Wiem - odparł. - Zawrzemy umowę. Będę twoim doradcą prawnym i jednocześnie przyjacielem, dopóki proces się nie zakończy, ale później nie obiecuję niczego. Czy to cię zadowala? Czy zaufasz mi?

Christina ruszyła w stronę samochodu. Rolf szedł tuż przy niej. Otworzyła drzwi i odwróciła się do niego.

- Rolf, nie wiem, czy mogę zaufać samej sobie. Nie wiem, jak mam postępować.

Wyciągnął rękę i położył palec na jej wargach.

- Nawet się nad tym nie zastanawiaj - powiedział. - Zostaw wszystko mnie. Czekaniem nie wyrządzimy nikomu krzywdy. Zresztą podobno wyczekiwanie to najlepszy okres dla kochanków. Przyjadę do RussMore, gdy będę miał przygotowane wszystkie dokumenty, ale zatrzymam się w wiosce. Chciałbym cię teraz pocałować, ale nie zrobię tego. Wsiadaj.

Zamknął drzwi, gdy wsiadła do samochodu, ale nie czekał, aż odjedzie, tylko ruszył od razu w stronę Strandu.

Znalazszy się w mieszkaniu, Christina zrzuciła z siebie ubranie i weszła do łazienki. Stojąc pod prysznicem, puściła silny strumień wody, jakby tym sposobem mogła zmyć z siebie ogarniające ją pożądanie. Delikatne muśnięcie, jakim dotknął jej warg, było tak czułe i subtelne, a jednocześnie tak podniecające, że chciała unieść jego rękę do ust i całować po kolei każdy palec. Spojrzała na swoje odbicie, rysujące się niewyraźnie w zaparowanym lustrze. Błada, naga sylwetka zdawała się wylaniać z mgły. Jaką jest kobietą, skoro pożąda mężczyzny, którego od początku instynktownie nie lubiła? Rozwiązła hipokrytką, która dotąd usiłowała przekonać samą siebie, że jest szczęśliwa i zaspokojona? Wycierała się energicznymi ruchami, aż zaczęła ją palić skóra. Co Rolf powiedział, tuląc ją do siebie? „On nie żyje, ale ty żyjesz”. To było proste stwierdzenie faktu, a nie próba usprawiedliwiania. Przecież nie pogrzebano jej razem z Richardem. Dotychczas tłumiała swoje popędy, przez co teraz pozostawała zupełnie bezbronna wobec tego niezwyklego mężczyzny, obdarzonego tak wielkim magnetyzmem. To, co czuła do Rolfa, było czymś więcej niż zwykłym pożądaniem. Seks, choćby najbardziej podniecający, byłby zaledwie początkiem. Może tego właśnie najbardziej się obawiała.

Przenikliwy dźwięk telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Christina aż podskoczyła.

- Christa?

- Harry! - Zupełnie o nim zapomniała.

- Jak poszło na spotkaniu?

Starła się, aby jej głos brzmiał spokojnie.

- Chyba dobrze.

- To świetnie. Przyjadę po ciebie o ósmej i wtedy wszystko mi opowiesz.

Z Harrym była umówiona na kolację. O tym także zapomniała.

*

John Cunningham zwolnił na światłach przy Strandzie.

- Kenneth, co powiesz na drinka w klubie?

- Dobry pomysł - ożywił się Ken Hubert. - Spodziewam się, że przywołasz tego

małego gnojka do porządku. Nigdy nie spotkałem się z podobną impertynencją.

- Nie będę ronił łez, jeśli znajdzie sobie kogoś innego - powiedział Cunningham. - Bynajmniej nie narzekam na brak klientów. Ale mam wrażenie, że on nie jest aż taki obmierzły, na jakiego wygląda. Myślę też, że ta dama uraczyła nas bardzo gładkim przedstawieniem.

- Nie uwierzyłeś jej? - zapytał Hubert.

Cunningham roześmiał się.

- Ani przez chwilę i nie wydaje mi się, abyś ty jej uwierzył. Jako świadek z pewnością będzie prezentowała się znakomicie, ale jak długo uda mi się utrzymać Farringtona z dala od całej sprawy, poradzę sobie z nią. Właściwie sam nie wiem, dlaczego zdradzam ci moją taktykę, Ken. No, jesteśmy na miejscu. Poczciwy, stary Garrick. Podają tu najlepszy różowy dżin w całym Londynie. Szkoda tylko, że wpuszczają kobiety.

Cunningham lubił pozować na męskiego szowinistę. W rzeczywistości lubił kobiety i nigdy nie lekcewał ich jako przeciwniczek w sądzie. Szczególną sympatią darzył Molly Hubert. Sam nigdy się nie ożenił; traktując małżeństwo bardzo poważnie, utrzymywał, że nie dojrzał jeszcze do takiego kroku. Ale w jego otoczeniu nie brakowało kobiet, które zapraszał do różnych lokali, a potem do siebie do domu.

Obaj prawnicy weszli do baru i zamówili drinki, Ken dżin z tonikiem, a Cunningham swój ulubiony różowy dżin. Ken powrócił do tematu Christiny Farrington.

- Wiesz, nie spodziewałem się, że będziesz posądzał ją o kłamstwo. Mnie się wydawała bardzo przekonująca.

To stwierdzenie niezupełnie odpowiadało prawdzie. Hubert nigdy nie był do końca przekonany o prawdziwości swoich klientów, dzięki czemu nigdy też nie był przez nich zaskakiwany.

- Stawką w tej grze jest wspiana posiadłość i ileś tam akrów ziemi. Która kobieta nie zeznałaby pod przysięgą, że białe jest czarne, żeby móc zachować taki majątek dla swojej córki? Zgodnie z tym, co wyniuchał ten prywatny detektyw zatrudniony przez jej pasierba, przed zamążpójściem była dość szczodra w szafowaniu swymi wdziękami, i to dosłownie aż do dnia, w którym spotkała Richarda Farringtona.

- Za to odkąd wyszła za męża, nie było już o tym mowy - odparował Hubert. - Już twój czarujący klient coś by wywęszył, gdyby nadal była „szczodra”. Swoją drogą podoba mi się to określenie; jest w nim pewna elegancja. Naprawdę zamierzasz poprowadzić tę sprawę? Wydawało mi się, że wolałbyś, aby Farrington zaangażował kogoś innego.

- Nie sądzę, aby Ronnie mu na to pozwolił. To szczwany lis i założy się, że gdy tylko

wyszliśmy, naskoczył na pana Farringtona i porządnie go skopał swoimi podkutymi buciorami. Tak, wezmę tę sprawę. Właściwie - uśmiechnął się do przyjaciela i podniósł szklaneczkę w toaście - bardzo lubię batalie staczane z tobą w sądzie. Mimo nieskazitelných manier jesteś łajdakiem pozbawionym serca, zupełnie tak jak ja. Ciekawe, na jakiego sędziego trafimy.

- Pojęcia nie mam - odparł Hubert. - Mam nadzieję, że nie będzie to stary Russel. On jest niemożliwy. Rozgrzebuje każdy, najdrobniejszy nawet punkt. Lepszy byłby Stephenson.

- Stephenson mnie nienawidzi od czasu tamtej sprawy z niesłusznym wyrokiem, kiedy wszystko przedostało się do prasy - powiedział Cunningham. - Ale to mądry facet i nigdy nie daje się nikomu wodzić za nos. Przejrzyj na wylot twoją piękną Szwedkę, jeśli rzeczywiście jest ona taką kobietą, za jaką ja ją uważam.

- To znaczy jaką? - Hubert zerknął na przyjaciela.

- Awanturnicą, która dostrzegła możliwość złapania bogatego faceta, żeby potem razem z córką być urządzoną do końca życia. Nawet jeśli później przestrzegała reguł gry, nie zmienia to faktu, że jeśli dziecko jest nieślubne, nie może dziedziczyć. Według Ronniego jej pasierb twierdzi, że potrafi to udowodnić. Przegrasz ten proces, ostrzegam cię. Jeszcze jednego na drogę?

- Nie, dziękuję. Molly zaprosiła gości, więc muszę się już zbierać. Może dołączysz do nas, jeśli nie masz w planie nic ciekawszego? Molly uwielbia twoje wizyty. Mówi, że potrafisz wprawić wszystkich w doskonały nastrój.

- To bardzo miłe z jej strony - odparł Cunningham - ale na dzisiejszy wieczór mam inne plany. Z Hiszpanii przyjeżdża moja stara znajoma. Wspaniała kobieta - Amerykanka, wdowa, szalenie bogata. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że to ona mnie zaprosi. Przekaż Molly ukłony.

- Na pewno - powiedział Hubert. - Baw się dobrze, John. A co do tamtej sprawy, to nie bądź taki pewny, że wygrasz. Zwycięstwo będzie moje, przekonasz się. Cześć.

*

Harry wybrał niewielką francuską restaurację w pobliżu Holland Park. Z pozoru była bardzo skromna, ale jedzenie podawano tam wysmienite. Christina złapała się na tym, że myśli o Richardzie, który uwielbiał kuchnię francuskiej prowincji. Ten lokal z pewnością przypadłby mu do gustu. Tego wieczoru Richard co chwila pojawiał się w jej myślach, zupełnie jakby w jakiś sposób odgadywał, że go potrzebuje.

Oczywiście pierwsze pytanie, jakie padło z ust Harry'ego, dotyczyło zaginionego rękopisu.

- Ukradł go James, tak jak przypuszczaliśmy - powiedziała Christina - ale potem ktoś napadł na niego z nożem i zabrał wszystko, co James trzymał w sejfie, włącznie z rękopisem. Tak więc dokument zniknął. Złodziej pewnie go zniszczył. Dla kogoś niewtajemniczonego był to po prostu rulon starego papieru pokryty jakimiś hieroglifami.

- Mówisz to z pewną ulgą - zauważył Harry. - Naprawdę tak czujesz?

- Tak. Ten rękopis nigdy nie należał do mnie. Kiedy już poznałam jego historię, nie potrafiłabym wziąć za niego pieniędzy. A zatem Bóg czy też los sam rozwiązał ten problem.

O Rolfie Wallbergu nie wspomniała ani słowem, a Harry, ku jej zdumieniu, też o niego nie zapytał. Złożył zamówienie u kelnera i widać było, że stara się podtrzymać pogodny nastrój, jakby przypuszczał, że tak naprawdę Christina jest przygnębiona utratą pokaźnej sumy pieniędzy, dzięki której mogłaby bez obaw kontynuować proces, tylko nie chce się do tego przyznać.

Christina usiłowała zapanować nad myślami, kłębiącymi się jej pod czaszką, wędrującymi niespokojnie od Richarda do Wallberga i dręczących wspomnień, wywołujących poczucie winy. Usiłowała wyzwolić się od natrętnie powracającego obrazu Rolfa, skupiając swoją uwagę na Belindzie, która przecież niebawem miała pójść do nowej szkoły.

W połowie wieczoru Harry odezwał się łagodnie:

- A właśnie, niedawno wygrałem na loterii.

Christina zapytała niepewnie:

- Co powiedziałeś?

Harry westchnął z udaną desperacją.

- Chciałem zapytać, jak się ma Belinda, ale ty wyraźnie nie słuchałaś, więc powiedziałem, że wygrałem na loterii. Okazało się, że tego też nie słyszałaś. Gdzie byłaś przez cały wieczór, bo z pewnością nie ze mną?

- Przykro mi, że nie słuchałam cię uważnie, ale wiesz, dzisiejszy dzień naprawdę okazał się okropny, a poza tym myślałam właśnie o Belindzie. W końcu przyszłego tygodnia idzie do St. Mary's. Bardzo to przeżywam. Nigdy przedtem nie rozstawałyśmy się na dłużej i teraz obawiam się, że będzie tęskniła za domem, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło.

- Wszystko będzie dobrze - pośpieszył z zapewnieniem Harry. - Dzieci są bardziej odporne, niż się nam wydaje. Gdy ja szedłem do szkoły, matka też miała oczy czerwone jak królik, podczas gdy ja ani przez moment nie zatęskniłem za domem, tak byłem zajęty penetrowaniem nowego świata, jaki stanowiła dla mnie szkoła. Ty też będziesz się snuła po RussMore ze zbolaną miną. Swoją drogą, ten dom doskonale się do tego nadaje. A gdzie jest

St. Mary's? Szkoły dla dziewcząt to nie moja specjalność.

- Na granicy Esseksu i Suffolk, mniej więcej dwie godziny jazdy od domu. Będę mogła zabierać ją na weekendy. Richard mówił, że wszystkie dziewczynki z rodziny Farringtonów kończyły tę szkołę.

- Moja matka pewnie też. Odeszła od katolicyzmu, wychodząc za ojca. Jemu katolicyzm niezbyt odpowiadał, więc zostaliśmy wychowani w wierze anglikańskiej, cokolwiek to może oznaczać. Ja osobiście nie zawracam sobie tym specjalnie głowy. Zresztą zapytam matkę. Wiesz, mam znakomity pomysł.

Christina musiała się uśmiechnąć.

- Ty zawsze masz znakomite pomysły. Jaki tym razem?

- Wpadnij do nas do Norfolk na parę dni, gdy już odwieziesz Belindę do szkoły. Wszystkich nas to ucieszy, a mama tak cię weźmie w obroty, że nie będziesz miała czasu nawet pomyśleć o Belindzie. Och zgódź się, proszę. Wracając sama do RussMore, będziesz się tylko zamartwiała, jak Belinda sobie radzi, i rozmyślała o tym okropnym procesie. Proszę, powiedz, że przyjedziesz.

- Bardzo bym chciała - przyznała Christina - o ile oczywiście Jane nie będzie miała nic przeciwko temu. Nienawidzę myśli, że miałabym wracać bez Belindy. Kilka dni spędzonych u was byłoby czymś wspaniałym. Potem zaczniesz się całe to zamieszanie z rozprawą wstępną i będę bardzo zajęta. Rolf Wallberg ma przyjechać, żeby zebrać zeznania od Manningów i lekarza na temat stanu umysłowego Richarda w chwili zmiany testamentu. Argument o wywieraniu nacisku jest raczej nie do obrony, ale Alan będzie próbował wszystkiego. Boże, czasami wprost nie mogę uwierzyć, że to nie jakiś koszmarny sen, tylko rzeczywistość.

- Wcale ci się nie dziwię - odparł Harry, a potem dodał od niechcienia, jakby ta myśl przyszła mu do głowy dopiero teraz: - A jak szlachetny Szwed wytłumaczył swoje zniknięcie? Czy też może nie pytałaś go o to?

- Nie, nie pytałam. Kiedy powiedział, że rękopis zaginął, wszystko inne straciło znaczenie. Zresztą Rolf był bardzo przejęty. Musiałam go przekonywać, że to przecież nie jego wina. Harry, dlaczego nie mówisz o nim inaczej, tylko „szlachetny Szwed”?

Harry uśmiechnął się szeroko.

- Żeby go ośmieszyć. To jedyny skuteczny sposób. Kiedyś taki jeden gamoń zabiegał o względy mojej drogiej małżonki. Tak sobie z niego pokpiwałem, że nie mogła się z nim spotkać, żeby nie zaśmiać mu się w twarz. Właściwie tak samo powinienem był potraktować mojego drogiego współnika. No, mniejsza z tym. Gdyby nie on, znalazłaby sobie kogoś innego. Ja ją po prostu znudziłem.

- Nie musisz naśmiewać się z Wallberga - sprzeciwiła się Christina. - Przecież nawet go nie znasz.

- Nie znam, ale ty bardzo dużo mówisz na jego temat, zapewniając przy tym, że oczywiście bardzo go nie lubisz. Jakoś podejrzanie często do tego wracasz, tak że jestem zazdrosny.

Christina roześmiała się.

- Nie mów głupstw. O kogo miałbyś być zazdrosny?

- O szlachetnego Szweda - odparł. - Tajemniczy nieznajomy z mroźnej północy. Nie wiesz, że jestem w tobie do szaleństwa zakochany? Zawsze starałem się ośmieszać swoich rywali.

- Jesteś po prostu niezdolny - zaśmiała się Christina - ale udało ci się mnie rozbawić i bardzo ci dziękuję za dzisiejszy wieczór.

Harry zrobił smutną minę.

- Nie traktujesz mnie poważnie, prawda? Uważasz, że jestem błaznem. Całe moje życie było takie. Moja droga żona twierdziła, że wyszła za mnie, bo byłem bardzo zabawny, ale potem żarty się skończyły. Poproszę o rachunek. Wyglądasz na zmęczoną. A więc przyjeżdżasz do nas, to już ustaliliśmy. Żadnych telefonów odwołujących wizytę.

- Nie będzie żadnych telefonów. Już się cieszę na pobyt u was.

Harry odwiózł ją do londyńskiego mieszkania i wszedł za nią na schody.

- Dobranoc, Harry - powiedziała miękko Christina.

- Zaczekam, aż znajdziesz się w środku - nalegał. - Mógłby cię przecież zaatakować jakiś krokodyl. Dobranoc, Christa, do zobaczenia za tydzień. Zadzwoń do ciebie jeszcze, ale naprawdę nie będzie żadnego problemu. Uważaj na siebie.

Pocałował ją lekko w policzek. Pod wpływem impulsu odpowiedziała mu pocałunkiem. Gdy otwierała drzwi, światło na klatce schodowej zgasło, więc nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy.

7.

Ruben Stone przyjacielskim gestem położył rękę na ramieniu Wallberga.

- Naprawdę nie musisz zostawać, mój chłopcze. Twój czas u nas dobiegł końca, wiesz o tym dobrze. Czy nie powinieneś wrócić do Szwecji i zająć się własną praktyką?

- Zapowiedziałem, że wyjeżdżam na roczny urlop - odparł Rolf - więc nie spodziewają się mnie jeszcze z powrotem. A poza tym - przelotnie popatrzył na Rubena - myślę o przeniesieniu się na stałe do Anglii.

- Naprawdę? - Ton Rubena nie uległ zmianie. - To poważna decyzja. Czy przemyślałeś ją, czy też działasz spontanicznie? Musiałbyś złożyć angielskie egzaminy. Ja nie mógłbym zaoferować ci stanowiska w mojej kancelarii. Mam nadzieję, że nie liczyłeś na to.

- Nie. Jeśli zostanę, otworzę własną kancelarię - odparł Rolf. - Chciałbym natomiast uczestniczyć do końca w sprawie Farringtonów. Spodziewam się, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- Nawet nie mógłbym, skoro już tyle uczyniłeś w tej sprawie i tyle ci mamy do zawdzięczenia - powiedział Ruben spokojnie. - Bo o to właśnie ci chodzi, prawda?

- Tak, o to chciałem prosić - odparł Wallberg. - Oczywiście nie mam prawa nalegać, ale chciałbym zostać.

Stary prawnik skinął głową. Jego dobroduszne zachowanie nie zwiódło Rolfa. Wiedział, że od tej pory ich wzajemne stosunki ulegną całkowitej zmianie.

- To żaden problem - mówił dalej Ruben - naprawdę żaden problem. W ten sposób lepiej poznasz angielski system prawny, co będzie z korzyścią dla ciebie, jeśli zdecydujesz się otworzyć praktykę w Anglii.

- W głosie Rubena brzmiało teraz autentyczne zainteresowanie. - Na początek możesz mieć sporą szwedzką klientelę. Mamy tu niemało firm i spółek należących do Szwedów, którzy często korzystają z usług własnych prawników. Jeśli tylko będę mógł polecić ci jakąś sprawę, będę zachwycony. A teraz idź przygotować się do rozegrania batalii z panem Farringtonem. Tę bitwę musimy wygrać.

Otworzył drzwi przed Rolfem. Przez moment żaden z mężczyzn nie poruszył się. Ruben spoglądał w lodowate niebieskie oczy, starając się zamaskować swoje prawdziwe uczucia.

- Będę szczęśliwy, mogąc ci pomóc - powiedział wreszcie.

- Miło mi to słyszeć. Dziękuję panu, panie Stone.

Rolf opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi. Ruben usiadł z powrotem za biurkiem.

Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie stare powiedzenie: „Kto chce wieczerzać z diabłem...”

- ...musi mieć długą łyżkę - dokończył na głos. - Jakie to prawdziwe, jakie prawdziwe - szepnął do siebie.

*

- Sam teraz widzisz - mówił Alan opryskliwie. - Czy można się było spodziewać czegoś innego po tym cholernym Nowym Jorku?

Usłyszana od Jamesa nowina wytrąciła go z równowagi. Zaatakowany we własnym mieszkaniu. Alan wciąż widział w Jamesie młodszego brata. Kiedy byli dziećmi, w szkole zawsze stawał w jego obronie. Tylko on miał prawo go tyranizować, nikt obcy.

- Nic mi się nie stało - pośpieszył z zapewnieniem James. - Po prostu solidnie się wystraszyłem. Ostatnio wydarzyło się tu kilka brutalnych morderstw na tle seksualnym. Ofiary - przede wszystkim mężczyźni - były torturowane.

Nie wspominał, że ofiarami byli homoseksualiści. Alan był nieodrodnym synem swojego ojca. Jeśli coś mu nie odpowiadało, po prostu tego nie uznawał. James mówił dalej:

- Na szczęście nie sprowokowałem napastnika, więc nie wyrządził mi krzywdy. Ale mam zamiar wynieść się stąd, gdy tylko znajdę inne mieszkanie. Straciłem zaufanie do tego miejsca i już nie potrafię czuć się tu bezpiecznie.

- Słuchaj, a może byś tak przyjechał do Anglii? - zaproponował Alan. Był wstrząśnięty tym, co usłyszał. Potwierdzało to tylko niechęć, jaką żywił do Ameryki i Amerykanów. - Możesz zatrzymać się u nas, jeśli chcesz.

James poczuł się wzruszony tą nagłą troską. Byli braćmi i Alan kochał go na swój sposób. James nigdy nie potrafił oprzeć się bratu, gdy ten był dla niego miły.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu Fay - powiedział, zdając sobie sprawę, że jego obecność nie byłaby miłą bratowej. - Ale dzięki za zaproszenie. Może faktycznie wybiorę się na krótko do Anglii. Zatrzymam się w hotelu. Bardzo chciałbym cię zobaczyć. Czy wielki dzień w sądzie został już wyznaczony?

- Mam nadzieję, że uda nam się uzyskać termin w przyszłym tygodniu. Chciałbym, abyś był tego świadkiem. I nie martw się, że mógłbyś stracić swój legat. Kiedy wygram, otrzymasz Langley.

Kiedy wygram. Ta pewność wygranej nie uszła uwagi Jamesa. Alan zawsze był pewny siebie, ale tym razem Jamesowi wydawało się, że w zachowaniu brata kryje się coś więcej niż zwykła brawura. Ciekawość dręczyła Jamesa niczym ćmiący ząb. Co takiego wiedział Alan, że czyniło go to tak pewnym sukcesu?

- Ja także chciałbym być świadkiem twojego zwycięstwa. Jesteśmy rodziną i

powinniśmy trzymać ze sobą. Wiesz, co ci powiem? Jak już będziesz znał dokładny termin, zadzwoń do mnie, a załatwię sobie urlop. Właściwie powinienem jechać do Connecticut, ale zamiast tego przyjadę do domu.

- Gdybyś miał trochę zdrowego rozsądku, wróciłbyś na stałe - powiedział Alan opryskliwie. - Ale o tym jeszcze porozmawiamy. Jak tylko będę znał termin sprawy, zaraz do ciebie zadzwonię. I nie otwieraj nikomu obcemu. Cześć.

Podczas tej rozmowy do pokoju weszła Fay.

- To był James - powiedział Alan żonie. - Jakiś łajdak napadł na niego.

- To okropne - odparła. - Czy go zranił?

- Nie. Na szczęście James nie usiłował odgrywać bohatera.

- Tak jakby był do tego zdolny! - prychnęła Fay pogardliwie. W przeciwieństwie do Alana doskonale zdawała sobie sprawę z seksualnej orientacji Jamesa.

Ostatnia uwaga żony zirytowała Alana.

- Nie bądź taka wredna - powiedział ostro. - Przecież mogli go zabić. W końcu to jest mój brat.

Fay nie pozostała mu dłużna.

- Tak jakbym o tym nie wiedziała. Nigdy go nie lubiłam ani nie miałam do niego zaufania i nie zamierzam zmieniać zdania o nim tylko dlatego, że ktoś zaatakował go nożem. Sam mówisz, że wyszedł z tego bez szwanku, więc o co chodzi?

Fay potrafiła być agresywna i wojownicza i Alan właściwie podziwiał ją za to, że ma odwagę mu się przeciwstawić.

- O nic nie chodzi - odparował. - Po prostu nie bądź taka wredna w stosunku do Jamesa. Zaprosiłem go do nas. - Dostrzegając grymas niechęci na ładnej twarzy żony, dodał: - James odmówił. Wie dobrze, że go nie lubisz. Ale ma zamiar przyjechać na sprawę.

Fay wzruszyła ramionami. Czowała, że Alan ustępuje, i to ją usatysfakcjonowało.

- W takim razie w porządku. Czy masz zamiar wyprowadzić samochód, czy też będziemy tu tkwili, kłócąc się o Jamesa tak długo, aż się spóźnimy?

Alan popatrzył na nią gniewnie.

- Mam zamiar wyprowadzić samochód - powiedział. Wychodząc, mocno trzasnął drzwiami.

Fay z uwagą studiowała w lustrze swój wygląd. Fryzura bez zarzutu, makijaż bez zarzutu, nowe kolczyki z szafirów rozsiewają tęcze błyski przy każdym ruchu głowy. Alan jest taki hojny. Nie powinna była go drażnić, ale jej nienawiść do tego lizusa Jamesa jest silniejsza. Nigdy nie wierzyła w jego lojalność. „On jest moim bratem”. Jakże często Alan

używał tego jako argumentu, tak jakby sam fakt pokrewieństwa miał dawać Jamesowi jakieś cholerne przywileje i stawiać go ponad wszelką krytykę. Cały problem tkwił w tym, że Alan ciągle potrzebował brata. Ona sama i dzieci nie do końca zaspokajali emocjonalną pustkę w jego życiu. Pozostałą lukę mógł wypełnić tylko James.

Usłyszała długi, niecierpliwy klakson i wyszła przed dom. Alan wychylił się ze swojego fotela, żeby otworzyć drzwi od wewnątrz. Nie należał do mężczyzn, którzy przytrzymują drzwi przed kobietą albo niosą jej walizki; zresztą Fay wcale tego od niego nie oczekiwała. Zawsze była niezależna. Gdy samochód ruszył, odezwała się:

- Bardzo mi się podobają moje nowe kolczyki i będę miła dla Jamesa. W porządku?

Alan skinął głową, najwyraźniej odprężony.

- W porządku. - Nienawidził kłócić się z Fay. - Myślę, że dziś wieczorem czeka nas świetna zabawa.

Wybierali się do Quaglino, gdzie umówili się na kolację z przyjaciółmi - bogatą parą małżeńską - których dzieci chodziły do tej samej ekskluzywnej szkoły, co mali Farringtonowie. Ona miała ptasi mózdzek i na grubiańskie uwagi Alana reagowała chichotem, zupełnie jakby brała je za komplementy. Na swój sposób Alan nawet ją lubił, gdyż stanowiła odpowiednie tło dla Fay. Lubił też jej męża, który na handlu nieruchomościami dorobił się jeszcze większej fortuny niż on sam na sieci barów szybkiej obsługi.

Jak zwykle zjedzą najpierw wystawny posiłek z najlepszymi trunkami, po kolacji zaś panowie przystąpią do omawiania interesów, podczas gdy żony zajmą się plotkami na temat dzieci i spraw domowych. Zerknął na Fay. W nowych kolczykach było jej bardzo do twarzy. Niebieski kolor harmonizował z jej urodą, a szafiry zdawały się kamieniami stworzonymi specjalnie dla niej. Właściwie mógłby kupić jej jeszcze broszkę do kompletu. Byłby to prezent na Boże Narodzenie i dla uczczenia wygranego procesu.

*

- Pani Manning - zaczął Rolf Wallberg - jeśli pani pozwoli, zacznę od pani. A później porozmawiam z panem, panie Manning, o ile będzie miał pan coś do dodania.

Gospodyni złożyła ręce na kolanach, a jej mąż skinął głową. Wydawało mu się to raczej dziwne, że prawnik przyjechał przesłuchać ich pod nieobecność pani Farrington. Zaledwie kilka dni temu pożegnali się z Belindą odjeżdżającą do szkoły, a w dwa dni później zadzwonił ten Wallberg, mówiąc, że chciałby się z nimi spotkać. Pani Manning skierowała go najpierw do Spannierów, gdzie przebywała pani Farrington. Otrzymawszy zgodę pani na rozmowę, czekali teraz na niego, pełni ciekawości. Mieli złożyć pod przysięgą zeznania, które zostaną spisane i odczytane w sądzie.

- Musimy zachować wielką ostrożność, Joy - ostrzegał żonę Manning. - Nie mów nic, zanim sobie wszystkiego dobrze nie przemyślisz. Prawnicy potrafią być sprytni.

- Ale przecież ten jest po jej stronie - zwróciła mu uwagę żona.

- Nic nie szkodzi. Ja tam będę uważał, co mówię - upierał się.

- Ja również. Niczego ode mnie nie wyciągnie.

Prawnik zatrzymał się w lokalnym zajeździe i Manningowie odetchnęli z ulgą. Woleli nie podejmować w domu nikogo obcego pod nieobecność pani Farrington.

Salonik Manningów umeblowany był dostatnio i ze smakiem, co nie uszło uwagi Rolfa. Najwyraźniej gospodarzom dobrze się powodziło w RussMore. Na ich twarzach malowała się podejrzliwość, jakby się obawiali, że Rolf zamierza wpędzić ich w jakąś pułapkę i zmusić do powiedzenia czegoś, co mogłoby zagrozić ich pozycji w tym domu. Rolf pomyślał, że przede wszystkim musi zdobyć zaufanie kobiety, gdyż zdawała się odgrywać ważniejszą rolę w tym stadle.

- Zanim przystąpię do konkretnych pytań, chciałbym najpierw wyjaśnić zaistniałą sytuację. Otóż pasierb pani Farrington utrzymuje, że pani Farrington użyła swojego wpływu na męża, aby zmienił testament, kiedy był już bardzo chory i niezdolny do właściwej oceny swojego postępowania.

Pani Manning zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

- Ależ to bzdura! To wcale nie było tak.

Rolf uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że to wcale nie było tak, i to właśnie pragnę od was usłyszeć. Ale zacznijmy od kilku pytań ogólnych. Od jak dawna pracujecie w RussMore?

- Od dobrych dwunastu lat. Przyszliśmy tu w zimie, prawda, George? To było chyba w 1983 roku. Tak, w osiemdziesiątym trzecim. Pamiętam, że to było zimą, bo obawiałam się, że dom może się okazać nie dogrzany, jak to najczęściej bywa z dużymi domami. Nie lubię zimna, nie potrafię wtedy pracować.

- Zakładam, że przed panią była tu inna gospodyni.

- O tak, pani Warren. Służyła w RussMore przez całe lata. Potem odeszła i my przyszliśmy na jej miejsce.

- Czy było to już po ślubie pana Farringtona?

Gospodyni wyraźnie się odprężyła, wkraczając na tak bezpieczny grunt.

- Tak, prawie zaraz. Kobiety, które przychodziły do sprzątania, mówiły, że pani Warren rządziła po swojemu, bo pierwsza pani Farrington była chora i ciągle przebywała w jakiejś klinice. A potem nowa pani zaczęła wprowadzać nowe porządki i pani Warren nie

spodobało się to. Zaczęły się niesnaski, no i pan ją zwolnił.

- Pan Farrington, a nie pani Farrington?

- O nie. Sprawami personelu zajmował się wyłącznie pan. Kiedy my zgłosiliśmy się do pracy, to też on nas przyjmował. Owszem, pani była obecna przy rozmowie, ale tylko tyle. Taka młodziutka! Nawet pamiętam, jak powiedziałam do George'a, że ta sytuacja chyba ją trochę przerasta. We wszystkim zdawała się na męża.

Następne pytanie Rolf zadał raczej z ciekawości, gdyż nie sądził, aby odpowiedź mogła okazać się ważna.

- A jaki właściwie był pan Farrington?

Odpowiedź okazała się bardzo ważna.

- O, pan był bardzo zasadniczy. Zawsze dokładnie wiedział, czego chce. Nie uznawał żadnego owijania w bawełnę, żadnego kręcenia. Wynagrodzenie, warunki, zakres obowiązków, wszystko było jasne od początku do końca. Proponowane warunki były bardzo dobre, więc przyjęliśmy tę pracę. To on jednak był naszym pracodawcą, a nie ta młoda dziewczyna. Oczywiście ona z czasem też nabrała pewności siebie, zwłaszcza po urodzeniu Belindy. Bardzo przyjemnie się u niej pracowało. Zawsze była grzeczna i uważająca i nie wprowadzała zbyt wielu zmian. „Chcę, aby pan Farrington był zadowolony” - powtarzała często. Nie zaczęła od przemeblowania całego domu, jak to często robią drugie żony. Odczekała rok czy dwa, a potem zawsze pytała pana o pozwolenie, jeśli chciała coś zmienić.

- Czy określiłaby pani to małżeństwo jako szczęśliwe? Proszę się nie obawiać. Jeśli pani nie zechce, ten fragment nie zostanie włączony do zeznań.

Gospodyni nie wahała się ani przez chwilę.

- Tak, panie Wallberg. To było chyba najszcześniejsze małżeństwo, jakie widziałam, a całe swoje życie pracowałam u par małżeńskich. Pan uwielbiał zarówno żonę, jak i Belinę. Czasami potrafił być twardy, zwłaszcza dla synów, ale pani Farrington w jego przekonaniu uchodziła za doskonałość.

- To istotnie wygląda na idealne małżeństwo - zauważył Rolf. W myślach układał już słowa zeznania. Świetnie mógł sobie wyobrazić panią Manning na ławie świadków, poddaną krzyżowemu ogniowi pytań.

- Powiedziała pani, że pan Farrington czasami potrafił być twardy dla swoich synów - podjął po krótkiej przerwie. - W jaki sposób się to objawiało?

Twarz pani Manning wydłużyła się.

- Nie rozumieli się nawzajem - powiedziała. - Z Alana zawsze było dobre ziółko; nie potrafię tego inaczej wyrazić. Wyprowadził się z domu wkrótce po tym, jak my tu nastaliśmy,

tak że tylko powtarzam, co słyszałam od służby. Żadne z nas go nie lubiło.

- Tak, nie lubiliśmy go - dodał jej mąż. - Miał dwadzieścia lat, a zachowywał się jak rozpuszczony czternastolatek. Ten drugi chłopak, James, nie był zły.

- Czasami było mi go nawet żal - przyznała pani Manning. - Jakoś nie potrafił dogadać się z ojcem. Wyprowadził się w niedługi czas po Alanie.

- Następne pytanie będzie może trudne, ale byłbym wdzięczny za odpowiedź. Jak układały się stosunki pani Farrington z pasierbami? Jak się do nich odnosiła?

- Nie miała z nimi żadnego kontaktu - oświadczyła pani Manning zdecydowanie. - Początkowo próbowała, ale Alan z miejsca zaczął traktować ją tak grubiańsko, że się wycofała, zostawiając całą sprawę mężowi. Zresztą po ślubie ojca młodzi panowie mieszkali tu zaledwie kilka miesięcy. Odetchnęłam z ulgą, gdy się wyprowadzili. Atmosfera w domu od razu zrobiła się inna.

- A kiedy pan Farrington zachorował - pytał dalej Rolf - kiedy już był umierający? Czy wówczas pani Farrington przejęła nad wszystkim kontrolę?

- Całą swoją uwagę poświęciła wówczas mężowi - brzmiała odpowiedź. - Pan miał pielęgniarki, ale ona nie opuściła go ani na jeden dzień. Zresztą pan zawsze pytał o nią. Ale to on rządził wszystkim aż do samej śmierci. Posłał po nas oboje i po Boba Thorna, naszego zarządcę, i polecił nam, żebyśmy się opiekowali panią Farrington, gdy jego już zabraknie. Umysł miał zupełnie jasny. Umarł w dwa dni później.

Rolf pokiwał głową i zapisał coś w notesie.

- Zostawił wam legat, prawda? Pięć tysięcy funtów.

Pani Manning westchnęła głęboko.

- To był bardzo szczodry gest, ale nie dlatego mówię to wszystko.

- Wiem - odparł Rolf. - W gruncie rzeczy ten legat świadczy na waszą korzyść. Pan Farrington nie zostawiłby wam żadnych pieniędzy, gdyby uznał, że na nie nie zasługujecie; to nie był człowiek naiwny. Panie Manning, czy ma pan coś do dodania do zeznań żony?

- Niewiele. Ja zajmowałem się głównie konserwacją i bieżącymi naprawami, tak że nie miałem wiele do czynienia z panią Farrington. Z nim więcej. Ale zgadzam się z tym, co powiedziała Joy. Pani nigdy nie udałoby się namówić pana, żeby zrobił coś, na co nie miałby ochoty. Zresztą pani też nie była z tych, które by próbowały. Synowie to co innego, o, ci potrafili być zachłanni. Pamiętam, jak Alan powiedział kiedyś do brata: „Jak stary wykituje, sprzedam wszystko, co on lubił. Zupełnie przeobrażę to miejsce, żeby nic nie przypominało mi o nim”. Byłem oburzony.

Rolf zapisał coś pośpiesznie i zamknął notes.

- Dziękuję za pomoc i za to, że zechcieliście mi poświęcić tyle czasu. Przepiszę wasze zeznania na czysto. Po przeczytaniu będziecie mogli jeszcze coś w nich zmienić, jeśli zechcecie. Chciałbym też porozmawiać z zarządcą. Zatrzymam się na kilka dni Pod Koroną. Czy moglibyście poprosić Thorna, żeby się ze mną skontaktował?

- Zrobię to - zaoferował się George Manning. - Będę się z nim widział jeszcze dziś po południu, bo dach nad garażem wymaga częściowej wymiany. Powiem mu, żeby do pana zadzwonił.

Rolf pożegnał się i wyszedł. Na dworze wiał przenikliwy wiatr. Ciężkie chmury zalegały nisko nad horyzontem. Taki widok zawsze przyprawiał go o depresję. Mocniej otulił się kurtką i wszedł do samochodu. Manningowie udzielili dokładnie takich informacji, jakie były mu potrzebne. Tak dobry adwokat jak Ken Hubert z pewnością zrobi z nich użytek, kreśląc przekonujący obraz młodej Szwedki, którą los przywiódł do tej obcej, tak bardzo nienawidzącej się wzajemnie rodziny. Wizerunek Richarda Farringtona rysował mu się coraz wyraźniej: despotyczny, bezwzględny, trudny we współżyciu. Z drugiej jednak strony mocno zakochany w swojej młodej żonie i troszczący się o nią do tego stopnia, że na łożu śmierci polecił ją opiece służby. Teraz Alan i jego prawnicy mogą sobie próbować udowadniać wywieranie nacisku przy sporządzaniu testamentu.

*

Stojąca przy głównym trakcie do Londynu gospoda Pod Koroną stanowiła pierwotnie zajazd dla dylizansów. Z początkiem ubiegłego stulecia znacznie podupadła i funkcjonowała głównie jako pub odwiedzany przez pracowników okolicznych farm. Po ostatniej wojnie kupił ją właściciel wielkiego browaru i wykorzystując okoliczność, że nie trzeba było specjalnie zabiegać o pozwolenie na rozbudowę, zmodernizował stary budynek, dodając nowe pokoje z łazienkami. Obecnie gospoda dysponowała dziesięcioma pokojami i nastawiona była głównie na miejscowy ruch turystyczny. Angielscy urlopowicze, ograniczeni przepisami walutowymi, coraz częściej spędzali wakacje w kraju, odkrywając uroki malowniczych wiosek i angielskich wielkich katedr.

Rolfowi spodobał się ten staroświecki zajazd. Jego pokój znajdował się w starej części budynku. Niski sufit podtrzymywany przez masywne belki mógł stanowić pewne zagrożenie dla kogoś tak wysokiego jak on. Jednak miejsce to miało swoją niepowtarzalną atmosferę. Łóżko - imitacja dębowego łoża z epoki Tudorów - było twarde i niewygodne, brakowało porządnego światła do czytania, a niewielka lampka ze szkaradnym abażurem z różowego nylonu, umieszczona przy łóżku, była stanowczo niewystarczająca. Łazienka okazała się mała i ciasna, gorąca woda zaś absolutnie nie odpowiadała europejskim standardom. Brakowało też

prysznic. Ale nawet te niewygody miały swój urok jako część zupełnie nowego doświadczenia. Rolf poprosił o dodatkowe światło. Przyniesiono mu lampkę, którą - jak podejrzewał - zabrano z biura. Gospodarze wiedzieli, że jest prawnikiem pani Farrington, i to spowodowało, że cieszył się ich specjalnymi względami.

Wykąpał się w wąskiej wannie, namydlając się pośpiesznie w letniej wodzie, po czym przebrał się w mniej oficjalny strój. Humfrey ostrzegał go, jak może funkcjonować centralne ogrzewanie w starym angielskim zajeździe, więc zabrał ze sobą grube koszule i swetry. Zapakował też garnitur, na wypadek gdyby tego wymagano w sali restauracyjnej. Na szczęście Pod Koroną nie obowiązywał strój wieczorowy, więc włożył sweter i zaczął wstępnie spisywać zeznania Manningów.

Z zarządcą RussMore spędził półtorej godziny. Bob Thorn, inteligentny i wykształcony mężczyzna po trzydziestce, okazał się bezpośredni i rzeczowy. Nalegał, że oprowadzi Rolfa po całej posiadłości. Wielkość terenów należących do RussMore wprawiła Szweda w zdumienie. Dopiero teraz suche liczby określające areał, znane mu oczywiście już wcześniej, nabrały właściwego wymiaru. Bob Thorn oprowadził go po farmach i lesie, pokazał warsztaty, tartaki i zabudowania gospodarcze, wypełnione najrozmaitszymi maszynami rolniczymi. Zarządzanie tak wielką posiadłością oznaczało pracę pochłaniającą ogromną ilość czasu, a efekty finansowe były tak samo niepewne, jak w wypadku fabryki, przy czym oprócz innych okoliczności należało jeszcze brać pod uwagę kaprysy pogody. „Wszystko zależy od tej cholerniej pogody - powiedział Bob Thorn. - Jedno mokre lato i może pan stracić całe żniwa. Nieważne, jak dobrze potrafi człowiek zarządzać i na ile wszystko jest zmechanizowane, zawsze trzeba jeszcze liczyć się z pogodą”.

Kiedy wrócili do domu zarządcy na herbatę, Rolf cieszył się już pełnym zaufaniem Boba Thorna, który udzielił mu mniej więcej takich samych odpowiedzi, jak Manningowie.

Pani Farrington była bardzo miła. Nigdy nie wtrącała się do prowadzenia posiadłości, szefem był tylko i wyłącznie pan Farrington. Poprzedni zarządca został zwolniony osiem lat temu, za to, że podniósł czynsz dzierżawny w dwóch farmach. Uprzednio wspominał wprawdzie o takim zamiarze, ale nie poczekał, aż Richard Farrington wyrazi zgodę.

Thorn lubił Farringtona, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na żadną samowolę.

- Miałem dla niego wielki szacunek - mówił zarządca, podczas gdy jego żona dolewała Rolfowi herbaty. Rolf nienawidził tego napoju, jednak przyjął filiżankę z uśmiechem. - Znał swoją posiadłość, a nie tak jak inni, co to kupują ziemię dla większego prestiżu, a potem zostawiają wolną rękę firmom zarządzającym. Skończył rolnictwo w college'u i znał się na gospodarce lepiej niż niejeden z okolicznych farmerów. Nigdy nie

miałem nic przeciwko temu, żeby przyjmować od niego rozkazy. Proszę mnie dobrze zrozumieć, pan Farrington wydawał właśnie rozkazy.

Thorn zapewnił też, że Richard Farrington był absolutnie przy zdrowych zmysłach aż do samej śmierci. Bez względu na to, jak się czuł danego dnia i czy bardzo dokuczał mu ból, zawsze omawiał z Thornem każde posunięcie.

Zarządca zawahał się przez chwilę, najwyraźniej ważąc jakiś szczegół.

- Powiedział mi w absolutnym zaufaniu, że zapisał RussMore Belindzie. Chciał, abym mu przyrzekł, że zostanę i będę pomagał pani Farrington. „Mam do ciebie zaufanie, Bob - mówił. - Nikt inny nie wie, że pragnę, aby Belinda tu dorastała, aby RussMore stało się jej domem. Czy zadbasz o to, aby wszystko ułożyło się pomyślnie, zanim zdecydujesz się stąd odejść?” A ja mu na to odpowiedziałem: „Nie wyobrażam sobie nawet, że mógłbym stąd odejść. Zadbam o wszystko i pomogę pańskiej żonie zrozumieć, na czym polega zarządzanie farmą. Może pan na mnie polegać”. Mówiłem serio. Chętnie złożę zeznanie w sądzie, jeśli pan uważa, że to może pomóc.

- Z pewnością pomoże - zapewnił go Rolf.

W sądzie Thorn byłby bardzo przekonującym świadkiem.

W sumie Rolf spędził bardzo pracowity dzień. Na jutro umówiony był z lekarzem, który obiecał spotkać się z nim w przerwie w przyjmowaniu pacjentów. Wszystko dobrze się układa, pomyślał, przenosząc notatki na komputer. Jutro będzie mógł je przejrzeć, uzupełniając niektóre miejsca czy usuwając mniej istotne szczegóły. Czuł się niezwykle zmęczony; widocznie powietrze Lincolnshire tak na niego podziało. Marzył też o drinku, więc zszedł na dół do baru, gdzie wybrał niewielki stolik w pobliżu kominka, w którym płonął ogień. Potężne rozmiary staroświeckich angielskich palenisk zawsze go fascynowały. Z podziwem przyjrzał się wypolerowanym do połysku końskim uprzężom i pożałował, że przyćmione światło uniemożliwia czytanie.

Zamówił wódkę z lodem. Raz jedyny spróbował letniego angielskiego piwa i postanowił nigdy nie powtarzać tego doświadczenia. Przy barze zebrała się grupka miejscowych farmerów popijających piwo. Było tam też kilka dziewcząt w bardzo krótkich spódnickach, w towarzystwie swoich chłopaków, i wreszcie mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czarny garnitur, olśniewająco białą koszulę i czarny krawat. Mężczyzna zerknął na Rolfa, zamienił kilka słów z barmanką, a potem odwrócił się i zmierzył uważnym spojrzeniem tego cudzoziemca siedzącego przy ogniu i samotnie sączącego drinka. Rolf poczuł na sobie to spojrzenie i podniósł głowę. Ich oczy spotkały się i mężczyzna skinął głową. Rolf odpowiedział mu ukłonem. Mężczyzna podniósł szklankę wypełnioną ciemnym,

gęstym niczym melasa piwem i podszedł do stolika.

- Dobry wieczór - zaczął.
- Dobry wieczór - odparł Rolf. W jego głosie nie było zachęty.
- Zimno na dworze.

Mężczyzna przysunął się do ognia, najwyraźniej nie mając zamiaru odejść. Po krótkiej pauzie dodał:

- Magde mówi, że pan pracuje dla pani Farrington.
- Magde energicznie wycierała szklanki, udając, że nie słucha ich rozmowy.
- Zgadza się.

Tym razem ton Rolfa nie był już taki oschły. Instynkt wyraźnie go ostrzegał. Ten człowiek nie podszedł do ciebie bez powodu. Może kierowała nim ciekawość, ale może nie. Rolf wiedział, jak szybko rozchodzą się plotki w tak niewielkich społecznościach. Jego rozmowa z Manningami, Bobem Thornem w RussMore, a nawet jutrzejsze spotkanie z lekarzem, te wszystkie szczegóły z pewnością znane już były właścicielowi pubu czy rozpływającej się w uprzejmościach barmance, która też nie próżnowała, tylko starała się pociągnąć Rolfa za język. Postanowił zachęcić mężczyznę do mówienia.

- Jestem jej prawnikiem - powiedział.
- Rozumiem. Wyobrażam sobie, że ma pan teraz pełne ręce roboty z uporządkowaniem tego całego bałaganu. Czy mogę przysiąść się na chwilę? Przez cały dzień byłem na nogach.

- Proszę bardzo. A czym się pan zajmował? - zapytał Rolf, wiedząc, że to jego kolej na podtrzymanie rozmowy.

Mężczyzna popatrzył na niego zdziwiony, a potem uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- No tak, pan jest cudzoziemcem, sir? - Magiczne słowo „prawnik” sprawiło, że zaczął dodawać owo „sir”. - Prowadziłem pogrzeb starej lady koło Winching. Bardzo okazały pogrzeb. Staruszka dożyła pięknego wieku. Zmarła, mając osiemdziesiąt osiem lat. Zjechało się mnóstwo rodziny. Teraz wracam do domu i zatrzymałem się tu na jednego. Nawet nie miałem czasu się przebrać. - Odkasznął znacząco. - Ten mój żałobny garnitur trochę odstrasza ludzi, nawet jeśli mnie znają. Jestem przedsiębiorcą budowlanym. Zajmuję się też pogrzebami, ale moje główne zajęcie to budownictwo. Robiłem w RussMore wszystkie reperacje, z którymi sami nie dawali sobie rady.

Rolf wiedział, że instynkt go nie zawiódł.

- Proszę pozwolić, że zamówię dla pana jeszcze jedno piwo.

Przedsiębiorca uśmiechnął się szeroko.

- Real ale. Poproszę tylko pół kwarty. Mam jeszcze do pokonania piętnaście mil. Dziękuję bardzo.

Rolf przyniósł z baru niewielki kufel i usiadł z powrotem przy stoliku.

- Powiedział pan, że będę miał sporo bałaganu do uporządkowania - zauważył. - Myślę, że w takiej wiosce trudno jest utrzymać coś w tajemnicy - dodał przyjacielskim tonem. - Nazywam się Wallberg, Rolf Wallberg.

- Mick Garrett. Miło mi pana poznać. Jest dokładnie tak, jak pan powiedział. W takiej wiosce nie da się utrzymać sekretu. Zawsze ktoś coś usłyszy. Niekoniecznie prawdę, ale już tam człowiek swoje wie, czy coś jest prawdą, czy nie. Podobno synowie zmarłego wytaczają proces pani Farrington?

- Jeden z synów, ten starszy.

Garrett wypił trochę ale i skrzywił się, lecz bynajmniej nie z powodu smaku piwa.

- O tak, ten byłby do tego zdolny. - Pociągnął kolejny łyk. - Ludzie mówią, że chce odebrać RussMore pani Farrington.

- To się zgadza - przytaknął Rolf. - Zna go pan?

- Ja? No nie, tak bym tego nie nazwał. Widywałem go czasami, kiedy wykonywałem tam jakieś prace. Był wtedy chłopcem, paskudnym małym łobuziakiem, który nigdy z nikim grzecznie nie porozmawiał. Ale skoro z jego matką były takie problemy, może to go jakoś tłumaczy.

Rzeczywiście w takiej wiosce nic się nie ukryje, pomyślał Rolf.

- Ale pana Farringtona pan znał, skoro pracował pan u niego.

- O tak. Chociaż polecenia głównie wydawał mi zarządca. Farrington był dżentelmenem w każdym calu i nigdy się zbytnio nie spoufalał. Prawdziwy pan na włościach - zachichotał. - No i skończyło się panowanie. Nie pomogło nawet, że Farringtonowie mieszkali tu, zanim jeszcze powstała ta wioska. W RussMore zawsze byli jacyś Farringtonowie. Stary i syn bez przerwy darli ze sobą koty. Wszyscy o tym wiedzieli. Dlatego tak mnie to zdumiało.

Dokończył swoje piwo.

Rolf zapytał spokojnie:

- Co pana tak zdumiało?

Garrett zawahał się. Teraz właśnie zbliżał się ów kulminacyjny moment, z powodu którego zagadnął tego cudzoziemca, będącego doradcą prawnym pani Farrington. Nie miał bynajmniej zamiaru potęgować efektu dramatycznego swojego opowiadania, po prostu odczuwał pewną niechęć do wyrzucenia z siebie tego, co leżało mu na sercu; zresztą obawiał

się, że prawnik może mu nie uwierzyć.

- Co pana tak zdumiało, panie Garrett? - powtórzył Rolf.

Garrett odchrząknął.

- To, że przyszedł zobaczyć swojego ojca w trumnie - powiedział. - Bo to ja chowałem starego Farringtona. Mój ojciec pochował jego ojca i tak dalej. Cztery pokolenia i wszyscy pochowani przez Garrettów. Nigdy nie zwrócili się do tego nowoczesnego przedsiębiorstwa pogrzebowego z Lincolnshire. To już tradycja.

Rolf powiedział głosem pozbawionym emocji.

- Rozumiem. I powiada pan, że Alan Farrington przyszedł zobaczyć ciało swojego ojca przed pogrzebem?

- Zgadza się. Zadzwoił do mnie poprzedniego wieczoru i zapytał, czy mógłby zobaczyć ojca. Zatrzymał się w Lincoln w hotelu. Pan Farrington, to znaczy zmarły, leżał w kaplicy. Mamy taką specjalną kaplicę, gdzie wystawia się zwłoki przed pogrzebem.

- I czy syn widział zwłoki? Rzeczywiście przyjechał i widział ciało ojca?

- O tak, jak najbardziej. Osobiście otwierałem dla niego kaplicę. Oczywiście nie wchodziłem do środka; krewni z reguły wolą być sami w takiej sytuacji. Nie zabawił tam długo, najwyżej kilka minut. Nie zauważyłem, aby był smutny czy przygnębiony; powiedziałbym, że zachowywał się bardzo rzeczowo. „Dziękuję” - powiedział tylko, wsiadł do swojego wielkiego samochodu i odjechał. O ile wiem, przedtem nie pokazywał się tu przez całe lata. Powiedziałem nawet do mojej żony Lily: „No, ten to wcale nie odczuwał żalu”. Na pogrzebie też nie uronił ani jednej łzy. Po prostu stał przy grobie i spoglądał na wszystkich wilkiem. Ani krokiem nie zbliżył się do macochy i do tej małej dziewczynki. W kościele też przy nich nie usiadł.

- Panie Garrett, dlaczego właściwie pan mi to opowiada? W końcu nie ma w tym nic niezwykłego, że syn składa ojcu ostatnie pożegnanie, nawet jeśli za życia nie przepadali za sobą.

- Jest dokładnie tak, jak pan mówi. Ale kiedy odjechał, wszedłem do środka, aby zamknąć trumnę. Było już późno i nie spodziewałem się, aby ktoś jeszcze miał się pojawić. I wtedy właśnie zobaczyłem coś, co mną wstrząsnęło. Z czymś takim nigdy się jeszcze nie zetknąłem, a prowadzę przedsiębiorstwo pogrzebowe już od lat. To było potworne i ten obraz nadal mnie prześladowuje.

Rolf pochylił się ku przedsiębiorcy.

- Proszę mi o tym opowiedzieć, panie Garrett. Proszę mi opowiedzieć, co takiego pan zobaczył.

*

- Nie martw się o Belinę - powiedziała Jane Spannier. - To bardzo rozgarnięta dziewczynka i z pewnością da sobie radę. To bardziej tobie będzie brakowało jej, niż ona odczuje brak ciebie.

Pomyślała przy tym, że Christa wygląda bardzo mizernie i nawet żarty Harry'ego nie zdołały jej rozweselić. Oczywiście po śmierci Richarda przylgnęła do dziecka jeszcze mocniej i właściwie dla Belindy bardzo dobrze się złożyło, że poszła do szkoły. Nic dziwnego, że Christina czuje się tak bardzo związana z córką; w końcu do kogo ma się zwrócić, biedna dziewczyna. Jane rozmawiała na ten temat z Peterem i oboje zgodzili się co do tego. Ale Peter powiedział jeszcze coś, co nurtowało ich już od dłuższego czasu.

- Harry chyba się w niej zakochał. Jestem pewien, że ona nie zdaje sobie z tego sprawy, ale nie chciałbym, aby nasz syn znowu musiał cierpieć. Ten jeden raz był wystarczająco bolesny.

- Nie, nie można do tego dopuścić - zgodziła się Jane. - Myślę, że delikatnie zwrócę jej uwagę.

Od ich rozmowy upłynęły już trzy dni i Jane uznała, że właśnie nadszedł odpowiedni moment. Mężczyźni poszli polować na ptactwo, a ona i Christina spędziły rano, robiąc porządki i plotkując o sprawach domowych; o szkole Belindy, o starszym synu Jane, zaproszonym dzisiaj na kolację, który żywił żal do Harry'ego o powrót do domu i przejęcie firmy.

- Dzieci to ciągły kłopot - zauważyła Jane. - Nigdy nie przestajesz się o nie martwić, bez względu na to, jakie są duże. Myślę, że Harrym przejmuję się więcej niż Tomem, ponieważ Tom jest żonaty, ma rodzinę i wszystko mu się w życiu układa. Harry natomiast jest bardzo impulsywny i mimo tej maski wesołości szalenie: wrażliwy.

- Wiem - zgodziła się Christina. - On jest przemiły. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Tak jak powiedziałaś, okazał się wspaniałym przyjacielem.

Jane podjęła decyzję. Takt nigdy nie był jej najmocniejszą stroną, ale tym razem bardzo się starała.

- Myślę, że kimś więcej niż przyjacielem. Peter uważa, że on jest w tobie zakochany, i mnie się też tak wydaje. Moja droga, proszę cię, nie zwódź go, jeśli wasz związek nie rokuje nadziei na przyszłość.

Christina poczerwieniała gwałtownie.

- Jane, ty chyba nie mówisz poważnie.

- Obawiam się, że tak. Christa, nie miej mi za złe moich słów, ale ty jesteś do tego

stopnia zajęta swoimi problemami, że mogłaś niczego nie zauważyć. Po prostu bądź ostrożna, dobrze?

- Oczywiście, że będę - zapewniła Christina. - Ale wiesz, Jane, jestem wstrząśnięta. Nigdy nie przypuszczałam, że Harry może żywić wobec mnie podobne uczucia. Chociaż mój ojciec także mnie ostrzegał.

O Boże, narobiłam okropnego zamieszania.

Jane zobaczyła z przerażeniem, że oczy Christiny wypełniły się łzami.

- Naprawdę go lubię. Nie zrobiłabym nic, aby go zranić.

- Oczywiście, że nie, i, na litość boską, nie zdradź mu przypadkiem, że ci powiedziałam, bo chyba by mnie zabił. Nie przejmuj się tym tak bardzo, proszę cię, moja droga. Sama czuję się teraz okropnie.

Jane podeszła do Christiny i niezgrabnym ruchem położyła jej rękę na ramieniu. Zawsze czuła się skrępowana, ujawniając swoje uczucia.

- Słyszę, że wrócili - dodała. - Zakręć te swoje krany i weźmy się do przyrządzania drinków. No, chodź już.

Mówiła ze zwykłą sobie szorstkością i to pomogło Christinie wziąć się w garść. „Zakręć te swoje krany”. W tym powiedzonku była cała Jane i Christina musiała się uśmiechnąć.

- Nie martw się, już jest dobrze. Przyniosę lód.

Za chwilę Harry i Peter znaleźli się w kuchni i Harry od razu chciał wiedzieć, czy Christina lubi gołębie, ponieważ ustrzelił dwa. Christina odparła, że nie wie, ponieważ nigdy jeszcze nie jadła gołębia. Harry roześmiał się. Tryskał humorem.

- I nie będziesz musiała, ponieważ na dzisiaj mamy bażanta. Nie mógłbym podać bratu Tomowi jakiegoś nędznego gołębia, bo powiedziałby od razu, że skąpię. Tato, pozwól, że ja naleję dzinu. Nie chciałbym, abyś się upił jeszcze przed lunchem.

Po lunchu Harry szepnął do Christiny:

- Przestań wreszcie suszyć sobie głowę Belindą. Założę się, że jest już za pan brat ze szkołą, a głowę ma pełną nowych figli. Chodź ze mną na spacer.

Zaskoczona Christina usiłowała znaleźć jakąś wymówkę.

- Harry, ja nie mogę. Obiecałam pomóc Jane.

- Mamo - powiedział Harry głośno i z naciskiem - mam, nie będziesz zaganiała Christy do niewolniczej pracy. Christina nie pomoże ci teraz, bo idzie na spacer ze mną, rozumiano? Zobaczymy się na herbacie.

Dzień był chłodny, ale słoneczny. Przed nimi rozciągały się płaskie, rozległe pola

Norfolk, poprzerzynane ścieżkami. Harry szedł wielkimi krokami, z głową lekko pochyloną do przodu i z rękami w kieszeniach.

- Chodźmy tam - powiedział, wskazując na prześwit w głogowym żywopłocie. - Będziemy mieli stamtąd wspaniały widok. To najbardziej lubię w tej części Anglii, podobnie jak w mokradłach Fen. Człowiek mógłby iść przed siebie całymi milami, dopóki nie zleciałby z urwiska wprost do morza. Płakałaś. Co się stało? Myślałaś o Belindzie?

- Nie - odparła Christina krótko.

Harry szedł teraz szybko, wyprzedzając ją o krok na wąskiej ścieżce.

- Tak też pomyślałem, że to nie o nią chodzi. Mam również nadzieję, że to nie sprawka mojej matki. Ona czasami potrafi być bardzo gruboskórna. Potrafi zdenerwować człowieka, choć nie robi tego umyślnie.

- Harry - zaczęła Christina. - Harry, owszem, byłam zdenerwowana, ale to dotyczyło ciebie.

Harry zatrzymał się w pół kroku.

- Mnie? Christa, jak to mnie?

Stali teraz zwrócenii twarzami do siebie.

- Jane powiedziała... Jane powiedziała, że ty jesteś we mnie zakochany, a ona nie chce, abys znowu cierpiał. O mój Boże, błagała mnie, abym ci nic nie mówiła, ale tak mi się teraz wyrwało. Nie jesteś we mnie zakochany, prawda?

Harry lekko przechylił głowę i popatrzył na nią. W jego wzroku malowało się pytanie i pewnego rodzaju ostrożność.

- A jak byś zareagowała, gdybym odpowiedział, że nie?

- Poczulałabym ulgę - odparła Christina natychmiast.

- A gdybym powiedział, że tak? To tylko hipotetyczne pytanie, więc nie musisz się niczego obawiać. Przestań przygryzać wargi, spierzchną ci na tym wietrze.

- Harry - odpowiedziała z nieszczęśliwą miną. - Harry, boję się, że strasznie namieszałam. Nie powinnam była o tym mówić, zresztą Jane także. Ale ona wie, jak bardzo cierpiałeś, gdy rozpadło się twoje małżeństwo. Wie również, że ja nie jestem gotowa na nowy związek.

- Jestem doskonale świadom, że nie jesteś.

Ścieżka, którą szli, rozszerzała się w tym miejscu i Harry ujął Christinę pod ramię.

- Czy gdybym ci powiedział, że cię nie kocham, nie byłabyś przypadkiem odrobinę rozczarowana? Zauważ, że wcale nie twierdzę, że tak jest. Więc jak, byłabyś rozczarowana czy nie?

- Nie - odparła Christina. - Nie byłabym. Bardzo cię lubię, Harry, ale musiałabym być niezwykle próżna i samolubna, żeby traktować cię w ten sposób. Ja też nie chciałabym, żebyś cierpiał. Jane się myli, prawda?

Harry zrobił szybki ruch ręką, wskazując przed siebie, po czym wsunął ją głęboko do kieszeni.

- Rozejrzyj się wokoło. Otwarta przestrzeń ciągnąca się całymi milami i błękit nieba. Czy taki widok nie pomaga nam spojrzeć z dystansem na pewne sprawy? Moja matka przejmuję się mną, ty przejmujesz się czymś, w czym przecież nie ma twojej winy, nawet jeśli jest to prawda, a tak się składa, że jest.

Przystanął, ciągle trzymając ją pod ramię, z wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

- Pokochałem cię w tej samej chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Mroczny hol RussMore nagle rozbłysnął światłem, gdy ty się w nim pojawiłaś. Nie tylko dlatego, że jesteś bardzo piękną kobietą - nie dałbym złamanego szeląga za urodę. Moja żona i jej przyjaciółki były złotowłose i olśniewające, a człowiek na ich widok miał tylko jedną myśl - żeby pójść z nimi do łóżka. O tobie nie myślę w ten sposób. Lubię cię. Owszem, chcę się z tobą kochać, ale to nie jest najważniejsze. A więc dlaczego nie możemy zostać przyjaciółmi i zobaczyć, jak sprawy się potoczą? - zakończył, ciągle nie patrząc na nią. - Może nic się nie zmieni, nie wiem. Czy nie możemy odłożyć tej sprawy i zapomnieć o tym, co powiedziała moja matka i ja sam?

- Nie mogę ci niczego obiecać - powiedziała Christina wolno. - Wiem, co czuję teraz. Na razie nie potrafiłabym zaangażować się uczuciowo.

Harry podjął spacer.

- Nawet ze szlachetny Szwedem?

- Z nim bardziej niż z kimkolwiek innym - odpowiedziała szybko, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Ale on próbował, prawda?

- Tak - przyznała, czując nagłą ulgę.

- Próbował. - Harry powoli szedł przed siebie. - Tak właśnie myślałem. Kiedy ten proces znajdzie takie czy inne zakończenie, on odjedzie, ja natomiast ciągle będę w pobliżu. Czy chcesz już wracać? Nie zmarzłaś?

- Nie. Chodźmy jeszcze kawałek dalej.

- Zmieniając temat, pozwól, że opowiem ci co nieco o moim bracie. Ma miłą żonę i dwójkę rozpuszczonych dzieciaków, które doprowadzają mamę do szału, ponieważ nigdy nie idą do łóżek przed dziewiątą, a jadamy o wpół do siódmej. Brat jest w porządku. Lubię go.

Nie ma zbyt wielkiego poczucia humoru, ale w przeciwieństwie do mnie nigdy nie przysporzył rodzicom najmniejszego zmartwienia. Zawsze robił to, czego po nim oczekiwano. niesprawiedliwość polega na tym, że rodzice zawsze woleli mnie. Nie mam pojęcia dlaczego, ale to fakt. Teraz też ja przejmę farmę i przedsiębiorstwo, choć Tom spodziewał się, że skoro wyemigrowałem, on kiedyś je obejmie. Nie żeby rodzice go skrzywdzili. Gdy się ożenił, ojciec przepisał na niego prawie trzy tysiące arów ziemi. Dobrze im się powodzi, nie muszą jeść gołębi. Tom będzie tobą oczarowany, a jego żona nieco onieśmielona. Obawiam się, że jest trochę snobką, ale mniejsza z tym. Za to moją obecnością oboje będą poirytowani. Mam nadzieję, że z niecierpliwością wyczekujesz miłego wieczoru.

Roześmiał się i Christina, chcąc nie chcąc, musiała mu zawtórować.

- Nie mogę się już doczekać - powiedziała. - A może wymyślę jakiś pretekst i pojedę do domu? - Nagły podmuch zimnego wiatru sprawił, że zadrżała. - Myślę, że możemy już wracać - dodała. - Zanim dotrzemy do urwistego brzegu morza, gdzie groziłby nam upadek prosto do wody. A propos, jak daleko jest stąd do morza?

- Och, Bóg raczy wiedzieć, ale całe mile. Powiedziałem tak, żeby brzmiało dramatyczniej. A więc wracajmy. Ty przygotujesz kawę i grzanki, a ja zamorduję moją wścibską mamusię.

Christina przystanęła spłoszona.

- Harry, nie powiesz chyba tego Jane!

Zmusił ją do przyspieszenia kroku.

- Może uda ci się mnie przekupić.

- Nie powtórzę twojej bratowej, że według ciebie, ona nie potrafi wychowywać dzieci.

Harry lekko ścisnął ją za ramię.

- Umowa stoi.

- Stoi - potwierdziła i pomyślała nagle, że Harry posiada dar wprowadzania jej w dobry nastrój. Nawet Richard nie potrafił rozwiewać jej obaw i wątpliwości w taki sposób, w jaki robił to jego kuzyn Harry.

Kiedy wrócili, Jane podniosła na nich wzrok znad gazety, którą zawsze zostawiała sobie na popołudnie, i powiedziała szorstko:

- Wyglądasz na zmachaną, Christa. Udał się spacer?

- O tak, bardzo - uśmiechnęła się do niej Christina.

- Mam nadzieję, że Harry nie zagonił cię na śmierć. Robi to z większością ludzi. - W oczach Jane czało się nieme pytanie.

- Próbował, ale nie dałam się, tak że się nie przejmuj - odparła Christina.

Jane odłożyła swojego ulubionego „Telegrapha”.

- Och, dzwonił twój prawnik, Rolf Wallberg. Przyjedzie tu jutro, żeby się z tobą zobaczyć. Mówił, że to bardzo pilne - dodała, wracając do gazety.

*

- Siadaj, Humfrey - powiedział Ruben Stone.

Ze zmarszczek wokół mocno zaciśniętych ust bratanka mógł wyczytać, że Humfrefya gnębi jakiś problem. On sam szczylił się tym, że w każdej sytuacji potrafi zachować zimną krew. Opanowanie stanowiło część jego zawodowego image'u i zachowywał je nawet wobec członków rodziny, jeśli pojawiali się w jego gabinecie.

- A teraz powiedz mi, skąd ten pośpiech dzisiejszego ranka.

Humfrey popatrzył na stryja.

- Dzwonił Wallberg. Przykro mi, że przerwałem twoje spotkanie, ale to rzeczywiście jest bardzo pilne. Wallberg odkrył coś, przez co możemy przegrać sprawę Farringtonów.

Ruben nawet nie drgnął.

- Cokolwiek odkrył, mój drogi, jestem pewien, że mogło to poczekać godzinkę albo dwie. Musisz się jeszcze nauczyć, że nie ma takiej rzeczy jak nagły wypadek, chyba że coś ma się wydarzyć w przeciągu najbliższych pięciu minut. No, a teraz opowiedz mi o tym nieszczęściu.

Ruben bynajmniej nie miał zamiaru być szorstki. Bardzo kochał Humfrefya, podobnie jak pozostałych członków rodziny, ale pragnął nauczyć bratanka tej niemal wschodniej cierpliwości, jaka cechowała jego samego. Nie było to łatwe, gdyż Humfrey, bardzo wrażliwy, często reagował w sposób emocjonalny. Teraz przyjął upomnienie z ust stryja.

- Przepraszam, że byłem taki porywczy - powiedział - ale to naprawdę jest bomba.

- No więc powiedz mi, o co chodzi - powtórzył Ruben.

Humfrey zwięźle przedstawił stryjowi wszystkie fakty, zadając na koniec retoryczne pytanie:

- Czy to możliwe? Czy aby Wallberg się nie myli? Przecież to można wytłumaczyć tylko szaleństwem Alana Farringtona, a on z pewnością nie jest szalony.

Gdy Humfrey skończył, zapadła chwila ciszy.

- Wiesz - powiedział w końcu Ruben - nie spodziewałem się, że Wallberg zostanie tu na dłużej, co więcej, nie chciałem, aby zostawał. Miałem nadzieję, że wróci do Szwecji. Teraz jednak możemy chyba mówić o szczęściu, że tego nie zrobił.

- Nigdy nie rozumiałem, dlaczego w ogóle zgodziłeś się go zatrudnić - zaryzykował Humfrey. - Od samego początku go nie lubiłem, a teraz słyszę, że ty też nie darzyłeś go

sympatią. Nie wiem, co w nim jest takiego.

Ruben Stone powiedział łagodnie.

- Rozumiem, co masz na myśli. W nim tkwi coś, co podświadomie rozpoznajemy i co budzi nasz niepokój. Osoba Wallberga przywołuje w nas echa przeszłości. Dlaczego go zatrudniłem? Ponieważ jeden z przyjaciół prosił mnie o tę przysługę. W rezultacie możemy mu być za to wdzięczni, choć nie jestem pewien. W głębi serca wołałbym, abyśmy przegrali sprawę Farringtonów, ale żeby on wrócił tam, skąd przybył. - Po krótkiej przerwie dorzucił: - Zadzwoń do Simona Harta. Lepiej sprawdzić wszystko dwa razy. Simon jest ekspertem i będzie znał odpowiedź. A teraz - dodał z lekką ironią - wracam na moje spotkanie.

Humfrey wyszedł pośpiesznie, zbyt zaaferowany swoim problemem, by zauważyć, że stryj właściwie nie powiedział mu nic konkretnego.

*

Christina i Rolf Wallberg zostali sami. Wystarczyło, by Rolf przekroczył próg domu Spannierów, by między nim a Harrym od razu zrodził się silny antagonizm. Sprawiali wrażenie dwóch samców, jeżących się na sam widok przeciwnika. Uczucie niechęci było tak silne, że Harry zapomniał o swojej zwykłej nonszalancji. Rolf od razu przeszedł do rzeczy.

- Nie, pani Spannier, dziękuję za kawę. Zaraz po rozmowie z panią Farrington muszę wracać do Londynu.

Oficjalny sposób, w jaki Wallberg mówił o Christinie, bynajmniej nie zwiódł Jane, która od razu zauważyła, jak prawnik patrzy na Christinę i z jaką wrogością traktuje Harry'ego. Jej samej Rolf wydał się niepokojący, apodyktyczny i źle wychowany. Jakby wyczuwając jej nastawienie, Szwed oświadczył z powagą:

- Proszę mi wybaczyć. To bardzo uprzejme, że zaofiarowała mi pani poczęstunek, ale wydarzyło się coś nieoczekiwanego i muszę to pilnie przedyskutować ze swoją klientką.

- Co się stało? - wtrąciła Christina. - O co chodzi? Jane, czy możemy skorzystać z twojego gabinetu?

- Oczywiście. Gdybyś potrzebowała mnie albo Harry'ego, będziemy w pobliżu. Peter wróci do domu na lunch i mam nadzieję, że pan także zostanie. Proszę tędy.

Otworzyła drzwi, a następnie zamknęła je za nimi. Harry nie poruszył się.

- Szlachetny Szwed - powiedział do siebie. - Jest zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałem.

- A jak go sobie wyobrażałeś? - zapytała zaintrygowana Jane.

- Jako czarującego, gładkiego, nordyckiego Casanovę. Od tej pory nadaję mu nowe przezwisko: Hun Attyła.

*

W gabinecie panował bałagan. Biurko Jane zaścilały sterty papierów, a po podłodze poniewierały się stosy gazet. Na dodatek jeden ze starych seterów Petera pochrapywał rozciągnięty na sofie. Rolf rozejrzał się wokoło i powiedział:

- Pozwalacie psom wylegiwać się na meblach? - Zanim Christina zdążyła odpowiedzieć, dorzucił: - Przepraszam, ale nigdy nie przepadałem za zwierzętami. Zepchnij tego psa, żebyśmy mogli usiąść.

- Sally, zejź, natychmiast zejź z sofy.

Sally zlazła posłusznie, obdarzając Christinę pełnym wyrzutu spojrzeniem, i natychmiast wskoczyła na krzesło.

- Rolf - zaczęła Christina błagalnym tonem. - Rolf, co zaszło w RussMore?

- Nic. Zebrałem zeznania Manningów, Thorna i doktora. Wszystko szło znakomicie, dopóki nie wydarzyła się pewna niesamowita historia. Rozmawiałem z przedsiębiorcą pogrzebowym, który chował Richarda. Spotkałem go w pubie i wypiliśmy drinka. Christino, czy wiedziałaś, że wieczorem w przeddzień pogrzebu Alan poszedł do kaplicy, żeby zobaczyć zwłoki ojca?

- Naprawdę? Nie, nie miałam pojęcia. To ostatnia rzecz, o jaką mogłabym go podejrzewać. Alan nienawidził Richarda.

- O tak - zgodził się Rolf. - Nienawidził go z całą pewnością. Garrett, ten przedsiębiorca pogrzebowy, powiedział mi, że gdy zamykał potem trumnę, zauważył coś wstrząsającego, ślad po wyrwaniu garści włosów z głowy zmarłego.

Christina zakryła twarz rękami.

- O Boże, o mój Boże!

Rolf powiedział łagodnie:

- Nie denerwuj się tak. Richard już nie żył.

- Ależ to profanacja zwłok! - wykrzyknęła. - On musi być szalony, skoro poważał się na taką rzecz. Dlaczego to zrobił?

- Wcale nie był szalony, przeciwnie, był jak najdalszy od szaleństwa i dobrze wiedział, co robi. Chodziło mu o próbkę do testu na DNA. Najwyraźniej skontaktował się przedtem z jakimś lekarzem, skoro wiedział, że samo obcięcie włosów niczego by nie załatwiło. Włosy są martwe, podobnie jak paznokcie. Wyrwał je, ponieważ potrzebował kawałka skóry.

- Niedobrze mi - szepnęła Christina. - Przestań, proszę; nie chcę więcej o tym słyszeć.

Rolf spostrzegł tacę z napojami. Wstał i nalał do szklaneczki sporą porcję ulubionej

brandy Petera.

- Masz, wypij... Przykro mi, ale musiałem ci powiedzieć.

Christina zaczęła powoli sączyć trunk. Czowała obejmujące ją ramię. Uścisk Rolfa był delikatny, przyjacielski i przynosił pociechę. Nie cofnęła się.

- W porządku - powiedziała. - Już czuję się lepiej. Rolf, co to znaczy?

- To znaczy, że Alan może zażądać próbki DNA od Belindy. To dlatego był taki pewny siebie i nalegał na jak najszybszą rozprawę przed sądem, a nie usiłował zniszczyć cię finansowo przeciąganiem procesu. Jeśli test nie potwierdzi zgodności kodu genetycznego, Belinda nie będzie mogła dziedziczyć, zgodnie z postanowieniami ustawy powierniczej. Jeśli potwierdzi, Alan przegra. Wybór należy do ciebie.

Christina odstawiała szklaneczkę i popatrzyła wprost na Wallberga.

- Nigdy nie zezwolę, aby Belinda musiała przez to przechodzić. Nie zaryzykuję, by miała się dowiedzieć, że Richard nie jest jej ojcem, o ile rzeczywiście nie jest. Mówiłam ci już, że sama nie wiem. Żadne dziedzictwo na świecie nie jest warte tego, by zasiewać ziarno wątpliwości w umyśle jedenastoletniego dziecka, nawet gdyby po zbadaniu stwierdzono zgodność DNA. Nigdy nie narażę jej na podobne przejścia, więc tak naprawdę nie mam żadnego wyboru.

Wstała z sofy, nadal bardzo blada, ale już spokojna.

- Co za barbarzyńca z niego - powiedziała wolno. - Żałuję, że nie istnieje Bóg, aby go ukarać. Musimy się teraz zastanowić, jak rozwiązać tę sprawę. Wracam do Londynu.

Rolf stanął obok niej.

- Może jeszcze zmienisz zdanie - powiedział. - Nie czyń niczego w pośpiechu. Przemyśl to sobie.

- Już przemyślałam - odparła szybko. - Rolf, gdyby to była twoja córka, czy zgodziłbyś się, aby przechodziła taki test?

Nie wahał się ani przez chwilę.

- Nie - odparł. - Nie zgodziłbym się. Masz rację. Nie będę usiłował cię do niczego nakłaniać. Ale na razie nie podejmujemy żadnych działań. Jeszcze nie ma wyznaczonej daty przesłuchań. Pozwól mi się zastanowić i skonsultować z Humfreyem i Rubenem Stone'em. Ta świnka jeszcze nie wie, że znamy już prawdę o tym, co zrobił. Nie wie i nie może się dowiedzieć. Tak więc zachowaj spokój, zostań tutaj i pozwól mi działać.

Stali teraz tak blisko siebie, że ich ciała niemal się dotykały. Christina poczuła obejmujące ją ramiona i poddała się uściskom. Tym razem nie odczuła pożądania, którego tak się obawiała. Jej pragnienie było głębsze, bardziej dojmujące. Rolf powiedział szeptem:

- Kocham cię, Christino. Nigdy przedtem nie wyznałem tego żadnej kobiecie. Kocham cię i zasłużyłem sobie na ciebie. Nie dopuszczę, abyś przegrała.

*

Kiedy opowiedziała Spannierom o skandalicznym postępku Alana, zapanowała pełna grozy cisza.

- Wyrwał z głowy ojca garść włosów - powtórzyła Jane Spannier. - To wprost niewiarygodne. O, Christo, moja ty biedna.

Harry przysunął się do niej.

- Wszystko w porządku - zapewniła prędko Christina. - Przeżyłam okropny wstrząs, ale już czuję się dobrze. Proszę, nie mówcie nikomu ani słowa. Rolf chce się skonsultować z innym prawnikiem i prosił mnie, abym z nikim nie rozmawiała na ten temat. Alan nie ma pojęcia, że się dowiedzieliśmy.

Jane wojowniczo wysunęła do przodu szczękę, najwyraźniej otrząsnąwszy się z pierwszego szoku. Na jej policzkach płonęły rumieńce gniewu.

- Musisz go pokonać, Christo. Zniszcz go.

Christina powiedziała stanowczo.

- Nie. Pomyśl tylko o Belindzie.

- Ależ to jawne kłamstwo! - wybuchnęła Jane. - Przecież Belinda jest córką Richarda.

- Jestem pewna, że tak - odparła Christina - ale żadne dziedzictwo nie jest warte ceny, jaką kosztowałoby udowodnienie tego faktu.

- Alan z pewnością nie ośmieliłby się głośno przyznać do takiego świętokradztwa - nalegała Jane. - Opinia publiczna zlinczowałaby go. Pomyśl tylko, jak prasa rozdmuchałaby tę historię.

- A ty pomyśl, co taki szczywany prawnik jak John Cunningham zrobiłby z Christą - odezwał się milcząco do tej pory Harry. - Christina ma rację, mamó. Tej sprawy nie da się kontynuować.

- Wracam do RussMore - oznajmiła Christina. - Nie mogę tu zostać. Proszę, zrozumcie mnie. Czuję, że muszę wrócić do domu.

- Oczywiście - przytaknęła Jane - oczywiście, że potrzebujesz teraz domu. Co za łajdak z tego Alana, co za skończony łajdak!

Peter wrócił wcześniej, żeby się z nią pożegnać. Christina nie chciała czekać nawet do popołudnia. Pragnęła jak najprędzej uciec stąd, uwolnić się od współczucia i oburzenia, jakie okazywali Jane i Peter, od troski Harry'ego, który powiedział, że ją kocha, podobnie jak to uczynił ten drugi mężczyzna. Pragnęła teraz znaleźć się w miejscu, które było jej własne,

wrócić do domu, w którym czuła się taka szczęśliwa, a który teraz będzie musiała opuścić, aby chronić swoje dziecko. Droga minęła jej niemal niepostrzeżenie. Christina była zupełnie odrętwiała, jakby wszystkie jej emocje uległy nagle zawieszeniu. Kiedy skręcała w stronę bramy, słońce zaczęło się właśnie chować za dachami zabudowań. Nagle doznała wrażenia, jakby zobaczyła RussMore po raz pierwszy, jakby wszystkie tamte lata nigdy nie istniały, a ona jechała teraz u boku Richarda, pełna radosnego wyczekiwania.

„Kochanie, jaki piękny dom i jaki ogromny”. A Richard uściskał wówczas jej dłoń i uśmiechnął się, dumny i szczęśliwy, że spodobała jej się siedziba, którą on tak ukochał.

„To jest twój dom, kochanie. Domy także posiadają duszę. Ten pokocha cię tak mocno jak ja”.

Richard nie mylił się. RussMore przywitało ją ciepło i dosłownie rozkwitło, gdy zaczęła wprowadzać w nim różne zmiany.

Podjechała na tylny dziedziniec i zaparkowała samochód. Z domu wyszedł Manning, by zabrać walizki.

- Dzwoniła pani Spannier i uprzedziła, że pani wraca. Miło nam, że jest pani z powrotem w domu.

Christina powiedziała, że nie będzie piła herbaty. Przespaceruje się po ogrodzie, zanim słońce zupełnie zajdzie.

Skierowała się do niewielkiego ogrodu różanego, który założyła wspólnie z Richardem. Pośrodku, na niewysokim postumencie, stał osiemnastowieczny marmurowy Kupidyn, kierujący niewidzialną strzałę w stronę każdego, kto przechodził ścieżką. Dostała tę rzeźbę w prezencie urodzinowym od Richarda. Tutaj spędzała z nim ciepłe, wiosenne dni, kiedy czuł się na tyle dobrze, aby wyjść. Wówczas na grządkach rosły narcyzy i hiacynty, olśniewające bogactwem barw. Richard umarł, nie doczekawszy rozkwitu róż.

Minęła ogród różany i wysoki szpaler cisów, dochodząc do alejki obsadzonej po obu stronach bylinami, a kończącej się stawem. „Tam gdzie mieszkam, jest mnóstwo ptaków. Łabędzie, gęsi i kaczki”. Te słowa powiedział do niej obcy mężczyzna w parku w Sztokholmie. Zanim upłynął miesiąc, była jego żoną. Na grządkach pyszniły się purpurowe dalej oraz złote i czerwone chryzantemy. Poznała angielskie nazwy wszystkich kwiatów i wspólnie z Richardem oddawała się pasji ciągłego upiększania ogrodu. Richard znakomicie znał się na drzewach. Ciągłe powtarzał, że sadi je z myślą o przyszłości, podobnie jak to robili jego przodkowie. „Człowiek już ich nie doczeka, ale jego wnuki tak”.

Po prawej miała teraz warzywnik, odgrodzony wysokim murem. Przedtem znajdował się tu basen zbudowany dla pierwszej żony Richarda, która znalazła w nim marny koniec.

Utonęła, będąc pod wpływem heroiny i alkoholu. Po powrocie ze Szwecji Richard kazał zasypać basen i przywrócić to miejsce do pierwotnego stanu. Sam nigdy tam nie zachodził, nawet żeby sprawdzić postępy robót. Christina też nie weszła teraz do warzywnika, chociaż w niej to miejsce nie wywoływało żadnych ponurych wspomnień. Słońce rozpałało na niebie lunę zachodu i w powietrzu powiało nagle chłodem, więc wróciła do domu, gdzie paliły się światła i gdzie w czerwonym gabinecie płała ogień.

Weszła do tego pokoju. Nieznany z imienia, zmarły w dzieciństwie chłopczyk z rodziny Farringtonów, żyjący w czasach Tudorów, spoglądał na nią ze ściany, trzymając małą, pulchną rączkę na własnej czaszce. Christina naląła sobie drinka i wbrew swoim zwyczajom nie rozcieńczyła go wodą. Stała przy ogniu i przyglądała się obrazowi, który Richard zapisał jej jako specjalny legat. Popijając, nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że dygoce z gniewu. Miała ochotę cisnąć szklaneczką o kratę kominka, aby dać upust przepełniającej ją furii.

„Prędzej spalę to miejsce, niż pozwolę mu je przejąć”. Gniewne słowa Richarda zabrzmiały tak wyraźnie, jakby wypowiedział je na głos. Musiała usiąść, wstrząśnięta myślą, która nagle przyszła jej do głowy. Ponownie sięgnęła po szklaneczkę, pragnąc uwolnić się od prześladowającego ją obrazu ciała zmarłego męża, zbezczeszczonego przez jego własnego syna.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała na głos. - Nigdy nie pozwolę, aby RussMore miało należeć do Alana. Nie dopuszczę do tego.

Pierwszą instynktowną myślą była kapitulacja - aby chronić Belinę. Nie mogła ryzykować, by dziewczynka dowiedziała się, że ojciec, którego tak uwielbiała, nie był jej prawdziwym ojcem, że nie należy do rodziny Farringtonów, lecz jest córką człowieka, który porzucił jej matkę po krótkim romansie. Ale jeśli Belinda jest córką Richarda, jeśli dałoby się to jakoś sprawdzić, zanim sprawa znajdzie się na wokandzie?

Telefon rozdzwonił się nagle. Chwyciła za słuchawkę.

- Rolf?

- Nie - zabrzmiał w słuchawce głos Harry'ego. - To nie Rolf. Dobrze się czujesz?

- Jestem pijana.

- To ci nie zaszkodzi. Na krótko przed poznaniem Richarda miałeś kochankę, prawda? To tym ten łajdak trzyma cię w szachu. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałam - odparła Christina. - Harry, podjęłam decyzję. Nie ustąpię. To Jane miała rację, nie ja.

Harry przykrył ręką słuchawkę i powiedział do ojca:

- Nasze drogie dziecko odrobinę się wstawiło. Słuchaj, Christa, to świetnie. A teraz

zjedz spokojnie obiad i nie pij więcej, skoro masz taką słabą głowę. Wybieram się do Londynu, a potem przyjeżdżam do RussMore i będę cię trzymał za rękę. Nie pozwól, abym spotkał się tam z Attylą.

- Jakim Attylą? O kim ty mówisz?

- Mniejsza z tym, porozmawiamy jutro. Trzymaj się.

Kochany Harry. Ale Harry nic jej teraz nie pomoże. To Rolfa potrzebowała.

*

- Pani Farrington - mówił Humfrey - ministerstwo nigdy nie udzieli takiego zezwolenia. To dlatego właśnie pani pasierb postarał się o próbkę jeszcze przed pogrzebem. Chciałbym pani doradzić coś innego, ale nie potrafię.

Osobiście był poruszony jej sugestią i zastanawiał się, kto mógł jej podsunąć podobny pomysł. Obrzucił szybkim spojrzeniem Rolfa Wallberga. Ten Szwed potrafiłby wymyślić podobne rozwiązanie.

- Ekshumacja to bardzo poważna sprawa - tłumaczył dalej. - Musi pani mieć naprawdę ważne powody, a sprawa o obalenie testamentu, która na dodatek nie weszła jeszcze na wokandę, absolutnie nie wystarczy. Przykro mi.

- Załóżmy, że pani Farrington pragnie, aby jej mąż został pochowany gdzie indziej - wtrącił Rolf. - W takich wypadkach ministerstwo udziela pozwolenia, specjalnie to sprawdzałem.

Humfrey odpowiedział ostro.

- Owszem, ale nie na otwarcie trumny. Jeśli ma miejsce drugi pochówek, oryginalna trumna jest pieczętowana i zamykana w drugiej, aby uchronić zwłoki przed profanacją. To prawo wprowadzono w dziewiętnastym wieku, aby zapobiec częstemu wówczas wykradaniu zwłok i sprzedawaniu ich dla celów medycznych. Zbezczeszczenie grobu to poważne przestępstwo.

- Dla mnie o wiele cięższym przestępstwem jest spowodowanie urazu u dziecka - powiedział Rolf ze złością. - Albo też obrabowanie go z jego domu i dziedzictwa.

- Jeżeli ekshumacja jest niemożliwa, co w takim razie możemy zrobić? - wtrąciła Christina. - Jestem zdecydowana i w żadnym wypadku nie ustąpię z RussMore.

Właściwie dała mu to do zrozumienia jeszcze przed spotkaniem. Jej nieugiętość zdumiała Humfreya, który nigdy przedtem nie widział u niej podobnej determinacji. Wyczuł, że obecnie między nią a Wallbergiem nawiązało się ściśle porozumienie. Wcześniej był między nimi wyraźny dystans, obecnie natomiast działali i reagowali jednomyślnie.

- Musi przecież istnieć jakieś rozwiązanie prawne - nalegała Christina. - Mówię serio.

Nigdy nie oddam RussMore temu odrażającemu łajdakowi. Kiedy pomyślę o tym, co uczynił mojemu mężowi, gotowa jestem raczej podłożyć ogień pod dom, niż pozwolić, by ten niegodziwiec położył na nim rękę.

Humfrey niejednokrotnie widywał klientów tracących panowanie nad sobą, ale determinacja tej kobiety przewyższała wszystko, z czym spotkał się do tej pory. Ona naprawdę mogłaby urzeczywistnić swoją groźbę. Na samą myśl o tym poczuł, że przechodzą go ciarki.

- Pani Farrington - powiedział pojednawczo - porozmawiam z Kenem Hubertem. Umówię się z nim i zobaczymy, co on nam poradzi. Proszę się uspokoić, wiem, że przeżyła pani silny wstrząs emocjonalny. Właściwie to okropne, że musiała usłyszeć pani o tych wszystkich szczegółach - dorzucił karcąco pod adresem Rolfa.

- Bardzo dobrze, że Rolf mi powiedział. Gdybym nie wiedziała dokładnie, co Alan zrobił, mogłabym ustąpić. Miałam prawo wiedzieć, że ciało mojego męża zostało sprofanowane. Ma pan rację, to był dla mnie szok. Kiedy usłyszałam o tym po raz pierwszy, nie potrafiłam myśleć rozsądnie. Byłam opanowana myślą, że Belinda mogłaby się dowiedzieć, że nie jest córką Richarda. Mówiłam panu, że istnieje taka możliwość. Rolf wiedział o tym ode mnie już wcześniej.

- I nie przekazał nam tej informacji - zauważył Humfrey.

- Dlatego pomyślałam, że gdybym mogła przeprowadzić test na DNA jeszcze przed rozprawą, wtedy sytuacja byłaby jasna. Nie mam zamiaru rezygnować, nigdy. Proszę skontaktować się z panem Hubertem i wytłumaczyć mu wszystko. Nie wierzę, że nic się nie da zrobić.

Wstała, dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa spotkanie za skończone.

Tak, pomyślał Humfrey, zmieniła się, i to w sposób zasadniczy.

Kiedy po raz pierwszy przyjechał do RussMore, niedługo po tym, jak Richard Farrington zaangażował go jako swojego prawnika, spotkał czarującą, spokojną kobietę, nieświadomie trzymającą się w cieniu starszego męża. Stabilne, pełne miłości małżeństwo dało jej spokój i pewność, że ten dominujący mężczyzna rozwiąże za nią wszystkie problemy. To, czego nie wywołała w niej śmierć męża i proces wytoczony jej przez pasierba, spowodował ten jeden jedyny akt barbarzyństwa. Teraz odnalazła siebie i po raz pierwszy samodzielnie podejmowała decyzje.

Christina wyciągnęła rękę do uścisku. Humfrey podjął jeszcze jedną próbę.

- Niech pani zaprzestanie rozpamiętywania tego, co się wydarzyło - powiedział. Chciał jeszcze dodać „i zapanuje nad sobą”, ale powstrzymał się. Ta nowa Christina nie

przyjęłaby dobrze jego komentarza. - Zadzwoń do kancelarii Huberta i ustalę możliwie jak najwcześniejszy termin. Będziemy w kontakcie - zakończył.

Rolf otworzył drzwi gabinetu.

- Wyprowadzę panią Farrington - powiedział.

Razem zjechali windą.

- Byłaś znakomita - powiedział Rolf. - Taka nieustępliwa. Trzeba naciskać na prawników, bo inaczej oni będą naciskać na ciebie, żebyś przyjęła najłatwiejsze rozwiązanie. Przykro mi, że mój pomysł nie wypalił, ale Stone zna przepisy. Cóż, wymyślimy coś innego. Kiedy będę mógł cię zobaczyć?

- Nie wiem - odparła Christina. - Dziękuję ci, że próbowałeś. Masz rację, coś wymyślimy. Dziękuję też, że nie usiłujesz mnie namawiać, abym poszła na ugodę.

Wyszli razem z budynku i ruszyli w stronę parkingu.

- Zrobię to dopiero wtedy, kiedy uznam, że naprawdę nie ma innego wyjścia. Na razie jednak będę szukał. Jesteś teraz jeszcze piękniejsza, wiesz o tym? Teraz płonie w tobie ogień, którego przedtem ci brakowało.

- Nigdy przedtem nie czułam nienawiści - powiedziała Christina spokojnie. - Jeśli mam przestać nienawidzić, muszę pokonać Alana.

- Wspięła się na palce i lekko pocałowała go w usta. - A wtedy będzie czas dla nas - dodała po szwedzku.

8.

- To absolutnie nie wystarczy, panie Farrington. Nie może pan przedstawić wyników wziętych nie wiadomo skąd i oznajmić, że to analiza DNA pańskiego ojca.

Alan popatrzył na adwokata z niedowierzaniem. Oczekiwał wyrazów uznania dla swojego sprytu i przenikliwości, tymczasem ten stary piernik - jak go w myśli nazywał - Ronald Bóg Wszchemogący Hamilton spoglądał na niego z góry, usiłując zdyskredytować jego osiągnięcia.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że to nie wystarczy? Dostał pan wynik analizy mojego własnego DNA, które jest zgodne z DNA mojego ojca. Czegóż więcej można jeszcze chcieć?

- Dowodu, że jest to DNA Richarda Farringtona - brzmiała odpowiedź. - Nie dostarczył pan żadnego oświadczenia, w jaki sposób próbka została pobrana, niczego, co by potwierdzało, skąd pochodzi. Samo pańskie słowo nie wystarczy, to właśnie miałem na myśli.

Usiłował zachować cierpliwość, przypominając sobie, że jeszcze nie tak dawno odczuwał współczucie wobec tego młodego człowieka, zachowującego się tak agresywnie. Skarcił się w duchu, usprawiedliwiając trudny charakter swojego klienta błędami wychowawczymi i nadmierną surowością ojca.

- Chce pan wiedzieć, w jaki sposób zdobyłem tę próbkę, czy tak? - podjął Alan po krótkiej chwili.

- Adwokat pańskiej macochy z pewnością będzie żądał odpowiedzi na to pytanie. Muszę znać ją wcześniej, zanim przedstawię te wyniki jako dowód.

Alan wyzywającym gestem skrzyżował ręce na piersiach.

- Po śmierci ojca wyrwałem włosy wraz ze skórą z jego zwłok. Spodziewałem się, że może próbować mnie wydziedziczyć, i wolałem się zabezpieczyć na wypadek rozprawy. Czy to wystarczy?

Ronnie Hamilton wpatrywał się w niego przez moment.

- Co pan zrobił?

- Poszedłem do kaplicy, gdzie leżał, i wziąłem próbkę. A jeśli potrzebny jest panu jakiś cholerny świadek, to niech pan zadzwoni do przedsiębiorcy pogrzebowego, który wie, co zrobiłem. Na pogrzebie nawet na mnie nie spojrział. Gość nazywa się Garrett. Garretowie zawsze chowali wszystkich Farringtonów. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego robi pan wokół tego taki szum. Stary już nie żył i niczego nie czuł.

Ronnie Hamilton przełknął ślinę.

- Praktykuję już ponad trzydzieści lat i nigdy jeszcze nie zetknąłem się z czymś

podobnym. Doprawdy nie wiem, co mam powiedzieć w tej sytuacji.

- Na przykład: „Gratuluję szybkiego refleksu, panie Farrington” - rzucił Alan. - Na litość boską, mam zupełną rację co do tego małego bękarta i praktycznie wygrałem tę sprawę dla pana. Jedyne, co musi pan jeszcze zrobić, to zażądać badań DNA dziecka. W wypadku osoby żyjącej wystarczy badanie krwi. Stawiam jeden do tysiąca, że Christina nie odważy się zaryzykować i ustąpi.

Hamilton zadzwonił na sekretarkę.

- Paulino, zaparz mi kawę, dobrze? - Alanowi nie zaproponował poczęstunku. Głośno wciągnął powietrze. - W obecnej sytuacji najchętniej odmówiłbym dalszego reprezentowania pana. Pański postępek uważam za odrażający. Jak można było zbezcześcić zwłoki, i to zwłoki własnego ojca?

W ciemnych oczach Alana zapaliły się niebezpieczne błyski. Czuł, że jeszcze chwila, a eksploduje gniewem. Własny ojciec. Zimny, obojętny, nie kochający go człowiek, oddalony od własnego syna, nieczuły na tragedię żony, przeciwnie, czerpiący przewrotną przyjemność z jej cierpień. Odrażający postępek. Zerwał się tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła.

- Gdybym wierzył, że pomoże mi to odzyskać RussMore, obciąłbym mu nawet jaja. Jeśli nie chce pan prowadzić mojej sprawy, wezmę kogoś innego. Niejeden prawnik, i to równie dobry jak pan, ucieszy się, mogąc zainkasować honorarium tej wysokości. Nie mam zamiaru rozdzierać szat z powodu pańskiej rezygnacji.

Wypadł z gabinetu, mijając w drzwiach sekretarkę wchodzącą z kawą. Na tacy stały dwie filiżanki.

- Przecież miał jeszcze dwadzieścia minut - powiedziała. - Czy coś poszło nie tak, panie Hamilton?

- Właśnie mu oznajmiłem, że nie chcę go reprezentować. Nie wiem, co na to starsi partnerzy, ale ja nie ustąpię. Nalej mi kawy, proszę. Może po wypiciu filiżanki dobrej, mocnej kawy jakoś dojdę do siebie.

*

Alan nie wrócił już do biura. Zwykle po każdym wybuchu złości ogarniała go depresja. Nie był umówiony z nikim ważnym, tak że śmiało mógł odwołać dzisiejsze spotkanie. W obecnym nastroju nie miał ochoty nikogo widzieć.

„Liczyć swoje błogosławieństwa”, mówiła mu Fay, ilekroć ogarniała go przygnębienie. Zawsze z gniewem odmawiał skorzystania z pomocy psychoterapeuty. Fay natomiast korzystała z niej skwapliwie, ponieważ sama potrzebowała pomocy, by móc pomagać jemu.

Opanowana i pragmatyczna, szybko nauczyła się właściwego spojrzenia na problemy męża i wtedy natychmiast zaprzestała terapii. Nie lubiła psychoanalityków, którzy wobec bezbronnych pacjentów przybierali pozę Boga Wszechmogącego, więc uwolniła się od tych wizyt, jak mogła najszybciej, i zapomniała o całym incydencie. Jednakże podczas terapii nauczyła się wystarczająco dużo, by rozpoznać i odrzucić bezsensowny bełkot psychoanalizy, za to zrobić użytek z dobrych rad.

Gdy Alan wrócił do domu, Fay jeszcze nie było. Umówiła się z przyjaciółkami na lunch i na pokaz mody. Młoda niania przywitała go nerwowo. Alan bywał miły, ale potrafił też być bardzo nieprzyjemny i zgryźliwy i dziewczyna nigdy nie wiedziała, w jakim będzie humorze i czego się po nim spodziewać.

- Gdzie chłopcy? - zapytał Alan krótko.

- Timmy poszedł na podwieczorek do przyjaciół, a Robert jest na górze. Rysowaliśmy ładne obrazki.

- Przyprowadź go na dół. Zabierz też jego książki i zabawki. Nie jestem dobry w rysowaniu jakichś cholernych obrazków. Za dużo ich miałem w dzieciństwie. „Narysuj ładny obrazek dla mamusi”, zaczął przedrzeźniać swoją dawno już zmarłą niańkę, oschłą, sztywną kobietę, zupełnie niepodobną do tej dwudziestolatki, która opiekowała się jego synami. Niania pobiegła na górę.

„Licz swoje błogosławieństwa”. Niemal słyszał Fay mówiącą te słowa. „Popatrz na wszystko, co posiadasz. Masz mnie, dzieci, przepiękny dom, drugi dom na wsi, willę w Antibes. Posiadamy wszystko, czego moglibyśmy zapragnąć. Pomyśl też, jak wielki sukces osiągnąłeś. Z niewielkiego sklepiku z sandwiczami stworzyłeś kwitnący interes.

Alan, zacznij się doceniać. Mamy wspaniałe życie, mnóstwo przyjaciół. Na litość boską, przestań wreszcie oglądać się wstecz”.

W tym miejscu zwykle jej przerywał: „Wiem, wiem, zapomniałaś jeszcze o tym pieprzonym bentleyu. Fakt, dobrze mi się powodzi, i co z tego?”

Wiedział, że w tym momencie Fay zacznie go pocieszać niczym małego chłopca, któremu ktoś popsuł zabawkę. Dawno już odkrył, że jego żona potrafi być twarda i bezwzględna, jednak nigdy w stosunku do niego. Była jedyną kobietą, której pozwalał sobie matkować.

Teraz nie było jej w domu, ale były dzieci. Ich obecność też pomagała. Timmy wyszedł na podwieczorek. Alan uśmiechnął się, myśląc o synu. Timmy miał dopiero sześć lat, a już prowadził życie towarzyskie. Robert był bardziej nieśmiały, nie tak pewny siebie, za to bardzo bliski jego sercu, ale Timmy był pierworodnym synem i Alan darzył go niemal

atawistycznym uczuciem.

Robert wszedł do salonu z książką i pudłem z układanką. Alan wyciągnął do niego ramiona.

- Chodź na kolana do tatusia. Powiedz mi, czy miałeś dzisiaj dobry dzień?

Nigdy nie pytał synów: „Czy byłeś dziś dobrym chłopcem?”; nie pozwalały mu na to wspomnienia z dzieciństwa. On sam nigdy nie był dobrym chłopcem i to pytanie w ustach ojca zmieniało się zwykle w inne: „Alan, dlaczego nie byłeś dzisiaj dobrym chłopcem? Niania mówiła mi, że...” A potem następowała cała lista przewinień, coraz poważniejszych, w miarę jak dorastał. Poważna twarz ojca, zła, pełna potępienia, a obok niego matka, niczym biedny cień, często chora i nieobecna, usiłująca milcząco przekazać mu swoje współczucie. Nawet teraz na myśl o matce był bliski łez. Mocno uściśnął swojego synka.

- Chodź, Robert, zagramy w jakąś grę.

- W jaką grę, tatusiu? Rysowałem obrazki.

- Wiem, ale mniejsza z obrazkami. Czy chciałbyś zamieszkać w dużym domu na wsi?

Chłopiec odparł po prostu:

- To nie jest gra. Przyniosłem układankę.

- Poczekaj - powstrzymał go Alan - układanką pobawimy się za chwilę. Wyobraź sobie duży dom, z mnóstwem pokoi i stawem w parku, po którym pływają łabędzie i kaczki. Mógłbyś mieć szczeniaka i kucyka. Jak by ci się to podobało?

- Tatusiu, czy mogę ci coś powiedzieć? - Robert co drugie zdanie zaczynał od tego pytania. - Chciałbym mieć dwa szczeniaki, a Timmy może mieć kucyka. Kiedy będę mógł to zobaczyć? Kiedy pokażesz mi ten duży dom?

Alan pocałował jedwabiste włosy chłopca.

- Już niedługo, kochanie - powiedział. - Mieszkałem tam, kiedy byłem małym chłopcem. Niedługo ten dom będzie twój. Tatuś postara się, żeby dom należał do ciebie i do Timmy'ego.

Wróciwszy do domu, Fay zastała ich pogrążonych w wesołej zabawie. Skończyli właśnie układankę, a Robert pokrzykiwał z radością, gdy ojciec pytał:

- No, i kto jest małym prosiaczkiem-świntuszkciem?

Fay nigdy nie mogła wyjść z podziwu, że jej mąż, ten bystry i bezwzględny biznesmen, w pokoju dzieciennym potrafi bawić się i dokazywać jak małe dziecko.

Kiedy synowie poszli na górę, Alan opowiedział żonie o swojej wizycie u Hamiltona.

- Nie przejmuję się tym - mówił. - Niejeden dobry prawnik marzy, żeby dostać podobną sprawę. Myślałem, że będą skakać z radości i otworzą butelkę szampana. Przecież

praktycznie wygrałem za nich cały proces.

- Hamilton nie jest starszym wspólnikiem - zauważyła Fay. - Nie będą chcieli stracić takiego klienta jak ty. Zobaczysz, że nie wypuszczą z ręki tej sprawy. Po prostu poprowadzi ją ktoś inny, nie Hamilton. Zaczekaj i pozwól im zrobić kolejny krok. A teraz przyrządź ci drinka i opowiem, jak spędziłam dzień. - Uśmiechnęła się i przelotnie musnęła palcami jego policzek. - Widziałam kilka wspaniałych sukien. Obawiam się, że będzie cię to trochę kosztowało.

- Jeśli tylko będziesz w nich dobrze wyglądała, to zgadzam się na każdy wydatek. Nie mam nic przeciwko płaceniowi za twoje suknie, pod warunkiem, że mogę je z ciebie zdjąć. A gdybyśmy tak skoczyli teraz na górę na szybki numerek?

Fay roześmiała się.

- Brzmi to zachęcająco. Zabieram whisky. Jeśli będziesz chciał się napić, musisz przyjść do sypialni.

Alan podniósł się i obserwował, jak Fay napełnia szklaneczki. Gdy go mijają, wymierzył jej klapsa w pośladki. Fay krzyknęła i rzuciła mu zalotne spojrzenie.

Ich współżycie seksualne układało się znakomicie. Kiedy później leżeli obok siebie, odpoczywając, Alan odezwał się:

- Wspaniale spędziłem dzisiaj czas z Robbym. To sprytny dzieciak i bardzo lubi żarty. Bawiliśmy się w świnki i Robert...

- Wiem - przerwała mu Fay. - Widziałam was. Jesteś wspaniały, jeśli idzie o chłopców. Jesteś wspaniałym ojcem i jesteś wspaniały dla mnie. To, co zrobiłeś przed chwilą, było cudowne.

- Będziemy tam szczęśliwi - powiedział Alan. - Opowiedziałem Robertowi.

- Gdzie będziemy szczęśliwi? - Fay zastanowiła się przelotnie, czy mają dość czasu, aby jeszcze raz kochać się przed kolacją.

- W RussMore - odparł. - A skoro mówimy o wydawaniu pieniędzy, możesz składać zamówienia. Chciałbym, żebyś odnowiła ten dom od piwnic po strych. To będzie nasz dom, a potem Timmy'ego. Fay, marzę o tym, żeby wejść tam razem z tobą i chłopcami i powiedzieć: „Ty przeklęty stary bękarcie, teraz to wszystko należy do mnie. Nie udało ci się odebrać należnego mi dziedzictwa”.

Fay wiedziała, jak reagować w takich wypadkach.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się domagał od niego odpowiedzi - rzuciła lekko. - Pośpiesz się, kochanie. Ja z kolei marzę o suflecie serowym, a ten, jeśli zaraz się nie ruszymy, gotów opaść.

Fay nigdy w życiu by się nie przyznała, nawet sama przed sobą, że ostatnim miejscem na świecie, gdzie chciałaby zamieszkać, jest ten wielki, ponury dom.

*

John Cunningham schował list do koperty i spojrzał na młodszego współpracownika.

- Wiesz, Frank, myślałem, że jeśli idzie o naturę ludzką, nic nie jest w stanie wprowadzić mnie w zdumienie, ale czegoś podobnego nigdy bym nie wymyślił. Zastanawiam się, czy ten szubrawiec zdaje sobie sprawę, jak by wyglądał w oczach całego świata, gdybym posłużył się tym dowodem?

Frank Collins, w przeciwieństwie do wielu młodych aplikantów, nie uważał Cunninghama za kogoś ustępującego jedynie Bogu.

- Zdaje się, że on jest ponad takie drobiazgi - powiedział. - Jeśli pochwalił się swoim postępkami Ronaldowi Hamiltonowi, najwidoczniej nie widział w tym nic nagannego. Jeżeli natomiast użyjesz tego dowodu, sprawa będzie wygrana.

Cunningham postukał w niebieską kopertę palcem wskazującym. Ten gest starego adwokata zawsze działał Collinsowi na nerwy, ale w końcu nawet Wszechmocny może mieć swoje słabostki. Do słabostek Collins zaliczał także używanie rozmaitych staroświeckich określeń, na przykład „szubrawiec”. Cunningham mógł sprawiać wrażenie, jakby żywcem wyszedł ze sztuki Oscara Wilde’a, ale nie zmieniało to faktu, że był najbystrzejszym i najtwardszym adwokatem w palestrze i biada świadkowi, który dostał się w krzyżowy ogień jego pytań.

- Tylko pod warunkiem, że żona Farringtona faktycznie oszukała swojego męża - odparł. - Jeśli po przeprowadzeniu badań krwi dziecka okaże się, że kody genetyczne córki i ojca są zgodne, nasz klient nie tylko przegra proces, ale też doszczętnie zrujnuje swoją reputację. Zastanawiam się, czy on w ogóle zdaje sobie z tego sprawę. - Westchnął. - Jako jego adwokat będę musiał zwrócić mu na to uwagę. Oczywiście najsensowniejszą rzeczą dla Hamiltona byłoby spotkać się z Rubenem Stone’em i namówić tę kobietę, żeby oddała dom za odpowiednią rekompensatę.

Collins przytaknął.

- W końcu na tym mu właśnie zależy, na rodzinnej posiadłości.

- Nie - odparł Cunningham wolno. - Jego motywy są bardziej złożone. Mamy do czynienia z człowiekiem, który pragnie rewanzu. Chce upokorzyć i poniżyć swoją macochę, ponieważ jest to jedyny dostępny mu sposób, aby uderzyć w ojca. Nie wiem, czy bez tego będzie usatysfakcjonowany. No, ale przecież musimy jakoś zarabiać na chleb. Wszystkie brukowce będą się prześcigały w rodmuchiowaniu tej historii. Powiedz sekretarce, żeby mnie

połączyła z Kenem Hubertem. Zaproszę go na obiad i spróbuję delikatnie wysondować, czy strona przeciwna wie coś na ten temat. A potem daj mi akta sprawy Fry *versus* Porter, dobrze? To przynajmniej czyste i uczciwe naruszenie warunków kontraktu.

*

Ken Hubert uśmiechnął się pod nosem na propozycję przyjaciela. Zaraz też zadzwonił do Molly i opowiedział jej o zaproszeniu Cunninghama.

- Zjemy wspaniały obiad i napijemy się doskonałego wina, a wszystko na koszt tego przebiegłego obłudnika. Chce wydębić ode mnie jakieś informacje i będzie bardzo zabawne nie udzielić mu żadnych - zachichotał.

Molly Hubert powiedziała z całą powagą:

- Nie masz żadnych zasad moralnych, kochanie, ale John też nie. Ty także próbujesz z nim różnych sztuczek. Dokąd jesteśmy zaproszeni?

- Do Le Caprice.

- Boże drogi! - wykrzyknęła Molly. - Rzeczywiście musi mu na czymś bardzo zależeć. Zastanawiam się, co to może być.

- Ja także. Albo on sam szykuje jakąś niespodziankę, albo też podejrzewa, że to my trzymamy coś w zanadrzu.

- A trzymamy?

Ken kochał Molly za jej przenikliwość.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale sprawdzę u Rubena.

W dwadzieścia minut później mówił gniewnie do słuchawki:

- Dlaczego, do cholery, zachował pan to dla siebie? Dlaczego od razu mnie nie poinformowano? Przecież to zupełnie zmienia postać rzeczy. Nie podoba mi się ta historia, absolutnie mi się nie podoba.

Odpowiedź Rubena była pozbawiona wszelkich emocji.

- Musieliśmy to najpierw sprawdzić. Nie mogłem zwracać panu głowy jakąś nie sprawdzoną historyjką, opowiedzianą w pubie po kilku kieliszkach. Musiałem uzyskać potwierdzenie, że historia jest prawdziwa.

- I okazało się, że jest. - Ken nie dał się tak łatwo uspokoić. - Sprawdził pan i okazało się, że historia jest prawdziwa.

- Przedsiębiorca pogrzebowy podpisał oficjalne zeznanie. Przysięga, że po wyjściu Farringtona z kaplicy zauważył, że zwłoki zostały częściowo oskalpowane; sporą część włosów wyrwano razem ze skórą. Tak więc strona powództwa może zażądać analizy DNA córki Farringtona.

- Chryste! - wybuchnął Hubert - Chryste, jak nisko człowiek potrafi upaść! Przecież ten facet jest psychopata. Niech pan posłucha. John Cunningham zaprosił mnie dzisiaj na kolację. Założę się, że to z powodu tej historii. Chce wyniuchać, czy już o niej wiemy, bo jeżeli nie, to będzie chciał zaskoczyć nas w sądzie. Musimy się jak najszybciej spotkać. Najlepiej na początku przyszłego tygodnia, bo, niestety, trzy najbliższe dni mam zajęte w sądzie. Jaka była reakcja naszej klientki na to wszystko? Spodziewam się, że będzie wolała raczej pójść na ugodę niż narażać dziecko na uczestniczenie w tak odrażającym procesie.

Ruben Stone odpowiedział powoli:

- Obawiam się, że nie. Do tej pory sprawiała wrażenie bardzo rozsądnej, o ile mogłem to ocenić; chętnie przystawała na każdą propozycję. Nie była chciwa i bynajmniej nie pragnęła walki. Ale to się zmieniło, kiedy usłyszała, jak sprofanowano zwłoki jej męża. To wyzwoliło w niej bunt. Zapowiedziała, że będzie walczyć do ostatka. Zagroziła nawet, że prędzej podłoży ogień pod ten dom, niż dopuści, by miałby on przypaść pasierbowi. Nigdy przedtem nie widziałem, aby ktoś zmienił się tak diametralnie. Naprawdę jestem skłonny wierzyć, że byłaby zdolna spełnić swoją groźbę. Bardzo mnie to niepokoi.

- Ja osobiście nie widzę powodu do niepokoju. Typowo kobieca histeria. Całkiem zrozumiała, ale nie brałbym jej serio.

Łatwo Hubertowi lekceważyć taką pogroźkę, pomyślał Ruben. Nie słyszał głosu Christiny w chwili, gdy wypowiadała swoją groźbę. Ta kobieta bynajmniej nie była histeryczką, za to przepelniał ją gniew, który mógł być niebezpieczny.

- Muszę przyznać, że wprowadzenie Wallberga w całą sprawę wcale nie pomogło. Ona teraz nie chce rozmawiać z nikim innym, tylko z nim. Myślę, że to było nieuniknione, skoro oboje są Szwedami, ale to on ją zachęca do zajęcia tak nieprzejednanej postawy.

- Gdybyśmy dążyli do ugody, będzie pan musiał zrezygnować z jego usług.

Hubert zlekceważył także problem Wallberga. Był adwokatem i z tej pozycji łatwo mu było udzielać rad w sprawach, które dla Rubena bynajmniej nie były takie proste.

- Zorganizuję spotkanie - powiedział Ruben, a potem zapytał z lekkim wahaniem, gdyż Hubert potrafił być bardzo opryskliwy wobec doradców prawnych: - Ma pan zamiar przedyskutować tę kwestię z Johnem Cunninghamem?

- Na Boga, nie. Pozwólmy mu sądzić, że trzyma w rękawie asa. Musimy znaleźć coś, czym możemy go przebić. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu i żadnych dalszych niespodzianek, dobrze?

Odłożył słuchawkę. Nie mógł się już doczekać, kiedy wróci do domu i powie o wszystkim Molly. Teraz nie miał czasu do niej dzwonić. Jeśli chce wieczorem pojechać do

domu, by przebrać się przed pójściem do Le Caprice, musi teraz popracować, nie robiąc sobie nawet przerwy na lunch.

*

- Jestem kuzynem Alana - zaczął Harry przyjaznym tonem. - Łączy nas pokrewieństwo pierwszego stopnia, jak sądzę. Nasi dziadkowie byli braćmi.

- Miło mi - odparła Fay zimno.

Harry całkowicie zaskoczył ją swoją wizytą. Po prostu zadzwonił do drzwi frontowych i oznajmił, że chciałby się z nią zobaczyć, a ten idiota Filipińczyk wpuścił go do salonu i zaanonsował: „Jakiś dzentelmen do pani?”. Już Alan sobie z nim porozmawia o wpuszczaniu obcych do domu.

Poprosiła go, aby usiadł. Uczynił to z uśmiechem, który wcale nie był taki niewinny, jak się wydawał. Przyjrzała mu się z uwagą. Miał ciemną karnację, był bardzo szczupły i umięśniony, ale niezbyt wysoki.

Musiała przyznać, że jest w nim pewne podobieństwo rodzinne, głównie z powodu czarnych włosów i głęboko osadzonych brązowych oczu.

- Ostatnie piętnaście lat spędziłem w Południowej Afryce - zaczął Harry - dlatego też nie byłem na waszym weselu ani nie spotkaliśmy się do tej pory.

Fay nie wiedziała nawet, że był zaproszony. Ich wesele było skromne. Płacili za nie jej rodzice, którzy byli zbyt dumni, aby pozwolić Alanowi ponosić choćby część kosztów. Ze strony Alana w przyjęciu uczestniczył jego ojciec, bez przerwy zadzierający nosa, i ta krowa Christina, zachowująca się Bóg wie jak protekcyjnie. Na samo wspomnienie wesela Fay zawrzała gniewem. Richard Farrington i jego żona zepsuli jej ten szczęśliwy dzień. Alan nie chciał ich zaprosić, ale ona i matka bardzo nalegały, zwłaszcza matka. „Och Alan, nie możesz ich pominąć, to byłoby okropne... kochanie, to przecież jest twój ojciec”. Alan ustąpił wyłącznie dlatego, aby sprawić jej przyjemność.

W tym tak zwanym kuzynie także było coś irytującego. Ten arogancki uśmieszek i ta swoboda, z jaką zajął miejsce, jakby uważał, że ma do tego wszelkie prawo.

- Gdy wróciłem, miałem zamiar odwiedzić Alana - powiedział Harry. - A potem dowiedziałem się o tych wszystkich kłopotach w rodzinie, jakie pojawiły się po śmierci kuzyna Richarda.

- A co to ma wspólnego z panem? - zapytała Fay ostro.

- Cóż, nie byłem pewien, czy to prawda - odparował natychmiast.

- Tak, to prawda. Testament był krzywdzący, więc Alan oddał sprawę do sądu. Mam nadzieję, że takie tłumaczenie panu wystarczy.

Fay była otwarcie wroga, ale Harry zdawał się tego nie dostrzegać.

Ciągle się uśmiechał.

- O tak, teraz rozumiem. W dzieciństwie często bywałem w RussMore i sporo wtedy widywałem Alana i Jamesa. Zawsze byłem przekonany, że Alan da sobie radę w życiu. Z Jamesa był kawał tchórza. - We wrogim spojrzeniu Fay na moment pojawił się błysk aprobaty. - Ale przy takiej matce nie mogło być im łatwo. Już wtedy tkwiła w nałogu po uszy.

Fay powiedziała gwałtownie:

- Mieli okropne dzieciństwo. Nigdy nie zaznali prawdziwej miłości, zwłaszcza Alan. My także mamy synów i proszę mi wierzyć, że nie popełniamy tego samego błędu. Alan jest wspaniałym ojcem.

- Jestem pewien - zgodził się Harry. - Jestem też pewien, że pani jest wspaniałą matką. Oboje jesteście wspaniałymi rodzicami.

Fay wstała.

- Czego pan chce? Po co pan tu przyszedł?

- Przyszedłem w nadziei zobaczenia się z Alanem, ale skoro go nie zastałem, może zechce mu pani przekazać wiadomość ode mnie.

- Może - odparła. - To zależy od tego, co ma mu pan do powiedzenia. Wydaje mi się, że nie jest pan po jego stronie, panie Spunnier.

- Spannier - poprawił ją. - Harry Spannier. Proszę mu przypomnieć, że kiedy byliśmy dziećmi, a on próbował mnie terroryzować, miałem zwyczaj odpłacać mu kopniakami. Jestem pewien, że to pamięta. No więc jeśli będzie terroryzował tę kobietę i jej córkę, wrócę tu i tak mu skuję mordę, że popamięta. Powtórz mi to pani ode mnie, dobrze? A teraz już sobie pójdę.

- Wynoś się! - krzyknęła Fay. - Ty pieprzony gnoju, wynoś się z mojego domu!

Stojąc w drzwiach, Harry odwrócił się jeszcze i popatrzył na nią ze smutkiem.

- „Bóg stworzył mężczyznę i kobietę i połączył ich, by stanowili jedność”. Widzę, że stanowicie uroczą parę.

Gdy zamykał za sobą drzwi, ciągle jeszcze słyszał głos Fay obrzucającej go przekleństwami.

*

- Bardzo lubię tę ścieżkę - mówiła Christina. - Jest taka otwarta i człowiek ma stąd wspaniały widok. Pamiętam, że kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, angielska pogoda wydała mi się czymś okropnym, ale teraz przyzwyczałam się i nawet ją polubiłam. Uwielbiam angielskie chmury, gnane wiatrem, zmieniające się dosłownie z każdą chwilą. To

bardzo stary kraj. W niektórych wioskach nic się nie zmieniło przez całe stulecia. My w Szwecji jesteście zapatrzeni w przyszłość. Myślę, że Anglia tak mnie zafascynowała przez ten kontrast. Belindo, nie zabieraj Sammy na skraj lasu. Pobiegnie za jakimś zwierzątkiem i nigdy nie ściągniemy jej z powrotem. - Odwracając się do Rolf'a, dodała: - To pies Richarda. Miał też jej matkę, a przedtem babkę. Kiedyś Sammy wpadła do króliczej jamy i nie mogliśmy jej znaleźć przez pięć dni, Richard był załamany. Początkowo wydawało mi się dziwne, żeby tak się przejmować psem, ale teraz też ją polubiłam.

Rolf nie bardzo wiedział, co na to powiedzieć. Jako dziecko nigdy nie miał żadnego zwierzątka. Jego przybrani rodzice nie trzymali zwierząt domowych. W końcu zapytał:

- Czy Sammy to nie jest imię męskie? Dlaczego nazywacie sukę Sammy?

- To zdrobnienie od Samantha. Wszystkie teriery mają imiona zaczynające się na literę S. Jej matka wabiła się Susan.

Rolf pokręcił głową.

- Ci Anglicy i ich psy! Masz zamiar kupić Belindzie kucyka? Słyszałem, jak pytała o to podczas lunchu.

- Nie - odparła Christina zdecydowanie. - Nie wcześniej niż w przyszłym roku.

- A czy ten kucyk mógłby być prezentem ode mnie? Oczywiście pomogłabyś mi go wybrać. Zupełnie nie znam się na koniach.

Christina przystanęła, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Od ciebie? Ależ Rolf, przecież ciebie w przyszłym roku już tu nie będzie.

Rolf podjął spacer, więc ruszyła za nim.

- Może zostanę tutaj. Spodobało mi się w Anglii. Jeszcze się ostatecznie nie zdecydowałem. Bardzo chciałbym ofiarować Belindzie prezent, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Z pewnością cię pokocha, jeśli to zrobisz - przyznała Christina. - Jeśli serio masz takie zamiary, będzie cudownie.

A więc nie odmówiła mu. Miał cichą nadzieję, że nie odmówi. Bardzo pragnął obdarować czymś Belindę. Nigdy przedtem nie ofiarował niczego dziecku i już sobie wyobrażał radość na wyrazistej buzi Belindy. Sam jako dziecko nigdy tego nie doświadczył.

- Christino, czy moglibyśmy już wrócić? Chciałbym porozmawiać z tobą i Belindą.

- Dlaczego z nią? O czym? - Spojrzenie Christiny nagle stało się czujne. - Nie chciałabym, żeby się zdenerwowała. Zapewniłam ją, że wszystko dobrze się skończy.

- To samo usłyszysz ode mnie, ale tobie chcę powiedzieć coś innego. O, Belinda właśnie biegnie z powrotem.

Belinda chwyciła matkę za rękę.

- Mamusiu, Sammy jest tam za drzewami. Sam, Sam! Wracaj natychmiast!

Christina powiedziała troskliwie:

- Kochanie, zmarzłaś. Ręce masz zimne jak lód. Mówiłam ci, żebyś wzięła gruby sweter.

Belinda zadrżała mimo woli.

- Przepraszam, zapomniałam. Ten wiatr jest taki zimny.

Rolf ściągnął z ramion kurtkę.

- Masz - powiedział. - Owiń się nią.

Belinda otuliła się kurtką i popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Jaka świetna - powiedziała - i jaka ciepła. Uwielbiam takie wielkie kurtki. Wszystkie dziewczynki z mojej klasy mają takie same. Długie i obszerne, zupełnie jak twoja. Ale, Rolf, przecież teraz tobie będzie zimno.

Wallberg roześmiał się.

- Nie będzie. Ja włożyłem gruby sweter, więc kurtka nie jest mi potrzebna. Wyglądasz w niej świetnie.

Belinda poczerwieniała z zakłopotania.

- Zdaje się, że ona cię kocha nawet bez kucyka - mruknęła Christina.

Po wejściu do domu Belinda zaczęła odpinać guziki kurtki.

- Zostaw ją sobie - powiedział Rolf. - Do twarzy ci w niej. Oddasz mi przy następnej wizycie.

Zachwycona Belinda pobiegła na górę przejrzeć się w lustrze.

W wyobraźni Rolf widział już je obie siedzące przy kominku w gabinecie; Belinda na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, bawiąca się z tym śmiesznym stworzeniem imieniem Sammy.

- Lindy, cieszysz się już na Boże Narodzenie? - zapytał dziewczynkę.

Belinda odpowiedziała mu uśmiechem. Pomyślał, że bardzo dojrzała w ostatnim czasie. Nie zapowiadała się na taką bladą, subtelną piękność jak jej matka, ale miała w sobie urzekającą słodycz, która czyniła ją bardzo ładną.

- Pewnie. Już się nie mogę doczekać. Święta w RussMore są zawsze wspaniałe. Urządzamy wielkie przyjęcie, na które przychodzą dzieci z całej okolicy. Wszyscy dostają prezenty, a potem gramy w różne gry. Mamusiu, czy w tym roku będzie tak samo, skoro tatusia nie ma? - Promienne oczy zaćmiły się na moment.

- Dokładnie tak samo - odparła Christina. - Urządzimy wszystko tak, jakby tatuś był z

nami, kochanie. Zresztą on przecież będzie z nami. Będzie spoglądał na nas z góry i życzył nam, abyśmy byli szczęśliwi.

Rolf zobaczył, że oczy Christiny też wypełniają się łzami.

- A ty, Rolf? Czy będziesz na święta w Anglii, czy wracasz do Szwecji do swojej rodziny?

Już wcześniej Rolf nalegał, aby Belinda przestała nazywać go panem Wallbergiem.

- Nie mam rodziny - odparł - i nie wiem jeszcze, co będę robił w czasie świąt.

- W takim razie przyjeźdź do nas! Mamo, czy to nie byłoby wspaniale, gdyby Rolf mógł spędzić z nami święta?

- Oczywiście, że byłoby. - W głosie Christiny nie było śladu rezerwy.

- Dziękuję wam za zaproszenie - powiedział Rolf miękko, a zwracając się tylko do Belindy, dodał: - Powiedz mi, co najbardziej lubisz w tym domu? Ogród? Alejki w parku? Co?

Belinda zmarszczyła brwi, zadowolona i zakłopotana jednocześnie. Mógł sobie wyobrazić, że myśli w tej chwili: „Co za zabawne pytanie”. Po krótkiej chwili głębokiego zastanowienia odparła po prostu.

- Wszystko. To jest mój dom i kocham go. Mama mówi, że Alan nam go nie zabierze. Obiecała.

Rolf pochylił się ku Belindzie.

- Ja też ci obiecałem. Dawno temu, kiedy pokazywałaś mi ogród różany, obiecałem, że do tego nie dopuszczę. Zawsze dotrzymuję obietnic.

Później, kiedy Belinda poszła jeść kolację i oglądać telewizję, zwrócił się do Christiny:

- A co jej powiesz, jeśli Alan wygra proces? Jak masz zamiar z nim walczyć, skoro nie chcesz się zgodzić, aby poddała się testom? Do rozpoczęcia sprawy zostały zaledwie trzy tygodnie.

- Jeśli przegram, będę apelowała. Ken Hubert mówi, że jest taka możliwość. Jeśli przegram w sądzie apelacyjnym, zwrócę się do Izby Lordów.

- Nawet jeśli dostaniesz pozwolenie, będziesz zrujnowana. Koszta sprawy pochłoną wszystko. Tłumaczyłem ci to już wcześniej.

- Wiem, że mi tłumaczyłeś, ale to nie ma żadnego znaczenia. Nie pozwolę, aby Belinda była w to zamieszana i nie oddam RussMore. Nie ustąpię, jestem to winna Richardowi.

Przytulił ją do siebie i znowu nie wyczuł w niej żadnej rezerwy.

- Jesteś też coś winna sobie samej - powiedział z naciskiem. - Masz przed sobą życie. Kocham cię i pragnę je z tobą dzielić. Potrafię uczynić się szczęśliwą i Belindę także. Nie możesz zniszczyć samej siebie dla jakiegoś domu czy też dla człowieka, który już odszedł. Zresztą on też cię kochał i nie chciałby tego dla ciebie.

- Ja tego pragnę - odparła. - Teraz znaczy to dla mnie bardzo wiele. Nie mogę powiedzieć, że cię kocham, Rolf, ponieważ sama nie wiem, co do ciebie czuję. Seks to nie jest miłość, tyle wiem.

Przytulii ją do siebie.

- A czy ty wiesz, co seks może naprawdę znaczyć? Chodź do łóżka i pozwól, że ci pokażę.

*

- Mamusiu - zapytała Belinda - dlaczego Rolf odjechał tak szybko? Nie prosiłaś go, żeby został dłużej?

- Musiał coś załatwić. Prawnicy są bardzo zapracowani, nawet podczas weekendów - powiedziała Christina. - Kazał cię pozdrowić.

Rano, kiedy odjeżdżał, Christina jeszcze spała. Ostatnim obrazem, jaki zapamiętała, zanim zapadła w sen, był świt przesączający się przez szparę w zaciągniętych zasłonach w sypialni i ramię Rolfa ciasno opasujące jej ciało.

- Lubisz go, prawda? Przedtem go nie lubiłaś. Czy lubisz go bardziej niż Harry'ego?

Christina popatrzyła w niewinne oczy dziecka i odpowiedziała:

- Nie wiem. Oni tak bardzo różnią się od siebie.

Różnią się. Jak miała opisać tego mężczyznę, z którym kochała się ubiegłej nocy? Nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Jak poradzić sobie z doznaniem, które w niej wzbudzał? Z ponownym odkryciem swojego ciała, z pogrążeniem się w fizycznej rozkoszy w zupełnie nie znany sobie dotychczas sposób, niemal do granic samounicestwienia? Ale czy kochała go? To było pytanie, którego nie odważyła się postawić sobie nawet w myślach, bo gdyby odpowiedziała „tak”, musiałaby żyć z poczuciem winy, że zdradziła Richarda, od którego śmierci nie minął nawet rok, i oszukała własną córkę, która wierzy, że miłość Christiny należy do jej ojca.

- Belindo - powiedziała - mogę lubić Rolfa i Harry'ego, ale kochałam tatusia i kocham ciebie. Co będziemy dzisiaj robiły? Może pojedziemy do Lincoln na zakupy?

- Świetnie! - zawołała Belinda z zapalem. - Szaleję na punkcie nowego albumu grupy Take That. Specjalnie oszczędzałam. Mogłabym go kupić już teraz i potem zabrać ze sobą do szkoły. Cała moja klasa się nimi zachwyca.

Zachwyty, zachwycenie. Czyż to słowo nie oddawało najlepiej uczuć i doznań, jakie wzbudził w niej Rolf? Nie, to także nie było odpowiednie określenie. Rolf nie jest typowym mężczyzną z kobiecych wyobrażeń; uosabia raczej potęgę natury. Christina usiłowała teraz zatrzasnąć swój umysł, uwolnić się od wspomnień tej nocy i dręczących pytań. Pewnie niebawem ogarnie ją poczucie winy. Niebawem, ale jeszcze nie teraz. Może wtedy lepiej zrozumie swoje rozterki.

- W takim razie pośpiesz się - powiedziała do Belindy. - Zaczniemy od wizyty w sklepie z płytami.

Spędziły w mieście długie, przyjemne popołudnie i Belinda wróciła do domu z wymarzonym albumem i jeszcze dwiema płytami innych zespołów oraz kilkoma sukienkami, których kupieniu Christina nie zdołała się oprzeć. Belinda od razu pobiegła na górę posłuchać muzyki. Na taśmie automatycznej sekretarki zarejestrowana była wiadomość. Głos Rolfa wywołał u Christiny gwałtowne bicie serca.

„Pani Farrington, tu Rolf Wallberg. Przez najbliższe dwa dni będę zajęty, ale skontaktuję się z panią”.

To była informacja na użytek pani Manning, która miała irytujący, acz w gruncie rzeczy nieszkodliwy zwyczaj przesłuchiwania nagranych wiadomości i cofania potem taśmy. Dalej Rolf mówił po szwedzku.

„Nie budziłem cię, ponieważ spałaś tak głęboko. Myślę, że teraz znasz już odpowiedź. Okazałaś mi, że ty też mnie kochasz”.

To było wszystko.

Christina wyłączyła taśmę. Co mu okazała? Namiętność? Tak głęboką i intensywną, o jaką nawet się nie podejrzewała? Ale nie doświadczyli czułości i radości płynącej z wzajemnego kontaktu ciał po skończonym akcie miłosnym, nie wyszeptali do siebie ani jednego słowa pełnego oddania, nie roześmiali się radośnie. Od razu otworzyła się przed nimi otchłań snu i pochłonęła ich bez reszty. Może burza namiętności pozbawiła ją całej energii, pozostawiając ją pustą, niezdolną do odczuwania czegokolwiek? Może dopiero później nadejdzie czas na inne uczucia, także na poczucie winy?

Mrugające oko automatycznej sekretarki zasygnalizowało, że na taśmie jest jeszcze jedna wiadomość. Ponownie nacisnęła przełącznik.

„Christa, chcę ci powiedzieć, że wpadłem na krótko do Londynu. Zatrzymałem się w Capitalu. Zadzwoń do mnie, chętnie bym z tobą porozmawiał. *Au revoir*”.

Taśma zatrzymała się.

James. Jego pretensjonalny sposób mówienia i francuski wtręt napełniły ją irytacją.

Jak on śmiał do niej dzwonić po tym, co uczynił?

Zadzwoń do ciebie, powiedziała z pogardą. Do ciebie? O, niedoczekanie twoje.

I nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Gdyby nie telefon pasierba, nigdy by na to nie wpadła, ale kiedy już raz o tym pomyślała, wydało jej się to tak oczywiste, że aż wstrzymała oddech z podniecenia. James jest synem Richarda, więc ma ten sam kod genetyczny. Gdyby mogła zaapelować do jego uczuć, do jego serca, może pomógłby jej znaleźć odpowiedź na pytanie, wiszące nad jej głową niczym miecz Damoklesa.

Poczekaj, upomniała samą siebie, nie działaj pośpiesznie, przemyśl wszystko dokładnie. James to złożona osobowość i ma mocno wypaczony charakter. Może się zgodzić pod wpływem chwilowego impulsu, a potem ponownie rozważyć prośbę i odebrać ją jako akt desperacji. Ale może też zwyczajnie uwierzyć w kłamstwa, jakimi miała zamiar go uraczyć. Z mściwą satysfakcją pomyślała, że zawsze uchodziła za osobę szczerą i prawdomówną i że taka opinia może jej pomóc teraz, gdy postanowiła uciec się do kłamstwa. Znowu przypomniała sobie, jak Richard określił kiedyś swojego młodszego syna.

„Neutralny, gdy wszystko układa się dobrze, słaby, kiedy dochodzi do konfliktu. Nigdy nie miałem w nim żadnego oparcia”.

Raz zaufała Jamesowi, a on odwdzieczył się jej kradzieżą rękopisu, który nocą ukradkiem wyniósł z biblioteki. Ale jeśli mu wybaczy, jeśli nie będzie go oskarżać ani gniewać się na niego, może wzbudzi w nim poczucie winy. James zdaje sobie sprawę z tego, że z powodu jego fałszu i dwulicowości nikt mu nie ufa. Gdyby potrafiła go przekonać, że mu wierzy...

Jeśli chce chronić Belinę, musi działać na oślep. To ogromne ryzyko, ale nie ma innego wyjścia. Gdyby jednak udało jej się nakłonić Jamesa, aby przystał na badanie DNA, wiedziałyby przynajmniej, czy odniesie szybkie zwycięstwo, czy też ma się przygotować na długą batalię z użyciem różnych sztuczek prawnych. Nie będzie pytała Rolfa o radę ani zwracała się do Harry'ego. To ona musi podjąć decyzję i ponieść konsekwencje, jeśli decyzja okaże się błędna. Zadzwoiła do Capitalu i poprosiła o połączenie z Jamesem Farringtonem. Po skończonej rozmowie odetchnęła głęboko. Wszystko zostało zaaranżowane. James miał przyjechać pojutrze i przenocować. Belinda będzie już wtedy z powrotem w szkole.

*

To z powodu jawnej wrogości ze strony Fay James postanowił zadzwonić do Christiny. Kiedy zatelefonował do Alana do Chelsea, Fay oświadczyła, że Alan wyjechał właśnie do Birmingham.

- Och, co za szkoda. Kiedy wraca?

- Nie mam pojęcia. Podpisuje koncesję na nową sieć restauracji - Curry Houses. To duża sprawa i nie wiem, kiedy wróci. Powiem mu, że dzwoniłeś.

On poświęcił swój urlop, żeby wesprzeć Alana, a Fay tymczasem nie zdobyła się nawet na cieplejsze słowa powitania, nie mówiąc już o zaproszeniu go do domu.

- Curry Houses? - powiedział złośliwie. - Przecież ten rynek już się kończy. Myślałem, że planuje wypuszczenie akcji. To byłby interes - wejść na giełdę i zgarnąć od razu większą forszę. Po co zawracać sobie głowę jakimiś Pakistańczykami w Birmingham?

Tą uwagą dopiekł Fay do żywego. Bratowa miała ostry język i nie pozostała mu dłużna.

- Wiem, że oberwałeś po głowie, ale przecież nie możesz być aż tak głupi. Jeśli chcesz znać szczegóły, pytaj Alana. Muszę już iść. Zadzwoń jeszcze, może Alan już będzie w domu.

Odłożyła słuchawkę. James poczuł narastającą wściekłość. W obecności Alana Fay nigdy nie odważyłaby się zwracać do niego takim tonem. Zazdrosna krowa. Zwykła, pospolita krowa. Jego ojciec miał rację, kiedy powiedział przed laty: „To jasne, że Alan zdecydował się na dziewczynę tego pokroju. Przy niej może czuć się kimś lepszym”. To brzmiało jak okrutny, miażdżący wyrok, ale w tej chwili James rozkoszował się tymi słowami.

*

- Zeszczuplałaś, Christa, ale do twarzy ci z tym.

- Naprawdę nie próbowałam żadnej diety.

Zapanowała chwila niezręcznego milczenia. James mierzył Christinę niepewnym spojrzeniem, oczekując, że zaraz powie coś na temat kradzieży. Christina czuła, że nie może pominąć tego incydentu, jeśli ma zamiar prosić go o pomoc. Odstawiła filiżankę i wyprostowała się na krześle.

- Zawsze cię lubiłam, James, i miałam nadzieję, że ty też mnie trochę lubisz. Dlaczego mnie okradłeś?

James westchnął.

- O Boże, cały czas zastanawiałem się, co się kryje za twoim zaproszeniem. Spędziłem zbyt wiele lat w tym domu, a zwłaszcza w tym pokoju, oskarżany o różne rzeczy. Nie sądzę, abym miał ochotę po raz kolejny być stawiany pod pręgierzem, tym razem przez ciebie. Jeśli masz zamiar być dla mnie niemiła, natychmiast wracam do Londynu.

- Nie będę niemiła - odparła Christina. - Nie zapraszałabym cię, gdyby taki był mój zamiar. Powiem ci coś, co cię może zdziwi. Twój postępek mnie zabolął, naprawdę zabolął. Myślałam, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Nie jestem zła na ciebie, naprawdę nie.

- A powinnaś być. Rękopis był wart mnóstwo forsy, tak przynajmniej zapewniał mnie ten prawnik. Mówił, że miliony. Nie wierzę, by w grę wchodziła aż taka kwota, ale naprawdę musiał być cenny, bo inaczej ojciec tak by się nim nie zachwycał. Dlaczego nie jesteś na mnie wściekła, Christa? W końcu nie przemieniłaś się nagle w świętą.

- Nie - odparła Christina - nie jestem świętą. Nie wiem, co powiedział ci Wallberg. Ten rękopis był własnością Żydów, którzy zginęli z rąk nazistów. Nigdy nie dotknęłabym pieniędzy splamionych krwią. Gdyby nie udało mi się odnaleźć rodzin pomordowanych, przekazałabym je na cele dobroczynne. Tak więc nie myśl, że mnie obrabowałeś. Po prostu zraniłeś moje uczucia, to wszystko. Może łatwiej przyszedłoby mi zrozumieć twój postępek, gdybyś mi go jakoś wytłumaczył.

James oczekiwał ataku, tymczasem ze strony Christiny spotkała go nie wrogość, lecz jedynie bolesny wyrzut. Zaskoczyła go tym.

- Przepraszam - powiedział zmieszany. - Nie traktowałem tego w ten sposób. Przede wszystkim byłem ciekawy, ciekawy mojego własnego ojca, który zawsze odgradzał się ode mnie i nie pozwalał mi zobaczyć się takim, jakim był naprawdę, jakim ty go widywałaś. Tamtego wieczoru byłem wściekły, wściekły z powodu muru, jakim się ode mnie odgradzał, więc poszedłem do biblioteki, bo chciałem wreszcie przyjrzeć się temu, czego nigdy nie pozwalał mi obejrzeć, sprawdzić, co czyniło go tak obojętnym. A potem, kiedy znalazłem rękopis, przeczytałem pełne zachwyty notatki ojca i zobaczyłem, jak bardzo cenił ten dokument, ogarnął mnie gniew. Ukradłem rękopis, żeby odplacić ojcu za to, że zawsze trzymał mnie na dystans, że byłem mu obojętny aż do dnia jego śmierci. Chciałem się zemścić na nim, a nie dokuczyć tobie. Nie jestem Alanem.

- Wiem, że nie jesteś taki jak Alan - zapewniła Christina łagodnie. - Dziękuję ci, że mi to wytłumaczyłeś. Rozumiem, co wówczas czułeś, i przykro mi. Zapomnijmy o tamtym, dobrze? Wiesz, słuchając twojego opowiadania pomyślałam sobie, że... - Zawahała się na moment. - James, może chciałbyś mieć coś z rzeczy osobistych ojca jako pamiątkę? Chciałabym, abyś sobie coś wybrał.

James pokręcił głową.

- Chcesz mi odplacić dobrem za zło? Nie, wiem, że nie myślałaś o tym w ten sposób. To bardzo wspaniałomyślna propozycja. Podczas tego napadu straciłem spinki do mankietów, które dostałem od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Wiem, że to ty je wybierałaś. Ojciec miał identyczną parę i chętnie bym je wziął na pamiątkę. Dziękuję ci.

- Popatrzył na nią i Christinie przez moment wydawało się, że w ciele tego dorosłego bądź co bądź mężczyzny wciąż kryje się mały chłopiec.

- A skoro mi wybaczyłaś, to czy mógłbym prosić o jeszcze jedną filiżankę herbaty?

Christina napełniła filiżanki.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś, James. Naprawdę.

James wyraźnie się odprężył. A więc udało się jej. Była zdumiona własną przebiegłością i jednocześnie rada, że udało jej się przyprawić ją autentycznym współczuciem. Jej propozycja była spontaniczna, ale znakomicie pomogła w planowanym oszustwie.

Na kolację przeszli do jadalni. W początkowym okresie małżeństwa Christina pragnęła, aby ona i Richard mogli jadać posiłki w jakimś mniejszym, przytulniejszym pomieszczeniu, ale mąż sprzeciwił się temu, twierdząc, że układ domu nie bardzo sprzyja mniej oficjalnemu trybowi życia. „Niestety”, dodał, ale Christina nie sądziła, by naprawdę tego żałował. Pani Manning, która gotowała, kiedy nie było gości, także niechętnie widziała Christinę w kuchni. Tak więc jadali albo w gabinecie przy kominku, albo zasiadali przy świecach w wykładanej boazerią jadalni.

- Dobrze pamiętam ten pokój - zauważył James. - Ceremonialny, niedzielny lunch, kiedy to ojciec przykazywał nam wyglądać schludnie. Alan zawsze zjawiał się z koszulą wystającą ze spodni albo w starych, podartych dżinsach. To był koszmar, nie znosiłem tych posiłków. Czy wiesz, że rodzice zasiadali na przeciwległych krańcach stołu? Ożeniwszy się z tobą, ojciec zaczął się zachowywać zupełnie inaczej. On musiał nienawidzić mamy. Usiłowałem to zrozumieć, ponieważ chwilami ja też jej nienawidziłem, zwłaszcza gdy była pijana albo naćpana. Miała wtedy takie puste spojrzenie i uśmiechała się głupawo. Czasami pragnąłem ją uderzyć. Czy to nie okropne wyznanie?

- Nie - zapewniła go Christina. - Nie sądzę. Nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego dla chłopca niż dorastanie w podobnej atmosferze. To zadziwiające, jak dobrze udało ci się nad tym zapanować. Gdybyś tylko potrafił wymazać z pamięci wspomnienia i nie wracać już do przeszłości!

James popatrzył na nią.

- Właśnie dlatego wyjechałem do Stanów. Pomyślałem, że najlepiej będzie znaleźć się daleko od ojca, Alana i ich wzajemnej nienawiści. Nie całkiem mi się to udało, ponieważ człowiek wszędzie dźwiga ze sobą swój bagaż, trochę jednak pomogło. Szkoda, że nie znałem cię lepiej, kiedy tu mieszkalem, ale ojciec nie zachęcał mnie do tego. Był zazdrosny. Dopiero teraz widzę, że nie chciał, aby cokolwiek poza nim samym zaprzętało twoją uwagę. A poza tym była Belinda. Skoro już mówimy o zazdrości... Boże, jaki ja byłem o nią zazdrosny. A jak ona się miewa teraz? Pytam naprawdę szczerze.

- Poszła do St. Mary's i jest naprawdę szczęśliwa w szkole. Dzieci są o wiele odporniejsze, niż się nam wydaje. Oczywiście tęskni za Richardem, ale potrafi nad sobą panować. Nie wiem natomiast, jak się zachowa, gdy dojdzie do procesu. Przecież ta sprawa będzie głośna; aż się boję pomyśleć, jak bardzo rozdmucha ją prasa i jaki to wywrze wpływ na Belinę.

Teraz, pomyślała w duchu. To jest najlepszy moment, aby zaryzykować. James jest odprężony, w nostalgicznym nastroju, pod wpływem dobrego wina. Jeśli powiem mu teraz, może uda mi się potrafić w nim właściwą strunę.

- James, chciałabym powiedzieć ci coś, z czym noszę się od dłuższego czasu. Dyskutowałam to już z prawnikami. Alan chce oprzeć sprawę na założeniu, że Belinda jest nieślubnym dzieckiem. Możliwe, że się nie myli.

Zobaczyła, że James wlepia w nią wzrok i odstawia kieliszek.

- Mówisz serio?

Christina starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie.

- Tak. Miałam kochanka, z którym zerwałam dosłownie w przeddzień poznania twojego ojca. Zaczęłam sypiać z Richardem i wkrótce odkryłam, że jestem w ciąży. Wiedz, że od razu powiedziałam twojemu ojcu o swoich podejrzeniach, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć. Był przekonany, że Belinda jest jego dzieckiem. Ale jeśli nie jest... - urwała na moment - jeśli Belinda nie jest jego córką, będę musiała oddać RussMore Alanowi.

- Mój Boże - powiedział James - mój Boże, naprawdę? Czy Alan wie o tym?

Christina pokręciła głową przecząco.

- Nie. James, jest tylko jeden sposób, aby poznać prawdę. Dowiadywałam się już - to jest zupełnie proste. Analiza: DNA. Badanie krwi twojej i Belindy. Jeśli Belinda jest córką Richarda, jej kod genetyczny będzie zgodny z twoim. James - pochyliła się do przodu, patrząc na niego błagalnie. - James, czy zgodzisz się? Oszczędziłoby to nam skandalu. Jeśli Alan ma rację, dostanie RussMore, a my poszukamy sobie innego domu.

James sięgnął po kieliszek. Zbliżył go do płomienia świecy, podziwiając głęboką czerwień klaretu.

- Jeżeli natomiast mój brat nie ma racji, wtedy sprawa upadnie, a ty wygrasz, czy tak? To hazard.

- Owszem - przyznała Christina - ale warto zaryzykować. Pomożesz mi?

James odstawił kieliszek, nie tykając wina. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

- Nie wiem - odparł w końcu. - Najpierw muszę to przemyśleć. Wolę odłożyć decyzję do rana, kiedy będę miał świeży umysł.

Uśmiechnął się. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Christinę ogarnęła rozpacz. James wymykał się z jej zasięgu.

- To wielka odpowiedzialność - mówił. - Trochę jak rzucanie monetą. Nigdy bym cię nie podejrzewał, że potrafisz zdobyć się na ryzyko przy tak wielkiej stawce - dodał zimno. - Może myślisz, że masz spore szanse?

Tak nagła zmiana w jego zachowaniu była zaskakująca. Początkowo Christinie wydawało się, że emanuje z niego wrogość, ale to było coś innego. Po raz pierwszy widziała pasierba w nowej, niezwyklej dla niego roli. Teraz to on sprawował kontrolę nad zaistniałą sytuacją. Potrzebowała jego pomocy i tym samym oddała się w jego ręce. Dzięki temu James zyskał nad nią władzę.

- To dlatego mnie tu zaprosiłaś?

- Tak, nie zaprzeczam. Pomyślałam, że jesteś jedyną osobą, która mogłaby położyć kres temu całemu koszmarowi, zanim wymknie się on spod naszej kontroli.

- Może jestem - zgodził się. - Jakież to podniecające! Po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę ważny. - Roześmiał się, ale nie był to miły śmiech. - Zastanowię się nad twoją propozycją. Jutro dokończymy naszą rozmowę. Nie chcę podejmować nie przemyślanej decyzji. Nigdy nie angażuj się w nic po zjedzeniu dobrego obiadu, któremu towarzyszył wyborny klaret. Nie pamiętam, kto to powiedział, może zresztą sam to wymyśliłem, ale to dobra rada. Czy będziesz bardzo zła, jeśli odmówię wypicia kawy? Nie potrafiłbym później zasnąć.

- Ja także nie będę piła - powiedziała Christina.

Zaryzykowała i przegrała. Wiedziała o tym, nie musiała nawet czekać na jego jutrzejszą decyzję.

- Ten twój szwedzki prawnik - odezwał się nagle James - to prawdziwy łajdak. Groził mi użyciem siły, wiedziałś o tym? Nie wydawał mi się zbyt etyczny, myślę, że naprawdę jest zdolny do przemocy. Na twoim miejscu byłbym ostrożny, zatrudniając kogoś takiego. Przestraszył mnie jeszcze bardziej niż tamten napastnik. A właśnie, czy podtrzymujesz swoją propozycję co do spinek ojca? Nie odbierzesz mi ich, jeśli nie zgodzę się na przeprowadzenie testu?

Christina odpowiedziała ostro:

- Nie mów do mnie w ten sposób, James.

- Żartowałem tylko - wycofał się pośpiesznie. - Naprawdę zabolęła mnie strata tamtych spinek. Łajdak zabrał mi w sumie trzy pary. Dwie z nich pochodziły od Tiffany'ego. Dostałem je od przyjaciela. Jedna para była z rubinami, druga z szafirami, a obie miały kształt

węzła kochanków. Nie jesteśmy już, co prawda, kochankami, ale nadal pozostajemy w przyjaźni. Ten mój przyjaciel jest obdarzony doskonałym gustem. Czy chciałabyś obejrzeć wiadomości w telewizji? Ja wolałbym się wcześniej położyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Możesz iść na górę - powiedziała Christina. - Zostało mi jeszcze coś do zrobienia. Śniadanie jest o dziewiątej.

- To też tradycja - zauważył. - Nawet podczas wakacji nie pozwalano nam wylegiwać się dłużej.

Pochylił się, niemal dotykając ustami jej policzka. Ten gest skojarzył się Christinie z pocałunkiem Judasza.

- Dobranoc, Christa, i nie martw się już tak bardzo. Zastanowię się nad twoją prośbą. Po spokojnie spędzonej nocy, kto wie?...

Zamknęła za nim drzwi. Czowała się kompletnie wyczerpana, a bolesny ucisk w skroniach zwiastował nadchodzącą migrenę. „Zastanowię się nad twoją prośbą. Po spokojnie spędzonej nocy, kto wie?...” To było oszustwo. James podjął już decyzję, ale pragnął potrzymać ją jeszcze w napięciu. Potrafił być okrutny i rozkoszował się tym. Wiedziała dobrze, że nie robi tego powodowany nienawiścią do niej. Po prostu miał tak spaczony charakter, że nie był zdolny do normalnego rozumowania. Gdyby jej plan się powiódł, gdyby James zgodził się przejść badania krwi, wiedziałaby, czy może pokonać Alana od razu, czy też musi się przygotować na długą, wyczerpującą walkę. Wiedziała też - już dla siebie samej - czy Belinda jest dzieckiem Richarda. James odmówił i do rana z pewnością nie zmieni zdania. Poczowała bolesne pulsowanie w oczodołach. To był początek migreny.

Nic się nie stało, przekonywała samą siebie. Niech to kosztuje, ile chce, mogę sprzedać czy zastawić wszystko, co Richard mi zapisał, ale nie dopuszczę, aby RussMore dostało się w ręce syna, który zbezczeszczył ciało własnego ojca.

A potem, niezdolna już dłużej panować nad bolesnym rozczarowaniem, wybuchnęła gwałtownym płaczem. Ciągle jeszcze szlochała, gdy zadzwonił telefon.

To był Rolf.

*

Lot do Genewy trwał około półtorej godziny. Rolf nie czytał, podziękował też za kawę i przekąski. Myślał o Christinie, o ich wczorajszej rozmowie, podczas której Christina płakała rozpaczliwie, i o tym, jak przedtem się kochali. Uświadomił sobie, że długo tłumione emocje zerwały wreszcie tamę. Do tej pory odpychał miłość, bronił się przed przyjaźnią, przed nawiązywaniem bliższych kontaktów z drugim człowiekiem, narzucając sobie rolę banity z

wyboru. Ale teraz postanowił z tym skończyć. Pożądał Christiny z całą mocą, pragnął wchłonąć ją w siebie, tak by stała się jego drugą połową. Chciał ją trzymać w ukryciu niczym najcenniejszy skarb, z dala od oczu innych. Aż sam się zdumiał tą żądzą posiadania, walczącą w nim o lepsze z chęcią opiekowania się Christiną, pragnieniem uczynienia jej szczęśliwą, obdarowaniem jej wszystkim, czego sobie życzyła, a wszystko to bez żalu, bez pogardy dla samego siebie za te objawy słabości. Pożądanie zaakceptował już wcześniej, ale teraz była to miłość, miłość, którą przeżywał po raz pierwszy w swoim życiu.

Miłość sprawiła, że leciał teraz do Genewy na spotkanie z kobietą, której serce pozostało puste, podczas gdy jego wypełniło się uczuciem. Kobieta nie była zachwycona perspektywą spotkania, usiłowała wyperswadować mu ten pomysł, ale Rolf odrzucił wszystkie argumenty. Teraz nadeszła jego kolej stawiania warunków. Przyjeżdżał, a jej zadaniem było na niego czekać. Na zewnątrz lodowaty błękit nieba ustąpił gęstej, szarej mgłę, gdy samolot zaczął schodzić do lądowania.

Wziął taksówkę i kazał się zawieźć do eleganckiego hotelu Beau Rivage. Zapłacił kierowcy i wszedł do środka. Kobieta wynajmowała tu apartament. Mogła poświęcić wiele, ale nigdy nie rezygnowała z własnej wygody i luksusu. „Lubię wszystko, co najlepsze - powiedziała mu kiedyś. - Płacę za to, więc dlaczego nie miałabym mieć wszystkiego, czego zapragnę?” Wzruszył wtedy ramionami. Nigdy nie pytał jej o nic i sam także nie tłumaczył niczego. Teraz jednak wiedział, że będzie żądała wyjaśnień.

Kobieta wyszła mu na spotkanie, elegancka, nieskazitelna, w kostiumie lamowanym gronostajami, z włosami lśniącymi niczym jedwab i zwiniętymi z tyłu głowy w kunsztowny węzeł. Zawsze używała tych samych perfum, ciężkich, o zapachu piżma, którymi często przesiąkała jego skóra, gdy byli razem.

Musnęła policzek Rolfa zdawkowym pocałunkiem.

- Co mam zamówić dla ciebie? Kawę czy może drinka? Ja napiję się koniaku z wodą sodową. Mam dosyć szampana.

- Przykro mi to słyszeć. Kiedyś był to twój ulubiony trunek.

- Gusta się zmieniają. - Kobieta uśmiechnęła się. - Po dłuższym czasie nawet najulubieńszy drink może się znudzić. Siadaj, Rolf, i mów, co cię sprowadza. Wspominałam ci już, że nie ma najmniejszego powodu, abyśmy się mieli spotykać.

- Wiem, że wspominałaś - odparł - ale ja mam taki powód, nawet jeśli ty go nie masz.

- To ty tak twierdzisz. - Usiadła, krzyżując długie, zgrabne nogi. Modnie skrojona spódnica podniosła się, odsłaniając uda. Kelner przyniósł koniak z wodą sodową; podziękowała mu obojętnym skinieniem głowy. - Mam obrzydliwe przeczucie, że twój

powód bynajmniej mi się nie spodoba.

Twarz Rolfa nie zdradzała żadnych uczuć.

- Dlaczego tak uważasz? Dlaczego nie miałyby to być zwykły interes, podobny do tych, jakie załatwialiśmy do tej pory?

Kobieta upiła nieco koniaku.

- Ponieważ wiem, że aktualnie nie kroi się żaden interes. Przynajmniej nie dla nas. Lepiej powiedz mi od razu, o co chodzi, bo później wychodzę. Nie mam czasu na żadne zabawy, zwłaszcza na takie.

Skierowała na niego wzrok. Jakie ona ma twarde spojrzenie, przemknęło mu przez myśl. W jej oczach nie ma ani odrobiny uczucia. Czasami tylko malował się w nich inny wyraz, kiedy rozpalały się pożądaniem. Z czego zostaliśmy stworzeni my dwoje? - pomyślał nagle. Co sprawiło, że ona jest taka, jaka jest, co spowodowało, że ja jestem, czy też byłem, taki sam?

- Masz rację, Irmo. Kiedy widzieliśmy się poprzednio, powiedziałaś, że mogę mieć ulicę nazwaną swoim imieniem. Nie chcę ulicy, ale zamiast niej chcę przysługi.

Kobieta słuchała go w milczeniu, od czasu do czasu podnosząc kieliszek do ust. Rolf zakończył spokojnie:

- Są mi to winni, a ja tego potrzebuję, i to bardzo.

Irma wstała, poruszając się z gracją dzikiego zwierzęcia. Popatrzyła wprost na niego.

- Ty głupcze - powiedziała - prosisz mnie o rzecz niemożliwą. Nigdy więcej ci nie zaufają. Rolf, nie zamierzam klócić się z tobą, bo i tak mnie nie posłuchasz, ale nie prosź o to. Pamiętaj, my nie należymy do nich; wykorzystują nas i to wszystko. Nigdy żadna z ulic nie otrzyma naszego nazwiska. Ale o tym i tak wiedziałeś.

- Zapytasz ich? Jeśli odpowiedzą nie, sam się tym zajmę.

- Nie pozwolą ci na to - odpowiedziała ostro. - Nigdy. Nie zechcą ryzykować.

- Tak właśnie sądziłem - zauważył spokojnie. - W końcu nie jest to żadna nadzwyczajna sprawa; robiono to już wiele razy przedtem. Zwróciłem im ich przeszłość, przypomnij im o tym.

Kobieta podeszła do okna, spoglądając na Jezioro Genewskie. Potem odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z Rolfem.

- Sobie też coś ofiarowałeś - spokój sumienia. Spłaciłeś swoje zobowiązania. Ja usiłuję dokonać tego samego, ale w moim wypadku lista po stronie „winien” jest o wiele dłuższa. Ja jeszcze nie doszłam do porozumienia z samą sobą, ty być może już tak.

- Nie powinnaś rozumować w ten sposób. Poświęciłaś swoje życie, aby naprawić

przeszłość, podobnie jak my wszyscy. Muszą to docenić.

Uśmiechnęła się, ale był to raczej grymas, niż uśmiech.

- Zrobiłbyś to? Uznałbyś, że kilka dzieł sztuki wystarczy? Albo kilka nazwisk i adresów? Uważasz, że powinni być wdzięczni?

Nie dał się wciągnąć w jej grę.

- Zapytaj ich, to wszystko. Po prostu zapytaj.

- W porządku. - Stała przed nim, gniewnie potrząsając złoistymi, jedwabistymi włosami. - Jesteś naprawdę głupcem. Jeśli ich przekonam, przyjdzie ci zapłacić cenę, jaką wyznaczą. Wiesz o tym, prawda? Z pewnością nie będzie niska.

Rolf podniósł się także.

- W porządku. Kiedy będę znał odpowiedź?

- To zajmie kilka dni, w zależności od tego, z kim uda mi się skontaktować i kto zostanie wyznaczony do załatwienia twojej prośby. Gdzie będziesz?

- W Londynie.

- Ktoś się do ciebie zgłosi - powiedziała. - A teraz idź już lepiej, Rolf. Wychodzę i nie chciałabym się spóźnić, więc najlepiej pożegnajmy się od razu. Nie sądzę, abyśmy mieli się kiedykolwiek zobaczyć.

Nie uścisnęli się na pożegnanie, nie podali sobie nawet rąk. Irma otworzyła drzwi.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Ta kobieta ma wielkie szczęście. Mam nadzieję, że jest tego warta.

*

James zamierzał wyjechać zaraz po śniadaniu. Wczorajsza pewność siebie zupełnie go teraz opuściła. Zauważył, że Christina robi wrażenie znużonej, niemal wyczerpanej, zupełnie jakby nie spała przez całą noc, i zrobiło mu się jej żal. Próbował się usprawiedliwić, dlaczego nie może spełnić jej prośby.

- Naprawdę myślałem o tym - mówił z naciskiem. - Obudziłem się z samego rana dręczony wątpliwościami. Ciągle miałem nadzieję, że jakoś się przemogę, ale wierz mi, naprawdę nie potrafiłem. Tak mi przykro.

- Nie musisz się tłumaczyć - przerwała mu Christina. - Przypuszczałam, że odmówisz. Porozmawiajmy o czymś innym.

Ale James uparcie powracał do jednego tematu. Jak zwykle, pragnął usprawiedliwić się sam przed sobą.

- Rozumiem, że jesteś rozczarowana, ale nie chciałabym, żebyś zaczęła mnie nienawidzić. Nie potrafiłbym zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić Alanowi. Nie mógłbym.

On jest moim bratem.

Christina podniosła na niego wzrok.

- Alan nie musiałby się o tym dowiedzieć. Ja z pewnością bym mu nie powiedziała. James, naprawdę nie musisz się usprawiedliwiać. Jestem tylko twoją macochą, a poza tym sam powiedziałeś, że byłeś zazdrosny o Belindę. To głupie z mojej strony, że zwróciłam się do ciebie z podobną prośbą. Lepiej zapomnijmy o całej sprawie.

Jednak Jamesa niełatwo było odwieść od tematu.

- Alan i tak by się dowiedział. Pewnie skończyłoby się na tym, że sam bym mu się przyznał, dręczony wyrzutami sumienia. Jestem jedynym członkiem rodziny, jaki mi jeszcze pozostał, on zaś jest dla mnie jedynym ogniwem łączącym mnie z tym kimś, kim powinienem być. Nic innego nie wiąże mnie z przeszłością, tylko on. Na swój sposób Alan jest dla mnie dobry. Gdybym kiedykolwiek potrzebował jego pomocy, udzieliłby mi jej. Fay mnie nie znosi, gdyż jest zazdrosna o więź, jaka nas łączy. Nie potrafi jej przerwać, zresztą nikomu by się to nie udało. Spróbuj to zrozumieć.

Słyszając to rozczulanie się nad sobą, Christina nie znalazła w sobie dość siły, by mu powiedzieć, jak dorosły, odpowiedzialny człowiek powinien postąpić na jego miejscu. James nie jest dorosły i nigdy nie osiągnie prawdziwej dojrzałości. Nagle przyszło jej do głowy, że Richard Farrington zniszczył osobowość swojego młodszego syna w sposób nieodwracalny. Wstała z miejsca, pragnąc jak najszybciej zakończyć rozmowę.

- Chciałeś mieć spinki do mankietów należące do twojego ojca - powiedziała. - Idź na górę i wybierz sobie któreś. Ja wolałabym dzisiaj nie przeglądać jego rzeczy. Możesz zabrać, co tylko będziesz chciał.

Wielki wazon w holu wypełniony był kwiatami. Niektóre z nich zaczynały już więdnąć, więc Christina postanowiła je wyrzucić. Gdy zbierała kwiaty, z góry zszedł James i stanął obok niej.

- Wybrałem te - powiedział. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Pokazał jej niewielkie czerwone pudełeczko, zawierające złote spinki z wygrawerowanym herbem Farringtonów.

- Są identyczne jak ta para, którą ojciec ofiarował mi na urodziny i którą później mi skradziono.

Christina rozpoznała spinki. Richard nosił je bardzo często.

- Proszę, możesz je zabrać - powiedziała. - Idę wyrzucić te kwiaty; wyglądają okropnie. Potem się z tobą pożegnam.

- Do widzenia, Christa. - Pochylił się, muskając ustami jej policzek. - Czuję się

okropnie - dodał, pragnąc usłyszeć z jej ust słowa pociechy.

- Niepotrzebnie. Zostajesz na rozprawie?

- Tak. Alan mnie prosił.

- W takim razie zobaczymy się w sądzie. Do widzenia, James.

Skierowała się ku drzwiom prowadzącym do pomieszczeń gospodarczych, znacząc drogę za sobą zwiędłymi płatkami, opadającymi z trzymanego bukietu.

Za trzy tygodnie w sądzie.

W korytarzu spotkała panią Manning.

- Och, proszę pozwolić mi to zabrać - powiedziała gospodyni. - Czy pan James już odjechał? Słyszałam, jak mówił, że wyjeżdża dziś rano.

- Tak, wpadł tylko z krótką wizytą. Proszę wyrzucić te kwiaty, pani Manning. Na razie nie będę układała nowego bukietu. Poczekam, aż przyjdzie czas na dekoracje bożonarodzeniowe. Powinam już zacząć myśleć o organizowaniu przyjęcia. Belinda nie może się go doczekać i nie chciałabym jej rozczarować.

- Pan Farrington też je lubił - zauważyła gospodyni. - Proszę się nie niepokoić. Urządzimy wszystko dokładnie tak samo jak w poprzednich latach. Osobiście tego dopilnuję, bo przecież pani ma na głowie proces.

- Bardzo dziękuję - odparła Christina - jednak sama też chcę się czymś zająć. Praca pozwala mi oderwać się od rozmyślania o tamtym. Tak niewiele czasu zostało... jeszcze tylko trzy tygodnie.

- Ale przecież wszystko skończy się pomyślnie - pocieszyła ją gospodyni. - Pan Wallberg zebrał nasze zeznania. Był z nich bardzo zadowolony. A propos, ta kurtka, którą pożyczył Belindzie, gdy tu był ostatnio, ciągle leży w jej pokoju. Czy mam ją zapakować do odesłania?

- Nie - powiedziała Christina. - Wkrótce wybieram się do Londynu na kolejną konsultację z prawnikami, więc mogę ją zabrać. Proszę zostawić kurtkę w moim pokoju.

- Zajrzałam do kieszeni - ciągnęła gospodyni - i znalazłam osobiste rzeczy naszego pana. Belinda musiała je tam włożyć. Rozpoznałam po herbie. To szczęście, że je znalazłam. Były schowane w wewnętrznej kieszeni. Zostawię je razem z kurtką.

Poranek okazał się mniej trudny, niż się obawiała. Sporządziła listę zakupów żywnościowych i prezentów, sprawdziła zaproszenia do wysłania i zadzwoniła do Jane z zapytaniem, czy Spanniewie przyjadą do RussMore na święta. Jane odparła, że właśnie sami mieli zamiar się wprosić. Harry będzie zachwycony, dodała.

- Bardzo pragnie cię zobaczyć, Christa. Mówi, że już dwa razy mu odmówiłaś. Mam

nadzieję, że to nie z powodu tego, co powiedziałam. Nie traktuj tamtej rozmowy zbyt poważnie. Przecież zawsze możecie być przyjaciółmi.

- Nie, po prostu byłam bardzo zajęta - wyjaśniła Christa.

Zajęta miłością do Rolfa? Ku niemu, a nie ku Harry'emu zwracała się teraz w chwilach rozpacz i zwątpienia. W najbliższym czasie wybierała się do Londynu. Chciała, aby Humfrey Stone wskazał jej kogoś gotowego pożyczyć pieniądze pod zastaw, ale przede wszystkim chciała spotkać się z Rolfem. Ze Stone'em była umówiona na jutro. Gdy dzwoniła, Rolfa w biurze nie było, a jego sekretarka powiedziała jej, że wyskoczył na dzień do Genewy. Jutro miał być z powrotem. Po południu wybrała się z Sammy na dłuższy spacer. Deszcz ustał wreszcie, ale na dworze wciąż panowało przenikliwe zimno i wiał silny wiatr. Wróciwszy ze spaceru, poszła od razu na górę, wziąć kąpiel i przebrać się do kolacji. Na łóżku w swoim pokoju znalazła starannie złożoną kurtkę Rolfa. Obok niej, na białej papierowej serwetce, leżały trzy pary spinek do mankietów.

Pani Manning wspomniała coś o herbie. Christina wzięła do ręki jedną ze spinek. Węzeł kochanków z rubinem w środku. Czerwone i żółte złoto. Druga para miała ten sam wzór, ale w środku węzła tkwił szafir. Spinki do mankietów w kształcie węzła kochanków. Zaraz, co mówił James... Spinki wypadły Christinie z ręki na łóżko. Prezent od przyjaciela. Tak, dokładnie tak brzmiały jego słowa: „Jedna para była z szafirami, druga z rubinami, a obie miały kształt węzła kochanków”. Przycisnęła ręce do ust, pragnąc stłumić krzyk.

Przecież to niemożliwe. Przecież to nie może być prawdą. A jednak spinki Jamesa znajdowały się w kieszeni kurtki Rolfa. Ostatnia para błyszczała na białym papierze. Cztery owale ze złota, a na każdym z nich wygrawerowany gryf - herb Farringtonów.

Dwudzieste pierwsze urodziny Jamesa. Pamiętała je dokładnie. Uroczysty obiad w Londynie, w którym uczestniczyli jego rodzice chrzestni i przyjaciele. Richard dał synowi w prezencie parę spinek do mankietów, owalnych, wykonanych ze złota, z herbem rodzinnym wygrawerowanym na obu częściach zapinki. Poszła nawet z Richardem do Collingwooda je zamówić. Richard posiadał identyczną parę, także od Collingwooda. Były to takie same spinki, jakie James wybrał dzisiaj dla siebie. Pochyliła się, podniosła spinki i obejrzała dokładnie; z każdej strony był wygrawerowany herb z prostą, złożoną z jednego tylko wyrazu dewizą: *Fidel* - wierny.

Taki sam herb zdobił wszystkie srebra, wszystkie portrety rodzinne. Leżąca na jej łóżku para spinek była własnością Jamesa, podobnie jak te w kształcie węzła kochanków. Starła się uspokoić rozszalałe myśli. Rolf pojechał do Nowego Jorku, aby odebrać rękopis od Jamesa, ale było już za późno - James został obrabowany, złodziej opróżnił sejf, zabierając

pieniądze i biżuterię. Słyszała głos Rolfa, spoglądającego na nią ze współczuciem: „Prawdopodobnie jest już zniszczony. Przykro mi”.

Poczuła, jak ogarnia ją nagła fala mdłości, i pobiegła do łazienki, bojąc się, że zaraz zwymiotuje. Z lustra spojrziała na nią jej własna twarz, dzika, wykrzywiona szokiem.

Nie było żadnego napadu. To Rolf obrabował Jamesa. Czyż James nie skarżył się ostatniego wieczoru, że Rolf groził mu przemocą? Rolf sfingował napad, zabrał rękopis, a przy okazji i spinki, żeby wszystko wyglądało na autentyczny napad rabunkowy. Najwidoczniej później kompletnie o nich zapomniał. Okłamał ją. Przez cały czas ją okłamywał. Chodziło mu wyłącznie o rękopis, o nic więcej. Wiedział, że Richard posiadał go w swojej kolekcji. Skąd? Jak się o tym dowiedział? No tak, wyciągnęli to torturami z tego biednego Pølsona. Antykwariusz musiał zginąć, żeby nie pozostały żadne ślady.

- O Boże! - jęknęła ze zgrozą. - O Boże, co ja narobiłam!

Kochała się z nim w tym pokoju, na tym samym łóżku, na którym teraz siedziała, niezdolna się poruszyć. Ich zbliżenie było dla niej olśnieniem. Tymczasem okazało się, że oddała się mężczyźnie, który wykorzystywał ją do swoich osobistych, niecnych celów i uwiódł ją, kłamiąc przez cały czas. Okłamał ją nawet ostatniej nocy, kiedy zwróciła się do niego o pomoc, szlochając rozpaczliwie. Był taki pewny siebie, tak starał się ją pocieszyć.

„Niepotrzebna ci jego pomoc, uwierz mi. Zapomnij o Jamesie. Zaufaj mi, najdroższa. Zaopiekuję się tobą”.

Umówiła się na jutro z Humfreyem Stone'em nie tylko powodowana chęcią przedyskutowania problemów finansowych. Przede wszystkim pragnęła znów zobaczyć się z Rolfem, poczuć się silna w jego objęciach, może nawet przyznać, że nie czuje się winna, iż go kocha, choć do tej pory nie uświadamiała sobie tego.

Za to poczucie winy opanowało ją teraz. Winy i takiego wstrętu do samej siebie, że zerwała się na równe nogi. Nie, nie ujdzie mu to na sucho, pomyślała z gniewem. Żadnych więcej zagadek, niedomowień, żadnego oszukiwania. Wrzuciła spinki do torebki, porwała kurtkę i zbiegła po schodach. Na parterze spotkała panią Manning.

- Właśnie szłam do pani zapytać, czy mam już podawać do stołu. Czy coś pani dolega? Wygląda pani na chorą.

- Nic mi nie jest. Nie będę jadła. Przepraszam, ale muszę natychmiast jechać do Londynu. Wrócę koło północy. Proszę na mnie nie czekać. - Zobaczyła, że pani Manning zerka na przewieszoną przez jej ramię kurtkę, i dodała: - Przy okazji oddam to panu Wallbergowi.

Idąc do samochodu, przypomniała sobie słowa sekretarki. Rolf poleciał na dzień do

Genewy, ale miał wrócić na jutrzejsze spotkanie. Jeśli nie wrócił do tej pory, może się okazać, że wybrała się na próżno. Jadąc boczną drogą w kierunku głównej szosy, zadzwoniła do niego z telefonu w samochodzie. Kiedy się odezwał, z trudem udało jej się zapanować nad własnym głosem.

- Jadę do ciebie. Będę za dwie godziny.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Jaki motyw nim kierował? Pieniądze? Powiedział, że rękopis jest bezcenny. Czym innym można wytłumaczyć jego postępowanie, jeśli nie żądzą zysku? Pragnął pieniędzy, nie zważając na to, że były splamione krwią. Sam jej przecież opowiedział historię zdrady i morderstwa. Trudnił się odzyskiwaniem dóbr skradzionych Żydom, działając w imieniu rodzin pomordowanych, ale ten rękopis postanowił zachować dla siebie.

Czekał na nią; podjeżdżając pod dom, widziała jego sylwetkę na tle jasno oświetlonego okna. Zobaczywszy jej samochód, zszedł na dół i otworzył drzwi. Powiedział szybko:

- Christa. Christa, co się stało? Coś złego?

Minęła go, wchodząc do środka.

- Nie tutaj, Rolf. W twoim mieszkaniu. Nie dotykaj mnie.

Drzwi mieszkania Rolfa na drugim piętrze były szeroko otwarte.

Christina weszła do środka. Rolf zamknął drzwi i zbliżył się do niej.

- Kochanie... - zaczął.

Rzuciła w niego kurtkę.

- Zostawiłeś kurtkę i to w kieszeni.

Na wyciągniętej dłoni błyszczały trzy pary spinek.

Rolf wpatrywał się w nie jak urzeczony.

Christina mówiła dalej:

- To spinki Jamesa. To ty go okradłeś. Nie było żadnego innego napastnika. Zabrałeś rękopis, bo on stanowił jedyny powód, dla którego w ogóle wkroczyłeś w moje życie. Nie wiem, czy osobiście uczestniczyłeś w zamordowaniu tego biednego Pølsona, ale wiem, że tą właśnie drogą dowiedziałeś się, że rękopis znalazł się w posiadaniu Richarda. Co tobą powodowało? Chciwość? Perspektywa zdobycia miliona funtów?

Rolf poruszył się, jakby wróciło do niego życie.

- To nie tak - powiedział. - Mylisz się. Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. Nie napadłem na Jamesa, zrobił to ktoś inny. Przysięgam ci też, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Pølsona. Nie prosz mnie jednak, abym ci to wytłumaczył. Nie mogę. - Przykucnął,

aby podnieść kurtkę z podłogi. - Jeżeli zaś chodzi o nas dwoje... czy wysłuchasz mnie? Proszę, Christa, wysłuchaj mnie, zanim wydasz wyrok.

- Nie sędzę, aby istniało coś, co mógłbyś mi jeszcze powiedzieć - odparła. - Oszukałeś mnie, okradłeś i nie chcesz nawet wytłumaczyć dlaczego.

Rolf usiadł ciężko, trzymając kurtkę w obu rękach. Potrząsnął głową.

- Na śmierć zapomniałem o tych spinkach - powiedział raczej do siebie niż do Christiny. - Na śmierć o nich zapomniałem. - Podniósł głowę, spoglądając wprost na nią. - Owszem, ukradłem rękopis. Ukradłem też wiele innych rzeczy albo wyłudziłem je szantażem czy groźbą. Nie jestem sympatycznym człowiekiem, ale zawsze o tym wiedziałaś. Wyczuwałaś to instynktownie i stąd twoja początkowa niechęć do mnie. Instynkt słusznie cię ostrzegał, ale teraz mylisz się. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Kocham cię.

- Na miłość boską - powiedziała z goryczą - nie usprawiedliwiał tego, co się stało, opowiadaniem o miłości. Nigdy sobie nie wybaczę tego, co uczyniłam.

Spostrzegła, że krew nabiegła mu do twarzy.

- Dla mnie to była miłość - powiedział. - Proszę, uwierz mi. Nie chciałem cię pokochać, ale to się stało. Nie chciałem polubić twojej córki, ale nie potrafiłem oprzeć się temu uczuciu. Dopóki cię nie spotkałem, w moim życiu nie było miejsca na miłość. Ale stanęłaś na mojej drodze i wówczas uwierzyłem, że i ja mógłbym wieść normalne życie, tak samo jak inni ludzie. Niestety, sam zniszczyłem tę szansę. Nawet gdybym teraz zaryzykował i spróbował wszystko ci wyjaśnić, nie zaufałaśby mi; widzę to po twojej twarzy. A zresztą i tak byłem głupcem.

Skierował na nią swe jasnoniebieskie oczy, przepelnione teraz bólem i rozpaczą. Ich wyraz wstrząsnął Christiną.

- Nigdy nie mógłbym stać się częścią twojego życia. Dla ludzi takich jak ja nie ma ucieczki.

- Ucieczki od czego? - zapytała Christina mimo woli.

- Od przeszłości. Co chcesz, abym teraz zrobił?

- Odejdź z mojego życia i zostaw w spokoju mnie i Belindę. Kimkolwiek jesteś i w cokolwiek jesteś wmieszany, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Przez moment nawet się nie poruszył. Potem gwałtownym ruchem zmiął kurtkę i rzucił ją w kąt. - Ciągle chcę ci pomóc.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Jutro mam spotkanie z Humfreyem i nie życzę sobie twojej obecności w kancelarii.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Chwała Bogu, że już jest po wszystkim i że udało

jej się zachować spokój. Nie chciała słuchać żadnych wyjaśnień ani usprawiedliwień. Na szczęście nawet nie usiłował się usprawiedliwiać, przemknęło jej przez myśl. Przez moment jej życie otarło się o coś okropnego, coś przerażającego. Od pierwszej chwili, kiedy ujrzała Rolfa w bibliotece, rozpoznała to instynktownie. A jednak coś ich połączyło - namiętność silniejsza niż jej intuicyjna niechęć i jego samotność i wyobcowanie. Kiedy spoglądał na nią, widziała w jego oczach autentyczny ból.

Wyjeżdżając z Londynu, zaczęła rozpaczliwie szlochać i nagle uświadomiła sobie, że mimo wszystko płacze za nim.

9.

- Mam nadzieję, że nie będzie to kolidowało z pańskimi planami, panie Stone.

- Ależ nie, ani trochę - zapewnił Ruben. - Jednakże jestem zdziwiony. Byłem przekonany, że ty i pani Farrington ściśle współpracowaliście ze sobą podczas ostatnich kilku miesięcy.

- Owszem, byłem w pełni zaangażowany w jej sprawę - przytaknął Rolf. - Właśnie dlatego chciałem zostać i doprowadzić wszystko do końca, ale pani Farrington zmieniła zdanie.

Rolf składał swoje wyjaśnienia z kamienną twarzą. Od niedawna Rubenowi wydawało się, że dostrzegał bardziej ludzką stronę jego natury, teraz jednak Wallberg na powrót zamknął się w swojej skorupie, do której nikt nie miał dostępu. Zapowiedział, że odchodzi, i to napełniło Rubena poczuciem ulgi. Skoro jednak między nim a klientką doszło do nieporozumienia, chciał poznać jego przyczynę.

- A więc doszło do konfliktu między tobą a panią Farrington - rzekł.

Chyba Wallberg nie okazał się niedyskretny. Na myśl o tym zmarszczył brwi.

- Nieporozumienie na gruncie czysto profesjonalnym - pośpieszył go uspokoić Rolf. - Pani Farrington okazała się nieprzejednana. Nie zgodziłem się z jej propozycją, żeby apelować w przypadku przegranej w sądzie pierwszej instancji, więc zrezygnowała z moich usług. - Uśmiechnął się blado. - A zatem jeśli rzeczywiście nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym wyjechać mniej więcej za dziesięć dni. Wyprowadzę tylko na czysto kilka pomniejszych spraw, którymi się zajmowałem. Nie dzwoniłem jeszcze do Sztokholmu, postanowiłem im nic nie mówić przed rozmową z panem, ale jeśli to możliwe, chciałbym uprzedzić, że wracam po świętach Bożego Narodzenia.

Ruben uśmiechnął się. Mógł sobie pozwolić na uśmiech, gdyż za dziesięć dni miał się wreszcie uwolnić od tego człowieka.

- Przykro nam się będzie z tobą rozstawać, mój chłopcze. Wykonałeś wspaniałą robotę, naprawdę wspaniałą. Ale czy to znaczy, że porzuciłeś myśl o przeniesieniu się do Anglii? Przedtem wspominałeś o takiej możliwości.

- Trochę się rozglądałem, jednak perspektywy finansowe nie były zbyt zachęcające - odparł Rolf - zaś angielskie wieczne sloty pomogły mi podjąć ostateczną decyzję. A jak wypadło spotkanie pani Farrington z Humfreyem? Pytam przez ciekawość, bo przecież to już nie moja sprawa.

- Obawiam się, że nie najlepiej. Humfrey miał z nią ciężką przeprowadkę. Jest bardzo

zdeteminowana i nie chce słyszeć o żadnym ustępstwie na korzyść pasierba. Posunęła się do tego, że zażądała od Humfrefya, aby polecił jej firmę, gdzie mogłaby pożyczyć pieniądze na procent, by opłacić koszty apelacji. Kiedy Humfrefy wytłumaczył jej, że nie może pożyczyć pieniędzy pod zastaw samego RussMore, gdyż jest to majątek powierniczy, a na dodatek stanowiący przedmiot postępowania sądowego, zaproponowała jako zabezpieczenie swoje własne aktywa. Jest gotowa zastawić wszystko, co zapisał jej Farrington, łącznie z tym małym portretem dziecka z epoki Tudorów. Okazało się, że to może być bardzo cenny obraz. Rzeczoznawca z domu aukcyjnego Sotheby's ma dokonać ekspertyzy.

- Znam ten obraz - powiedział Rolf wolno. - A więc Humfrefy nie potrafił jej wyperswadować, żeby nie zadłużała się w ten sposób?

- Nie - odparł Ruben. Ze smutkiem potrząsnął głową nad szaleństwem tej kobiety, a potem, ponieważ nie lubił Rolf, dodał karcąco:

- Może gdyby nie usłyszała o profanacji zwłok swojego męża, byłaby bardziej skłonna wysłuchać rzeczowych argumentów, ale teraz nic już nie jest w stanie jej przekonać. Jeśli przegra, na koniec zostanie bez grosza, ale ona zdaje się w ogóle nie dbać o to. - Westchnął. - Co cóż, oczywiście będziemy robili wszystko, co w naszej mocy. Życzę ci wesołych świąt, Rolf, i nie zapomnij nas odwiedzić, ilekroć będziesz w Londynie. Zawsze z przyjemnością cię zobaczymy.

- Dziękuję - powiedział Rolf. - Dziękuję za umożliwienie mi odbycia praktyki w pańskiej kancelarii. Był pan dla mnie bardzo pomocny i serdeczny. Wysoce sobie cenię czas spędzony tutaj.

- Musimy ci wyprawić przyjęcie pożegnalne - rzekł Ruben. - Może w przyszłym tygodniu?

Rolf stojący w otwartych drzwiach gabinetu odwrócił się jeszcze ku niemu.

- Naprawdę nie ma potrzeby, panie Stone. I tak uczynił pan dla mnie bardzo wiele.

Zamknął drzwi. Ruben wrócił na swoje miejsce za pięknym antycznym biurkiem. Nareszcie będzie mógł odłożyć długą łyżkę. Z tym diabłem jadł dzisiaj po raz ostatni.

*

Alan był w doskonałym nastroju. Jego brat przyjechał do Londynu i zjedli razem lunch. Fay jakoś nie kwapiła się z zaproszeniem Jamesa do domu, więc umówili się na mieście. Nowa inwestycja w Birmingham także zapowiadała się kwitnąco. Napotkał co prawda na spore opory - część Pakistańczyków, właścicieli niewielkich lokalików, protestowała przeciwko jego obecności, ale Alan nie przejmował się tym. Wykupił wystarczającą liczbę małych przedsiębiorstw, by móc rozpocząć zupełnie nowe

przedsięwzięcie - sieć restauracji o nazwie Farrington Curry Houses. Co prawda otrzymywał rozmaite telefony, w których anonimowi rozmówcy ostrzegali go, aby trzymał się z daleka od tego biznesu, nie traktował jednak poważnie tych pogrózek. Nie należał do ludzi, którzy daliby się zastraszyć. Przeciwnie, sprzeciw wzmacniał tylko jego determinację. Jeden z jego pakistańskich doradców, przyszedł dyrektor nowej sieci lokali, wspomniał, że niektórzy muzułmańscy członkowie wspólnoty pakistańskiej mogą posunąć się do agresji, Alan jednak wyśmiał jego obawy.

- O co ci chodzi? Że ogłoszą jakąś pieprzoną fatwę przeciwko mnie? Zapomnij o tym. Interes to interes. Twój pobratymcy najlepiej wiedzą, ile jest warta ciężka praca i forsa.

Poza tym wreszcie miała się rozpocząć wyczekiwana rozprawa w sądzie. Adwokaci byli gotowi, a doradcy prawni niecierpliwie przestępowali już z nogi na nogę, przynajmniej Alan tak to sobie wyobrażał. Zawsze wyżywał się w atmosferze walki, a jego spór z Christiną zapowiadał się na długotrwałą batalię. On i James zwyciężą. James także - biedny facet, wciąż usiłuje wszystkim pochlebiać i bez przerwy dostaje kopa w tyłek. Tak, to będzie także triumf Jamesa. Alan był przekonany, że wygra. Także Fay wierzyła w zwycięstwo równie mocno jak jej mąż. Christa tak omotała starego lubieżnika, że zaakceptował cudze dziecko. Poza jej własnymi słowami nie było żadnych innych dowodów na to, że wyznała mu prawdę o ciąży. Nic, co Richard Farrington powiedział czy uczynił w czasie trwania małżeństwa, nie wskazywało na to, by wiedział, że Christa przed ślubem spodziewała się dziecka. Alan nie znosił Johna Cunninghama i pogardzał nim za jego autokratyczny sposób bycia, mimo to nie mógł się doczekać chwili, kiedy zobaczy go w akcji. Wyobrażał sobie, jak pod wpływem ciosów adwokata gmach fikcji wzniesiony przez Christinę rozlatuje się niczym domek z kart. Co za szlachetna istota. Przyznała się, ryzykując utratę bogatego męża i życia w luksusie aż do samej śmierci. Zadziwiająca! Jaka niezłomność zasad moralnych! Ale jakoś przedtem nie była taka znowu niezłomna, skoro brała sobie kochanków... Tak z grubsza miał wyglądać zarys przesłuchania, który przedstawił mu Cunningham. Prawnik uczynił to głównie dlatego, aby uniknąć ustawicznych telefonów Alana, występującego z coraz to nowymi pomysłami. Odczytując pismo adwokata, Alan doznawał niemal sadystycznej ekscytacji. Christina była inteligentna, zresztą Szwedzi to spryciarze, ale postawiona twarzą w twarz z Johnem Cunninghame i wzięta przez niego w krzyżowy ogień pytań, nie wytrzyma i załamie się.

Nie mógł się już doczekać procesu i towarzyszącego mu rozgłosu. Poszedł do Tiffany'ego i kupił kosztowną broszkę wysadzaną diamentami i szafirami jako prezent bożonarodzeniowy dla Fay. Nie musi odkładać tego zakupu aż do zwycięskiego zakończenia sprawy. Los mu sprzyja. Oto rozpoczyna kolejne, nowe przedsięwzięcie, a jednocześnie tylko

krok dzieli go od ostatecznego zatriumfowania nad ojcem. W rzadkich chwilach, kiedy ogarniał go sentymentalny nastrój, zwłaszcza po alkoholu, wylewał kilka łez, wspominając zmarłą matkę. To będzie także jej zwycięstwo.

*

Mężczyzna, który zadzwonił do Rolfa, nie zaproponował spotkania w Lanesborough; nie gustował w takich wytwornych, wyściełanych pluszem lokalach. Wolał Rubens Hotel przy Buckingham Palace Road, najczęściej wybierany przez turystów, ze względu na swoje usytuowanie w pobliżu pałacu królewskiego ze zmianą warty i Queen's Gallery mieszczącej ekspozycję zbiorów królewskich. Goście hotelowi stanowili naprawdę międzynarodowe towarzystwo: Japończycy, Amerykanie, Hiszpanie, kilku Chińczyków, wreszcie Skandynawowie. Wallberg i jego towarzysz mogli się tam spotkać bez obaw, że ktoś zwróci na nich uwagę. Umówili się na pierwszą po południu. O tej porze lokal był tak zatłoczony, że musieli dzielić stolik z innymi gośćmi. Rolf rozpoznał przybysza po baseballowej czapce z napisem New Haven Yachting Club. Gość zarezerwował mu krzesło. Oprócz nich przy stoliku siedziała grupka Japończyków, rozgadanych niczym stado srok.

Przybysz okazał się młodszy, niż Rolf oczekiwał. Wyglądał zupełnie przeciętnie. Nosił czapkę baseballową włożoną tyłem do przodu, grubą kurtkę przewiesił przez oparcie krzesła. Był znacznie młodszy od Rolfa.

- Roy - powiedział i uśmiechnął się. Właściwie nie był to uśmiech, tylko rozciągnięcie warg odsłaniające piękne zęby, podczas gdy oczy pozostawały nieruchome. Rolf skinął głową, ale nie odezwał się.

- Zjesz coś? Burgery wyglądają zupełnie przyzwoicie.

- Nie, wypiję tylko kawę.

Roy zatrzymał przechodzącą kelnerkę.

- Hej, chciałem zamówić... - Zachowywał się jak typowy, nieokrzesany amerykański turysta, być może hiszpańskiego pochodzenia, z ciemną cerą i czarnymi włosami związanymi w kitkę. Zamówił hamburgera z cebulą i dwie filiżanki kawy. Japończycy rozprawiali coraz głośniej, a dziewczęta chichotały.

- Jaka jest odpowiedź? - zapytał Rolf.

Kelnerka podała zamówione danie i Roy zaczął smarować hamburgera musztardą. Ugryzł kawałek, przeżuł i przełknął.

- Odpowiedź brzmi: tak - odparł - ale są warunki. - Wypił łyk kawy. Zachowywał się jak prostak, co - jak Rolf wyczuwał - stanowiło część jego image'u.

- Jakie?

- Musisz wyjechać.

- Wyjeżdżam w przyszły poniedziałek - odparł Rolf. - Mam już zarezerwowany bilet.

Roy pokręcił głową, wprawiając kucyk w ruch, i powiedział z pełnymi ustami:

- Nie, masz naprawdę wyjechać i już nie wracać. Nie będzie żadnego powrotu, musisz to zrozumieć. - Zniżył głos. - Jeśli mają zrobić to, czego się domagasz, nie możesz tu pozostać, bo ktoś mógłby cię skojarzyć z tą sprawą. Tak więc bilet jest tylko w jedną stronę. Chcesz to przemyśleć? Oni nie mają zamiaru naciskać. W końcu to wielka decyzja. Mogę zadzwonić do ciebie wieczorem. - Wyszczył ostatnie łyki kawy.

- Może jeszcze jedną filiżankę? - zaproponował Rolf.

Roy domyślił się, że Wallberg prosi go o czas do namysłu.

- W porządku - zgodził się - ale naprawdę nie musisz się tak śpieszyć. Będziesz pił swoją kawę?

- Nie.

Roy przechylił się przez stół i przysunął sobie filiżankę.

- W takim razie wypiję tę. I tak smakuje jak benzyna.

Rolf patrzył na Roya siorbiącego letnią kawę, ale nie widział ani jego, ani Japończyków, którzy zapłacili rachunek, a teraz robili mnóstwo zamieszania, zbierając torby, torebki i aparaty fotograficzne. Wyobrażał sobie swoje przyszłe życie. Musi odejść, to jest cena za to, o co prosił - bilet w jedną stronę. W końcu nie taka wielka cena za uczynienie Christiny szczęśliwą, za dotrzymanie obietnicy danej dziecku. Do końca życia będzie się tułał między obcymi, bez własnego domu, ale przecież nigdy nie miał domu, nie istniało na świecie miejsce, do którego by należał. Nie zapuści nigdzie korzeni, ale w tym także nie było nic nowego; został ich pozbawiony zaraz po urodzeniu. Christina będzie bezpieczna, będzie mogła wychowywać córkę i zatrzymać dom, który jej się prawnie należy, a który otrzymała w nagrodę za miłość i szczęście, jakim obdarzyła tamtego mężczyznę. Przez krótką chwilę ludził się, że podobna miłość i szczęście mogłyby stać się jego udziałem. Zamiast szczęścia będzie miał słońce. Już do końca życia.

Wrócił do teraźniejszości.

- Jeśli taka jest cena, zgadzam się - powiedział. - Nie ma żadnego problemu. Kiedy?

Roy wsunął rękę do kieszeni kurtki, ściągając ją przy tym z oparcia, i pod stołem podał Rolfowi kopertę.

- Dzisiaj wieczorem. Lot o dwudziestej pierwszej, bezpośredni. Bilet i paszport w kopercie. Nie będzie cię w samolocie, nici z umowy, *okay*?

Rolf wstał. Koperta spoczywała teraz w jego kieszeni. Nie zapomni o niej, tak jak

zapomniał o tych przeklętych spinkach, które zrujnowały wszystkie jego nadzieje.

- Dotrzymam umowy - powiedział, zniżając głos - tak długo, jak oni dotrzymają swojej.

Roy także wstał; włożył kurtkę i pstryknięciem palców przywoływał kelnerkę.

- Oni nie zawiodą - odparł. - O tym sam powinieneś wiedzieć.

Mówił „oni”, ale miał na myśli „my”, jak sądził Rolf. Skierował się do drzwi, przeciskając się przez kolejną falę studentów, którzy wtargnęli tu spragnieni hamburgerów, i wyszedł na zimny, grudniowy dzień.

*

Kto wybierał się na weekend, wyjeżdżał już w piątek wieczorem. Ruben Stone i jego krewni zostawali w mieście, w swoich domach w północnej części Londynu. Wszyscy mieszkali w sąsiedztwie i chociaż Ruben nie był ortodoksyjny, szabas jednak lubił spędzać w gronie rodzinnym, otoczony krewnymi i dziećmi. Wśród nich był także Humfrey z rodziną, zaproszony na weekend do stryjostwa. Zaczęli od lunchu w pobliskiej restauracji. Wszyscy byli w radosnych nastrojach, mówili dużo i głośno i nikt nie nakazywał dzieciom, aby nie hałasowały. Kiedy gwar przycichł na moment, Humfrey zwrócił się do stryja:

- Wallberg odszedł.

Ruben uniósł brwi, dając wyraz swojemu zdziwieniu, po czym wzruszył ramionami.

- Jak to odszedł? Tak prędko? Mówił, że odchodzi dopiero za dziesięć dni. Czy podał jakiś powód?

Humfrey zaprzeczył ruchem głowy.

- Ani słowa. Po prostu nie zjawił się w biurze, nie pożegnał się z nikim, tylko zniknął. Dwoje klientów dopytywało się o niego, więc próbowałem się z nim skontaktować, ale wyprowadził się z mieszkania. Zapłacił do końca miesiąca i wyjechał. Nie mogę powiedzieć, aby było mi specjalnie przykro, ale mimo to jego odejście jest jakieś dziwne.

- No cóż - Ruben postanowił nie dawać pola spekulacjom - skoro pani Farrington nie życzyła sobie, aby zajmował się dłużej jej sprawą, nie miał tu zbyt wiele do roboty. Zdecydował się zostać dłużej tylko ze względu na jej proces, bo gdyby nie to, wyjechałby znacznie wcześniej. Nikt z nas go nie lubił, więc skoro odszedł, to odszedł. A jak wygląda sprawa?

- Żadnych nowych aspektów. Ronald jeszcze raz sugerował nam ugodę. Uważa, że jego klient Farrington to najgorsze gówno, i otwarcie o tym mówi. Uparł się nawet, że nie będzie miał z nim bezpośrednio do czynienia, tak że pisma i telefony załatwia ktoś inny, tyle że Ronald dowodzi całą batalią. Musiałem mu powiedzieć, że kilkakrotnie próbowaliśmy

ugody, ale nam się nie udało.

Proces miał się rozpocząć w najbliższy poniedziałek. Christina otrzymała już oficjalne wezwanie i plan rozprawy z zaznaczeniem, że może przyjść do sądu z osobą towarzyszącą. Zawiadomiła sekretarkę Humfreya, że będzie jej towarzyszył kuzyn zmarłego męża, Harry Spannier.

Humfrey nabrał na widelec kolejny kęs potrawy i zanim włożył go do ust, dodał jeszcze:

- Sama się zrujnuje i nic jej nie powstrzyma.

Potem zajął się jedzeniem.

Ruben nie odpowiedział. Siedzący po drugiej stronie stołu wnuczek gwałtownie domagał się jego uwagi.

*

Kenneth i Molly Hubert wybrali się do Hampshire. Ken rzadko dysponował wolnym dniem, kiedy mógł sobie postrzelać do ptaków, ale już kilka lat temu postanowił zawsze brać parę dni urlopu przed rozpoczęciem każdego większego procesu. Tak więc odłożył wszystko na bok i jechał teraz wraz z Molly do Hampshire, żeby tam „wymarznąć na deszczu i spudłować do kilku bażantów”, jak zwykł określać swoją rozrywkę. Robienie z siebie głupca uganiającego się ze strzelbą miało mu pomóc oderwać umysł od rozpoczynającej się w poniedziałek batalii. Ken z wielką pewnością siebie rozprawiał o zwycięstwie, ale Molly czuła, że w głębi duszy wcale nie jest tego taki pewien. Jego przyjaciel i jednocześnie adwersarz John Cunningham dysponował prawdziwym asem atutowym - wynikami analizy DNA. Ilekroć obaj adwokaci spotykali się na gruncie towarzyskim, w oczach Johna zapalał się błysk triumfu, który doprowadzał Molly do szału. Z niechęcią myślała o tej upartej pani Farrington, której nieustępliwość mogła doprowadzić do przegranej Kena, do porażki tam, gdzie miał szansę na doprowadzenie do ugody i zainkasowanie honorarium, które oczywiście musiało być skromniejsze niż w wypadku, gdyby wygrał proces. Jednak pieniądze niewiele się liczyły w tej sprawie. Najważniejsza była reputacja Kena. Molly żałowała, że nie może się spotkać z tą Farrington i wygarnąć jej, że jest głupią oślicą, która jeszcze pożałuje swojego uporu.

John Cunningham nie wybierał się nigdzie na weekend. W przeciwieństwie do Kena Huberta, przed każdą większą sprawą pracował do ostatniej chwili, jednak nie wieczorami. Wieczory przeznaczał na wizyty w teatrze i na kolacje, najczęściej w towarzystwie kobiet. Na sobotę zaplanował brydża, z podobnymi sobie zapaleńcami. Nazywał tę grę rozgrzewką umysłu, równie konieczną jak dla lekkoatlety rozgrzewka mięśni przed wyścigiem. Molly

dobrze wyczuła, że jest pewny sukcesu. Teraz odczuwał miłe podniecenie na myśl o czekającej go rozgrywce. Kochał atmosferę współzawodnictwa i już cieszył się na myśl, że przycisnie Kena do muru, obnażając każdy słaby punkt jego obrony, zupełnie jakby byli nie przyjaciółmi, lecz śmiertelnymi wrogami.

W miłości i na wojnie inaczej niż w sądzie, wszystkie chwytły są dozwolone. Postępek Alana Farringtona nie oburzył specjalnie Cunninghama. Owszem, na wieść o tym poczuł pewien niesmak natury czysto estetycznej, nie był jednak wstrząśnięty. Po tylu latach obcowania z chciwością, brutalnością i nieuczciwością nie miał najmniejszych złudzeń co do natury ludzkiej, gdy w grę wchodziły pieniądze. Wiedział, że reputacja tej Farrington pójdzie w strzępy, z chwilą gdy Szwedka zajmie miejsce na podium dla świadków. Nie wierzył, by kierowały nią inne motywy niż jej porywczym pasierbem. Na dzisiejszy wieczór zarezerwował bilety na sztukę Toma Stopparda i cieszył się na tę intelektualną podniętę.

Christina przyjechała do Londynu. Towarzyszył jej Harry Spanner. Oboje zatrzymali się w londyńskim mieszkaniu Farringtonów. Christina była w nastroju, którego sama nie potrafiła zanalizować. Owładnęła nią gorzka desperacja i gotowa była raczej doprowadzić do samozagłady, gdyby sytuacja tego wymagała, niż się poddać. Przywieziony przez nią obraz przyprowadził rzeczoznawców z domu aukcyjnego Sotheby's o żywsze bicie serc; nie wykluczali, że może być dziełem samego Hansa Holbeina. Christinę niewiele to obchodziło, dla niej liczyła się tylko siedmiocyfrowa suma, jaką mogłaby zań otrzymać, gdyby przypuszczenia fachowców okazały się prawdą. Inne przedmioty przywiezione przez nią z RussMore - te, które Richard zapisał jej na własność - nie wzbudziły specjalnego zainteresowania. Fachowcy mówili wyłącznie o Holbeinie, tak że chwilami aż miała ochotę krzyczeć, słysząc to nazwisko. Gdyby jednak to był Holbein, wystarczyłoby jej pieniędzy na dalszy proces, a to było jedyne, co się w tym momencie liczyło; pokonać Alana. Czasami śniło jej się, że podkłada ogień pod RussMore, i budziła się złana potem, gdyż w sennym koszmarze widziała Belindę schwytaną w pułapkę płonącego budynku.

Nie potrafiła już myśleć rozsądnie i zdawała sobie z tego sprawę. Kiedy wracała do RussMore po ostatniej rozmowie z Rolfem, przejmował ją ból i wstyd. Ból z powodu tego mężczyzny, który po rozmowie z nią utracił wszelką nadzieję na szczęście, i jednocześnie gniew na niego, a jeszcze większy na siebie samą, że pozwoliła mu się oszukać, i jakby żal, że nie uległa mu do końca. Kochał ją, tego była pewna, i ta świadomość wcale jej nie pomagała. Przeciwnie, właśnie dlatego tak bardzo mu współczuła. Z premedytacją zwróciła się teraz ku Harry'emu. Harry ze swoimi dziwnymi żartami i specyficznym poczuciem humoru miał jej pomóc oderwać myśli od Rolfa. Przyjechali do Londynu na dwa dni przed procesem i

zamieszkali wspólnie w londyńskim mieszkaniu. Harry zajął gościnną sypialnię i ani jednym słowem nie napomknął, że mógłby się przenieść do jej pokoju. Gdyby to uczynił, pozwoliłaby mu na to. Nie dlatego, by była spragniona miłości, ale dlatego, że seks z Harrym mógłby stanowić antidotum na wspomnienia o miłości z Rolfem. Sama jednak go nie zapraszała, a Harry nie nalegał. Wybrali się razem do kina, na lunch, a potem na wystawę do Tate Gallery, którą Christa uznała za interesującą, a którą Harry skrytykował tak bezlitośnie, że musiała się roześmiać.

Wiedziała, że Harry dokłada wszelkich starań, aby ją oderwać od myślenia o zbliżającym się poniedziałku, ale nie mogła się powstrzymać, by nie wracać co chwila do tego tematu. Harry nie próbował krytykować jej nieprzejednanej postawy; przeciwnie, dodawał jej otuchy, żartując ciągle, jak to miał w zwyczaju. Jakikolwiek było jego prywatne zdanie na temat werdyktu, nie ujawniał go.

- Zobaczysz, że zniszczysz tego małego bękarta. A jeżeli nie, to ja osobiście rozwalę mu łeb.

Roześmiał się szeroko, w jego postawie jednak było coś takiego, że te słowa bynajmniej nie zabrzmiały jako żart.

*

Alan i Fay zabrali dzieci i pojechali do letniego domku w Sussexie. Właściwie określenie „domek” nie wydawało się odpowiednie. Była to luksusowa, nowoczesna, piętrowa willa, wyposażona w najnowocześniejsze zdobycze elektroniki, z fasadą zwróconą w stronę prywatnej plaży z niewielką przystanią, gdzie cumował ich jacht. Niania została w Londynie, tak że mieli chłopców wyłącznie dla siebie. Alan tryskał zadowoleniem, a Fay była w swoim żywiole; wołała Sussex od Chelsea. Z radością gotowała, zajmowała się dziećmi i Alanem, życząc sobie w głębi serca, aby częściej dane im było spędzać dni tak jak teraz, bez tej całej ostentacji i wystawności. Nie chciała nawet myśleć, jak będzie wyglądało ich życie w RussMore. Alan o tym marzył, więc go popierała. Mogła być szczęśliwa jedynie wtedy, gdy Alan był szczęśliwy. Często myślała, że Alan jest jedynym człowiekiem na świecie, którego ona może kochać bez najmniejszych zastrzeżeń. Stanowili jedno ciało, Alan był jakby częścią niej samej. Kochała go nawet bardziej niż swoich synów, ale nigdy mu tego nie powiedziała, podobnie jak nigdy mu nie powiedziała, co naprawdę sądziła o jego matce. Chłopcy uwielbiali Sussex, gdzie mogli biegać po dworze, opatuleni po uszy, zabezpieczeni przed porywistym wiatrem wiejącym od morza. Tu nie obowiązywały żadne zakazy, nie było niani wiecznie kręcącej się wokół nich. Życie na wsi odpowiadało im najbardziej, i Fay w pełni to popierała. Był to kolejny argument przemawiający za RussMore. Ani ona, ani Alan nie

życzyli sobie, by ich dzieci dorastały w Londynie, opanowanym przez subkulturę seksu, narkotyków i przemocy. Jak wspaniale było puścić ich tutaj swobodnie, bez obaw, że w pobliżu może krążyć jakiś zbrodniec polujący na ofiarę.

W niedzielę po południu wyruszyli w drogę powrotną do Londynu. Alan prowadził, Fay otulona w futro z norek siedziała obok męża, a chłopcy z tyłu. Alan wybrał drogę wzdłuż wybrzeża; przed Arundel mieli skręcić. Najczęściej jeździli tędy, gdyż nie było tu zbyt wielkiego ruchu. Jadąc, nie sprawdzał drogi w tylnym lusterku, więc nie zauważył motocyklisty, który towarzyszył im od chwili, kiedy opuścili posiadłość. Na światłach musiał przyhamować. Motocyklista przyspieszył i przez chwilę jechał obok samochodu. Alan rzucił okiem w prawo. Motocyklista, odziany w czarną skórzaną kurtkę, w czarnym kasku przysłaniającym pół twarzy, nagłym gestem wskazywał na przednią oponę samochodu, więc Alan opuścił boczną szybę. Nie zdążył o nic zapytać. Motocyklista uniósł prawą rękę i trzykrotnie wystrzelił, celując prosto w głowę. Zapaliły się żółte, a potem zielone światła. Motocyklista nacisnął stopą akcelerator. Motocykl oddalił się i szybko zniknął za wzgórzem. Siedząca w samochodzie Fay krzyczała rozpaczliwie. Alan upadł na kierownicę, a z jego roztrzaskanej głowy tryskała krew.

*

W noc poprzedzającą rozprawę Christina spała spokojnym, głębokim snem, jakby zmęczenie zabiło w niej wszelkie uczucia. Ranek rozpoczęła od zaparzenia kawy. Harry spał jeszcze. Włączyła radio, żeby posłuchać porannych wiadomości.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Harry.

Włączyli telewizor. W dzienniku podano to jako jedną z pierwszych informacji, zaraz po wiadomości o kolejnej konfrontacji politycznej w Irlandii Północnej i przedstawieniu przygnębiających danych na temat bezrobocia.

„Właściciel sieci restauracji oferujących szybkie dania, Alan Farrington, został zastrzelony wczoraj w swoim samochodzie”. Potem następowały szczegóły. Rodzina wracała do domu w Chelsea, zamachowiec oddał strzał przez okno, kiedy samochód Farringtona zatrzymał się na światłach tuż przed Arundel. Żona zmarłego, w ciężkim szoku, jest obecnie pod wpływem silnych środków uspokajających i nie może odpowiadać na żadne pytania, dziećmi zaopiekowali się dziadkowie. W związku z planowanym otwarciem nowej sieci restauracji w Midlands wielokrotnie grożono mu śmiercią. Dzisiaj rano w Sądzie Najwyższym miał się rozpocząć proces z powództwa Farringtona, który kwestionował postanowienia testamentu swojego ojca. Opisując morderstwo, oficer policji prowadzący dochodzenie użył słów „zbrodnia na zamówienie”.

Harry popatrzył na Christinę. W jego oczach malowało się z troską. Kiedy go obudziła, przynosząc mu wiadomość o morderstwie, była blada jak płótno. Widać było, że nadal nie może przyjąć do siebie, więc zapytał szybko:

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz okropnie.

- Tak. To był potworny szok. Harry, nie mogę w to uwierzyć. Biedna Fay i dzieci. Kto mógł zrobić coś tak okropnego?

- Podobno grożono mu śmiercią z powodu tego nowego biznesu. Znasz Alana, on potrafił przysparzać sobie wrogów. Wydaje mi się, że w tej sytuacji do procesu nie dojdzie. - Ujął ją za rękę. - Nie będę udawał, że jest mi przykro z powodu jego śmierci.

Po chwili Christina odparła:

- Ja także nie. Nie jest mi przykro, ale przecież nie cieszę się z tego. To okropne, co czują biedna Fay i dzieci. Czy możemy im jakoś pomóc?

- Nie sądzę. Najlepiej zostawić ich teraz w spokoju. Powinnaś jednak skontaktować się z Humfreyem. Wydaje mi się, że proces zostanie odroczone i że lepiej dla ciebie byłoby wrócić do RussMore.

- Lepiej? Co masz na myśli?

- Zdaniem policji, było to morderstwo na zamówienie. Mogę się mylić, coś mi jednak mówi, że będą cię chcieli przesłuchać.

*

Zadzwoiła do szkoły Belindy, żeby uprzedzić personel, co się stało, i rozmawiała krótko z Humfreyem Stone'em.

- To okropne - ubolewał prawnik - okropne. Tak na oczach rodziny.

W drodze do RussMore kupili gazety. Niektóre z nich pisały o pogroźkach ze strony konkurencji, większość pism jednak - jak się tego zresztą spodziewali - skoncentrowała się na mającym się rozpocząć procesie. „Sun” umieścił na pierwszej stronie niewyraźną fotografię Christiny. W porze lunchu zajechali do RussMore, gdzie na ich powitanie pośpieszyła pani Manning.

- Co za okropne wydarzenie, pani Farrington. Naprawdę okropne. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Ale jak to mówią, nie ma tego złego...

Kiedy już wnieśli bagaże, a Harry przystąpił do odpierania ataków dziennikarzy, którzy dzwoniли niemal bez przerwy, pani Manning przyniosła do pokoju Christiny bukiet ciepłarnianych róż owiniętych celofanem.

- Nadeszły dzisiaj rano - powiedziała. - Myślę, że ktoś przysłał pani życzenia wygranej. Ale teraz chyba proces się nie odbędzie, prawda? Przynajmniej jedno dobre

wyniknęło z tego nieszczęścia. - Poczekała, aż Christina rozpakuje kwiaty. - Zabiorę je i włożę do wazonu - powiedziała. - Telefony dosłownie się urywały przez cały ranek. Bez przerwy ci wścibscy dziennikarze. Mówiłam tylko: „Ja tam nic nie wiem” i odkładałam słuchawkę. Teraz pan Spanner z nimi rozmawia.

Do kwiatów była dołączona niewielka koperta. Christina, widząc, że pani Manning nie rusza się z miejsca, podała jej bukiet, mówiąc:

- Niech go pani postawi w gabinecie.

Zaczekała, aż za gospodynią zamkną się drzwi, i wyjęła wizytówkę, niewielką, białą kartkę, na której widniało kilka słów napisanych nie znanym jej charakterem pisma: „Bądź szczęśliwa. Ty i Belinda”. To było wszystko. Bądź szczęśliwa. Usiadła, trzymając w ręku zmiętą kartkę, będącą przesłaniem miłości i śmierci. Gdy tylko usłyszała wiadomość o śmierci Alana, w zakamarkach jej mózgu od razu zapalił się alarm, że to Rolf Wallberg jest odpowiedzialny za tę zbrodnię. Teraz wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Nie mogła uciec od tej świadomości. „Bądź szczęśliwa. Ty i Belinda”. Alan został zabity w przeddzień rozpoczęcia procesu, który - takie było powszechne przekonanie - miała przegrać. Słowa Rolfa dźwięczały w jej pamięci. „Kocham cię. Mam zamiar ci pomóc”.

Odeszła z jego życia, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Teraz, zamykając oczy, widziała jego twarz, wykrzywioną bólem. „Nie chciałem cię pokochać, ale to się stało. Nie chciałem polubić twojej córki, ale nie potrafiłem się oprzeć temu uczuciu”. I słowa, które powiedział, kiedy po raz pierwszy spotkali się w RussMore: „Nigdy nie łamię obietnicy danej dziecku”.

Humfrey powiedział jej, że Rolf zniknął bez słowa pożegnania. Po prostu spakował swoje rzeczy i wyjechał. Zlecił komuś zamordowanie Alana Farringtona i przesłał jej różę z tą krótką notatką, tak aby wiedziała, że dotrzymał obietnicy. Ocalił RussMore dla niej i dla Belindy.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał Harry.

- Christa, dobrze się czujesz?

Harry, zawsze taki oddany, taki delikatny.

- Zaraz schodzę - powiedziała. Zdołała się nawet na błądy uśmiech.

- Przyjechała policja. Chcą z tobą porozmawiać.

Policjantów było dwóch, inspektor i sierżant, z Urzędu Śledczego do Spraw Kryminalnych w Londynie. Zachowywali się z wyszukaną grzecznością. Zaczęli od przeprosin, że przyjeżdżają w takim momencie, kiedy ta wstrząsająca nowina ciągle musi być dla niej szokiem. Jednakże, zauważył inspektor, między nią a pasierbem doszło do nieporozumień, które zaowocowały procesem. Christina popatrzyła na niego spokojnie i

powiedziała.

- Nigdy nie życzyłam nikomu śmierci, nawet jeśli kogoś nienawidziłam. Nienawidziłam Alana, ale bardzo współczuję jego żonie i dzieciom.

Nie była to odpowiedź, jakiej się spodziewał.

- Jest pani bardzo szczerą - zauważył. - Proces miał się rozpocząć dzisiaj, prawda?

- Tak.

Inspektor nie śpieszył się. Mówił dalej swobodnym, niemal towarzyskim tonem:

- Spodziewam się, że teraz sprawa zostanie wycofana. Dla pani musi to być duża ulga, pani Farrington. Ktokolwiek zabił pani pasierba, wyświadczył przysługę także i pani.

- Nie jestem wdzięczna zabójcy - odparła. - Inspektorze, przestańmy bawić się w ciuciubabkę. Nie zabiłam Alana i nie zleciłam nikomu tego zabójstwa. To chyba jasne. Nie jestem hipokrytką i nie będę udawała, że jest mi przykro z powodu jego śmierci. Jeśli chce pan wiedzieć, co robiłam wczoraj, to byłam w moim londyńskim mieszkaniu z Harrym Spannerem, kuzynem mojego zmarłego męża. Miał mi towarzyszyć do sądu.

- Pan Spanner już nas o tym poinformował - odparł inspektor. - Pani Farrington, nikt pani nie podejrzewa, ale przesłuchujemy każdego, kto mógł mieć choć cień motywu. Nasze wysiłki głównie koncentrują się na Birmingham. Zmarłemu grożono śmiercią. Niektórym właścicielom nie podobał się zamiar otwarcia konkurencyjnych lokali. Generalnie mniejszość azjatycka jest bardzo praworzadna, ale i wśród nich może się zdarzyć czarna owca. Zamachowiec na motorze wskazywałby raczej na Bliski Wschód, ale sporo metod stamtąd przejęli handlarze narkotyków. Niewykluczone, że zabójcy należy szukać w tych kręgach. Być może pan Farrington zaangażowany był także w działalność, której publicznie wolał nie ujawniać. No cóż, dziękujemy, że poświęciła nam pani swój czas. Do widzenia.

Christina wstała i odprowadziła policjantów do drzwi wejściowych. Przy schodach inspektor odwrócił się jeszcze.

- Paskudna sprawa - powiedział. - Mam nadzieję, że uda nam się ująć zabójcę, ale szczerze mówiąc, nie jestem tego taki całkiem pewien.

Policjanci wsiedli do samochodu i odjechali. Harry wyszedł z domu i ujął Christinę pod ramię.

- Szybko poszło. Powiedziałem im, że marnują tu tylko czas. Chodź, kochanie, drzysz cała z zimna.

Nawet nie zwróciła uwagi, że nazwał ją w ten sposób. W holu zwróciła się do niego z pytaniem:

- Czy sądzisz, że schwytają zabójcę?

Harry pokręcił głową.

- Mowy nie ma. To był fachowiec. Pewnie już dawno zwiął z kraju. Kontraktowy morderca to drogi interes. Ci chłopcy z Birmingham musieli się nieźle wykosztować. Dzień dobry, pani Manning. Jakie piękne róże.

Gospodyni akurat wchodziła do gabinetu, niosąc wazon z kwiatami.

- Staralam się, jak mogłam, ale nie jestem taka zręczna w układaniu bukietów, jak pani Farrington.

W kominku płonął ogień. Ściana nad kominkiem świeciła pustką; obraz ciągle był w Londynie u rzeczoznawców. Pani Manning postawiła wazon na stoliku pod oknem. Christina wyjęła z kieszeni białą kartkę i wrzuciła do ognia.

- Kto ci przysłał kwiaty? - zapytał Harry. - Tajemniczy wielbiciel? Jestem zazdrosny.

- Nie musisz być zazdrosny. Po prostu przyjaciel, który życzył mi szczęścia.

- No cóż - odparł Harry - w tym wypadku nie będzie ci już potrzebne. Nie sądzę, aby Fay chciała kontynuować proces; ona tylko popierała Alana. Jesteś bezpieczna i Belinda także. Może to zabrzmie cynicznie, ale nie mogło trafić na wredniejszego typu. Ktokolwiek to uczynił, wyświadczył ci przysługę.

Przez moment spoglądała na róże stojące sztywno w wazonie.

- Tak - odparła w końcu. - Myślę, że tak.

*

Upłynął prawie miesiąc, zanim w domu ponownie pojawił się oficer policji. Poszukiwanie mordercy Alana Farringtona utknęło w martwym punkcie. Także zainteresowanie opinii publicznej tą sprawą przygasło. Christina posłała Fay list i kwiaty, ale Fay zignorowała list, a kwiaty odesłała do kwiaciarni. Sprawa o testament została zdjęta z wokandy.

Jeszcze tylko dziesięć dni brakowało do Bożego Narodzenia, gdy w RussMore pojawił się inspektor z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Rozejrzał się po holu udekorowanym jemiolą i ostrokrzewem, z ogromną choinką ustawioną na tle wykuszowego okna. Inspektor był młody, liczył niewiele ponad czterdzieści lat i wyglądał tak, jak mógłby wyglądać dyrektor niewielkiego przedsiębiorstwa.

- Piękna posiadłość - zauważył. - Święta w takim domu muszą być czymś wspaniałym.

Belinda i jej dwie koleżanki, chichocząc, przemknęły przez hol. W rękach ścisnęły płyty kompaktowe. Znajdowały się właśnie w stadium fascynacji muzyką pop. Christina nie czekała do świąt, żeby wręczyć Belindzie prezent - odtwarzacz płyt kompaktowych,

najnowocześniejszy model ze wszystkich oferowanych na rynku, jak zapewniał sprzedawca. Belinda zainstalowała odtwarzacz w swoim pokoju, tak że na szczęście muzyka nie rozbrzmiewała w całym domu.

Inspektor nazywał się Malcolm Dunn i mówił z lekkim akcentem szkockim.

- Bardzo to uprzejme z pani strony, że zgodziła się pani przyjąć mnie w tym gorącym okresie przedświątecznym - zaczął. - Po świętach wyjeżdżam i nie chciałbym odwlekać tej sprawy aż do swego powrotu. Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać nie niepokojeni przez nikogo?

W czerwonym gabinecie, dokąd zaprowadziła go Christina, zajął miejsce dokładnie naprzeciw niej. Pani Manning, z policzkami płonącymi ciekawością, przyniosła sherry. Ze ściany nad kominkiem spoglądało na nich dziecko z portretu, który - ku wielkiemu rozczarowaniu ekspertów z Sotheby's - określony został w końcu raczej jako szkoła Holbema niż dzieło samego mistrza.

Malcolm Dunn sączył swoje sherry.

- Powiedział pan, że pragnie zadać mi kilka pytań - zaczęła Christina. - Na temat śmierci mojego pasierba nie mogę panu powiedzieć nic ponad to, co zeznałam zaraz po zabójstwie.

- Nie przyjechałem tu w sprawie śmierci pani pasierba. Prowadzę dochodzenie mające związek o osobą Rolfa Wallberga. - Zobaczył, że zeszywniała. - Zdaje się, że był pani doradcą prawnym?

- Tak - odparła Christina. - Współpracował z moimi prawnikami z kancelarii Harvey & Stone. Mój pasierb zakwestionował testament ojca. Ale czy może mi pan powiedzieć, o co właściwie chodzi? Skąd to nagłe zainteresowanie policji Rolfem Wallbergiem?

- Pani spędzała z nim wiele czasu, dyskutując problemy prawne - mówił inspektor. - Często tu przyjeżdżał. - Zauważył, że się zaczerwieniła. Pomyślał z satysfakcją, że widocznie dotknął jakiegoś czułego miejsca.

- Owszem, przyjeżdżał. Więc?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - powiedział pojednawczym tonem. - Nie podnoszę kwestii wzajemnych stosunków państwa. Wallberg przyjeżdżał tutaj, spotykali się państwo w Londynie. Zapewne powiedział pani także coś o sobie, bo to przecież niemożliwe, aby rozmowa przez cały czas toczyła się wokół zagadnień prawnych.

Nie uszło jego uwagi, że Christina przez cały czas ma się na baczności. Postanowił postępować z nią delikatnie. Nie chciał, aby zataiła przed nim coś istotnego tylko dlatego, że ją uraził. Inspektor miał bardzo ujmujący uśmiech i postanowił go teraz wykorzystać.

- Pani Farrington, naprawdę nie chciałbym być natrętny, ale moim obowiązkiem jest zadać pani te pytania. Może ujmę to inaczej. Czy zaprzyjaźniliście się? Czy Wallberg opowiadał pani coś o sobie?

Christina zawahała się.

- Niezbyt wiele. Był bardzo skryty. Wiedziałam, że jest Szwedem i że uprzednio praktykował w Sztokholmie.

- I to już wszystko, co pani powiedział?

Nastąpiła kolejna chwila wahania.

- Mówił, że był adoptowanym dzieckiem i wychowywał się w Göteborgu. Zdaje się, że miał nieszczęśliwe dzieciństwo. To wszystko, co o nim wiem.

Inspektor ponownie sięgnął po kieliszek.

- No tak, to właściwie prawda - zauważył. - Był adoptowanym dzieckiem i wychowywał się w Göteborgu, ale nie był Szwedem, pani Farrington. Był Niemcem.

Widać było, że z trudem jej przychodzi ukrywanie swoich uczuć. Popatrzyła na niego zdumiona.

- Niemcem?

- Tak. Może po prostu naszkicuję pani ogólny obraz i wtedy udzieli mi pani informacji, które mogłyby pomóc.

- Jeśli potrafię - odparła Christina wolno. - Jeśli zrozumiem, o co tutaj chodzi.

- Wallberg to nazwisko jego przybranych rodziców. Jego prawdziwi rodzice byli Niemcami, tak zwanymi uciekinierami, którzy pod koniec wojny przedostali się do Szwecji. Wasz kraj był neutralny, ale zamieszkiwało go wielu sympatyków nazizmu, którzy później pomagali różnym Niemcom znaleźć w nim schronienie. Jednym z nich był prawdziwy ojciec Wallberga. Matka Wallberga miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy urodziła dziecko. Nie miała męża, a jej ciąża była skutkiem uwiedzenia przez znacznie starszego mężczyznę, przyjaciela rodziny. Historia, jakich wiele. Gdy chłopiec przyszedł na świat, jej rodzina nie chciała o niczym słyszeć, ojciec dziecka także nie, więc oddała chłopca do adopcji. Adoptowało go bezdzielne małżeństwo z Göteborga - bardzo pobożni luteranie. Jeśli powiedział pani, że miał nieszczęśliwe dzieciństwo, to z pewnością nie kłamał. - Inspektor umilkł na chwilę. - Wallberg był zdolny i ciężko pracował. Opuścił dom rodzinny zaraz po skończeniu studiów. Między nim a przybranymi rodzicami nie było zbyt wielkiej miłości. Odciął się od nich, jak mógł najwcześniej. Nie przyjechał nawet na ich pogrzeb.

- Skąd pan wie o tym wszystkim? - zapytała Christina. - Dlaczego prowadzi pan dochodzenie w jego sprawie?

- Ponieważ to należy do mojego zawodu - wyjaśnił inspektor. - Mój wydział ściśle współpracuje z Interpolem. Terroryzm to problem międzynarodowy, tak że wymieniamy się nawzajem informacjami.

- Terroryzm?

Zauważył, że Christina zaciska ręce na poręczach fotela. Widocznie dotknął jakiejś bolesnej struny.

- Jak wiele adoptowanych dzieci, nawet takich, które mają kochających rodziców i są szczęśliwe, Wallberg pragnął dowiedzieć się czegoś o swoich prawdziwych rodzicach - mówił dalej. - Był prawnikiem i z łatwością ustalił podstawowe fakty. Te go jednak nie usatysfakcjonowały, więc zaczął grzebać głębiej w przeszłości. To, co odkrył, było dla niego wstrząsem i zmieniło całe jego życie. - Inspektor zawiesił głos i przenikliwym wzrokiem popatrzył na Christinę. - Okazało się, że jego prawdziwy ojciec był oficerem SS poszukiwanym za zbrodnie wojenne. Służył w Polsce, współpracując z gestapo. Zgromadził sporą fortunę, przyjmując pieniądze od Żydów, którzy wierzyli, że w ten sposób ocalą swoje życie. Był odpowiedzialny za śmierć setek Żydów wysłanych do Oświęcimia. Gdyby nie fakt, że udało mu się uciec z Niemiec, zostałby osądzony i skazany na śmierć. Kiedy w końcu organizacja Simona Wiesenthala wpadła na jego trop, było za późno. Nie żył już.

Christina pobladła, ale nie odezwała się ani jednym słowem.

Dunn mówił dalej:

- Najwidoczniej udało mu się przeszmurować do Szwecji zrabowane dobra, gdyż żył w dostatku. Zmarł na raka w końcu lat sześćdziesiątych. Wallberg urodził się w roku pięćdziesiątym ósmym, więc w chwili śmierci prawdziwego ojca miał około jedenastu lat. Swojej matki nie próbował odnaleźć; w zupełności wystarczyło mu to, czego dowiedział się na temat ojca. Tego rodzaju szok może oddziaływać na ludzi dwojako. Niektórzy zaprzeczają wszystkiemu. „To nie ja, ja nie mam z tym nic wspólnego”. Inni usiłują się bronić. „Nie wierzę w to, to wszystko kłamstwa wymyślone przez aliantów i Żydów”. Jednak niewielu jest takich, którzy obrali tę linię obrony i udało im się przejść przez życie, będąc pogodzonymi z własnym sumieniem. Wallberg do nich nie należał; świadomość popełnionych zbrodni zawładnęła nim bez reszty. Syn jednego z największych zbrodniarzy wojennych, powieszzonego w Norymberdze, został księdzem, próbując w ten sposób odpokutować za grzechy ojca. Wallberg wybrał inną drogę. Na jego ślad wpadliśmy całkiem przypadkowo, śledząc pewną kobietę. Bardzo niebezpieczną kobietę, której rodowód był podobny do rodowodu Wallberga, tylko o wiele gorszy. Jej ojciec uciekł do Chile, a w ucieczce pomogła mu tajna organizacja SS, która zaopatrywała takich jak on w fałszywe paszporty i wize.

Ożenił się z bogatą Chilijką i mieli córkę - właśnie tę śledzoną przez nas kobietę, która była ich jedynym dzieckiem. Najwyraźniej - inspektor uśmiechnął się z ironią - ulubienicą swojego ojca. Odkryła jego prawdziwą tożsamość, kiedy sąd Niemieckiej Republiki Federalnej wystąpił o jego ekstradycję za zbrodnie wojenne. Do ekstradycji nie doszło, gdyż władze Chile nie wyraziły zgody, ale sprawa stała się głośna. Ten człowiek był generałem SS i szefem oddziałów śmierci w Polsce i w Rosji. Był odpowiedzialny za śmierć milionów Żydów - rozstrzelanych, spalonych żywcem, jak również zagazowanych w ruchomych komorach gazowych. Te ostatnie były jego osobistym wynalazkiem; ginęły w nich tysiące osób dziennie. Kiedy prawda wyszła na jaw, jego żona po prostu nie przyjęła jej do wiadomości, córka natomiast tak. Natychmiast opuściła dom rodzinny i wyjechała do Europy, a ponieważ sama była bogatą kobietą, wykorzystwała swoje pieniądze, by nawiązać kontakty z pewnymi ludźmi. Jedną z tych osób był Wallberg. Od chwili, gdy się z nią związał, zaczęliśmy obserwować jego także. Wiem, że to brzmi zupełnie niewiarygodnie. Grupa Niemców pokutująca za czyny dawnych zbrodniarzy wojennych; to wydaje się trudne do wyobrażenia. Ta kobieta, używająca imienia Irma, ma na swoim koncie kilka porwań i morderstw. Postanowiła zadośćuczynić za zbrodnie ojca w ten sposób, że zaoferowała swoje usługi Mosadowi, izraelskiej agencji wywiadowczej. Wallberg i inni uczynili to samo. Nie potrafimy im niczego udowodnić, ale wiemy, czym się zajmują. Kiedy Wallberg pojawił się w Anglii i zatrudnił się w żydowskiej kancelarii adwokackiej, zajęliśmy się nim bliżej. Wiedzieliśmy, że przyjechał do naszego kraju po coś lub po kogoś, a pani była jedyną osobą, z którą nawiązał bliższe kontakty. Czy to, co mówię, ma dla pani jakiś sens?

Christina wzięła głęboki oddech.

- Nie.

- Ani trochę? - nalegał.

- Nie - powtórzyła. - Szczerze mówiąc, trudno mi uwierzyć w tę historię.

- Do pewnego stopnia mu współczuję - powiedział Dunn. Nie uwierzył zaprzeczeniom Christiny. - Takie brzemie musiało być dla niego koszmarem. Dla niego, dla innych. Czy pani wie, że on zniknął?

- Słyszałam, że wyjechał - odparła. - Ruben Stone mi powiedział. Myślałam, że wrócił do Sztokholmu. Do Anglii przyjechał jedynie na praktykę, a ta dobiegła już końca.

- W Sztokholmie go nie ma. Sprawdzaliśmy w firmie, w której uprzednio pracował; nie mają pojęcia, gdzie się obraca. Mieszkanie zostało opróżnione, umowa wynajmu nie przedłużona. Dlatego tu jestem.

- Tak - powiedziała Christina. - Teraz rozumiem.

Dunn pokiwał głową i powiedział z wyrzutem:

- Nie jestem pewien, czy pani rozumie. Ci ludzie są dręczeni poczuciem winy, pragną odpokutować, ale cała ironia tkwi w tym, że czynnikiem determinującym ich postępowanie jest dziedzictwo genów. Irma jest bardziej podobna do swojego ojca, niż jej się wydaje. Krwi nie da się zmyć krwią. O ile mi wiadomo, Wallberg nie został zamieszany w żaden bezpośredni akt przemocy, ale niebawem dojdzie i do tego. Zawsze tak się dzieje.

Podniósł się z miejsca. Christina nie poruszyła się.

- Zdenerwowałam panią. Przykro mi. Ale zawsze lepiej jest znać prawdę. Czy jeśli Wallberg skontaktuje się z panią, da mi pani znać?

- Jeśli się skontaktuje - odparła. - Wątpię jednak, aby to uczynił.

Dunn skinął głową.

- Chyba nie. Domyślam się, że jego pobyt w Anglii miał jakiś związek z kolejnym zleceniem Mosadu. Przypuszczam, że wykonawszy je, wyjechał do Izraela. Tym ich najczęściej nagradzają - domem i obywatelstwem. Do widzenia, pani Farrington. Proszę nie wstawać, sam wyjdę. Życzę pani wesołych świąt.

- Dziękuję.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Jedno z polan w kominku pękło na pół i żarzący się koniec spadł na kratę paleniska. Niewielki czerwony pokój jakby wypełnił się nagle obecnością Rolfa. Miała wrażenie, że stanął przed nią, że trzyma ją w ramionach. Usiłowała się opierać, a jednocześnie ze wszystkich sił pragnęła ulec. Ten mężczyzna, który kiedyś instynktownie nappełnił ją niechęcią, dzięki opowieści inspektora jawił się teraz w nowym wymiarze, jako człowiek dręczony poczuciem winy, bez przeszłości, bez powiązań z innymi, człowiek, który świadomie wyrzekł się miłości.

Zadrżała gwałtownie. Pokój wydał jej się teraz zimny i duszny. Na dworze blade, zimowe słońce stało nisko na błękitnym niebie. Nagle zapragnęła poczuć wokół siebie otwartą przestrzeń.

Wyszła do parku i długo krążyła wśród bezlistnych drzew i skutych mrozem alejek. Czerwone róże dawno już umarły i powędrowały na śmietnik.

Rolf został skazany na dożywotnie wygnanie, ponieważ złamał reguły, które sam sobie narzucił, i nauczył się kochać.

Znad lasu napłynęły ciemne, śniegowe chmury i zaczął padać drobny, marznący deszcz. Ostre kryształki mieszały się ze łzami płynącymi jej po policzkach, gdy odwróciła się od wiatru.

Przed nią rysował się dom. RussMore - prezent od Rolfa. Jej dom i jej przyszłość.

Zaczęła biec w jego stronę.